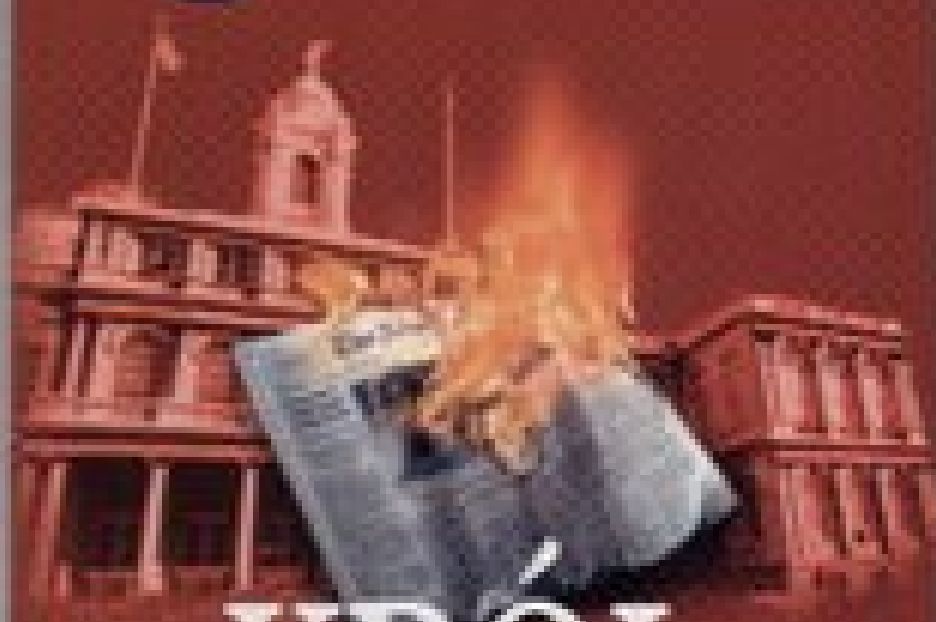


# David Ignatius

*Autór powieści: Katedra, Wódka, Młocznik, Kuchnia*



## KROL AMERYKI



**Ignatius David**

**KRÓL AMERYKI**

Fakt, że zostałem przedstawiony Sandy'emu Galwinowi, zawdzięczam naturalnym wymaganiom, jakie muszą spełnić redaktorzy magazynów ilustrowanych. Otóż mają oni obowiązek wypełniać puste, białe przestrzenie w piśmie. Nasza dotychczasowa specjalistka od reportażu, Annabelle Paige, rzuciła tę pracę: jej rezygnacja miała oznaczać „formę protestu” -zupełnie jakby Annabelle była pokrzywdzoną członkinią gabinetu prezydenckiego - po tym, jak zmieniłem podpis pod dostarczonym przez nią zdjęciem. Fotografia przedstawiała kobietę po sześćdziesiątce, która usiłowała zaprzeczyć własnemu wiekowi i prawu grawitacji, występując w sukni balowej z ogromnym dekoltem. Annabelle napisała: „Jak zwykle czarująca pani Edgerly uświetniła swą obecnością bal u ambasadora”. Wykreśliłem to i wpisałem: „Czy to mamusia Barbie? Nie, to tylko pani Edgerly na balu u ambasadora”.

Nie było w moich słowach cienia złośliwości; ba, niektóre kobiety potraktowałyby je jako komplement. W dodatku Annabelle Paige nie chwyciła zawartej w nich aluzji - ona, blondwłosa piękność, dawna stewardesa z cwaniackim akcentem, który zdradzał prawdę o jej nowozelandzkim pochodzeniu. Nigdy nie miała szczęścia.

Gdy zobaczyła zmianę na kliszy wybuchnęła gniewem. Zadzwoiła do właścicielki gazety i popłakała jej się w słuchawkę, zarzucając mi, że jestem okrutny, nienawidzę kobiet i że nie zniesie mnie w redakcji ani chwili dłużej, więc odchodzi. Spodziewała się pewnie, że właścicielka spróbuje jej wyperswadować ten zamiar, ale trafiła fatalnie. Nasz miesięcznik „Podglądacz, czyli Waszyngtońska Biblia Towarzyska” znalazł się w takich tarapatach finansowych, że szefostwo rozważało nawet możliwość zwolnienia czołowej reporterki - a teraz sprawa sama się rozwiązała. „Mniam, mniam, cudownie”, jakby powiedziała sama Annabelle.

Jedyne, co mogła zrobić, żeby jakoś się na nas zemścić, to wycofać artykuł napisany do następnego numeru. Był to materiał o człowieku, którego główne osiągnięcie - poza podlizywaniem się Annabelle - polegało na tym, że w Wirginii obwołano go Samochodowym Sprzedawcą Roku. W ten właśnie sposób powstała dwustronicowa luka, którą miałem zappełnić. Nic miłego, ale nie mogę powiedzieć, żebym bardzo zmartwił się takim obrotem sprawy.

- Annabelle rzuciła robotę! - krzyknąłem przez cały korytarz do Pameli, mojej asystentki. -I wycofała ten tekst o sprzedawcy samochodów.

Nasza redakcja mieściła się na piętrze starego domu - rudery, prawdę powiedziawszy - przy Connecticut Avenue. Dawno, dawno temu, zanim jeszcze mąż właścicielki rozstał się z tym światem, wnętrza przyozdobiono ciekawymi zdjęciami i paroma obrazami, lecz z czasem wyprzedano je i nie pozostało nam nic innego, jak oblepić ściany starymi plakatami filmowymi i reklamami biur podróży.

- Jasny gwint! - zaklęła Pamela, drobna, rudowłosa kobietka, która niedawno ukończyła uniwersytet i wyrażała się tak, jakby całe życie służyła w marynarce. Jej doświadczenie dziennikarskie ograniczało się do roku pracy przy redakcji gazetki szkolnej. - Czym mamy zappełnić tę dziurę? Wiesz przecież, że

dziś zamykamy numer. A ja mam randkę, więc nawet nie myśl o tym, żebym została po godzinach.

- Co proponujesz?

- A skąd mam, do diabła, wiedzieć, czyją sylwetkę warto zamieścić? Mam dopiero dwadzieścia dwa lata.

Zapewniłem ją, że nie musi się o nic martwić, że pracuję nad tą sprawą i wkrótce znajdę jakieś wyjście z sytuacji. Ale ona już złapała za telefon, żeby opowiedzieć jednej z przyjaciółek, jaki żalony ze mnie dupek.

Trudno nie przyznać jej racji. Byłem wysokim, chudym, łysiejącym facetem w ogromnych okularach w czarnych oprawkach - Buddy Holly też takie nosił. W szkole średniej krążył dyżurny dowcip na mój temat - że jak ustawię się bokiem, widać tylko długą, pionową kreskę. Tacy ludzie, jak Pamela, zajmowali fizyczną przestrzeń, istnieli w trzech wymiarach; ja żyłem tylko w dwóch - na zadrukowanych stronach gazety. Nie miałem masy, tylko słowa.

Nic, co w życiu istotne, nie dzieje się przypadkiem. Jeżeli ktoś jest innego zdania, akceptuje fakt, że wszystkim we wszechświecie rządzi przypadek, niczym zderzeniem bil na stole bilardowym, i że zdarzenia łączą się ze sobą wyłącznie miejscem i czasem występowania. Osobiście nigdy nie potrafiłem pogodzić się z taką przypadkowością, zwłaszcza gdy w grę wchodziły sprawy naprawdę istotne - takie jak moje zderzenie z nie istniejącym dla mnie wcześniej Sandym Galvinem. Wskutek naszego spotkania tyle się wydarzyło, że nie mogę sobie wyobrazić świata, w którym by do niego nie doszło. Zarówno moje życie, jak i życie Sandy'ego zmieniło się nieodwracalnie.

Nie mogło więc być przypadkiem, że zadzwoniłem do Hugona Bella, mojego przyjaciela i specja od handlu nieruchomościami, z prośbą o pomoc i pytaniem, kogo mógłbym sportretować w miejsce utraconego sprzedawcy aut.

Nieprzypadkowo też Hugo wyczytał gdzieś ostatnio, że pewien człowiek kupił właśnie dom w McLean nad Potomakiem i drugi w Georgetown. Facet kupuje dwie wspaniałe posiadłości w przeciągu miesiąca - cudowne zrządzenie losu dla takiego pisma, jak „Podglądacz”. A już z całą pewnością nie było przypadkiem, że człowiek ten nazywał się Carl S. Galvin, a mój przyjaciel miał jego telefon.

Nie spodziewałem się, że osobiście odbierze telefon - był bądź co bądź właścicielem dwóch posiadłości, więc dlaczego sam miałby podnosić słuchawkę?

- Cześć! - zacząłem wesoło. - Nazywam się David Cantor i jestem redaktorem „Podglądacza, czyli Waszyngtońskiej Biblii Towarzyskiej”. Czy mógłbym rozmawiać z panem Galvinem?

- Czego pan chce? - spytał głos w słuchawce, ostro, niechętnie. Uznałem, że rozmawiam z lokajem. - Pan Galvin jest zajęty.

- Chcielibyśmy napisać o nim parę zdań w najbliższym numerze naszego pisma; około tysiąca słów. Co sądzi na temat przeprowadzki do Waszyngtonu, co ciekawego mógłby powiedzieć młodym czytelnikom... Może jakieś ładne zdjęcie. Z dnia na dzień stał się przecież znaną osobistością.

- Nie będzie tym zainteresowany - odparł mężczyzna, zamierzając odłożyć słuchawkę.

- Skąd pan o tym wie?

Nieszczególnie podobała mi się perspektywa wyszukiwania następnego bohatera artykułu w ograniczonej galaktyce waszyngtońskich znanych i bogatych gwiazd. I to jeszcze tego samego popołudnia.

- Bo to ja jestem Galvin i nie życzę sobie, żeby jakiś „Podglądacz” pisał cokolwiek na mój temat. Byłaby to kompletna strata czasu.

- Też nie cierpię tego tytułu - przyznałem pospiesznie. - Wolałbym go zmienić, ale właścicielka nie chce o tym słyszeć. Kiedyś magazyn był zatytułowany „Dobra lektura”, co zresztą, moim zdaniem, brzmiało jeszcze gorzej. Chciałem przemianować go na „Erudyte”, bo takie mamy właściwie aspiracje, ale powiedziała: „Nie, to zbyt niejasne” i oboje zgodziliśmy się na „Podglądacza”. Zgadzam się, że tytuł jest okropny, ale samo pismo nie najgorsze i dobrze pan na tym wyjdzie, jeśli coś o panu skrobniemy. Obiecuję.

Bredziłem, ale byłem zdesperowany. Poza tym, jak już wspomniałem, połączyło nas przeznaczenie i Galvin nie mógł mi odmówić. Nie pozwoliłbym mu na to.

- Niby dlaczego mam dobrze na tym wyjść? - zapytał i tym razem w jego głosie zabrzmiała wesoła nutka: dobrze się bawił, słuchając mojego rozpaczliwego bełkotu.

- Stanie się pan sławny, przynajmniej w pewnych kręgach. Jest pan już bogaty; to oczywiste, skoro kupił pan dwa domy. Nie mylę się chyba? Zakładam więc, że teraz zależy panu na rozgłosie; po to przecież ludzie przenoszą się do Waszyngtonu. A nasza gazeta pełni w tym mieście rolę herolda. Podpowiadamy mieszkańcom, na kogo warto zwrócić uwagę. Jeżeli zamieścimy artykuł o panu, nagle okaże się pan godny zainteresowania. Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinien się pan zgodzić: o wszystkich piszemy same dobre rzeczy. Powinienem się chyba tego wstydzić, ale co tam, takie są fakty.

Teraz śmiał się już głośno, wysłuchując mojej absurdalnej zebraniny. Jest to jedna z moich głównych zalet, zarówno jako redaktora, jak i jako człowieka: nigdy nie unoszę się dumą tak bardzo, żeby nie paść komuś do nóg.

- Proszę wpaść dziś wieczorem - rzekł w końcu Gavin. - Porozmawiamy. Urządzam małe przyjęcie nad rzeką, od siódmej do dziewiątej. Przekonamy się, czy na żywo jest pan równie zabawny jak przez telefon.

- Do którego domu mam przyjść? - spytałem, ale już się rozłączył.

Z pewnością chodziło mu jednak o posiadłość w Wirginii. A zatem wszystko gra. Nawet gdyby wyrzucił mnie z przyjęcia, miałem już dość materiału.

Przed wyjściem zadzwoniłem do właścicielki gazety, żeby upewnić się, że akceptuje planowaną zamianę sprzedawcy samochodów na Galvina.

Zdecydowanie ją polubiłem od czasu, gdy została wdową. Świętej pamięci małżonek kupił jej pismo, żeby miała coś do zabawy, ona jednak z czasem pokochała je i walczyła o nie jak lwica, gdy doszło do podziału majątku nieboszczyka.

- Wierzę w dziennikarstwo - powiedziała kiedyś z zapalem i wiem, że na swój sposób mówiła zupełnie serio. Trzymała się tylko jednej zasady: żebyśmy dobrze pisali o jej przyjaciółach i znajomych. Poza tym nic jej nie obchodziło, przynajmniej dopóty, dopóki goście na spotkaniach towarzyskich ciepło wyrażali się o „Podglądaczu” - czynili to zaś nieustannie, bo zależało im na tym, by magazyn zamieszczał ich zdjęcia.

Dziś ludzie krzywią się na nasze pismo, ale był czas, że „Podglądacza” czytali wszyscy. Dobrze wiem, dlaczego tak się działo: w mieście, gdzie wszystko jest śmiertelnie poważne i nie uświadczysz grama zbędnego cholesterolu, byliśmy jak duże, słodkie lody czekoladowe. Rozpisywaliśmy się o sprawach, którymi ludzie udawali, że się nie interesują - o pieniądzach, modnych ciuchach, wielkich domach i chirurgii kosmetycznej - a w dodatku robiliśmy to z lekkim przymrużeniem oka, w sam raz, żeby czytelnicy mogli żyć w błogim przeświadczeniu, że są ponad to wszystko. Znałem reguły gry; wiedziałem, kiedy puścić oko, a kiedy - i komu - się przypochole-bić. I nigdy, przenigdy nie narażałem się przyjaciółom właścicielki pisma. Zdawałem sobie na przykład sprawę, że nie przepada za Jane Edgerly, której w przeciwnym razie



za nic nie nazwałbym mamusią Barbie.

- Zrobimy materiał o nowym obywatelu miasta - wyjaśniłem przez telefon.  
- Nazywa się Galvin.

- A czym się zajmuje? - spytała obojętnie właścicielka. W tle słyszałem włączony telewizor.

- Nie wiem, ale jest bardzo bogaty. Ma dwie duże posiadłości. I chyba nie ma żony, bo obie kupił na swoje nazwisko.

Wiedziałem, że to ją zainteresuje: wciąż szukała jakiegoś pana Bogatego, który zastąpiłby jej męża.

Nie od razu się odezwała.

- Czy on jest... no wiesz...

Zrobiła się bardzo wyczulona na tym punkcie. Kilka tygodni wcześniej dostała kartkę pocztową, na której ktoś napisał tylko: „Za dużo Żydów!” Próbowałem jej tłumaczyć, że to nie nasza wina; w końcu to Żydzi zarabiali ciężkie pieniądze i chadzali na bale dobroczynne. WASP-y przegrywały tę rywalizację na całej linii. Ich dzieci wypadały z obiegu. Tak wyglądały fakty, ale właścicielka na tyle przejęła się pocztówką, że zaproponowała wprowadzenie limitu zdjęć znanych osobistości - chciała, byśmy publikowali je w stosunku jeden do jednego: jeden wybraniec, jeden zwykły śmiertelnik. Uwierzcie mi, niełatwo było znaleźć dostateczną liczbę durnych, różowiotkich WASP-ów. Temat ten stał się tabu w rozmowach z właścicielką „Podglądacza”; sęk w tym, że to ona cały czas do niego wracała. Podobnie jak ja, należała do narodu wybranego, tylko się z tym nie obnosiła. Chciałem ją uspokoić.

- Nie - odparłem. - Raczej nie jest Żydem. Prawdę mówiąc, jakoś się nie zgadało.

- To dobrze - westchnęła z ulgą. - Zresztą nieważne. Namów go, żeby wykupił ogłoszenie w następnym numerze.

Nie było osoby mniej nadającej się na kronikarza życia Waszyngtonu ode mnie. Chętnie tak o sobie myślałem i pocieszałem się tym wewnętrznym nieprzystosowaniem jeszcze długo po tym, jak na dobre wrosłem w stołeczne towarzystwo.

Przyjechałem do Waszyngtonu ze środkowego zachodu - dokładniej rzecz biorąc z północnego przedmieścia Chicago, czyli niezupełnie z kraju kukurydzy, ale i tak czułem się na wschodzie jak outsider. Mój ojciec był prawnikiem i zakładał, że ja również zrobię karierę w tym zawodzie -pójdę na studia, wrócę do domu, do Highland Park i zajmę się tym, co do mnie należy. Okazało się jednak, że popełnił błąd - przynajmniej jeśli chodzi o dbałość o własne zdrowie - i zmarł, zanim skończyłem się uczyć. I tak nie wróciłbym do domu, ale po jego przedwczesnej śmierci łatwiej mi było wyjaśnić wybór niepewnego, niewdzięcznego fachu dziennikarza. Nie chciałem skończyć tak jak ojciec - prywatna praktyka, członkostwo w klubie towarzyskim, na święta życzenia od przyjaciół i śmierć w wieku czterdziestu pięciu lat.

Ojciec dożył chwili, gdy rozpocząłem studia na Harvardzie. Zapewne wzmocniło to w nim poczucie bezpieczeństwa i poprawiło mu samopoczucie, na mnie jednak miało wpływ dokładnie odwrotny. W tym właśnie tkwi sekret Harvardu - wspominam o tym na wypadek, gdybyście nie wiedzieli. Po Yale, Princeton czy Stanfordzie człowiek czuje się dobrze i bezpiecznie; Harvard wpaja przeciwne przekonanie. Myślisz, że jesteś sprytny? No to rozejrzyj się dookoła, chłoptasiu: tu są sami sprytni, jak okiem sięgnąć. Jesteś niczym. Jesteś mniej niż niczym. Nie poderwiesz nawet panienki na weekend, w przeciwieństwie do tych palantów z Yale, Princeton czy Stanforda. Krótko

mówiąc: spryt to nie wszystko. I tak jesteś frajerem. Dlatego właśnie absolwenci Harvardu tak dobrze radzą sobie w całym szerokim świecie - przywykli do życia w niepewności.

Podaję, że dlatego też tylu ludzi po Harvardzie kończy w Waszyngtonie. Nauczyliśmy się rozumieć to miasto, stanowiące niewyczerpane źródło niepokojów. Życie w nim przypominało wieczny egzamin. Tu każdy był outsiderem; nikt nie czuł się w Waszyngtonie jak u siebie - może poza starzejącymi się alkoholikami o różowo żyłkowanych policzkach, którzy trafiali do rubryki „Dookoła świata” w „Podglądaczu”. Ich pradziadowie uczęszczali wprawdzie do odpowiednich prywatnych szkół, ale synowie nie mogli się już do nich dostać, bo z czasem rodowa krew nadmiernie się rozrzedziła. Waszyngton był ich domem, a wszyscy pozostali mieli wrażenie, że wiodą niepewną, tymczasową egzystencję. Poczucie to łączyło nigeryjskich taksówkarzy, prawników, handlarzy nieruchomości i nas, dziennikarskie hieny: nikt nie był tu u siebie i wszyscy walczyliśmy o przetrwanie. Szanowany dziennik miejski „Washington Sun and Tribune” traktował nas jak wagabundów rodem z hiszpańskich powieści o rozbójnikach. Mój magazyn zaś - i niech go Bóg za to błogosławi - usiłował takim jak ja wskazywać drogę.

Akceptacja niepewności jako stylu życia ukształtowała moją filozofię funkcjonowania magazynów ilustrowanych. Spróbuję ją wyłuszczyć w jednym zdaniu: trzeba umieć pisać o ludziach jednego typu, ale dla ludzi całkiem innego rodzaju. Ci z pierwszej ligi, od których naprawdę zależą losy świata, nie mają czasu na czytanie pisemek z życia wyższych sfer i nie potrzebują instrukcji, jak zostać sławnym i bogatym - już tacy są. Wszyscy poza nimi daliby się jednak pokroić, byle tylko poznać ich tajemnice - w oczekiwaniu na dzień, kiedy sami zostaną poproszeni o współ-prowadzenie balu dobroczynnego na rzecz chorych na białaczkę, otrzymają stanowisko ambasadora w Luksemburgu albo ożenią się z dwudzie-stodziewięcioletnią byłą modelką, która tak rewelacyjnie prezentuje

się w wyszywanej perłami sukni od Ungaro. Dlatego właśnie musieliśmy przedstawiać na naszych łamach tych, którzy niedawno dołączyli do klubu bogaczy - żeby nasi czytelnicy oczyma wyobraźni ujrzeni się na ich miejscu. Mogli sobie na przykład obejrzyć przedsiębiorcę budowlanego, którego największym dotychczasowym osiągnięciem było postawienie wielkiego centrum handlowego pod Annapolis, a który teraz stał obok samego sekretarza stanu; na miłość boską, to oczywiste, że oboje z żoną wyglądali nieco nerwowo, ale najważniejsze, że zaszli tak wysoko, wykonali decydujący krok i awansowali do wyższej ligi. A my trafialiśmy tam wraz z nimi jako kronikarze i wścibscy obserwatorzy.

W Galwinie interesowało mnie tylko jedno: czy urodził się w niższej, czy w wyższej lidze? Czy był sprzedawcą samochodów, któremu zależało na tym, żeby zrobić sobie zdjęcie z prezydentem? Czy raczej jednym z urodzonych arystokratów, którym naprawdę było obojętne, czy „Podglądacz” o nich napisze - a na takich najbardziej nam zależało? Wiedziałem o nim tylko tyle, że jest właścicielem dwóch ogromnych domów. Miałem jednak przeczucie podobne do tego, jakiego można czasem doznać stojąc przy torach kolejowych: szyny zaczynają cicho buczeć, ptaki świergocą na drzewach i choć nic jeszcze nie widać, wiadomo, że nadjeżdża rozpędzony pociąg.

Wieczór doskonale nadawał się na urządzenie garden party: był koniec czerwca, zapadał zmierzch i szafirowe niebo przechodziło w łagodną wirgińską purpurę. Wiosenne azalie i derenie dawno powiędły, ale letni upał nie zdążył jeszcze wypalić traw; na drzewach, trawnikach i wśród paproci, wszędzie, gdzie człowiek spojrzał, pyszniła się soczysta zieleń. Skręciwszy w długi podjazd do domu Galwina, od razu ujrzałem pierwsze oznaki „małego” przyjęcia. Po obu stronach alejki na trawie parkowały samochody, zgrabne sedany w połyskliwych, nie spotykanych w naturze kolorach.

Zabrałem ze sobą naszego stałego fotografa, specjalizującego się w

spotkaniach towarzyskich. Sympatyczny skądinąd łobuz całymi wieczorami fotografował kobiety w eleganckich sukniach, żeby za dnia spokojnie oddawać się prawdziwej namiętności: grał na harmonijce ustnej w zespole bluesowym, który nigdy nie dał ani jednego koncertu.

- Powinniśmy tu zaparkować - zasugerował mi usłużnie, wjechałem więc szarą hondą civic między pomarańczowego lexusa i błękitne BMW. Chociaż znajdowaliśmy się jeszcze dość daleko od domu, słyszeliśmy już głosy gości. Donośny śmiech i pojedyncze piskliwe okrzyki tonęły w cichym, melodyjnym pomruku konwersacji, niosącym się nad rzeką i pośród drzew.

Kiedy minęliśmy kolejny zazieleniony zakręt dróżki, oczom naszym ukazała się ceglana fasada domu, prosta, ogromna, lecz harmonijna i przyjemna dla oka, do złudzenia przypominająca edwardiański wiejski dworek. Po prawej stronie ciągnął się ogród z basenem, za domem zaś szeroki trawnik opadał łagodnie ku nadrzecznym urwiskom. Widywałem już większe domy, ale nie w Waszyngtonie. Zadzwoniłem. Drzwi otworzył nam lokaj - tym razem prawdziwy - i poinformował nas, że pan Galvin jest z gośćmi w ogrodzie za domem. Przeszliśmy przez obszerny salon, umeblowany w eleganckim, choć raczej eklektycznym stylu: miękki perski dywan na podłodze, chińskie jedwabne parawany, portret Mari-lyn Monroe Warhola. Wszystkie elementy wystroju łączyło jedno: były miłe dla oka. I wszystkie musiały sporo kosztować.

Podeszliśmy do drzwi i zobaczyliśmy zebranych na tarasie gości. Mój fotograf wziął się ostro do roboty. Wielu z nich należało do stołecznej śmietanki towarzyskiej. Był tu diaboliczny, świetnie orientujący się w zawiłościach miasta naczelny „New York Timesa”; był pulchny ambasador brytyjski z oszołomioną widokiem tyłu znamienitych osobistości małżonką; byli też felietoniści innych gazet - na krok nie odstępowali swoich informatorów z kręgów rządowych, z których część wyglądała, jakby lada chwila miała się popłakać. Nic dziwnego, jeśli przypomnieć sobie tarapaty, w jakich znalazł się ostatnio prezydent.

Rozpoznałem wielu dawnych urzędników państwowych, którzy nosili o wiele lepsze garnitury i wyglądali na nieporównanie bardziej zamożnych niż w czasach, gdy dzierżyli ster rządów. Zachowywali przy tym charakterystyczny, niedbały spokój, znamionujący ludzi, którzy nie narzekają na nadmiar zajęć. Nie brakowało i innych gości - biznesmenów, których zwykle nie widuje się na waszyngtońskich balach, laureata Nagrody Nobla, który założył firmę biotechnologiczną i zarobił na niej masę pieniędzy, trzydziestopięcioletniego przedsiębiorcy o twarzy dziecka, twórcy internetowego imperium, które na giełdzie przewyższało wartością całe General Motors. Ten ostatni miał na sobie czarną skórzaną kurtkę z wypisaną na plecach nazwą firmy. Pamiętam, jak pomyślałem sobie, że dziwne to doprawdy przyjęcie; jak Galvin, który dopiero co pojawił się w mieście, zdołał namówić tylu wpływowych ludzi, by go odwiedzili?

Mieliśmy pewien drobny problem, bo żaden z nas nie wiedział, jak wygląda gospodarz. Kazałem fotografowi schować aparat, żeby nie wyrzucono nas z przyjęcia, zanim na własne oczy zobaczymy Galvina. Zeszliśmy po schodach do ogrodu. Goście rozstępowali się przed nami, odwracając wzrok, jakby starali się nie zauważać komiwojazerów, którzy pomylili adres i trafili do niewłaściwego domu. Poczulem się tym urażony - w końcu byłem jednym z nich! Tak samo zostałem tu zaproszony! Poczestowałem się więc kieliszkiem wina ze srebrnej tacy i niespiesznym krokiem ruszyłem w stronę kamiennego murku, zbudowanego od strony rzeki. Wiosnę mieliśmy deszczową, toteż Potomac wciąż burzył się i pienił. Później, w środku lata, miał się ustatkować i zmienić w leniwą strużkę wody w na wpół wyschniętym łożysku, ale na razie huczał w wąskim koiycie, niosąc ku miastu muł i zielsko, porwane w górnym biegu.

Fotograf usiadł na murze i oznajmił, że nie ruszy się z miejsca, dopóki nie znajdziemy Galvina. Popatrzyłem po zebranych na łagodnym zboczu gościach w poszukiwaniu obcej twarzy. Bliżej domu zauważyłem jakieś poruszenie; ktoś

wybuchnął śmiechem, mężczyźni podawali sobie ręce.

Od razu go rozpoznałem. Był wysoki i barczysty, niemal o głowę przerastał otaczających go ludzi. Miał na sobie jasny, letni garnitur, który nosił z wdziękiem i elegancją gwiazdy kina lat czterdziestych. Rozmawiał właśnie z podsekretarzem skarbu; zdziwiło mnie, że sekretarz nachyla się ku Galwinowi, jakby ze szczególną uwagą słuchał, co ten ma do powiedzenia. Gospodarz dokończył swoją kwestię, sekretarz pokiwał głową ponurym, typowo waszyngtońskim ruchem, Galwin zaś zareagował w najbardziej nieoczekiwany sposób: uśmiechnął się szeroko - od miesięcy nie widziałem, żeby ktoś się tak uśmiechał - jakby chciał powiedzieć „Co za wieczór! Co za miejsce! Cóż za przyjemność!”. Sekretarz odpowiedział mu podobnym uśmiechem, a na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, jakby znalazł w nim bratnią duszę. W tej chwili zrozumiałem najważniejszą z prawd dotyczących Galvina: ten facet umiał uszczęśliwiać ludzi.

Zauważył, że mu się przyglądam, i po chwili - ciągle uśmiechnięty - ruszył w moją stronę. Jakaś kobieta złapała go za rękę; pochylił się ku niej i szepnął coś zabawnego. Parsknęła śmiechem, on zaś pokazał na mnie i dodał coś przeproszająco. Odprowadziła go wzrokiem i krzyknęła coś, czego nie dosłyszałem. Nie musiałem: wiedziałem, że chciałyby go zatrzymać tylko dla siebie. Jak wszyscy.

- Pan musi być tym facetem z gazety - powiedział Galwin podając mi rękę na powitanie. Uścisk dłoni miał delikatny, grzeczny, niezobowiązujący; umiał nim zaznaczyć dzielący nas dystans, ale także wytworzyć poczucie bliskości. Mój obładowany sprzętem fotograf zeskoczył z murku i zaczął robić zdjęcia. Galwin cofnął się o krok. - To zapewne pański fotograf, chociaż nie przypominam sobie, żeby wspominał pan coś o zdjęciach. Mniejsza o to. Co mi pan o sobie powie, panie redaktorze? Mam nadzieję usłyszeć coś odkrywczego.

- Ładny dom - odparłem idiotycznie. Zaskoczył mnie; nie wiem, kogo spodziewałem się ujrzeć, ale z pewnością nie udzielnego księcia, przechadzającego się wśród nowo poznanych dworzan. - Przepraszam, że przyprowadziłem fotografa, ale prawdę mówiąc jakieś zdjęcie będzie nam potrzebne, a uznałem, że nie naruszę w ten sposób reguł zaproszenia. Chciałbym tylko zadać panu parę pytań, a potem czym prędzej stąd zniknę. Obiecuję. Będę panu wdzięczny za rozmowę.

Wyjąłem z kieszeni notatnik i pióro. Galvin zmarszczył brwi; widocznie go rozczarowałem. Obserwowałem go bardzo uważnie, żeby móc potem opisać, gdyby od razu mnie wyrzucił. Był mocno opalony, choć i bez tego miał zadziwiająco śniadą cerę i kruczoczarne włosy, krótko przycięte i starannie wymodelowane. Twarz miał gładką, ale i wyrazistą, tak że przywodziła mi na myśl grot włóczni. W połączeniu ze świetnie leżącą marynarką sprawiała, że wyglądał jak amant z lat sześćdziesiątych, żywcem przeniesiony z eleganckiego klubu na Manhattanie.

- Przejdźmy się trochę - zaproponował, ujmując mnie pod ramię. Fotograf został za naszymi plecami. - Ludzie uznają, że się znamy i nie wezmą pana za przypadkowego gościa z gazety.

- Jasne - przytaknąłem. - Przejdźmy się. - Byliśmy podobnego wzrostu, ale przy nim miałem wrażenie, że jestem chudy jak patyk. Nagle uświadomiłem sobie, że tracę czas na grzeczności, a przecież dzisiejszego wieczoru mieliśmy zamknąć numer. Potrzebowałem informacji. - Dlaczego kupił pan dwa domy? - spytałem natarczywie. To miał być punkt wyjścia mojego artykułu i musiałem się tego dowiedzieć.

- Oficjalnie? - upewnił się, unosząc w zdumieniu brwi.

Pokiwałem głową.



- Dlatego, że nie mogłem się zdecydować. Jeden z moich przyjaciół twierdził, że koniecznie powinienem zamieszkać w Georgetown, drugi, że w McLean. Znalazłem dwa piękne domy i kupiłem oba.

- Jest pan sentymentalny i pewnie dlatego wydaje się, że brak panu zdecydowania. A co pan powie nieoficjalnie? - Demonstracyjnie podniosłem pióro znad notesu.

- To doskonała inwestycja. Ten w Georgetown zamierzam szybko odsprzedać i dobrze na nim zarobić. A pański artykuł mi w tym pomoże. -Galvin mrugnął do mnie porozumiewawczo. Ze mną sztuczka też się udała: staliśmy się współnikami.

- Proszę mnie zatem wykorzystać do swoich celów - powiedziałem. -Nie mogę nie szanować człowieka całkowicie pozbawionego skrupułów. Wróćmy do wersji oficjalnej: czy po tym, jak opublikuję artykuł, zamierza pan sprzedać dom w Georgetown i zgarnąć kupę szmalu?

- Bez komentarza. - Uśmiechnął się nonszalancko, jak prawdziwy złodziej -dżentelmen.

- Przejdźmy więc do standardowych pytań. - Przyłożyłem pióro do papieru. - Skąd pan pochodzi?

Machnął niedbale ręką.

- Lokaj dostarczy panu moją notkę biograficzną. Zawiera wszystkie ważne fakty, w każdym razie wszystkie, którymi zamierzam podzielić się z czytelnikami „Podglądacza”. A pan skąd pochodzi?

Ja , - Z północnej dzielnicy Chicago. Studiowałem na Harvardzie, ale to dawne czasy. Teraz, jak większość ludzi w Waszyngtonie, nie mam właściwie rodzinnych stron.

- To przykre. Ja pochodzę z bardzo konkretnego miejsca. Jedno nas łączy: ja również studiowałem na Harvardzie, tyle że zrezygnowałem w pół drogi. To była najlepsza decyzja, jaką w życiu podjąłem.

Znów posłał mi czarujący uśmiech - niewymuszony i spontaniczny, naturalny jak powiew wiatru. Kiedy tak się uśmiechał, miało się wrażenie, jakby mały reflektor rozświetlał mu twarz, podkreślając równą opalenizną policzków, biel zębów i blask oczu.

- Dlaczego rezygnację ze studiów uważa pan za tak dobre posunięcie?

- Bo dzięki niej zyskałem to wszystko. - Szerokim gestem ogarnął trawnik, dom, gości. - Nauczyłem się podejmować ryzyko i nie słuchać opinii innych ludzi.

- Ale jak doszedł pan do takiego majątku? - Notowałem jego wypowiedź słowo w słowo, ale na razie nic z tego nie wynikało. Nic nie miałem, a rozpaczliwie potrzebowałem konkretów.

- Dowie się pan z mojej biografii.

Zorientowałem się, że stoimy przy bocznych drzwiach, z dala od tłumu gości. Fotograf dreptał za nami, mrużąc melodię Hootchie Kootchie Man. Uścisnęliśmy sobie z Galvinem ręce. Podziękował mi, że wpadłem, i przeprosił, że nie ma więcej czasu. Rzuciłem na przynętę kilka głupawych pytań, które w magazynach ilustrowanych uchodzą za ciekawe i rzekomo dodają kolorytu wywiadom: „Jaki program telewizyjny najchętniej pan ogląda?”, „Co pan ostatnio czytał?”, „Gdyby mógł pan zostać którąś z gwiazd filmowych, kogo by pan wybrał?” - ale nie podjął gry. Wszystko miałem znaleźć w notce od lokaja.

Był jeszcze jeden punkt zaczepienia, równie standardowy, ale przynajmniej dzięki niemu dostrzegłem pierwszą rysę na nieprzeniknionym murze jego imponującej osobowości.

- Co oznacza „S” przed nazwiskiem?

- Sandburg - odrzekł cicho. - Nazywam się Carl Sandburg Galvin. W szkole wołali na mnie „Sandy”. Nadano mi imię poety. Na razie nie zasłużyłem na nie, ale wciąż się staram.

W nocie biograficznej nie znalazłem właściwie niczego interesującego. Przeczytałem ją od razu w samochodzie, w przyćmionym świetle lampki sufitowej. Wynikało z niej, że Galvin zbił fortunę na „zagranicznych inwestycjach”. Nie dowiedziałem się, gdzie się urodził ani gdzie mieszkał przed przeprowadzką. Owszem, nie ukończył college’u, nie było jednak ani słowa o Harvardzie. Jediną użyteczną informacją było wyjaśnienie, dlaczego przeniósł się do Waszyngtonu: „Pan Galvin jest założycielem fundacji, która zamierza prowadzić inwestycje w kraju i za granicą szczególnie w sektorze środków masowego przekazu”.

Zaciekawiał mnie. Roztaczał wokół siebie ledwie uchwytną aurę ciepła i życzliwości. Czytelnicy „Podglądacza” dobrze znali takich ludzi. Co roku zjeżdżało ich pełno z St. Louis albo Phoenix; dopiero co sprzedali odziedziczoną po rodzicach sieć sklepów albo firmę wybijającą się w handlu nieruchomościami i osiedlali się w Waszyngtonie jako doradcy. Wydawali przyjęcia, ubiegali się o posady ambasadorów w krajach leżących powyżej zwrotnika. Szybko się dowiadywali, które szkoły, kościoły i synagogi dają największy prestiż. Ich żony znajdowały sobie osobistych trenerów na siłowni, dietetyków i księgarnie wysyłkowe, a dawni przyjaciele, wcześniej zakorzenieni w mieście, wprowadzali ich do właściwych klubów towarzyskich. Ich życie w stolicy nie różniło się specjalnie od życia w St. Louis - wszystko miało po prostu większy rozmach.

Galvin jednak był inny. Zachował cechującą przybyszów wyniosłość i to Waszyngton jemu się kłaniał, a nie odwrotnie. I nie chodziło tu tylko o jego

pieniądze. Miał chyba większe ambicje; nie tyle chciał włączyć się do rozmowy, co raczej zmienić jej przebieg. Skąd bierze się u człowieka taka pewność siebie? Czego mu brakowało, że przybył tutaj? Nie zależało mu raczej na władzy, a w każdym razie nie w zwykłym sensie - nie zamierzał kandydować na wysokie urzędy ani zostać doradcą prezydenta. Potrzebował czegoś prostszego, bardziej oczywistego - pragnął zwrócić na siebie uwagę, sprawić, by ludzie go słuchali. Nie miałem tylko pojęcia, co chce im powiedzieć.

Tamtego lata prezydent miał coraz większe kłopoty, przez co Waszyngton stał się jeszcze bardziej męczący i nieprzyjazny niż zwykle w lipcu. Miało się wrażenie, że całe miasto przykrywa szczelna błona, przez którą nic nie może przebić się na zewnątrz - powietrze, upał, wyobrażenia i plotki zostały uwięzione w przezroczystym bąblu, wraz z ociekającymi potem mieszkańcami stolicy. Szczegółów skandalu można było wówczas jedynie się domyślać. Sąd miał się ponoć zebrać na tajnym posiedzeniu, by zapoznać się z dowodami rzekomej działalności przestępczej prezydenta. Informacje na temat popełnionych przez niego czynów zmieniały się z dnia na dzień, w zależności od świadków, którzy akurat zeznawali, oraz od stacji telewizyjnych i gazet, które wysuwały się na czoło nagonki. Notowania głowy państwa wznosiły się i opadały wraz z indeksami giełdowymi; przepowiadano, że jeżeli tylko nie nastąpi krach, prezydent ocaleje.

Nawet wydanie nowego numeru „Podglądacza”, który zwracał uwagę wszystkich na Carla Sandburga Galvina, nie pomogło odmienić ponurego, lipcowego nastroju. To był kawał rzetelnej, zgrabnej dziennikarskiej roboty - a możecie mi wierzyć, że wiem, co mówię. Opisałem przybycie tajemniczego obcego do naszego bąbla, pokrótce zrelacjonowałem zachowanie gospodarza na przyjęciu - jak wyglądał, mówił i przechadzał się pośród gości. Daliśmy też niezłe zdjęcie: Galvin stoi na trawniku, mając za plecami dom i tłum gości. Na jego twarzy błąka się cień uśmiechu, słaby, ale wystarczający, by nawiązać

kontakt z czytelnikiem i zaciekawić -jakby mówił: „Spójrz tylko na mnie! Spójrz na to wszystko!”.

Podkreśliłem, że na wiele pytań nie udało mi się uzyskać odpowiedzi i zacytowałem słowa kilkorga gości. Jeden z nich, dziennikarz pewnego tygodnika, znany z lakonicznych, treściwych komentarzy, twierdził, że Galvin przybył na ratunek swojemu przyjacielowi - prezydentowi; prezenterka telewizyjna powiedziała mi, że przybysz jest kimś w rodzaju szpiega; wysoki urzędnik miejscowego banku inwestycyjnego wyjaśnił, że to wszystko bzdury, a Galvin tak naprawdę dorobił się na ropie. Był ponoć kapitalistą w najgorszym, starym stylu, jednym z najbardziej przebiegłych i bezlitosnych na świecie. Nie miało żadnego znaczenia, ile prawdy jest w ich wypowiedziach - grunt, że przydawały Galwinowi uroku i tajemniczości. Nie ulegało wątpliwości tylko to, że jest bogaty, sympatyczny i że zdążył już przekazać znaczne sumy kilku przyzwoitym i modnym instytucjom charytatywnym w mieście.

Zadzwoił do mnie osobiście następnego dnia po tym, jak lipcowy numer pisma trafił pod wszystkie właściwe adresy. Pamela odebrała telefon. Tłumaczyłem jej, że na razie nie chcę z nim rozmawiać i kazałem powiedzieć, że nie ma mnie w biurze, ale zrozumiała z tego tylko połowę. Słyszałem przez ścianę, jak mówi:

- Przykro mi, panie Galvin, ale on nie chce z panem rozmawiać.

Szczerze mówiąc, byłem zbyt zdenerwowany, żeby zgodzić się na tę rozmowę. Kiedy artykuł się ukáže, ludzie dzwonią tylko po to, żeby ci powiedzieć, co spieprzyłeś, a tego nie miałem ochoty słyszeć. Była to z mojej strony czysto neurotyczna reakcja, jak u człowieka, który otrzymanego listu nie otwiera od razu, tylko daje mu odczekać parę dni na stole i pokryć się kurzem, żeby móc go bezpiecznie przeczytać. Pamela z pewnością nie miewała takich problemów. Zbeształa mnie, że nieładnie jest kłamać - dosłownie powiedziała,

że to „zupełny idiotyzm”, ale mniejsza o to - nawet przez telefon i że nie powinienem jej do tego nakłaniać. Przeraziła mnie. Najgorsza była świadomość, że z nas dwojga to ona jest zapewne tą normalną osobą.

Do wieczora nie oddzwoniłem do Galvina, doszedłem bowiem do wniosku, że poczekam, aż cała sprawa trochę się odleży. Poza tym w potwornym upale i tak nie dawało się pracować, a już zwłaszcza wykonywać tak męczących obowiązków, jak rozmowy telefoniczne. Poszedłem więc do kina, gdzie zająłem miejsce w ostatnim rzędzie, blisko wylotu klimatyzatora.

Następnego dnia rano wciąż rozmyślałem o Galwinie, gdy właścicielka gazety wezwała mnie do siebie. zaproponowała lunch w „Jockey Club”, co nie wróżyło najlepiej naszemu spotkaniu. Kiedy w Białym Domu rządili republikanie, w knajpie tej bywały same znakomitości. Jadała tu była małżonka Johnny'ego Carsona, gdy zaglądała do Waszyngtonu, a i Ed McMahon nie omieszkałby tu wpaść, gdyby tylko pojawił się w stolicy. Moja biedna przełożona chadzała do „Jockey Club”, gdy chciała poczuć, że coś sobą reprezentuje. Usłudni kelnerzy wprost zgadywali życzenia stałych gości, pod warunkiem, że ci nie skąpili napiwków. Musiała mieć złe wieści do zakomunikowania, bo kiedy się zjawiłem, sączyła już wino.

- Jesteśmy na progu bankructwa - oznajmiła smętnie.

Ulżyło mi, bo wiedziałem o tym już wcześniej.

Trochę zbyt mocno zaciskała dłoń na nóżce kieliszka i rozglądała się niepewnie po sali, chcąc się upewnić, że nikt ważny nie zobaczy jej w tak przykrych chwili. Tego dnia wyglądała wyjątkowo ładnie. Była drobną blondynką o delikatnych rysach. Od tylu lat oglądałem tę idealną twarz, w jednych fragmentach łagodną, w innych ostrzej nakreśloną, że dochodziłem do wniosku, iż urodziła się z tymi idealnymi brwiami, a włosy same układają się jej w łagodne fale. Musiała być prawdziwą mistrzynią w tworzeniu własnego

wizerunku, żeby wyglądać tak naturalnie. Niepokój dodatkowo podkreślał jej urodę, odbijając się w głębokich, sarnich oczach.

- Tym razem mówię całkiem serio, skarbie - dodała. Łyknęła szybko wina i niepewnie odstawiła kieliszek. - Finlandia wycofała reklamę wódki, która miała iść na ostatnią stronę, Chanel od października rezygnuje z reklam sukni, a chirurdzy plastyczni zagrozili, że jeśli nie zrobimy specjalnego numeru o powiększaniu biustu, również się z nami pożegnają. Zostaną nam ogłoszenia z branży nieruchomości, paru kucharzy do wynajęcia i budowniczo wie basenów. I tyle, a to nie wystarczy na zapłacenie rachunków.

Nic nie odpowiedziałem. W przeciągającym się, żalobnym milczeniu rozważaliśmy perspektywę zamknięcia Waszyngtońskiej Biblii Towarzyskiej. Dotknąłem ręki właścicielki; czasem słowa nie wystarczają. Uśmiechnęła się lekko, jakby chciała powiedzieć: „Proszę, do czego to doszło: żebyś ty mnie pocieszał”.

- Co zrobimy? - spytała w końcu.

- Możemy jeszcze raz zmienić tytuł - podsunąłem. - „Podglądacz” zawsze brzmiał dla mnie kiepsko, jakoś tak... tanio. Nie oddawał w pełni naszych ambicji.

- Co proponujesz? - W jej głosie zabrzmiała niepewność. Kilka lat wcześniej już przerabialiśmy tę kwestię. - Nie mów tylko, że znów chodzi ci po głowie „Erudyta”, bo to nie wchodzi w grę.

- Myślałem raczej o czymś, co zwróciłoby uwagę lepszych klientów...  
-Zawiesiłem głos, nie tyle dla efektu, co raczej dając sobie czas na wymyślenie czegoś. - Może „Soczysty magazyn”? Kojarzy się z pełnią życia, dużą kasą...  
Albo jeszcze lepiej „Ciepło i soczyscie”; to samo, ale bardziej tajemniczo.

McMahon nie omieszkałby tu wpaść, gdyby tylko pojawił się w stolicy.

Moja biedna przełożona chadzała do „Jockey Club”, gdy chciała poczuć, że coś sobą reprezentuje. Usłudni kelnerzy wprost zgadywali życzenia stałych gości, pod warunkiem, że ci nie skąpili napiwków. Musiała mieć złe wieści do zakomunikowania, bo kiedy się zjawiłem, sączyła już wino.

- Jesteśmy na progu bankructwa - oznajmiła smętnie.

Ulżyło mi, bo wiedziałem o tym już wcześniej.

Trochę zbyt mocno zaciskała dłoń na nóżce kieliszka i rozglądała się niepewnie po sali, chcąc się upewnić, że nikt ważny nie zobaczy jej w tak przykrew chwili. Tego dnia wyglądała wyjątkowo ładnie. Była drobną blondynką o delikatnych rysach. Od tylu lat oglądałem tę idealną twarz, w jednych fragmentach łagodną, w innych ostrzej nakreśloną, że dochodziłem do wniosku, iż urodziła się z tymi idealnymi brwiami, a włosy same układają się jej w łagodne fale. Musiała być prawdziwą mistrzynią w tworzeniu własnego wizerunku, żeby wyglądać tak naturalnie. Niepokój dodatkowo podkreślał jej urodę, odbijając się w głębokich, sarnich oczach.

- Tym razem mówię całkiem serio, skarbie - dodała. Łyknęła szybko wina i niepewnie odstawiła kieliszek. - Finlandia wycofała reklamę wódki, która miała iść na ostatnią stronę, Chanel od października rezygnuje z reklam sukni, a chirurdzy plastyczni zagrozili, że jeśli nie zrobimy specjalnego numeru o powiększaniu biustu, również się z nami pożegnają. Zostaną nam ogłoszenia z branży nieruchomości, paru kucharzy do wynajęcia i budowniczo wie basenów. I tyle, a to nie wystarczy na zapłacenie rachunków.

Nic nie odpowiedziałem. W przeciągającym się, żalobnym milczeniu rozważaliśmy perspektywę zamknięcia Waszyngtońskiej Biblii Towarzyskiej. Dotknąłem ręki właścicielki; czasem słowa nie wystarczają. Uśmiechnęła się lekko, jakby chciała powiedzieć: „Proszę, do czego to doszło: żebyś ty mnie pocieszał”.



- Co zrobimy? - spytała w końcu.
- Możemy jeszcze raz zmienić tytuł - podsunąłem. - „Podglądacz” zawsze brzmiał dla mnie kiepsko, jakoś tak... tanio. Nie oddawał w pełni naszych ambicji.
- Co proponujesz? - W jej głosie zabrzmiała niepewność. Kilka lat wcześniej już przerabialiśmy tę kwestię. - Nie mów tylko, że znów chodzi ci po głowie „Erudyta”, bo to nie wchodzi w grę.
- Myślałem raczej o czymś, co zwróciłoby uwagę lepszych klientów...  
-Zawiesiłem głos, nie tyle dla efektu, co raczej dając sobie czas na wymyślenie czegoś. - Może „Soczysty magazyn”? Kojarzy się z pełnią życia, dużą kasą... Albo jeszcze lepiej „Ciepło i soczyście”; to samo, ale bardziej tajemniczo.
- Nie żartuj sobie. „Soczysty magazyn” brzmi jak tytuł pisma dla pijaczków, a „Ciepło i soczyście” kojarzy mi się raczej z zapachem spod pachy i dezodorantami. Na razie kiepsko, Davidzie. Spróbuj jeszcze raz.
- Dobra, zgadzam się, to nie najlepszy pomysł. Może zatem wybierzmy hasło, które przemawiałoby wprost do ogłoszeniodawców? To kwestia właściwego pozycjonowania produktu, na przykład „Pokaż się!”, z wykrzyknikiem na końcu. Proste, prawda? Czytasz takie pismo, kupujesz reklamowane w nim towary i niech się reszta świata schowa. Albo „Twoje pragnienia”, podobnie, choć z mniejszym naciskiem. „Pofolguj sobie”... delikatne światło świec, lekko rozmyta ostrość... Albo przeciwnie... „Zazdrość”, prosto z mostu, bez fałszywego wstydu. A o to przecież chodzi w naszym fachu; istniejemy po to, żeby uświadomić czytelnikom, że ktoś ma większy dom, młodszą żonę, bogatszego męża... Sprzedajemy zazdrość.

Umilkłem, sam nie wiedząc, czy jeszcze mówię poważnie, czy już nabijam się z właścicielki. Na tym właśnie polegał kłopot z moją pracą: z założenia była

tak nonsensowna, że człowiek z trudem rozróżniał, co ma brać serio, a co nie.

- Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej podoba mi się „Pokaż się!” - dodałem. - Wszystko wyjaśnia.

- Daj spokój! To nie zabawa. Naprawdę mamy kłopoty i będę musiała zamknąć magazyn, jeśli natychmiast nie znajdziemy nowego źródła dochodów. Bardzo poważnie traktuję kwestię odpowiedzialności dziennikarskiej; wiem, że czytelnicy mnie potrzebują, ale nie zamierzam sprzedawać domu na Martha's Vineyard tylko po to, żeby opłacić rachunki. Nie ma mowy! A tak, jak jest, dalej być nie może.

- To fakt - zgodziłem się z nią. - Trzeba coś z tym zrobić, nie możemy pozwolić, żeby pismo po prostu umarło.

Obiecałem przygotować listę potencjalnych ogłoszeniodawców. Jubilerzy zapowiadali się szczególnie obiecująco. W czerwcu zrobiliśmy już wprawdzie numer specjalny, w całości poświęcony ślubom i weselom, ale może udałoby się wykroić materiał na numer zaręczynowy? A producenci i sprzedawcy pościeli i ręczników? Nawet o nich nie pomyśleliśmy! A przecież „Wrzesień miesiącem dobrego snu!” A ortodonci?! Dlaczego na to wcześniej nie wpadłem? Czytelnikom „Podglądacza” z pewnością zależy na tym, żeby mieć równe, proste zęby; ten segment rynku w całości powinien należeć do nas! Przyrzekłem, że przygotuję też spis najlepszych ortodontów w mieście.

Naprawdę rozmyślałem jednak głównie o tym, że potrzebny mi jest plan awaryjny. Nie było najmniejszego sensu tkwić do końca na pokładzie

„Podglądacza” i dumnie iść wraz z nim na dno. Tym bardziej, że moim zdaniem nielojalność jest w naszym świecie wiecznie niedocenianą zaletą, a przecież stanowi istotą całego życia politycznego i gospodarczego. Nadszedł czas, by ratować się z tonącego statku. Sęk w tym, że nie wiedziałem, dokąd

pójść.

Zawsze uważałem, że lepiej nie snuć szczegółowych, długofalowych planów kariery. Wydaje mi się, że ambicja to rzecz nader niebezpieczna. Wyznaczasz sobie jakiś cel - pięknie. Ale co się stanie, jeżeli nie zdołasz go osiągnąć? Czujesz się podle, i to nie bez przyczyny - przecież zawiodłeś na całej linii. Przyjaciele z rozkoszą i w milczeniu obserwują twoją daremną wspinaczkę na wyższy szczebelek drabiny społecznej, a potem upokarzający upadek; przesyłają ci płynące z głębi serca i zupełnie nieszczerze wyrazy współczucia. Jeżeli zaś nie wymyślisz sobie żadnego konkretnego zadania, nie ryzykujesz przegranej. Dajesz się porwać wichrom bezrobocia, które miotają tobą tak długo, aż cisną cię na żyzną glebę, gdzie zakorzenisz się i rozkwitniesz - albo zmarniejesz i umrzesz, bo i tak może być. Nie ma to żadnego znaczenia, bo nie będzie świadków twojej klęski.

Moje największe fantazje związane z życiem zawodowym - na które pozwalałem sobie w chwilach, gdy marzyłem, że nie będę do końca życia pracował w „Podglądaczu” - wiązały się z telewizją. Nie, nie chciałem zostać jednym z tych reporterów-automatów, którzy męczą ludzi namolnymi pytaniami, jak to jest stracić dziecko, przegrać wybory albo mecz decydujący o medalu olimpijskim; tego rodzaju zajęcie pociągało mnie jeszcze mniej niż studia prawnicze czy specjalizacja w gastroenterologii. Moje ambicje - jeśli w ogóle można o nich mówić - były zupełnie inne.

Zabrzmiałoby to pewnie niezwykle, nawet dla ludzi oswojonych z dziwactwami, ale zawsze marzyłem o tym, żeby zostać pomagierem Jeny'ego Springera, prezentera Jerry Springer Show. Nie jest on może osobą powszechnie poważaną w wyższych sferach, raczących się wodą mineralną, ale dla mnie jest kimś na kształt Krzysztofa Kolumba w kulturze masowej. Każdego dnia zapuszcza się na niezbadane wody, gdzie odkrywa na przykład biednego dzieciaka, który oświadcza: „Mam dwanaście lat i opiekuję się mamą, która waży trzysta kilo!”

albo spotyka dziewczynę, która chce być „nastoletnią striptizerką”, albo rozwiązuje zagadkę „Zacka, czyli trzydziestokilowego niemowlęcia”. Ten ostatni odcinek jest zresztą jednym z moich ulubionych; której matki nie zainteresowałby osiemnasto-miesięczny bobas ważący trzydzieści kilo? Prawdziwa męska przygoda dla rodziców. A te pieluchy...

Pytanie, które co wieczór zadają sobie całe Stany Zjednoczone, brzmi: skąd się biorą tacy ludzie? W jakiej zapadłej dziurze się ich spotyka? Chciałem poznać odpowiedź; być tym człowiekiem, który ogląda Clema, niemowlaka ważącego dwadzieścia pięć kilo i decyduje: nic z tego! Przykro mi, ale się nie nadajesz, musimy poczekać na Zacka. Chciałem spojrzeć w oczy kobiecie, która postanowiła w telewizji publicznie przyznać się swojemu chłopakowi, że w rzeczywistości jest mężczyzną. Chciałem porozmawiać z inną, która przechwalała się, że „pobiła rekord świata w dziedzinie seksu” (tym, którzy nie oglądają regularnie Jerry'ego, należy się wyjaśnienie: chodzi tu o magiczną liczbę trzystu facetów w jednym filmie pornograficznym). Ludzie ci stanowili rodzaj cudu - byli zbyt niezwykli, żeby naprawdę istnieć. A może w ogóle by ich nie było, gdyby nie Jerry, który opowiadał ich historie?

A poważnie: w dzisiejszych czasach nie ma w telewizji programu, który bardziej podnosiłby na duchu, niż Jerry Springer Show. Nawet Mobil Masterpiece Theatre mu nie dorównuje. Niesamowitych historii nie brakuje; w procesji niezwykłych postaci co wieczór poznajemy nowe, perwersyjne i zarazem ciekawe sposoby wyrażania własnego „ja” w naszym ujednoliconym, bezdusznym kraju. Miłośnicy wody mineralnej przy każdej okazji podkreślają znaczenie różnorodności - na Boga, to jest dopiero różnorodność! „Pokochałam seryjnego mordercę!”, „Odbiłam chłopaka mojej dwunastoletniej siostrze!”, „Mój piętnastoletni syn chodzi w sukienkach!”, „Wysłałam za mąż za konia!”.

W taki właśnie sposób kończy się stulecie w Ameryce. To nasz szczególny dar. Wyobrażacie sobie, żeby taki program powstał w kraju, który kiedyś był

potężny i dominował w świecie? We Francji, w Niemczech czy w Anglii? Jasne, że nie. Nie mają dość energii, ogarnęła ich niemoc twórcza; ich kultury wymarły, nasza zaś żyje i się rozwija - pluje, wydała, mutuje i ewoluuje ku wyższemu, lepszemu stadium rozwoju. Ale zanadto odbiegam od tematu.

Następnego dnia Pamela odeszła z pracy. Nie powinno mnie to szczególnie zaboleć - nie dość, że była fatalną sekretarką, to w dodatku mnie przerażała - ale zabolalo. Najbardziej gryzłem się tym, że kiedy przyszło do ucieczki z tonącego statku, wyprzedziła mnie w wyścigu szczurów. Traciłem formę.

- Jak śmiesz? - spytałem, gdy oznajmiła, że to jej ostatni dzień w redakcji, a właściwie nawet nie dzień, ale rano, bo zamierzała zrobić sobie dłuższą przerwę na lunch.

- Ejże, dupku jeden! - obcięła mnie. - Odwal się!

Nie było sensu kontynuować tej rozmowy.

Zadzwoiłem do właścicielki, żeby poinformować ją, iż liczebność naszej wesołej gromadki zmniejszyła się o jeden - a raczej już o dwa, jeśli liczyć redaktor Annabelle Paige. Właścicielka powinna być zadowolona: jedna osoba mniej do zwolnienia, kiedy „Podglądacz” padnie - ale moje słowa wywarły skutek wręcz przeciwny do oczekiwanego.

- To koniec, prawda? - spytała załośnie. - Wszyscy już wiedzą.

- Ależ skąd! To jeszcze nie koniec, nawet nie początek końca. Już raczej koniec początku.

- Davidzie, proszę cię... Doceniam twoje sentymenty, ale druga wojna światowa się skończyła, a ty nie jesteś Winstonem Churchillem. Dzwoniłeś już do jakiegoś ortodonta?

Musiałem się przyznać, że nie, co wtrąciło właścicielkę jeszcze głębiej w

otchłań rozpaczy. Zaczynałem się martwić: nie chciałem, żeby i ona uprzedziła mnie w ewakuacji z wraku. Musieliśmy utrzymać się na powierzchni na tyle długo, żebym znalazł jakąś „strategię odwrotu”, jak powiedziałby Henry Kissinger.

- Mam plan - zełgałem, starając się zyskać na czasie. - Przyszedł mi do głowy już jakiś czas temu, a teraz na pewno sprawdzi się doskonale i pozwoli nam ugruntować pozycję biblii towarzyskiej Waszyngtonu.

- Co to za plan? - spytała obojętnie. Przykro mi się robiło, kiedy słuchałem tego wypranego z emocji, przepełnionego żalem głosu. Dawno nie miała faceta; z pewnością po części na tym polegał jej problem.

- Już mówię: stworzymy sobie własnego członka waszyngtońskiej elity towarzyskiej, ot tak, z niczego. Wybierzemy sobie, kto to ma być... kobieta z wielkimi siekaczami, która przygotowuje reklamy dla chevroleta, albo na przykład jedna z tych paniuś, którym nie zaproponowano organizacji balu na rzecz chorych na białaczkę... i zrobimy z niej słynną osobistość. Najpierw damy jej zdjęcie w „Dookoła świata”, jak tańczy na balu. W następnym numerze będzie fotka ze spotkania, na którym wygłasza mowę: mądra kobieta w okularach, wokół stłoczeni w skupieniu ludzie. Dalej opiszemy, jak wręcza nagrodę imienia jakiejś sławnej osoby... może być Evangeline Bruce, jest bardzo znana i na dodatek martwa... i sfotografujemy ją w towarzystwie wszystkich matron socjety. Potem załatwiamy jej zaproszenie do Białego Domu, gdzie robimy zdjęcie z prezydentem i piszemy, jak to osobiście i poufnie doradza Pierwszej Parze. Tę historię rozrzucimy po całym numerze. A potem czas dać ją na okładkę... duża fotka, perły, suknię pożyczysz się od Saks Jandel... i wielki tytuł: „Szara eminencja Waszyngtonu”. A potem bum! Ujawniamy, że w rzeczywistości jest podstawiona, że wzięła się znikąd... Demaskujemy ją przed całym światem. Od nędzy do pieniędzy i z powrotem, a wszystko dzięki „Podglądaczowi”. Jak to brzmi?

Właścicielka odetchnęła głęboko - sam wydech zajął jej dobre pięć sekund. Tym razem przesadziłem: od początku do końca traktowałem to jako żart.

Odchrząknęła z powagą.

- To idiotyzm, Davidzie. Gonisz w piętę. Chyba nie rozumiesz, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie możemy dłużej tak ciągnąć: brakuje nam pieniędzy, straciliśmy ogłoszeniodawców, nie mamy na spłacenie rachunków. Jeżeli nie zdobędziemy nowego inwestora, będzie po nas. Rozumiesz, co mówię?

- Owszem - przytaknąłem. - Pieniądze to ważna rzecz. Musimy je znaleźć, bo inaczej padniemy.

- Tylko gdzie ich szukać? - jęknęła rozpaczliwie, po czym ze słuchawki doleciał nieunikniony, jak zwykle irytujący szloch. Doprowadza

mnie do wściekłości, kiedy kobieta w ten sposób traci panowanie nad sobą - jakież to wyrachowane.

- Nie płacz - powiedziałem. - Coś wymyślimy.

Wiedziałem jednak, że sama do nikogo nie zadzwoni. Każdy facet, który miałby dość forsy, żeby wydobyć „Podglądacza” z tarapatów, był dla niej znacznie więcej wart jako potencjalny mąż - i do diabła z magazynem.

- Jesteś dla mnie taki dobry - stwierdziła, pociągając nosem. - Nie zasługuję na ciebie.

W duchu musiałem przyznać jej rację.

Pamela siedziała jeszcze przy biurku, ostatni raz malując w biurze paznokcie. Drażniła mnie.

- Zwalniam cię! - krzyknąłem i kazałem jej od razu się wynosić, bo w

przeciwnym razie wezwę policję.

Jej odpowiedź brzmiała oczywiście: „Odpieprz się!"; dowiedziałem się jeszcze, że dureń ze mnie, ale Pamela wreszcie wyszła, a ja od razu poczułem się lepiej. Siedząc samotnie w biurze zacząłem układać w myślach list do Jerry'ego Springera. Jak wyjaśnić szczególną naturę mojej prośby, żeby nie wziął mnie za jednego z milionów frajerów, którym zachciało się szukać roboty w telewizji? Czytałem eseje Camille Paglii i wiedziałem o siedmiu rodzajach niejednoznaczności.

„Drogi panie Springer - zacząłem. - Kiedy wspominam lata swoich studiów na Harvardzie, przychodzą mi na myśl liczne wybitne jednostki, które dzięki tej szacownej uczelni dane mi było poznać. James Q. Wilson, Nathan Marsh Pusey, Barrington Moore Jr. to geniusze, którym Harvard słusznie zawdzięcza reputację Aten współczesnego świata. Teraz zaś, panie Springer, dzięki mnie ma pan okazję dołączyć do tego elitarnego grona".

Nie, to zbyt oficjalne. Poza tym Jerry niezbyt dbał o referencje; był ponad to. Potrzebował ludzi, którzy pomogą mu utrzymać się na topie.

„Drogi panie Springer - zacząłem jeszcze raz. - Mogę przyprowadzić panu do studia niemowlę ważące czterdzieści kilogramów, przy którym Zack wyglądałby jak anorektyk. Proszę o szybki kontakt, bo Geraldo i Ricki Lake również mogą być moją ofertą zainteresowani".

Doskonale! Kiedy wkładałem list do koperty, zadzwonił telefon.

- Pamela! - ryknąłem ze swojego boksu, czekając, aż dziewczyna podniesie słuchawkę, ale jej przecież nie było już w biurze. Odczekałem jeden dzwonek, dwa, trzy, żeby włączyła się automatyczna sekretarka. Mógłbym się wtedy zorientować, kto dzwoni. Głos był głęboki, dźwięczny, ale przy tym niepewny, jakby jego właściciel nie zwykł nigdzie osobiście dzwonić i nagrywać się na



automaty. To Galvin prosił, żebym do niego od-dzwonił, ale i tak nie odebrałem. Nie byłem jeszcze gotowy.

Słuchając jednak jego głosu uznałem, że nie dzwoni po to, żeby się poskarżyć na mój artykuł - mówiłby wtedy ostrzej, z większym przekonaniem, teraz zaś brzmiał życzliwie. Chciał nawiązać kontakt; wyszedł mi na spotkanie, skoro ja przedtem zrobiłem pierwszy ruch. Nikt nie mógłby mnie winić za dalszy rozwój wypadków. Facet miał pieniądze i ogromne ambicje - brakowało mu tylko rozrzutnego asystenta.

Parę minut później zjawiała się właścicielka. Ostatnio rzadko bywała w redakcji, więc nie wróżyło to nic dobrego. Popatrzyła po plakatach meksykańskich plaż i zespołów grunge'owych i pokręciła głową. Po co jej coś takiego?

- Chciałabym przejrzeć księgi rachunkowe - oznajmiła. - Zorientować się w rozmiarach strat.

Zainstalowała się w dużym biurze na tyłach, które rezerwowaliśmy dla oficjalnych gości. Po dwudziestu minutach wyszła z niego z popielatą twarzą.

- Mamy sto siedemdziesiąt tysięcy dolarów długów - powiedziała. -Z tego sześćdziesiąt pięć jesteśmy winni drukarzowi, który grozi, że nie wydrukuje następnego numeru, jeżeli natychmiast nie prześlę mu czeku. Nie wiem, co robić.

- Wyślij czek - doradziłem.

- Nie mamy ani grosza, Davidzie. Nie stać nas na to.

- Wiem. Ale zrób, co mówię. Zadzwoń do niego i powiedz, że wysyłasz czek na sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. I wyślij go, tylko nie podpisuj. Drukarz zadzwoni z wrzaskiem, że brak na nim twojego podpisu, a ty wyjaśnisz, że musiałaś to przegapić i że już wysyłasz mu następny. Jeżeli szczęście nam

dopisze, a poczta znanadto się nie pospieszy, w ten sposób zmitręzimy pewnie z tydzień. Może coś się przez ten czas wyjaśni i naprawdę będziemy mogli mu zapłacić.

- Czy to aby zgodne z prawem? - Właścicielka gazety pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Nie mam pojęcia, ale to bez znaczenia. Gdyby ktoś cię o coś pytał, kłam jak najęta. Obiecuję ci, że gładko się z tego wyłgasz.

- A skąd weźmiemy pieniądze na resztę spłat? - spytała, dalej kręcąc głową.  
- Nie mogę wszystkim wysłać niepodpisanych czeków.

- Co powiesz na handel wymienny? Powiedz wierzycielom, że mamy teraz miesiąc katalogowy i zamiast dostać чеки, mogą zamówić co zechcą z katalogów Williamsa-Sonomy, L. L. Beana, Victoria's Secret; jeżeli okażą się głodni, możesz dorzucić coś od Harry'ego i Davida. Potem całe obciążenie przrzucasz na Visę i voila\ Długi spłacone. Osobiście wolałbym gotówkę, ale innym możesz powiedzieć, że albo wezmą towar, albo dostaną figę z makiem.

- To brzmi sensownie - przyznała właścicielka, chyba nieco wstrząśnięta. Złapała mnie za rękę; znaleźliśmy się na skraju przepaści, nadszedł więc czas dzielenia się wszystkimi doświadczeniami. - Nigdy nie kochałam męża - wyszeptala. - Nawet na samym początku.

Uścisnąłem jej dłoń i puściłem. Musiałem to skończyć, bo kobieta zaczynała się rozklejać.

- Dobrze już, dobrze - powiedziałem. - Znajdziemy pieniądze.  
- Dzwonił dziś do mnie twój przyjaciel, pan Galvin - wtrąciła przebiegle. - Jest bogaty, prawda? Może byś jego poprosił o pożyczkę?  
- Czego chciał? - spytałem nerwowo. - Nie zamierza nas chyba pozwać do

sądu?

- Nie, nie, chce się tylko z tobą skontaktować. Podobno dwa razy nagrał ci się na sekretarkę, ale nie oddzwoniłeś. Bał się, że coś ci się stało. Próbowałam go wysondować, ale upierał się, że będzie rozmawiał tylko z tobą. To zamożny człowiek; zadzwoń do niego. Nie płacę ci za neurotyczne lęki.

- Oczywiście, że do niego zadzwonię; po prostu byłem zajęty. Jeszcze dziś z nim pogadam. Najdalej jutro.

- Posłuchaj, Davidzie. - Znów ujęła mnie za rękę. - Jeżeli wydobędziesz skądś pieniądze, jestem gotowa oddać ci udziały w piśmie. Co ty na to? - Zainteresowanie, które odbiło się na mojej twarzy, nie uszło jej uwagi. Nadmierne zainteresowanie.

- Ile?

- Pięć procent, kotku - odparła krótko.

I tak wystarczająco mnie ruszyło. Na miłość boską, nie zamierzała przecież pozbywać się interesu.

- Nie ma mowy - stwierdziłem. - Połowa albo nic.

- Ty potworze! Próbujesz wykorzystać moją chwilę słabości. Jesteś gorszy niż mój mąż! Dziesięć procent, chociaż to i tak za dużo.

Ustaliliśmy w końcu, że dostanę piętnaście procent w charakterze znaleźnego, a dalsze trzydzieści cztery procent trafi do inwestora. Było to sprytne posunięcie, bo pozwalało właścicielce zachować kontrolę nad pismem - miała pięćdziesiąt jeden procent udziałów. Zażyczyła sobie poza tym, żeby inwestor płacił jej pensję z premią w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie.

Zgodziłem się. A co mi szkodziło? Łatwo jest wydawać cudze pieniądze na

projekt, o którym ich właściciel w dodatku nigdy nie słyszał.

Przypomniałem tylko, że nadal nie mamy okładki do następnego numeru, a przydałaby się jakaś naprawdę ostra, żeby zrobić wrażenie na naszym nowym wspólniku. „Pocałunek prawdy: czołowi ortodonci zdradzają tajniki swojego sukcesu”. Albo „Parawany władzy: pięć sekretów dekoratora wnętrz”. A może „Narody Zjednoczone to betka: sztuczki podróżne dyplomatów od U Thanta do Boutrosa Ghalego”. Obiecałem zrobić stosowny reportaż lub - w razie potrzeby - coś zaimprovizować.

Wciąż nie czułem się gotowy, żeby do niego zadzwonić. Wróciłem do domu piechotą. Nie miałem daleko - raptem dwie przecznice wzdłuż Connecticut Avenue - ale i tak się zmachałem. Trudno jest być istotą niematerialną; w świecie panuje powszechne pragnienie masy, rozmachu, ciężaru. Wlokłem się chodnikiem. Cała okolica stała się z czasem niematerialną krainą barów i kafejek. Kiedyś mieliśmy tu prawdziwy sklep spożywczy „Larrimer's”, z najlepszymi w mieście rzeźnikami. Wyglądali jak kongresmeni z dawnych wieków, jowialni, pulchni - a kiedy się ich poprosiło, odkładali kości dla psa. Teraz usadowił się tam butik z jedzeniem, w którym sprzedawano kawę w ziarenkach i sosy w butelkach. Prawdziwe były już tylko księgarnie, gejowskie kluby nocne i, co najdziwniejsze, spelunka ze striptizem, hałaśliwy lokal z rodzaju tych, w których spoceni faceci wtykają panienkom pięciodolarowe banknoty za podwiązki.

Kamienica, w której mieszkałem, znajdowała się dokładnie naprzeciw spelunki. Z okna w salonie późnym popołudniem mogłem oglądać przyjeżdżające do pracy striptizerki w niebieskich dżinsach, o twarzach równie sympatycznych, jak podmiejskie centra handlowe, a po nocach -napakowanych facetów z trudem wytaczających się przez drzwi, tak pijanych, że zapominali o wstydzie. Gdyby właściciel budynku wiedział, ile frajdy sprawia mi widok z okna, nie omieszkałby podnieść mi czynszu.

Kiedy wróciłem, stał w drzwiach do sieni. Nie lubił mnie. Od paru lat usiłowałem przenieść się do jednego z mieszkań na wyższych piętrach, z oknami zwróconymi na południe i panoramę Waszyngtonu, ale chociaż kilka lokali się zwolniło, nigdy nie zaproponował mi przeprowadzki; nowi lokatorzy musieli mu więcej płacić. Na razie mieszkalem więc nieco niżej, okna miałem od północy i oglądałem knajpę ze striptizem i stojący nieco dalej przy ulicy kościół anglikański. Co niedziela słyszałem, jak organista gra Bacha, a wierni fałszując wyśpiewują wspaniałe hymny.

Tego wieczoru zjadłem kolację z Hugonem Bellem, przyjacielem działającym w nieruchomościach. Umówiliśmy się w podupadającej indyjskiej restauracyjce przy Dupont Circle, mrocznym, wiecznie świecącym pustkami lokaliku, który reklamował się mało wiarygodnym hasłem „Romantyczne kolacje”. „Anonimowe kolacje” byłyby chyba bardziej trafione. Lubiałem jednak tę knajpkę, bo była w okolicy jednym z niewielu miejsc, gdzie z całą pewnością nie mogłem przypadkiem spotkać znajomych ludzi.

Hugo Bell był jeszcze dziwniejszą postacią niż ja. Skórę miał czarną, czy raczej miodowobrunatną, upstrzoną plamami jaśniejszego i ciemniejszego pigmentu, co korespondowało z jego duszą - duszą człowieka uwikłanego w spory zwolenników rasy czarnej i białej. Było mi go żal, a to zawsze ułatwia nawiązanie nici sympatii; litość jest najbardziej uwodzicielskim z uczuć. On zresztą też litował się nade mną - wysokim, samotnym, wiecznie znerwicowanym Żydem, który karmił się zazdrością i złością. Na tym polegało nasze podobieństwo.

Bell skończył dobrą prywatną szkołę w Filadelfii i dostał się na Harvard. Tam się poznaliśmy. Był bardzo bystry, szczególnie dobrze radził sobie z rachunkami. W college'u grywał w kasynach w black jacka i w ten sposób zarabiał na życie. Wygrywał na rasizmie krupierów i właścicieli, którzy jego zdaniem nie podejrzewali nawet, że Murzyn mógłby tak sprawnie liczyć karty.

Dochodzili więc do wniosku, że po prostu ma szczęście -a on raz za razem zgarniał spory szmal. W pewnym momencie dorobił się stu kawałków, co dzieciakom w college'u wydawało się sumą astronomiczną.

Potem poszedł do stanfordzkiej szkoły prawniczej, ale miał takiego świra na punkcie uprzedzeń rasowych, że po jej ukończeniu nie mógł pracować dla żadnej drogiej kancelarii. Czuł się jak balon napełniony gorącym powietrzem, który odleci pchany wiatrem, jeśli nie uczepi się czegoś solidnego. Założył więc firmę specjalizującą się w ubezpieczeniach praw własności ziemskich, otworzył biuro na Kapitolu i zarabiał na najprostszej obsłudze prawnej tanich transakcji nieruchomościami.

Firma dawała mu stałe dochody, a nie wymagała dużo pracy - słyszeliście kiedyś, żeby ktoś chciał wykupić polisę ubezpieczeniową tytułu własności domu? Ale Bell wiedział, co robi: w ten sposób mścił się na świecie białych ludzi. Nie zależało mu na pieniądzach tego świata, lecz na jego sekretach. Chciał na przykład wiedzieć, że facet nazwiskiem Carl S. Galvin kupił dwie posiadłości jednocześnie. Bell studiował rejestry nieruchomości tak samo, jak hazardzista diagram wyścigów konnych na torze: szukał wskazówek, podpowiedzi, ziaren prawdy, ukrytych w gąszczu niegodnych uwagi drobiazgów. Wedle waszyngtońskich standardów był ekscentrykiem, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę to, jak bardzo przejmował się kwestiami natury rasowej. W Miami, Rio czy Panamie nie wyróżniałby się z tłumu, ale tutaj, w krainie rządowej, wiało od niego grozą.

Prosiłem go wcześniej, by dowiedział się jeszcze czegoś o Galwinie, chciałem bowiem wiedzieć jak najwięcej przed przyjęciem. „Najważniejsze to przygotować się do rozmowy” - powiedział mi uniwersytecki doradca zawodowy w Biurze ds. Planowania Kariery, po czym zasugerował, żebym zgłosił się do agencji reklamowej. Jego troska i ta odkrywca kwestia odwiodła mnie od wszelkich myśli związanych z planowaniem kariery, ale Galvin był

wart zachodu.

Bell tymczasem dokopał się dwóch faktów, którymi po drugim piwie zgodził się ze mną podzielić. Po pierwsze: Galvin zaciągnął kredyty hipoteczne na kupno obu domów, Bell twierdził zaś, że zamożni przyjezdni kupują zwykle nieruchomości za gotówkę. Po drugie: kredyty gwarantował zagraniczny bank, którego centrala znajdowała się na Antylach Holenderskich.

- Na Antylach są tylko palmy kokosowe i kanciarze - dodał. - Sympatyczni ludzie nie pożyczają stamtąd pieniędzy.

Kiedy wreszcie odezwałem się do Galvina, odniosłem wrażenie, że nie pamięta, po co dzwonił. Dopiero po chwili przykrego milczenia zaproponował, żebyśmy spotkali się na lunchu. Zastanawiałem się, czy od początku to planował, czy też w ten sposób próbował tylko zachować twarz. Nic mnie to nie obchodziło. Miałem teraz własny powód, żeby się z nim spotkać; tak samo Galvin znalazł się w mojej mocy, jak ja w jego. Kiedy zapytał, czy nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wpaść do niego nad Potomac, odparłem, że z przyjemnością jeszcze raz zobaczę Tarę Północy.

Pozbawione tłumy gości ogrody ziały pustką. Z długiego podjazdu zniknął barwny korowód zaparkowanych samochodów, a ogromny dom nad rzeką, pozbawiony melodyjnego szmeru rozmów, sprawiał odpychające wrażenie.

Galvin oczekiwał mnie w gabinecie, ubrany w swobodne, codzienne ciuchy, choć uszyte z najdelikatniejszych włoskich materiałów, które pozwalały odpowiednio sytuowanemu człowiekowi wydać z tysiąc dolarów na same spodnie i koszulę. Był jak zwykle przystojny, ale w jego zachowaniu dostrzegłem pewien niepokój, którego wcześniej nie zauważyłem. Może czuł się zwyczajnie samotny w towarzystwie samej tylko garderoby.

Najpierw uraczył mnie niezobowiązującą rozmową, choć oczywiście w odpowiednich do zajmowanej pozycji proporcjach: właśnie wrócił z Kalifornii, gdzie odwiedził małą firmę biotechnologiczną, którą zamierzał kupić. Firma utrzymywała, że dokonała przełomowego odkrycia w dziedzinie rozpuszczania zatykających żyły skrzepów, co pozwoliłoby bezoperacyjnie leczyć choroby serca. Dla mnie brzmiało to całkiem nieźle; mój ojciec zmarł na zawał. Spytałem więc Galvina, czy wykupił firmę.

- Nic z tego - odparł. - Jest za droga.

To właśnie dlatego nie nadajesz się do biznesu, zbeształem się w duchu. Zapominasz, że wszystko ma swoją cenę.

Zasiedliśmy do lunchu na obudowanej ażurowymi ściankami werandzie, w pół drogi między letnim upałem a lodowatym podmuchem klimatyzacji, buchającym z otwartych drzwi. To było coś w stylu Galvina -udzielić dobrodziejstw klimatyzacji całemu rozpalonemu światu. Z werandy nie widzieliśmy rzeki, tylko sam murek, za którym ląd nagle opadał w dół. Krajobraz stracił wyraziste, czyste barwy, które rozmazały się w gorącu niczym niezupełnie wyschnięta akwarela.

Kucharz przyrządził sałatkę z homarów - nie z jakichś tam mrożonych langust, ale z prawdziwych olbrzymów, prosto z Maine. Podano ją z pomidorami, na liściach sałaty tak słodkich i smakowitych, że z trudem przychodziło mi uwierzyć, iż zwyczajnie wyrosły w jakimś ogrodzie. Galwin nalał mi kieliszek meursault - swój napełnił tylko w połowie i prawie go nie tknął. W ogóle zrobił się jakiś bardziej przyjazny; drażniący ton „czekam na coś odkrywczego, panie redaktorze" zniknął bez śladu. Stałem się jego przyjacielem i godnym gościem w jego domu.

Kiedy dziobał obojętnie homara na swoim talerzu, połyskliwy srebrny widelczyk prawie nikał mu w dłoni. Uśmiechnął się do mnie niezręcznie, nie



tym firmowym, promiennym uśmiechem, jakim obdzielał gości przed paroma tygodniami, lecz jakoś tak niepewnie. Otaczała go aura przyjemnej wrażliwości i zagubienia, jakby sam czuł się gościem we własnym domu.

- Chyba powinienem panu coś o sobie opowiedzieć - rzekł. - Czytając pański artykuł zorientowałem się, że nie wie pan prawie nic na mój temat. Tym chętniej przyznaję, że spisał się pan znakomicie. Jednak...

- Nie chciał mi pan nic powiedzieć - wszedłem mu w słowo. - Utrudnił mi pan robotę. Mogłem coś wymyślić, ale ludziom by się to nie podobało; nawet nie mnie osobiście, mam na myśli inne osoby.

- Nie ufałem panu. Ludzie z mojej branży nie przepadają za dziennikarzami. Wolimy nie ryzykować.

- A jaka to branża, że ośmielę się zapytać? Właściwie wciąż nie mam pewności, czym się pan zajmuje.

- Handlem. Kupuję i sprzedaję różne rzeczy. To proste i dlatego trudno to panu zrozumieć. Poza tym szczęście mi sprzyja, i to jest drugi dotyczący mnie fakt, który musi pan dobrze zrozumieć.

Kiedy tak na niego patrzyłem, trudno było mi wątpić w prawdziwość tego twierdzenia.

- Szczęście potrafię zrozumieć - odparłem. - Handel już mniej. Słucham zatem: jak to się zaczęło?

Zasłonił się rękami, jak człowiek zapędzony w kozi róg, ale nie miał wyboru: zapraszając mnie do siebie - mniejsza oto, z jakiego powodu - stał się moim zakładnikiem i musiał zacząć mówić. Myślę zresztą, że sam też tego chciał. Brzemień bycia człowiekiem nieprzeciętnym jest tym cięższe, że samemu trzeba sobie z nim radzić. Nie można zdjąć ciężaru ze swoich barków.

Historia, którą mi opowiedział, brzmiała niewiarygodnie. Składały się na nią drobne sukcesy, które nabierały rozmachu i z perspektywy czasu wydawały się oczywiste i nieuniknione. Po rzuceniu college'u w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku Galvin chciał wyjechać do Wietnamu, który dla ludzi z jego pokolenia był czymś w rodzaju wspólnego punktu startu w dorosłe życie; wolał jednak zostać pracownikiem organizacji humanitarnej niż żołnierzem. Zgłosił się więc do organizacji o nazwie Międzynarodowy Fundusz Humanitarny. Słyszał wprawdzie plotki, że fundusz jest tylko przykrywką dla działań CIA, ale uznał je za bzdurne. Wysłali go do Tajlandii. Przez rok na granicy z Laosem pomagał uchodźcom, a w wolnych chwilach wracał do Bangkoku i pił do upadłego z kumplami z ambasady. Z tego okresu najlepiej zapamiętał zielone piekło dżungli i pusty śmiech tajskich dziewczyn, usiłujących wyciągnąć od niego pieniądze.

W siedemdziesiątym drugim roku rzucił pracę humanitarną i przeniósł się do Hongkongu. Zamieszkał na wyspie Lantau, klepiąc biedę jak zwykły żółtek i wynajmując mieszkanie do spółki z drugim niedoszłym absolwentem Harvardu. Trwał szczęśliwy w takim stanie zawieszenia, utrzymując się z pisania artykułów do periodyku wielkiego koncernu naftowego. Jego współlokator niecierpliwił się jednak coraz bardziej - żył w przeświadczeniu, że jeśli czym prędzej nie wróci na uniwersytet, pociąg do wielkich pieniędzy odjedzie bez niego. Spakował więc fajkę do opium i wrócił na studia. Galvin został sam, ale zdążył już pokochać Hongkong i nie spieszyło mu się do domu.

Pierwszym szczęśliwym wydarzeniem była propozycja jego angielskiego przyjaciela, by przyłączył się do prowadzonej przez niego firmy handlowej. Anglik - idiota zresztą - zarabiał krocie na spekulacjach, Galvin doszedł więc do wniosku, że i on mógłby tego spróbować. Kupił nowy garnitur i udawał, że wie, co robi, a po kilku tygodniach naprawdę wiedział. Nie było to nic trudnego, należało umieć tylko podejmować rozsądne ryzyko i mieć stalowe nerwy. Jak w

pokerze: jeżeli masz dobrą kartę, stawiasz wszystkie żetony, jakie wpadną ci w rękę; jeśli karta ci nie idzie, pasujesz. Pierwszy wielki strzał udał się Galwinowi w siedemdziesiątym trzecim roku, kiedy całkiem rozsądnie założył, że ropa podrożeje, a kilka miesięcy później Arabowie nałożyli embargo naftowe na cały zachodni świat. Ludzie uznali go za geniusza, on zaś zgarnął duże pieniądze. Wkrótce też odkrył, że lubi się bogacić: kupił rolls-royce'a, zamawiał nowe garnitury u krawca z hotelu „Mandarin”, latał pierwszą klasą, a jego majątek rósł nieprzerwanie. Przez następne dwadzieścia lat zbudował jedno z największych imperiów handlowych na świecie; poza Hongkongiem otworzył biura w Genewie i Nowym Jorku, ostatnio jednak zaczynał się nudzić. Twierdził, że prowadzenie firmy jest jak gra w tenisa, dzień w dzień, aż do śmierci. W dodatku nie dawał mu spokoju lęk, że pewnego dnia szczęście go opuści.

- Czas wycofać się z interesu - powiedział. - Po to właśnie przyjechałem do Waszyngtonu. Chcę sprzedać firmę i spróbować czegoś nowego.

Obraz Galvina krystalizował się z wolna w moich myślach, chociaż nadal nie bardzo rozumiałem, jak dwudziestotrzyletni chłopak mógł sobie pozwolić na rollsa.

- Gdzie się pan wychował? - zapytałem, wykorzystując niezawodną zagrywkę dziennikarską: znaleźć początek nitki, a potem sprawdzić, czy da się po niej trafić do kłębka. Nie sądziłem, że wiele się dowiem, ale warto było spróbować.

- W Pittsburgu - odparł. Wymawiał tę nazwę starannie, dzieląc ją na sylaby. „Pitts-bur-gu”, jakby cała nie chciała mu przejść przez gardło.

- Czym się zajmował pański ojciec?

Pierwszy raz Galvin się zawahał. Siedzieliśmy w jego domu, na jego

werandzie, jedliśmy jego sałatkę i mieliśmy rozmawiać o jego ojcu; nie musiał nic mówić. Zaczął już jednak i z powodów, których wówczas nie rozumiałem (i których później też nie pojąłem, nawet kiedy tak mi się zdawało), postanowił mówić dalej.

Wychował się w dzielnicy Mount Lebanon, na drugim brzegu Monongaheli, vis-à-vis centrum Pittsburga. Mieszkali tam typowi przedstawiciele średniej klasy średniej : małe parkingi, pudełkowate domy, łódka na każdym podjeździe... Mały Galvin serdecznie znienawidził to miejsce, którego mieszkańcy niemal bez wyjątku pracowali w przemyśle stalowym - huty i piece ciągnęły się daleko wzdłuż brzegu rzeki. Bystre dzieciaki w szkole nudziły go: ich ojcowie byli kierownikami średniego szczebla w hutach, a ich marzenia o sukcesie sprowadzały się do wizji pracy w centrali, na drugim brzegu rzeki. To dzieci, które uczyły się kiepsko, znacznie bardziej go interesowały, ale znajdowały się zwykle na równi pochyłej, kończącej się w hucie albo w więzieniu. Szczyt marzeń chłopaków z sąsiedztwa wyznaczała kariera Joego Namatha, który parę kilometrów dalej grał na stadionie w futbol. Galvin również próbował tego sportu - był na tyle silny i wyrośnięty, żeby spokojnie znieść ryzyko kontuzji - ale przecież wybierał się na Harvard i dostał stamtąd stypendium. To czyniło z niego dziwadło nie do zaakceptowania. Klasowa księga pamiątkowa wróżyła mu, że najprawdopodobniej zostanie prezydentem, a szkolna sympatia twierdziła, że gdy Galvin opuści Pittsburg, z pewnością już do miasta nie wróci.

Kiedy mężczyzna relacjonujący historię swojego życia nie zaczyna opowieści od ojca, rozmówca zaczyna podejrzewać, że coś przed nim ukrywa. Galvin jednak poruszył w końcu i ten temat: jego ojciec pracował w międzynarodowej centrali związku zawodowego hutników jako jednoosobowa ekipa naukowa. Kiedy przychodziło do negocjacji z hutniczymi gigantami, pan Galvin wyliczał, ile pieniędzy powinno iść na ubezpieczenie zdrowotne, a ile na

plan emerytalny. Był jednak niepoprawnym marzycielem; tak naprawdę pragnął tylko zrozumieć, jak powinien funkcjonować idealny świat. Przesiadywał godzinami w swoim gabinecie, pisząc o darmowej opiece lekarskiej, bezpłatnych wakacjach dla ludzi pracy i uniwersytetach, które nie pobierają czesnego. Wszystko miało być za darmo, a gdy dociekliwy synek zapytywał starszego pana Galvina, kto za to zapłaci, odpowiedź nieodmiennie brzmiała: „Ci na górze”. Później pan Galvin składał swoje odezwy do kartonowego pudełka, a gdy zabrakło w nim miejsca, znosił je do piwnicy i zaczynał zapełniać następne. Pracował również nad traktatem, który miał nosić tytuł Encyklopedia pracy i który z roku na rok coraz bardziej upodabniał się do encyklopedii i coraz mniej nadawał do druku. Galvin określał ojca mianem zawodowego idealisty, który całe życie przeżył rozczarowany.

On sam wychował się na wspaniałych ideach ojca, płytach Pete'a See-gera i piknikach Ligi Młodych Socjalistów, wśród cyganerii klasy średniej -w świecie, o którym przyjemnie jest pomarzyć, ale w którym niepodobna żyć, jeśli w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym było się młodym, niespokojnym duchem. Kiedy jesienią tego roku trafił do college'u, zdumiał się, że pomysły zaśmiecające piwnicę jego rodzinnego domu stały się nagle takie modne. Wszyscy w Cambridge chcieli śpiewać folkowe piosenki i wyrosnąć na Woodych Guthrie. Przez jakiś czas Galvin usiłował trzymać z młodymi lewicowcami, którzy udawali, że zazdroszczą mu Pittsbur-ga i ojca-związkowca, ale ich wielkie, wspaniałe idee mierziły go. Znał je wszystkie i zalatywały mu tytoniem z ojcowskiej fajki. Tymczasem zarabianie pieniędzy zapowiadało się nader interesująco.

Ojciec nie posiadał się ze zdumienia. W życiu by nie przypuszczał, że młody Galvin polubi robienie interesów. Nie przypadkiem nadał mu imię poety - Carl Sandburg: jego powołaniem było przemawiać w imieniu rzeź-ników, ślusarzy, tragarzy. Staruszek do końca nie pojął, że tak właśnie się stało, że w prawdziwej

wersji amerykańskiego mitu każdy rzeźnik marzył o własnej rzeźni. Przez lata mieszkał w skromnym domku w Mount Le-banon i odmawiał przyjmowania od Carla wszelkiej pomocy finansowej. Kiedy jednak pewnej zimy jego żona, bibliotekarka, pośliznęła się na ulicy i złamała staw biodrowy, postanowił odejść na emeryturę, osiedlić się na Florydzie - nawet hutnicy tak robili - i pozwolić, żeby bogaty syn kupił mu dom w Sarasota.

Galwin czegoś ode mnie chciał - nie potrafiłem sobie inaczej wytłumaczyć tej nagłej chęci odkrycia kart. Zaciekawiał mnie. Niezwykłość ludzi takich jak on bierze się po części stąd, że na pierwszy rzut oka niczego nie potrzebują. Ja jednak też miałem do niego interes i doszedłem do wniosku, że powinienem pierwszy przedstawić mu swoją prośbę, zanim resztki homara znikną z talerzy. Później bowiem jego plany - jakiegokolwiek by były - z pewnością przeważą.

- Mam dla pana propozycję natury biznesowej, panie Galwin - zacząłem dumnie, tak jak wyobrażałem sobie, że rozmawiają prawdziwi biznesmeni. Roześmiał się, co mniej zdesperowanego rozmówcę zapewne skutecznie by zniechęciło, ja jednak brnąłem dalej: - Słyszałem, że jedna z czołowych waszyngtońskich gazet poszukuje nowego inwestora. Chciałem pierwszy o tym panu powiedzieć, zanim wieść się rozniesie. Uznałem, że mógłbym odegrać rolę... pomocnika i przedstawić pana właścicielowi.

Boże mój! Byłem beznadziejny!

Ale Galwin od razu złapał haczyk i zaczął roztaczać swój zwykły urok: uśmiechnął się, ujął mnie za łokieć, zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu.

- Wiedziałem, że nie mylę się co do pana - powiedział.

- Niewykluczone, że pismo, o którym mowa, panie Galwin, jest najbardziej wpływowym magazynem w mieście. Ma w tej chwili przejściowe problemy z zachowaniem płynności finansowej, spowodowane pechowym załamaniem

rynku ogłoszeniowego, ale gdyby otrzymało zastrzyk kapitału, z pewnością zdołałoby je przewyciężyć.

- Proszę mówić dalej - ponaglił mnie Galvin, ale przez twarz przebiegł mu cień zwątpienia. - I przejść do rzeczy: jaką gazetę ma pan na myśli?

- Najmocniej przepraszam, ale nigdy dotąd nie prowadziłem spraw finansowych takiej wagi, więc musi pan znosić moją niekompetencję.

Ojciec nie posiadał się ze zdumienia. W życiu by nie przypuszczał, że młody Galvin polubi robienie interesów. Nie przypadkiem nadał mu imię poety - Carl Sandburg: jego powołaniem było przemawiać w imieniu rzeźników, ślusarzy, tragarzy. Staruszek do końca nie pojął, że tak właśnie się stało, że w prawdziwej wersji amerykańskiego mitu każdy rzeźnik marzył o własnej rzeźni. Przez lata mieszkał w skromnym domku w Mount Lebanon i odmawiał przyjmowania od Carla wszelkiej pomocy finansowej. Kiedy jednak pewnej zimy jego żona, bibliotekarka, pośliznęła się na ulicy i złamała staw biodrowy, postanowił odejść na emeryturę, osiedlić się na Florydzie - nawet hutnicy tak robili - i pozwolić, żeby bogaty syn kupił mu dom w Sarasota.

Galvin czegoś ode mnie chciał - nie potrafiłem sobie inaczej wytłumaczyć tej nagłej chęci odkrycia kart. Zaciekawiał mnie. Niezwykłość ludzi takich jak on bierze się po części stąd, że na pierwszy rzut oka niczego nie potrzebują. Ja jednak też miałem do niego interes i doszedłem do wniosku, że powinienem pierwszy przedstawić mu swoją prośbę, zanim resztki homara znikną z talerzy. Później bowiem jego plany - jakiegokolwiek by były - z pewnością przeważą.

- Mam dla pana propozycję natury biznesowej, panie Galvin - zacząłem dumnie, tak jak wyobrażałem sobie, że rozmawiają prawdziwi biznesmeni. Roześmiał się, co mniej zdesperowanego rozmówcę zapewne skutecznie by zniechęciło, ja jednak brnąłem dalej: - Słyszałem, że jedna z czołowych waszyngtońskich gazet poszukuje nowego inwestora. Chciałem pierwszy o tym

panu powiedzieć, zanim wieść się rozniesie. Uznałem, że mógłbym odegrać rolę... pomocnika i przedstawić pana właścicielowi.

Boże mój! Byłem beznadziejny!

Ale Galvin od razu złapał haczyk i zaczął roztaczać swój zwykły urok: uśmiechnął się, ujął mnie za łokieć, zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu.

- Wiedziałem, że nie mylę się co do pana - powiedział.

- Niewykluczone, że pismo, o którym mowa, panie Galvin, jest najbardziej wpływowym magazynem w mieście. Ma w tej chwili przejściowe problemy z zachowaniem płynności finansowej, spowodowane pechowym załamaniem rynku ogłoszeniowego, ale gdyby otrzymało zastrzyk kapitału, z pewnością zdołałoby je przezwyciężyć.

- Proszę mówić dalej - ponaglił mnie Galvin, ale przez twarz przebiegł mu cień zwątpienia. - I przejść do rzeczy: jaką gazetę ma pan na myśli?

- Najmocniej przepraszam, ale nigdy dotąd nie prowadziłem spraw finansowych takiej wagi, więc musi pan znieść moją niekompetencję.

Magazyn, o którym mówią, nie bez powodu szczyli się mianem Waszyngtońskiej Biblii Towarzyskiej. Jest to w istocie mój własny, ukochany, choć nieco kulejący, „Podglądacz”.

- Niech to szlag! - jęknął Galvin. - Czy to wszystko?

Przyznam, że zbił mnie z tropu. Nie ustępowałem jednak:

- Wiem, że to nie „Time” ani „Newsweek”, ale też z drugiej strony nie jakiś „Dziennik Medyczny Nowej Anglii”. Mamy grono wiernych czytelników, ogłoszeniodawców... No, przynajmniej paru. Niestety, znaleźliśmy się w dołku finansowym i właścicielka gazety... atrakcyjna wdówka, niech ją Bóg ma w swojej opiece... szuka inwestora. Od razu pomyślałem o panu. Może to głupie,



ale wydawało mi się, że świetnie nadaje się pan na wydawcę. Proszę tylko pomyśleć: mógłby pan zamawiać teksty upokarzające pańskich wrogów i peany na cześć przyjaciół. Moglibyśmy nawet oddać panu kolumnę zatytułowaną powiedzmy, „Moje przemyślenia”, w której dzieliłby się pan z czytelnikami swoimi refleksjami na bieżące tematy. Poza tym dostałby pan na własność mnie, wiernego sługę i specja od brudnej roboty.

Galvin chichotał, słuchając mojego trajkotania. Moja pozycja chyba mu odpowiadała: błazen, który powie wszystko, byle się przypodobać.

- Podoba mi się pański entuzjazm, ale miałem nadzieję, że chodzi panu o inną miejscową gazetę, której może się przydać świeża gotówka. Tamta gazeta bardzo mnie interesuje.

- Ach, inne pismo! Ależ oczywiście! Jakie?

- „Washington Sun and Tribune” - odparł z takim szacunkiem, z jakim alpinista mógłby wypowiedzieć nazwę „Everest”.

- Wolne żarty!

Nie była to może najlepsza odpowiedź, ale na nic mądrzejszego nie mogłem się zdobyć. „Sun”, jak wszyscy o nim zwykle mówili, był najbardziej wpływowym pismem w mieście. Od jego lektury zaczynał dzień prezydent i członkowie Kongresu, dzięki czemu „Sun” dyktował w Waszyngtonie polityczny i dziennikarski rozkład dnia. Należał do dwóch starych rodów, Hazenów i Crosbych, których członkowie chcieli mieć dość pieniędzy na składki członkowskie w elitarnych klubach - i niewiele poza tym ich interesowało. A był prawdziwą żyłą złota. Odkąd w latach osiemdziesiątych pokonał „Posta” w wojnie na nakłady, stał się praktycznie monopolistą na waszyngtońskim rynku wydawniczym. W całej branży dziennikarskiej nie było drugiego równie smakowitego kąska, ale wszyscy zakładali, że „Sun” nigdy nie

zostanie sprzedany.

Galvin nachylił się ku mnie, opierając na blacie stołu masywne jak stalowy łom przedramię. Z jego zmrużonych, natarczywych oczu zniknęła dotychczasowa łagodność. Teraz trochę lepiej zrozumiałem, czym mój gospodarz się zajmuje: nie uszczęśliwianiem ludzi - w każdym razie nie tylko - lecz po prostu handlem, tak jak powiedział. Kupował i sprzedawał różne rzeczy.

- Zdradzę panu pewien sekret zawodowy - rzekł. - „Sun” znalazł się w tarapatkach. Prawie nie przynosi zysków. W księgach jeszcze tego nie widać, ale to fakt. Oba rody właścicieli o tym wiedzą... podobno zaczynają się brać za łby... i mogą poważnie rozważyć propozycję kupna gazety. Dlatego właśnie zaprosiłem pana na lunch: żeby dowiedzieć się, co pan wie na temat „Suna”. Albo czego może się pan dowiedzieć.

Rozparłem się w fotelu. Lekka popołudniowa bryza poruszyła słabymi listkami na drzewach i przepędziła bzyzące robactwo. Galvin nie odrywał ode mnie wzroku, czekając na odpowiedź. Twarz miał ściągniętą, tak że wyraźnie rysowały się na niej kości i mięśnie - od kości policzkowych aż po wyrazistą dolną szczękę. Jakie to niezwykle: byłem mu potrzebny.

Zdjąłem duże ciemne okulary i przetarłem oczy.

- Co wiem na temat „Suna”? Wiem, że Hazenowie i Crosby nie przepadają za sobą. Wiem, że parę lat temu doszło do kłótni, kiedy jacyś młodszy członkowie rodów wpadli na pomysł odsprzedania swoich udziałów w piśmie, ale sprawę wyciszono i zatuszowano. Wiem również, że redaktor naczelny, Howard Bacon, rozmawiał z ludźmi z „New York Timesa” o możliwości zaczepienia się w ich redakcji. Nie zrobiłby tego, gdyby coś go nie zaniepokoiło. Jak się głębiej nad tym zastanowić, dochodzę do wniosku, że wiem o „Sunie” całkiem sporo, a mogę dowiedzieć się więcej.

- Jak?

Napięcie nie ustępowało z jego twarzy. Widziałem, że zamierza wspiąć się na ten szczyt za wszelką cenę. I że potrzebuje pomocy.

- Znam ludzi, którzy tam pracują. W ogóle znam wielu ludzi. To moja praca: jestem kronikarzem waszyngtońskiego życia towarzyskiego.

- Co jeszcze może mi pan powiedzieć na temat „Suna”? Tylko konkretnie.

- Cóż, znam co nieco Bacona, choć nie za dobrze. Lepiej kojarzę paru młodszych dziennikarzy. Znam redaktorkę działu „Styl życia”, chociaż, prawdę mówiąc, to wredna baba. Powinien ją pan od razu zwolnić i wziąć mnie na jej miejsce. Najlepiej znam redaktorkę działu zagranicznego, Candace Ridgway.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy skojarzył to nazwisko. Słuchał, ale nie patrzył na mnie; wstał i ponad murkiem spoglądał na przeciwległy brzeg rzeki, porośnięty zielonym gąszczem.

Odwrócił się do mnie.

- Nie życzę sobie bzdur. To poważna sprawa. Potrzebne mi informacje o tym, co się tam dzieje.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Kiedy ta pańska śmieszna gazetka popłynie, zostanie pan bez pracy.

- Zgadza się, panie kapitanie. Bez wątpienia tak właśnie będzie.

- Zatem niech się pan postara. - Położył mi dłoń na ramieniu. - Jeśli się nam uda, zatrudnię pana. „Styl życia”, dział komiksu, co się panu spodoba. Rozumiemy się? To poważna sprawa.

Oprowadził mnie po posiadłości. Pokazał mi salkę gimnastyczną nad garażem, którą sam zaprojektował. Wyglądała jak mała siłownia: atlas,

automatyczna bieżnia, dystrybutor wody, równa sterta ręczników - właściwie brakowało tylko dziewczyn w trykotach do aerobiku. Z sufitu zwieszała się nowiutka gruszka bokserska. Zdradził mi, że w college'u trenował amatorsko boks i po dziś dzień lubi poobijać worek, kiedy więcej wypije.

Przyznam, że niezbyt uważnie go słuchałem. Mój umysł błędził gdzieś daleko. Sandy Galvin - człowiek, który w wieku dwudziestu paru lat porzucił zwyczajne studenckie marzenia, żeby zarabiać pieniądze, a tuż przed pięćdziesiątymi urodzinami stawiał wszystko na jedną kartę i kupował na własność gazetę. Wtedy go nie rozumiałem - i, jak już wspomniałem, później chyba też nie do końca mi się to udało - ale tego dnia stałem się bez reszty jego człowiekiem, jego wiernym giermkim i szpiegiem. On również w pewnym sensie był moim narzędziem, choć pewnie do końca nie zdawał sobie z tego sprawy. Kierując się egoistycznymi pobudkami zawiązaliśmy spisek, który pozwolił nam manipulować ludźmi w taki sposób i na taką skalę, o jakich dotąd nawet nie śmiałem marzyć.

Redakcja „Washington Sun and Tribune” mieściła się w eleganckim budynku ze szkła i stali w dzielnicy Foggy Bottom, w pół drogi między Białym Domem i Georgetown. Kiedyś okolica słynęła z ogromnych magazynów i rozległych, pustych placów, ostatnio jednak stała się - jak prawie wszystkie dzielnice Waszyngtonu końca wieku - magnesem dla wielkich pieniędzy. Piętnaście lat temu właściciele „Suna” przenieśli redakcję w to wspaniałe miejsce z dawnej siedziby w Northeast, a więc z drugiego końca miasta, z za niewidzialnej, lecz dla wszystkich oczywistej granicy rasowej. Nowy gmach był pomnikiem, jaki sami sobie wystawili, nagrodą za zwycięstwo nad „Postem”. Wynajęli jednego z najlepszych architektów w kraju i wydali stanowczo za dużo pieniędzy na projekt. Czasem nieszczęśliwe małżeństwa postępują podobnie: budują szalony dom w nadziei, że pozwoli im się uwolnić od dręczących ich kłopotów, ale rzadko coś z tego wychodzi.

Szyby budowli błyszczały oślepiająco w blasku południowego słońca. Wyglądały tak, jakby ich dotyk mógł parzyć. Przystanąłem na chodniku, podziwiając dzieło, do którego powstania przyczynił się majątek i dobry smak właścicieli gazety. Fasada przypominała fragment nowoczesnej rzeźby: tafla szkła i chromu strzelała pod samo niebo, niczym płachta podawanego do prasy drukarskiej papieru. Z obu boków wspierały ją stalowe, czarne jak atrament belki.

Wewnątrz znajdowało się ogromne atrium, gdzie dwa rody założyły muzeum, upamiętniające ich wiekopomne dokonania. Brązowy posąg przedstawiał pierwszego Hazena, który ścisnął rękę pierwszego Crosby'ego. Scena ta miała miejsce w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku, kiedy obaj panowie wykupili podupadające gazety - poranny dziennik „Sun-Democrat” i popołudniówkę „Tribune” - i zdecydowali o ich połączeniu w jedno pismo. Na ścianach widniały skromne wizerunki ich synów, którzy pomogli gazecie przetrwać chude lata czterdzieste i pięćdziesiąte, oraz znacznie większy portret aktualnego patriarchy Hazenów, Harolda, który z błogosławieństwem Crosbych kierował „Sunem” w latach najszybszego rozwoju. Patrząc na jego podobiznę, dominującą w rozległym wnętrzu, doszedłem do wniosku, że jest sprytnym biznesmenem, a przy tym człowiekiem próżnym. Może dla właściciela dziennika cecha ta jest nieodzowna, ja jednak uważałem ją za niebezpieczną.

Przybyłem tu spotkać się z Candace Ridgway, moją przyjaciółką, która była najbardziej godnym zaufania źródłem plotek o sytuacji w „Sunie”. Miała tę prawdziwą żyłkę reporterską, która pozwalała jej rzetelnie gromadzić informacje. Candace nie musiała się przy tym nikomu podlizywać ani układać skomplikowanych planów - nie to, co ja. Wiedza przychodziła jej z łatwością, jakby należna prawem urodzenia. Ostatnio wróciła z Londynu, gdzie kierowała tamtejszym oddziałem redakcji, i została redaktorką działu zagranicznego. Była to znacząca nominacja i wszyscy koledzy przepowiadali jej rychły awans.

Ludzie w ogóle dużo i chętnie mówili o Candace, automatycznie zakładając, że jej zachowanie i działania mają wielkie znaczenie. Było w tym trochę jej zasługi: nigdy nie kryła się ze swoimi ambicjami i od czasów college'u rozpowiadała wszystkim wokoło, że kiedyś, w przyszłości, zamierza kierować dużym dziennikiem.

Poznałem ją na Harvardzie. Studiowała trzy lata wyżej ode mnie i kiedy się tam zjawiłem, prawie kończyła naukę, ale była dla mnie miła przy paskudnym teście na redaktora „Harvard Crimson” i pomogła mi utrzymać się na powierzchni na pierwszym roku. Od tamtej pory dyskretnie śledziłem przebieg jej kariery, posyłałem liściki pochwalne, kiedy któryś z jej artykułów szczególnie mi się spodobał, i czasem dzwoniłem z prośbą o radę. W przeciwieństwie do mnie, Candace udało się zachować idealną równowagę - podczas gdy ja zmieniałem pracę jak miotany wiatrem listek i chełpiłem się brakiem przynależności do elity, ona systematycznie pięła się w górę na firmamencie dziennikarskich gwiazd. Z reguły staram się nie lubić ludzi, którym tak się szczęści w życiu, ale w przypadku Candace wymagałoby to sporego wysiłku.

Jej charyzma wynikała po części z tego, że Candace pochodziła z waszyngtońskiego establishmentu. Tym, co sprawiało, że ludzie byli w stanie tolerować jej powodzenie, był fakt, że jej pozornie idealne życie zostało naznaczone tragicznym piętnem. Pod koniec lat sześćdziesiątych jej ojciec zajmował stanowisko podsekretarza obrony. W okresie największego nasilenia walk w Wietnamie przeżył, jak to się wówczas mówiło, „załamanie nerwowe” i dwa lata później, jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, popełnił samobójstwo. Wiedziałem o tym, zanim spotkałem Candace na uniwersytecie. Stary Ridgway był symbolem końca rządów eleganckich, lecz skazanych na przegraną elit, które dały się pokonać bandom azjatyckich chłopów i popalających trawkę studentów.

Śmierć ojca była w życiu Candace jedynym wydarzeniem zakłócającym idealny poza tym ład. Tylko w jeden sposób dało się zrozumieć, skąd bierze tyle siły: należało dostrzec kładący się na nią cień i uzmysłowić sobie, ile samozaparcia wymagało od niej ułożenie sobie życia na nowo. W college'u dużo o tym rozmawialiśmy - oboje straciliśmy ojców i była to jedna z naprawdę nielicznych rzeczy, jakie nas łączyły.

Niewiele wiedziałem o jej życiu prywatnym, wydawało mi się jednak, że nie jest uwikłana w żaden trwały związek uczuciowy - jeśli nie liczyć związku z ukochaną gazetą. Spotykała się podobno z pewnym podstarzałym gogusiem, asystentem sekretarza jakiegoś biura finansowego. Kilka numerów wcześniej zamieściliśmy nawet w „Podglądaczu” ich zdjęcie, ale na moje pytanie o tego gościa Candace tylko wzniosła oczy ku niebu. Lubiła, kiedy nazywano ją „Mistrzynią Faktu”, co brzmiało bardzo budująco. Doszedłem do wniosku, że między innymi dlatego jest taka pociągająca, iż trudno mi sobie wyobrazić, żeby naprawdę poszła z kimś do łóżka.

Czekałem na nią, obserwując wysypujących się z budynku pracowników, którzy udawali się na lunch. Tym właśnie zajmują się dziennikarze, jeśli pominąć wszystkie nieistotne wykonywane przez nich czynności: jadają lunch. Większość mężczyzn mimo upału miała na sobie garnitury. Tak właśnie „Sun” działał na ludzi: nadawał rekrutom firmową tożsamość, a potem wyciskał na nich swoje piętno, tak że wszyscy wyglądali identycznie i mówili to samo. Obserwowałem tę przemianę u kilku dobrych znajomych, którzy zaczepili się w tej redakcji. Gazeta wysysała z człowieka delikatność, niepewność i indywidualność, pompując na ich miejsce własną bezbarwną energię życiową. Pod jej wpływem nowicjusze szybko zaczynali pysnić się jak pawie, przywdziewali garnitury i byli gotowi iść w świat i olewać wszystkich z góry. Wolałem sobie wyobrazić, że Candace jest inna, że zachowała dawny wygląd, wycucie i własne wartości, choć może nie znałem jej tak dobrze, jak mi się

zdawało.

Punktualnie o wpół do pierwszej Candace zbiegła po schodach szklanego pałacu i pomachała mi na powitanie. Miała na sobie elegancki kostium w kolorze ciasta cytrynowego - zaiste niezwykły strój do pracy. Zadowolilem się myślą, że włożyła go ze względu na mnie, ale w głębi duszy nie sądziłem, żebym miał rację. Podeszła do mnie, odrzucając z twarzy opadający kosmyk włosów. Z uśmiechem podała mi rękę. W jej rzucającej się w oczy pewności siebie było dużo wdzięku. Zdawała sobie sprawę z własnej urody i niczym wytrawna modelka rozumiała, jakie wrażenie wywołuje jej idealna skóra w odcieniu kości słoniowej, delikatne lśnienie na policzkach, smukłe ciało.

Tak krótko po południu słońce prażyło niemiłosiernie, założyła więc ciemne okulary, zasłaniając bystre, przenikliwe oczy. Na tym właśnie polegał sekret Candace Ridgway: pod maską pięknej blondynki kryła się twarda jak skała kobieta. W mediach słynęła nie tyle ze swojej urody (którą zaledwie tolerowano), co raczej z wewnętrznej siły. W czasie wojny irac-ko-irańskiej jakimś cudem znalazła się sama w Basrze; chociaż wszystkich zachodnich dziennikarzy ewakuowano, jej jednej pozwolono zostać. Spisała wówczas zabawny pamiętnik, relacjonując swoje wojenne przygody: przejażdżki zdezelowanymi taksówkami na front, czterogodziną kąpiel podczas nalotu (tylko dlatego, że ktoś powiedział jej, iż nawet w wypadku trafienia bomby w hotel instalacja hydrauliczna pozostanie nienaruszona), opędzanie się od bezczelnych, zwariowanych na punkcie seksu Irakijczyków. Idealnie uchwyciła ducha przygody. Była jedną z tych feministek, które uważają, że nie ma nic złego w seksapilu, że dla kobiety seks naprawdę oznacza władzę.

- Zastanów się - powiedziała kiedyś swojemu zazdrosnemu koledze po przeprowadzonym chwilę wcześniej wywiadzie na prawach wyłączności. - Jak ci się wydaje, z kim król Hasan wolałby porozmawiać po długim, męczącym dniu: ze mną czy z tobą?



Złapałem przejeżdżającą taksówkę i przytrzymałem Candace drzwi. Przerzuciła smukłe nogi w poprzek tylnej kanapy, sadowiąc się wygodnie. Oto prawdziwa elegancja: wsiąść do samochodu w krótkiej spódnicy i zrobić to z wdziękiem.

Zarezerwowałem dla nas stolik w znajdującej się nieopodal absurdalnie drogiej francuskiej restauracji, licząc na to, że przedstawię rachunek Galwinowi do rozliczenia. Kiedy podałem kierowcy nazwę knajpy, Candace natychmiast zrobiła się podejrzliwa.

- Wydawało mi się, że „Podglądacz” pada - zauważyła, unosząc brwi. - Co się stało? Zaczynasz wyprzedawać powierzchnię reklamową w dziale fotograficznym?

- Szczerze mówiąc interesy idą kiepsko... Z tym wyprzedawaniem to nawet niezły pomysł, może jeszcze do tego wrócimy. Chciałbym jednak, żebyś potraktowała nasze spotkanie jak randkę ze starym, dobrym przyjacielem.

- No to chodźmy do hotelu - zaproponowała. - Zjemy lunch w łóżku.

Lubiła się tak ze mną bawić - przekomarzać na temat seksu, wiedząc, że nie musi brać odpowiedzialności za swoje słowa. Umiała z każdym nawiązać bezpośredni kontakt, znaleźć właściwą każdemu częstotliwość. Niektórzy w niej tego nie lubili, ale ja czułem się znakomicie, manipulowany przez profesjonalistkę.

- Co słyhać w gazecie? - zapytałem, kiedy usiedliśmy już przy stoliku. Każdy dziennikarz z przyjemnością odpowiada na takie pytanie; naprawdę wydaje mu się, że wykonuje tak ważną i ciekawą pracę, że inni wprost umierają z ciekawości, żeby dowiedzieć się, jak ona naprawdę wygląda.

- Koszmar! - odparła. - Nie mogę nikogo wcisnąć do Bagdadu, szefowa naszego biura w Delhi poszła na urlop macierzyński w tym samym dniu, kiedy

tajfun nawiedził Bangladesz, a nasz moskiewski korespondent grozi, że odejdzie do „Timesa”, jeżeli nie damy pracy jego żonie. Rzygać mi się chce, jak o nich wszystkich pomyślę.

Machnęła ręką, jakby odganiała natrętnego insekta; zauważyłem, że ma świeżo polakierowane i wypolerowane paznokcie. To była jej kolejna cecha charakterystyczna: nigdy nie pozwalała, by przyziemne obowiązki dziennikarki odciągały jej uwagę od rzeczy mających fundamentalne znaczenie - takich jak dobry manikiur.

- Nie mogę pojąć, jak radzisz sobie w tym bagnie - przyznałem. -Nie jesteś stworzona do biurokracji.

- Wprost przeciwnie. I to mnie martwi: jestem w tym całkiem niezła, bo biurokracja ożywia moje dyktatorskie zapędy. Reporterzy starają się zgadywać moje myśli, są tacy... wyczekujący. Zwłaszcza mężczyźni. Muszę uważać, żeby ich zbytnio nie torturować.

W to akurat wierzyłem bez zastrzeżeń. Candace była osobą, którą za wszelką cenę chciało się zadowolić. Obok nas zjawił się kelner i wyrecytował, jakie specjały poleca szef kuchni, nie podając przy tym żadnych cen. Przez chwilę zastanawiałem się, czy moja Visa zniesie ewentualne obciążenie, ale potem pomyślałem sobie: „Co tam, do licha! Szpiedzy nigdy się nie martwią ewentualnym debetem”.

- Nadal się widzisz z tym wicekrólem Kapitolu? - spytałem.

Dlaczego właściwie tak go nie lubiłem? Nazywał się Mark Pavel i był

asystentem sekretarza biura finansów zagranicznych. Pracę bez wątpienia miał odpowiedzialną, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest tylko figurantem. Kiedyś w napadzie zazdrości przejrzałem jego notę biograficzną. Miał długą listę tytułów: absolwent Yale (choć wyniki miał chyba za słabe,

żeby dostać się... wiecie gdzie. Kiepsciutko!); Trinity College w Cambridge (stypendysta Marshalla); Harvard Business School; Goldman

Sachs; Rada Spraw Zagranicznych. Robił wszystko, ale prawdziwego życia nawet nie liznął.

- Czasem się spotykamy - odrzekła. - Efektownie się prezentuje. I ma ładne krawaty.

- Powinnaś go rzucić. To szczur.

- Niewykluczone, ale udomowiony. Ulizany i usłużny. A jeśli ty mi się nie oświadczysz, będę musiała sama o sobie zadbać.

Nasz niewinny flirt bawił mnie, ale należało zmienić temat. Jeżeli zamierzałem wcisnąć rachunek Galwinowi, musiałem zdobyć jakieś informacje.

- Co słyhać u Hazenów i Crosbych? Słyszałem, że się nie dogadują.

Candace zerknęła na mnie zaciekawiona - zadałem dziwne pytanie,

ale przecież wszyscy wiedzieli, że jestem dziwny.

- Rzeczywiście - przyznała. - Rodziny się zrą, gazeta im się nie podoba, a młodzi uważają, że nie przynosi takich zysków, jak powinna. Wszyscy są wściekli na Harolda Hazena za to, że akcje „Suna” tak nisko stoją... coś koło czterdziestu dolarów, czyli tyle samo, co pięć lat temu. Trwa największa hossa w dziejach giełdy, a rodzinna firma nie zarobiła ani centa.

- Biedactwa. - Trudno mi było współczuć bogatym ludziom, których aktywa nie spełniały ich oczekiwań. - Skąd to wszystko wiesz? Bo nie wygląda mi to na zwykłe ploteczki z biura.

- To nie ploteczki. - Uśmiechnęła się skromnie. - Mam swoje źródło.

- No, dalej. - Rozłożyłem błagalnie ręce. - Powiedz Davidowi, proszę cię. Naprawdę mnie to interesuje.

- Nic nie przecieknie do „Podglądacza”, prawda?

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie słyszałem o żadnym „Podglądaczu”. Piszę powieść o prawdziwym życiu w Waszyngtonie i jeżeli nie powiesz mi prawdy, wymyślę coś naprawdę paskudnego.

Roześmiała się, kręcąc głową. Cóż za mistrzowskie zagranie! Dla niej wciąż byłem cherlawym pierwszorocznikiem, który próbuje się wkręcić do redakcji „Crimsona” i rozpaczliwie robi do niej słodkie oczy, chociaż byłby śmiertelnie przerażony, gdyby powiedziała „tak”.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak. Niczego bardziej nie pragnę.

Coś w moim głosie musiało ją przekonać, że mówię serio.

- Dobrze, powiem ci, ale tylko dlatego, że wiem, jaki jesteś beznadziejny i że dzięki temu mogę ci zaufać. Ariane Hazen, córka Harolda, jest moją dawną znajomą. W szkole średniej przez rok czy dwa bardzo się przyjaźniłyśmy, a i później nie straciłyśmy kontaktu. Często ją widuję, odkąd wróciłam z Londynu. Jest rozwiedziona i samotna; chyba szuka sobie bratniej duszy w redakcji, a jestem jedyną osobą, którą tam zna.

- A zatem... - nachyliłem się ku niej konspiracyjnie. - Co ona takiego mówi?

- Martwi się. Wydaje się jej, że gazeta jest źle zarządzana i chciałaby, żeby się to zmieniło. Próbuje namówić brata i młodych Crosbych do współpracy. Jej ojciec jest wściekły; doszły go słuchy, że córka spiskuje przeciw niemu i poczuł się urażony. Wie, że gazeta znalazła się w dołku, ale nie ma pojęcia, jak z niego

wyjsć. Nie chciałby osłabiać ekipy dziennikarskiej; za to go kochamy. To przedstawiciel starej szkoły, dba o nas. Rusza go to, że wydaje dobrą gazetę, a nie że akcje biją rekordy cenowe.

- Jak to się skończy? Czy Hazenowie sprzedadzą „Suna”?

- Raczej nie. Rodzina jest skłócona i Ariane nie do końca wie, co robić.

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, zamierzała wynająć radcę prawnego, który pomógłby młodemu zorientować się w możliwościach działania. Dlaczego tak cię to interesuje? Coś knujesz... Masz kupca?

Na jej twarzy odbiła się niepohamowana ciekawość. Candace mnie prowokowała. Nie wszystko mi powiedziała - jak zwykle - ale tym razem ja postąpiłem tak samo.

- Ja? Skądże! Jak mógłbym znać kogoś, kto chce kupić „Suna”?

Poklepała mnie po rękę. Proszę, proszę: wizerunek frajera ma swoje zalety. Ludzie uważają, że jesteś nieszkodliwy. Do głowy im nie przyjdzie, że gdy powierzą ci swoje sekrety, zrobisz im jakąś prawdziwą krzywdę.

Przy drzwiach zrobiło się zamieszanie i do restauracji wszedł postawny mężczyzna w niezwyklej krawacie. W miarę jak szedł przez lokal, rozpoznawano go przy bliższych i dalszych stolikach. Pozdrowił gestem szefa kelnerów, po czym przystanął, by zamienić dwa słowa z felietonistą jakiejś gazety. Kiedyś był urzędnikiem rządowym, teraz został bankierem inwestycyjnym i chodziły słuchy, że gdy republikanie wrócą do władzy, będzie sekretarzem stanu. Nie ulegało wątpliwości, że zna Candace i wkrótce jego dobroduszość opromieni i nasz stolik.

- Cześć, Candy - rzucił i cmoknął ją w policzek. Candace przedstawiła nas sobie, litościwie nie wspominając o moich związkach z „Podglądaczem”.

Miałem przed sobą autentyczną grubą rybę. Stałem niezgrabnie i słuchałem, jak

rozmawiają o Iraku, Bośni i innych sprawach, na temat których nie umiałbym się wypowiedzieć. Podziwiałem Candace, która podczas całego tego zdarzenia ani na moment nie straciła rezonu - nie posłała mu ani jednego fałszywego uśmiechu, nie zaśmiała się zbyt głośno z żadnego z jego dowcipów. Zachowała idealną pozę. Była Mistrzynią Faktu.

- Czasem się o ciebie martwię, Davidzie - odezwała się, gdy kelner zabrał naczynia po deserze. - Nie wyglądasz na szczęśliwego człowieka.

Trochę mnie zatkało; ludzie zwykle nie rozprawiają o moim życiu osobistym, więc co jest grane?

- Przykro mi, ale użyłaś słowa, którego nie rozumiem. Co to znaczy „szczęśliwy”?

- Ja nie żartuję, Davidzie. Naprawdę mnie martwisz. Masz wielki talent, a marnujesz go w tym żalonym piśmidle. I, o ile mi wiadomo, praktycznie nie masz życia osobistego.

- O co ci chodzi? - spytałem natarczywie. - Mam kota. I telewizor.

- Cały czas stroisz sobie żarty. Daj spokój, stajesz się przez to jeszcze bardziej żalony. Masz kogoś?

- Oczywiście, że nie. Sama pomyśl: z kim mógłbym się spotykać?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Rzeczywiście, z kim

miałbym się spotykać? I co bym robił na takich spotkaniach? Problem był nazbyt złożony, żeby się nim zajmować w takiej chwili, po wyśmienitym lunchu - smażonym gołąbku w smakowitym śmietankowym sosie. Kiedy przychodziło do spraw osobistych, nabierałem iście klasztornej dystansu. Słyszałem, że dawno temu żyła pewna święta, która całe życie wybierała pchły ze swojego brudnego, zapuszczonego ubrania, a potem rozmieszczała je z mozołem w tych

samych miejscach. Jak by na to nie patrzeć, moje życie przedstawiało się znacznie ciekawiej.

Candace Ridgway nie spuszczała ze mnie oczu. Podziwiałem jej aksamitną skórę, lekko zaróżowione policzki, pełne usta i odbijający się w jej rysach nieprzeciętny intelekt.

- Z kim, jeśli nie z tobą? - dokończyłem.

Przypuszczam, że oboje mieliśmy zimne serca - i to właśnie nas zbliżyło. Nie lodowate i oślizłe w potocznym rozumieniu tego słowa, ale zimne w takim sensie, jaki Candace zasugerowała krótko po tym, jak poznaliśmy się na uniwersytecie. Myślałem wtedy - na ten cudownie naiwny, studencki sposób - że znalazłem klucz do jej duszy. Co ciekawe, chyba się nie myliłem.

Któregoś dnia szukałem jej w gmachu redakcji „Crimsona” na Plympton Street - była moją „opiekunką” i nadzorowała przygotowania do pracy semestralnej. Siedziała na mocno wypchanej, obitej czerwoną skórą sofie w gabinecie redaktora naczelnego i czytała Sedno sprawy Grahama Greene'a, jedną z jego bezbarwnych, katolickich powieści - wielkie dzieło i tak dalej, ale mało kto wówczas po to sięgał.

Zapytałem, co o niej sądzi, chcąc nawiązać rozmowę. Patrzyła gdzieś w dal, jak czasem zdarza się to ludziom, którzy mają się zaraz rozpłakać, i chyba była mi wdzięczna, że tym pytaniem przywróciłem ją do rzeczywistości.

Powiedziała, że chce mi przeczytać fragment książki. Józef, arabski kupiec, cytował syryjskie przysłowie majorowi Scobie, zrozpaczonemu szefowi policji. Niedawno sięgnąłem po tę książkę, by odświeżyć sobie ten cytat w pamięci: „Z dwóch serc jedno jest zawsze gorące, drugie zaś zimne. Zimne jest cenniejsze niżli diament; gorące jest bezwartościowe i zostaje odrzucone”.

- Myślisz, że to prawda? - spytała wtedy Candace.

Odpowiedziałem, że nie wiem. Miałem ledwie osiemnaście lat i nie byłem pewien, czy w ogóle mam serce.

- Ja uważam, że tak - ciągnęła. - Kiedy zimne serce się rozgrzeje, już pozostaje gorące.

Była to bardzo osobista uwaga, ale Candace nie dodała nic więcej. Tego rodzaju tekstami chętnie przerzucały się wtedy dzieciaki na studiach, w każdym razie na Harvardzie. Potajemnie wszyscy zaczytywali się Emi-ly Dickinson; nawet woda ciekająca z kranu potrafiła być romantycznym znakiem. A ja dobrze się czułem z tym, że nie jestem demonstracyjnie „kochającą” osobą. Może znaczyło to, że moje serce nie jest tanią, ciepłą kluchą.

Wróciliśmy do sprawy, która mnie sprowadziła do redakcji, a mianowicie do krytyki jednej z moich wrednych recenzji teatralnych, ale cytaty z Greene'a zapadł mi w pamięć. Candace bez wątpienia miała na myśli samą siebie, ja zaś pamiętam, jak zastanawiałem się, czyje serce z wolna topi się w płomieniach namiętności, czy nadal jest zimne jak lód.

Zadzwoił do mnie Hugo Bell z informacją, że właśnie je kolację w liguryjskiej restauracji - nie po prostu „włoskiej”, zauważcie, lecz właśnie „liguryjskiej” - z przyjacielem, który jest agentem w jednej z miejscowych firm inwestycyjnych. Poruszyli kwestię handlu nieruchomościami, wypłynęło nazwisko Galvina i rozmowa stała się nagle bardzo interesująca. zaproponował, żebym czym prędzej przyjechał na pyszny liguryjski deser -grzane wino z brzoskwiniami - i posłuchał, co jego znajomy ma do powiedzenia. W normalnej sytuacji o tak późnej porze nie ruszałbym się już z domu - słuchałem muzyki i czekałem na powtórkę Simpsonów w telewizji, ale nie mogłem się oprzeć takiej propozycji. W kontaktach z Galvinem wiedza była moją jedyną bronią.

Restauracja okazała się małym, hałaśliwym lokalikiem przy Connecticut



Avenue. Bell siedział w odgradzonej łoży w głębi sali; na stoliku przed nim stał długi rząd butelek po piwie. Jego podobny do spaniela przyjaciel nazywał się Jack Liggitt. Obaj interesowali się jazzem; za młodu Liggitt próbował grać na bębnach u Ahmada Jamala, ale czarni muzycy nie byli tym zachwyceni i odtąd trwał w zawieszeniu; ukochał coś, czego nigdy nie mógł tak naprawdę mieć. To właśnie łączyło go z Hugonem: obaj w pewnym momencie znaleźli się na lodzie.

Wręczył mi swoją wizytówkę, jak to zwykle robią agenci handlowi, i uścisnęliśmy sobie ręce. Musiał chyba uznać, że pomogę mu coś zarobić.

- Ten Galvin jest niesamowity! - rzekł bez wstępów. - Wie pan o nim coś ciekawego?

- Raczej nie - odparłem, przypominając sobie, jak niewiele powiedział mi Galvin o sobie.

- Pomiął wszystkie najciekawsze kawałki! - powiedział Liggitt, aż paląc się do uzupełnienia luk w mojej wiedzy. Wyglądało na to, że od dłuższego czasu interesuje się działalnością Carl Galvin Corporation.

Galvin zaczął zarabiać na handlu ropą naftową w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku; prawdziwa historia pierwszych kontraktów wyglądała zupełnie inaczej, niż ciąg przypadków, które mi opisał. Według Jacka od samego początku miał wpływowych przyjaciół w amerykańskiej ambasadzie w Bangkoku. Kiedy zaczął się w firmie handlowej w Hongkongu, przyjaciele ci bardzo mu pomogli: dawali mu cynk o intratnych transakcjach, przedstawiali go właściwym ludziom, podsyłali mu własnych znajomych - i po paru zaledwie miesiącach pracy Galvi-nowi się poszczęściło. Z wycuciem czasu godnym prawdziwego hazardzisty podpisał pod koniec lata kontrakt na odbiór stu tysięcy baryłek nieprzetworzonej irańskiej ropy. Kontrakt miał być realizowany w grudniu, ale po cenie minimalnie tylko przewyższającej sierpniową cenę

giełdową- około pięciu dolarów za baryłkę. Galvin zakładał, że uda mu się sprzedać ropę Japończykom.

- I naprawdę miał szczęście! - emocjonował się Jack.

W październiku wybuchła wojna na Bliskim Wschodzie i do grudnia cena ropy wzrosła do trzynastu dolarów za baryłkę. Galvin zarobił na czysto osiemset tysięcy dolarów - całkiem nieźle, jak na dwudziestotrzylet-niego studenta, który rzucił naukę. W tym momencie ostatecznie przestało go ciągnąć do powrotu na Harvard. Następne dziesięć lat spędził w Hongkongu, budując potęgę firmy. Wszedł w handel ołowiem, cyną, niklem, manganem, aluminium, a nawet rtęcią. Pod koniec lat siedemdziesiątych zmęczyło go dzielenie sukcesów ze starą, wyrosłą na tradycji firmą brytyjską i założył własny interes. Podobnie jak wielu spekulantów, przez następne dwadzieścia lat kilkakrotnie zdobył i stracił majątek, przeżywając wzloty i upadki na światowych rynkach, ale w latach dziewięćdziesiątych stał się posiadaczem prawdziwej fortuny - „Financial Times” szacował jego majątek na blisko miliard dolarów. Słyszało się plotki, że firma Galvina jest przesadnie rozrośnięta, ale o prawdziwych imperiach handlowych zawsze tak się mówi.

- Tajemnica jego powodzenia polega na tym, że wchodzi na margines - rzekł Jack.

Spytałem go, co ma na myśli, bo Galvin nie sprawiał na mnie wrażenia postaci marginalnej.

- Margines bezpieczeństwa - wyjaśnił Jack. - Bierze na siebie kontrakty, których nikt inny by się nie podjął.

Kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku Portugalczycy opuścili Angolę, nikt nie chciał się angażować w wywóz ropy z tego kraju, ale Galvin postanowił zaryzykować. Dzięki temu, kiedy pod koniec lat

siedemdziesiątych nastąpił kryzys naftowy, jako jeden z nielicznych miał dostęp do bezcennego surowca. Później, w połowie lat osiemdziesiątych, w Zatoce Perskiej wybuchła wojna o ropę. Galvin wszedł w ten biznes, kupił parę starych, pordzewiałych tankowców, posłał je do Iraku i zgarnął masę szmalu. Podobnie było w Rosji dziesięć lat później - dziki, nieokiełznany rynek odstraszył większość handlowców, ale dla Galvina warunki były wręcz wymarzone.

Moje pytanie, czy Galvin jest oszustem, rozbawiło Jacka.

- To jest handel - odparł. - Jedyne grzech to być niewłaściwą stroną kontraktu.

Prawdziwy kłopot z handlem polegał jego zdaniem na tym, że trudno jest wycofać się z zawodu. Obracało się w nim takimi sumami, że człowiek cały czas miał jakieś długi do spłacenia. A kiedy na rynku następował nieoczekiwany zwrot, trudno było spłacić wierzycieli.

- Wydaje mi się, że Galvin właśnie chce się wycofać - stwierdziłem, pamiętając zawołaną uwagę, jaką poczynił pod koniec lunchu.

- To powinien się pospieszyć - doradził Jack. - Sytuacja na rynku jest niepewna, a dopóki obracasz cudzymi pieniędzmi, nie jesteś wolnym człowiekiem.

Galvin chciał poznać szczegóły mojej rozmowy z Candace, ale nie bardzo wiedziałem, co mu powiedzieć. Wydawało mi się, że postępuję nieuczciwie, jak Jerry Springer, który każe żonie czekać za kulisami, aż nieświadomy jej obecności mąż skończy opowieść o romansie z jej siostrą. Sęk w tym, że nie miałem wyboru - rachunek za lunch wyniósł prawie sto pięćdziesiąt dolarów, więc dyskrecja byłaby nader niepraktycznym wyjściem. Poza tym nie sądziłem, żebym miał w ten sposób komuś zaszkodzić: zwierzchnictwo Galvina mogło tylko wyjść na dobre „Sunowi” i jego utalentowanym dziennikarzom, takim jak

Candace. Przyznaję, że była to jednak logika najemnika.

Tym razem zaprosił mnie do domu w Georgetown. Zapowiadał, że niebawem chce go sprzedać, więc warto by go trochę poużywać. Stary, miejski dom przy ulicy Q z zewnątrz prezentował się niepozornie, w środku zaś królowały kremowe tapety i regały z ciemnego drewna, a dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi prowadziły wprost do ogrodu, ukrytego w samym centrum miasta niczym szmaragd w szkatułce z klejnotami. Słyszałem, że podobnie buduje się zamożne arabskie domy w Damaszku czy Kairze: z zewnątrz niby nic nadzwyczajnego, żeby sąsiedzi nie zzielenieli z zazdrości, w środku zaś - prawdziwy pałac.

Lokaj - inny niż ten, który przywitał mnie w Wirginii - poinformował mnie, że pan Galvin poszedł popływać w ogrodzie. Wskazał mi drogę do wyłożonego szarą glazurą basenu, okolonego soczyście zielonym trawnikiem. Galwin pływał w tę i z powrotem, więc usiadłem i patrzyłem. Prześlizgiwał się przez wodę, każdym ruchem budząc rozchodzące się na boki fale, niczym prujący morze statek. Jego ręce i nogi pracowały zgodnie i rytmicznie jak jeden posłuszny mięsień. Nie zwracał na mnie uwagi, dopóki nie przepłynął wyznaczonego dystansu, a potem wyszedł i stanął na brzegu basenu, ociekając wodą. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Podąłem mu ręcznik; stałem się już członkiem jego służby, tak samo jak lokaj czy kucharz. Kiedy wycierając się popijał dietetyczną colę, zrelacjonowałem mu pokrótce rozmowę z panną Ridgway. Prawie mi nie przerywał, z rzadka tylko zadając pytania o najbardziej interesujące go sprawy. Kiedy wspomniałem o Ariane Hazen, uśmiechnął się z zadowoleniem. Ależ tak! Wiedział o niej wszystko; była kluczem do sukcesu, jak powiedział, jedyną wśród dzieci Crosbych i Hazenów osobą z głową do interesów. Jeżeli przejmie inicjatywę, inni pójdą za nią.

Wyciągnął mokrą jeszcze rękę w moją stronę.

- Jak sądzisz, ile „Sun” jest wart? - zapytał. Wzruszyłem ramionami, więc sam udzielił odpowiedzi: - Licząc po czterdzieści dolarów za akcję, wartość rynkowa firmy wynosi około ośmiuset milionów dolarów, i to tylko dlatego, że zarządza nią banda durniów. Na licytacji cena akcji powinna skoczyć do sześćdziesięciu, może nawet siedemdziesięciu dolarów. Trzeba się natomiast zastanowić, co zrobić, żeby kupić je taniej, za jakieś pięćdziesiąt, góra pięćdziesiąt pięć dolarów.

- Pytanie skierowane pod niewłaściwy adres - zauważyłem. - Nie zdałem egzaminu z ekonomii krajowej.

- Wszystko sprowadza się do funduszu powierniczego Hazenów -mruknął Galvin, bardziej do siebie niż do mnie. Wyjaśnił mi, że dla utrudnienia przejęcia firmy, „Sun” wyemitował dwa rodzaje akcji: „A” były przeznaczone dla członków rodzin, „B” - dla innych udziałowców. Gazety nie można było sprzedać nie dysponując większością udziałów typu „A”, największy zaś pakiet akcji został zdeponowany na koncie funduszu powierniczego, działającego na rzecz dzieci Harolda Hazena. Założono go w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku, a decyzje o nim podejmowali wspólnie stary Hazen i jego syn. Galvin twierdził, że wtedy było o sprawie głośno.

Zacisnął ogromną dłoń w pięść i przytknął mi ją delikatnie do podbródka.

- O mały włos nie zdobyłem Złotych Rękawic - powiedział. Zdziwiłem się, bo nie wyglądał na boksera; poruszał się z niewymuszonym wdziękiem, raczej obcym typowym mięśniakom.

Kiedy wyczerpaliśmy temat „Suna”, wręczyłem mu rachunek z restauracji i najbardziej służalczym głosem, na jaki umiem się zdobyć, zapytałem, czy Galvin mógłby mi zwrócić poniesione koszty, bo sto pięćdziesiąt dolarów to dla

mnie, biedaka, całkiem pokaźna suma.

- Ależ oczywiście! - prychnął. - Nie bądź głupcem.

Wszedł na chwilę do domu, po czym wrócił do ogrodu z kopertą w ręce. W środku znajdował się czek - nie na sto pięćdziesiąt dolarów, a na pięć tysięcy.

- Nie mogę go przyjąć - zaprotestowałem. - To niedorzeczne.

- Ależ możesz, możesz. Zarobiłeś te pieniądze. Powiedz mi, jak ci się skończy, a wypiszę następny.

Złożyłem ostrożnie czek na pół i schowałem do portfela. Kim byłem, żeby odmawiać, kiedy Galvin chciał obdarować mnie częścią swoich pieniędzy? Poza tym może i miał rację - może faktycznie je zarobiłem, chociaż nie bardzo mogłem pogodzić się z tą myślą.

Zbierałem się już do wyjścia, kiedy podniesioną dłonią dał mi znak, żebym jeszcze chwilę z nim został.

- Jak wyglądała? - zapytał.

- Kto jak wyglądał? - Nie wiedziałem, o kim mówi.

- Candace Ridgway. Jak wyglądała, kiedy spotkaliście się na lunchu?

Przyglądał mi się badawczo, czekając na odpowiedź.

- Niech no pomyślę... Jest naprawdę piękna; pewnie już pan to słyszał, ale to szczerza prawda. Była ubrana w cytrynowy kostium... dziwny kolor, ale bardzo jej pasował. Ma śliczną skórę i lekko falujące jasne włosy; pojedyncze kosmyki nieustannie opadają jej na twarz. Lubi poflirtować, ale jest wyniosła i niedostępna, jeśli wie pan, co mam na myśli. Co jeszcze? Świetnie wyglądała.

Galvin nic nie powiedział. Zamknął tylko oczy, jakby starał się lepiej ją sobie wyobrazić. Zastygł w bezruchu na dłuższą chwilę i uznałem, że to dobry

moment na zakończenie wizyty, pożegnałem się więc z nim i sam trafiłem do frontowych drzwi. Raz tylko obejrzałem się przez ramię: siedział pochylony, z głową w dłoniach, opatulony ręcznikiem kąpielowym. Wyglądał jak bokser, który szykuje się do ważnego pojedynku albo liże rany wyniesione z poprzedniej walki - doprawdy trudno było zdecydować.

Parę dni później umówił się na lunch z Ariane Hazen. Zadzwoił do niej jakby nigdy nic i przedstawił się jako nowo przybyły do Waszyngtonu inwestor, który śledzi losy jej pisma i z rozkoszą zjadłby z nią lunch. Zgodziła się bez namysłu - tym chętniej, że wiedziała już, kim jest Galwin. Opowiadał później, że z początku była podenerwowana. Nie chciała, żeby ktoś wpadł na pomysł, że po kryjomu spotyka się z potencjalnym nabywcą akcji „Suna”. Włożyła nawet kapelusz, specjalnie po to, żeby w restauracji jej nie rozpoznano. Galwin uznał za obiecujący fakt, iż Ariane traktuje spotkanie na tyle poważnie, by sądzić, że ma coś do ukrycia.

Córka Hazena była dziwną kobietą, jak później powiedział - pełną energii, ale zarazem przygaszoną. Na tym właśnie polegała klątwa rodu Hazenów. Ariane zbyt często udawało się bezkarnie wycofać z trudnych sytuacji, w których większość ludzi chciałaby powiedzieć „nie”, ale nie może sobie na to pozwolić. Stała się ofiarą wolności, jaką dają pieniądze - mogła do woli unikać nieprzyjemnych chwil w życiu. Zwroty takie jak „przycząć się” czy „przetrwąć za wszelką cenę” nic dla niej nie znaczyły. Wszystko to czyniło z niej idealny cel ataku dla takiego człowieka jak Galwin.

Z jego słów wynikało, że tego dnia roztaczając swój naturalny czar uzyskał wspaniałe efekty. Zabrał ją do małej włoskiej knajpki, z rodzaju tych, gdzie zaprasza się przyjaciół, a nie partnerów w interesach, i przysiadł się do niej na kanapce, zamiast zająć miejsce na krześle po drugiej stronie stolika. Opowiadał

jej o swoich przygodach w Afryce i na Bliskim Wschodzie, z czasów, gdy dopiero budował potęgę firmy. Nigdy nie przestanie mnie zdumiewać, jak ludzie potrafią być podatni na tego rodzaju zabiegi; nie zdają sobie sprawy z tego, że życzliwość bywa potężną bronią.

Kiedy przeszli do interesów, Galvin zapytał wprost, co Ariane sądzi o sytuacji finansowej gazety. Dodał przy tym, że maklerzy z giełdy zachowują powściągliwe milczenie, analitycy zaś uważają, że „Sun” nie jest najlepiej zarządzany. Przyznał też w sekrecie, iż z jego informacji wynika, że nakład i wpływy z ogłoszeń będą w drugim kwartale niższe od przewidywanych, co nie wpłynie dobrze na kurs akcji.

- Wie pan o „Sunie” więcej niż mój tato - zauważyła oschle Ariane Hazen. - On uważa, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Wystarczyło lekko ją zachęcić, a zaraz zwierzyła się Galwinowi ze swoich zmartwień: że zdaniem młodszych członków rodzin gazeta przynosi zbyt niskie zyski, że znalazła się na równi pochyłej, że inne firmy medialne były warte dwadzieścia, niektóre nawet dwadzieścia pięć razy więcej niż same zarabiały, a wartość rynkowa „Suna” przekraczała zyski zaledwie dwunastokrotnie. Starszym to wystarczało - mieli wszystko, czego dusza zapagnie i dzięki dywidendom wiedli całkiem przyzwoity żywot. Dzieciakom z pokolenia Ariane to jednak nie wystarczało: dla nich „Sun” był największą i najważniejszą inwestycją. Skoro nie potrafił dorównać innym gazetom, może należało pomyśleć o zmianie kierownictwa - albo pozbyć się jego akcji i gdzie indziej umieścić pieniądze.

- Co na to pani ojciec? - zapytał Galvin.

- Powtarza, że prowadzenie „Suna” to kwestia kredytu zaufania ze strony czytelników i że jeśli zależy nam na pieniądzu, powinniśmy raczej zainwestować w Coca-Colę.



- Szlachetne sentymenty - zauważył Galvin. - Chociaż niezbyt rentowne.

Przedstawił alternatywną wizję kierowania medialnym gigantem: mówił o ekspansji na obszar telewizji o zasięgu ogólnokrajowym, telewizji kablowej, magazynów ilustrowanych, o inwestycjach w nowoczesną technologię... Tak właśnie działa dziś cały świat, dodał. Disney nie ogranicza się do robienia filmów, a General Electric dawno już przestał tylko sprzedawać żarówki.

Prowokował ją kusił wizją fortuny ukrytej w ojcowskim funduszu powierniczym, zastrzegając się przy tym, że nie chce jej udzielać żadnych rad. Rodzina potrzebuje po prostu dobrego bankiera inwestycyjnego, który pomógłby jej rozważyć różne możliwości rozwoju.

- Proszę, niech mi pan jednak powie, jakie jest pańskie zdanie na ten temat - nalegała Ariane. - Potrzebujemy pomocy, a ja naprawdę nie wiem, kogo o nią prosić. Nikomu nie ufam.

- Mogę tylko zasugerować, żebyście państwo szybko wykonali jakiś ruch - rzekł Galvin. Przestrzegł przy tym, że jeżeli aktualne kierownictwo „Suna” nie zdoła przekonać tych z Wall Street, iż potrafi działać bardziej agresywnie, gazeta padnie łupem ludzi, którzy uznają, że wycisną z niej dużo więcej niż czterdzieści dolarów za akcję. I stanie się to bardzo szybko.

Ariane pokiwała ponuro głową; Galvin potwierdzał jej najczarniejsze lęki, co tylko dodawało wiarygodności jego słowom. Zapytała, czy nie zechciałby spotkać się z innymi członkami rodu, na co przystał z radością i jeszcze raz ostrzegł przed niepotrzebną zwłoką. Rynek mediów, powiedział, zmienia się szybko. „Sun” jest na nim łakomym kąskiem, a na giełdzie rozchodzą się już plotki, że ktoś szykuje się do przejęcia gazety. Nawet Harold Hazen nie zdoła w nieskończoność powstrzymać naporu kapitału.

Spotkałem Candace przypadkiem, w wypożyczalni wideo. Była trochę

zawstydzona tym, co bierze do domu, co rozbudziło moją ciekawość. Czyżby jakieś Dziewczyny w kajdanach? Ale okazało się, że to tylko kapitalna stara komedia z Katherine Hepburn i Carym Grantem. Może w skrytości ducha zachwycała się Katherine Hepburn, wspaniałą arystokratką, zbyt bystrą i sprytną dla wszystkich, poza niezrównanym panem Grantem; rozumiała, że mężczyźni są jak użyteczne gumowe zabawki, które można w miarę potrzeb nadmuchiwać, a potem spuszczać z nich powietrze.

Zaprosiłem ją na kawę do „Starbucks”, zaraz obok wypożyczalni. W niektórych dzielnicach Waszyngtonu nie spotykało się już innych kafejek, za to „Starbucksy” wyrastały jak grzyby po deszczu. Właściciele sieci dobrze znali rynek: w okolicy nie brakowało uzależnionych od kofeiny dziwaków, niepewnych swojego statusu społecznego.

- Świat się sypie - zagadnęła Candace. - Zauważyłeś?

Nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli.

- Wszystko się rozpada. Ciągle dostaję niezwykle doniesienia od naszych zagranicznych korespondentów. Wiesz, że dom w Hongkongu jest dziś wart połowę tego, co przed rokiem? Rosja jest tak splukana, że nie może spłacać nawet odsetek od kredytów; Brazylia ma trzysta miliardów dolarów długu; japońskie banki ulokowały pięćset miliardów w nietrafionych pożyczkach. Nie dostrzegasz w tym żadnej prawidłowości, Davi-dzie? Dociera to w ogóle do ciebie?

- Nieszczególnie - odparłem. - Chociaż brzmi to kiepsko. Ktoś tam jednak musi wszystkiego pilnować.

- Nikt niczego nie pilnuje. Nawet rozsądni ludzie nic nie widzą. To głupcy! I po to właśnie potrzebne im są gazety.

Streściła mi ideę przedsięwzięcia, nad którym pracują jej korespondenci, a

które miałyby zainteresować wszystkich tym ogólnoswiatowym kryzysem. Widząc mój nieobecny wzrok dała sobie jednak spokój, machnęła tylko niezobowiązująco ręką, trochę podobnie jak Katherine Hepburn.

Zapytałem, czy widziała się ostatnio z Ariane Hazen. Oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia.

- Jakby diabeł w nią wstąpił! Nie słyszałeś najświeższych plotek? Ktoś na gwałt skupuje całe pakiety akcji „Suna”. Hazenowie są w szoku!

- To niesamowite - przyznałem, udając zdziwienie. Uwielbiam mieć swoje sekrety. Zapytałem Candace, co sądzi na temat możliwości sprzedania pisma, było nie było, żyła z pracy w redakcji, ale zbyła mnie śmiechem. Szanujący się dziennikarz nie powinien nadmiernie przejmować się ekonomicznymi aspektami funkcjonowania gazety.

Wróciła do domu, żeby obejrzeć na wideo cudowny zabytek sztuki filmowej i oderwać się od myśli o rozpadającym się świecie. Wyobraziłem sobie, jak leży skulona na łóżku i patrzy na ekran, gdzie akurat Hepburn wchodzi do sali balowej, nie wiedząc, że ma podartą sukienkę, Grant zaś usiłuje dyskretnie osłonić rozdarcie cylindrem. Candace należała do tych rzadkich dziś kobiet, które mogłyby same wystąpić w takiej scenie. Była jak koń czystej krwi, który trafił do stajni razem z perszero-nami.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do Galvina, uznałem bowiem, że to on może okazać się tym tajemniczym nabywcą akcji. Owszem, słyszał, co się dzieje, ale twierdził, że udziały musi skupować ktoś inny. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: pewien nowojorski bank inwestycyjny kupował znaczne pakiety akcji Washington Sun and Tribune Co. w imieniu klienta, który wolał zachować anonimowość. Galwin podejrzewał, że może nim być pewien kalifornijski przedsiębiorca budowlany. Na razie tajemniczy nabywca nie zdobył jeszcze pięciu procent akcji, co wymagałoby ujawnienia jego tożsamości

przed Komisją Papierów Wartościowych. Handel ożywił się jednak tak bardzo, że cena akcji „Suna” drgnęła i podskoczyła nieco ponad utrzymujące się od lat czterdzieści dolarów. Ariane Hazen dzwoniła do Galvina co godzina, praktycznie błagając go, by udzielił pomocy jej rodzinie. Tego właśnie chciała - i tego obawiała się najbardziej: „Sun” wszedł do gry giełdowej, a Harold Hazen uparcie odmawiał wynajęcia bankiera. Wolał trzymać się na dystans i spokojnie przeczekać burzę.

Następnego dnia Galvin spotkał się z Ariane Hazen. Poprosił mnie, żebym mu towarzyszył; chciał, jak mówił, zjawić się na spotkaniu z kolegą, żeby wyglądało to bardziej oficjalnie. Ariane mieszkała w Cleveland Park, w wiktoriańskim domu składającym się głównie z wieżyczek, ganeczków, balkoników i blanków. W tej okolicy mieszkali zresztą wszyscy wielcy liberałowie miasta, dawniej rozkochani w limuzynach, dziś miłośnicy sportowych samochodów. Gdzie by człowiek rzucił kamieniem, nie miał szansy trafić żadnego republikanina, takie to było miejsce. Ariane pomalowała swój dworek na brzoskwinowy kolor, żeby przypadkiem nikt nie pomyślał, że jest jedną z wielu wolnych jak ptak, ale nieszczęśliwych dziedziczek medialnego biznesu.

Powitała nas w czarnej, opinającej się na jej szerokich biodrach sukience. Wyglądało na to, że spieszy jej się do rozmów o interesach - na stoliku do kawy leżał nawet kalkulator, na wypadek, gdyby miał okazać się potrzebny. Dziwiłem się trochę, że dojrzała kobieta po czterdziestce energię życiową czerpie głównie z przekonania, że rodzinny interes nie przynosi należytych zysków. Zarabianie grubych pieniędzy stało się w latach dziewięćdziesiątych modne, a w każdym razie powszechnie akceptowane, wrodzona zaś kobiecość Ariane nieco osłabiała efekt niepohamowanej chciwości: ona po prostu chciała dostać to, co jej się należało.

Galwin włożył na tę okazję luźny płócienny garnitur i rozpiętą pod szyją,

brązową koszulę - z pewnością nie wyglądał w tym stroju jak bankier do wynajęcia. Przyniósł ze sobą tekturową teczkę, którą od razu wręczył gospodyni.

- Wiemy już, kto dąży do przejęcia firmy - oznajmił.

W tezcze znajdowało się potwierdzenie wystawione przez jednego z dużych pośredników giełdowych, z którego jasno wynikało, że duży pakiet akcji „Suna” trafił do holdingu o nazwie PalmTrust.

- Nie mogę pani powiedzieć, w jaki sposób mój wspólnik wszedł w posiadanie tych dokumentów. - Galvin skinął głową w moją stronę. - Są jednak autentyczne.

Posłałem mu zaciekawione spojrzenie. Co jest, u licha? Jakim cudem stałem się nagle źródłem poufnych informacji z parkietu? Czy to aby zgodne z prawem? To był ekscytujący pomysł, ale wolałbym, żeby Galvin wcześniej chociaż zapytał mnie o zdanie. Tymczasem jednak rzucił mi spojrzenie, z którego jasno wynikało, że mam trzymać buzię na kłódkę i grać rolę, którą dla mnie napisał.

- Nie słyszałam o PalmTrust - przyznała Ariane. - Czym się zajmuje?

Ręka, w której trzymała papier, drżała lekko. Ariane chciała postąpić jak najlepiej, ze względu na samą siebie i ze względu na rodzinę, ale się bała.

- Został zarejestrowany w Delaware, ale z tamtejszych akt niewiele wynika. Mój wspólnik twierdzi, że firmą zarządza liczący się przedsiębiorca budowlany, niejaki Melvin J. Wolfe z Kalifornii. Zrobił majątek, jak to się mówi, łowiąc ryby w mętnej wodzie. To ponoć ostry gracz.

Galwin zerknął na mnie, oczekując potwierdzenia.

- W rzeczy samej - przytaknąłem.

- Czy naprawdę działa w branży nieruchomości? To okropność! Muszę o tym powiedzieć ojcu. Co PalmTrust planuje zrobić po nabyciu naszych akcji?

- Wolfe to szalenciec! - wymknęło mi się. - Nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy.

Zaczynałem się wczuwać w rolę, ale Galvin pohamował mnie gestem, który nie pozostawiał wątpliwości: „Dość!”

- Sytuacja jest niejasna - dodał łagodniejszym tonem. - Na razie mają nieco poniżej pięciu procent udziałów. Możliwe, że traktują zakup jako inwestycję, chociaż szczerze mówiąc, wątpię w to. Sądzę raczej, że szykują się do przejęcia.

- Co powinniśmy zrobić? - spytała Ariane. Galvin miał ją w garści.

- Natychmiast zaplanować obronę. Chyba że chcecie państwo sprzedać im gazetę, bo wtedy możecie nie robić nic.

Ariane Hazen wyciągnęła błagalnie ręce do nieznanego, który zaledwie parę miesięcy wcześniej z hukiem wylądował w Waszyngtonie i w tym krótkim czasie - nikt nie umiałby powiedzieć, jak do tego doszło - stał się niezbędnym dla wielkich tego świata.

- Proszę pana... Czy zechce się pan spotkać z moją rodziną? Potrzebujemy pomocy, a pan jest jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać.

Galvin poklepał ją delikatnie po ramieniu. Obserwowałem nierówną grę: on doskonale wiedział, czego chce, ona nie miała o tym pojęcia.

- Z przyjemnością państwu pomogę, ale potrzebny nam będzie plan strategiczny z prawdziwego zdarzenia. Takich ludzi jak Wolfe nie da się odpędzić ot tak, po prostu.

Wsiedliśmy do limuzyny Galvina i odjechaliśmy spod domu Ariane Hazen. Zapadłem się głęboko w aksamitne siedzenie, rozkoszując się moim nowym

życiem aktora charakterystycznego, ale Galvin wcale nie był rozbawiony.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedział. - Nie lubię niespodzianek. Jeżeli jeszcze raz ci się to zdarzy, wyleję cię.

Nie podniósł głosu, ale nie miałem wątpliwości, że mówi całkiem serio. Zaniepokoiłem się. Chciał, żebym zrozumiał, że nieodwołalnie należę do niego i że może mnie skrzywdzić. Są na tym świecie ludzie zdolni krzywdzić bliźnich. Ja się do nich nie zaliczam, toteż trudno rozpoznać mi tę cechę u innych, tego dnia jednak dostrzegłem ją przelotnie u Galvina.

Hazenowie i Crosby zebrali się następnego ranka o dziesiątej w sali konferencyjnej rodzinnej kancelarii prawniczej. Harold Hazen liczył chyba na to, że jeśli przyczai się i zbeszta córkę, wszystko wróci do normy, ale było już za późno. O dziewiątej, tuż przed otwarciem giełdy, Palm-Trust ogłosił publiczne wezwanie do sprzedaży wszystkich znajdujących się w obiegu akcji Washington Sun and Tribune Co. po czterdzieści osiem dolarów za jedną. To oficjalne ogłoszenie wzmogło tylko niepokój uczestników spotkania, którzy desperacko starali się ogarnąć sytuację i podjąć decyzję.

Poprosiłem Galvina, żeby wziął mnie ze sobą mimo mojego aktorskiego szarżowania. Chciałem przy tym być, chciałem na własne oczy zobaczyć, jakie asy dobędzie z rękawa. Z początku mi odmówił, ale zgodził się, gdy zapewniłem go solennie, że nikt nie skojarzy mnie z żalonym magazynem, w którym pracuję. Mocno wątpiłem w to, by Crosby i Hazenowie czytali „Podglądacza” - znajdowali się przecież na samym wierzchołku waszyngtońskiej piramidy społecznej. Po co im takie piśmidło? Wydaje mi się jednak, że zgodził się na moją obecność przede wszystkim dlatego, iż potrzebował publiczności. Włożyłem stary, niebieski garnitur z rurowatymi spodniami, w których wyglądałem, jakbym chodził na szrudłach.

Sala konferencyjna z widokiem na Biały Dom i Park Lafayette'a mieściła się

na najwyższym piętrze nowego wieżowca. Była elegancko wykończona, wyposażona w podłużny marmurowy stół i najnowszy sprzęt audiowizualny. Na dobrą sprawę firma prawnicza, która zgodziła się przyjmować w niej klientów, robiła błąd - tak wystawnie urządzone pomieszczenie sugerowało, że kancelaria pobiera zbyt wysokie prowizje. Siedliśmy z Galvinem przy jednym końcu stołu, miejsce naprzeciw nas zajął Harold Hazen ze swoim prawnikiem, po bokach zaś zasiedli pomniejsi członkowie obu rodzin. Zamiast usiąść zgodnie z więzami pokrewieństwa, ulokowali się według wieku: rodzice, czyli pokolenie Harolda, znaleźli się vis-à-vis Ariane i reszty dzieci. Dziwnie było mi o nich myśleć jak o dzieciach, bo wszyscy mieli już po trzydzieści parę lub więcej lat, ale trochę racji miałem: żadne z nich wiele jeszcze w życiu nie osiągnęło.

Pan Hazen przywitał nas oschle, stwierdzając, że rodzina będzie wdzięczna za wszelkie porady. Należał do ludzi, którzy starają się zachowywać przyjaźnie nawet wobec osób, których nie cierpią. Życie jednak przyparło go do muru. Przez tyle lat ciężko pracował, a teraz okazało się, że rodzina nie docenia jego wysiłków.

Urok Galvina polegał między innymi na tym, że z pozoru wszystko przychodziło mu bez wysiłku - i tamtego ranka było tak samo. Czuł się za stołem konferencyjnym tak swobodnie, jakby należał do właścicieli gazety, a odróżniał się od nich tylko bardziej eleganckim strojem - włożył dziś popielaty, szyty na miarę garnitur i jasnoniebieski krawat od Hermesa. Za plecami miał panoramiczne okno z isticie pocztówkowym widokiem na Biały Dom. Przyciągał powszechną uwagę, ale chyba nikt - włącznie ze mną - nie domyślał się, co powie.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt być tu z państwem - zaczął, patrząc staremu Hazenowi w oczy. - Wasza gazeta to coś więcej niż przedsiębiorstwo; to instytucja ciesząca się publicznym zaufaniem.



Nie przesadz z tym lukrem, ostrzegłem go w myślach. Ci ludzie czują się trochę zagubieni, ale głupi z pewnością nie są.

- Z zasady nie udzielam porad - ciągnął Galvin. - Jeżeli jednak państwo sobie tego życzą, mógłbym pomóc rozważyć otwierające się przed wami możliwości działania.

- Chętnie pana wysłuchamy - rzekł Hazen. Zebrani pokiwali z aprobatą głowami.

- Moim zdaniem istnieją trzy zasadniczo różne wyjścia z sytuacji. Żadne z nich nie jest idealne, ale trzeba będzie jedno wybrać i wytrwać w raz powziętym zamiarze. Po pierwsze: można przyjąć poranną ofertę PalmTrust. Dałoby to państwu niezły dochód z akcji, a kto wie, czy Wolfe nie podniósłby nieco ceny, powiedzmy do pięćdziesięciu dolarów. Oto pierwsze rozwiązanie. Czy ktoś z państwa chce sprzedać akcje Wolfe'owi?

Cisza przeciągała się w nieskończoność, aż wreszcie Ariane postanowiła ją przerwać. Miała na sobie prostą, brązową sukienkę - jak na zwykłym biznesowym spotkaniu.

- Dalej, kochani. - Popatrzyła po swoich braciach, a potem przeniosła wzrok na Crosbych. - Teraz albo nigdy.

Jeden z młodych Crosbych, łysiejący blondyn, podniósł rękę. Jego bezbarwna twarz sprawiała wrażenie, jakby zbyt wiele razy przepuszczono ją przez pralkę - żywy dowód na to, że nawet w najbardziej szanowanych rodach krew przodków z czasem rzednie.

- Nazywam się Andrew Crosby, panie Galvin. Jeżeli o mnie chodzi, uważam czterdzieści osiem dolarów za całkiem atrakcyjną cenę, a pięćdziesiąt za jeszcze lepszą. Nie jest to może tyle, ile byśmy chcieli, ale i tak więcej niż mamy.

- Bzdura! - burknął Harold Hazen. - Kupno za tę cenę to jak kradzież naszej gazety. Nonsens! Nie wracajmy już do tego tematu; niedobrze mi się robi. Jaka jest druga możliwość, panie Galvin?

- Starać się ze wszystkich sił odeprzeć ofertę PalmTrust. Możecie państwo w ten sposób zwyciężyć. Trzeba tylko zachować jedność, ponieważ waszej firmy nie da się sprzedać bez aprobaty posiadaczy większości akcji, którzy zebrali się tu, w tym pokoju. Musielibyście jedynie przekonać radę nadzorczą, że udzielenie PalmTrust odpowiedzi odmownej leży w interesie wszystkich akcjonariuszy. Powinniście zadać sobie to samo pytanie, które zadawać sobie będą analitycy giełdowi: czy chcecie działać bardziej agresywnie i lepiej wykorzystać wartość firmy?

Młodzi z Ariane na czele głośno wyrazili aprobatę dla pomysłu, żeby gazeta przynosiła większe dochody.

- Tak! - gorączkował się Andrew Crosby. - Chcemy! Znakomicie!

Byłem świadkiem prawdziwej rewolucji, tyle że prowadzonej delikatnie i uprzejmie.

- Wysłucham wszelkich rozsądnych sugestii - oświadczył Harold Hazen, zerkając na swojego prawnika, jakby szukał w nim oparcia. - Przypominam jednak, że w dalszym ciągu kontroluję działalność funduszu powierniczego z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego. Jeżeli mogę liczyć na stałe poparcie pana Crosby'ego seniora, mam zapewnioną bezpieczną większość głosów wśród akcjonariuszy.

Ariane szturchnęła Michaela, swojego młodszego brata, który do tej pory zachowywał milczenie. Mieszkał w Santa Monica, zajmując się głównie pisaniem scenariuszy, z których nikt nie chciał robić filmów.

- Powinieneś bardziej uważać z tą matematyką, tato - wtrącił. - Do

wykorzystania głosów z funduszu powierniczego potrzebujesz mojego poparcia, a ja jeszcze się zastanawiam.

- Zastanawiasz się?! - Stary Hazen z niedowierzaniem pokręcił głową. - Odkąd to zrobiliście się tacy chciwi? - Widziałem ból w jego oczach. Czy wiedzieli, co naprawdę kryje się pod hasłem „lepszego wykorzystania wartości firmy”? Czy mogli przypuszczać, że chodzi o zwalnianie wiernych pracowników? O publikację zdjęć cypaty kobietek w strojach kąpielowych? O durne konkursy, zdrapki i uruchomienie działu ogłoszeń? Harold Hazen by na to nie poszedł; nigdy nie prowadził interesów w ten sposób i nie zamierzał teraz zmieniać tego zwyczaju.

- Tu nie chodzi o chciwość, tato. Nie to mamy na myśli.

- Dobrze wiem, co macie na myśli. Chodzi wam o pieniądze; chcielibyście albo sprzedać akcje na pniu, albo znaleźć nowego szefa, który wziąłby się za podnoszenie ich wartości. Nie wiem, czy to leży w interesie gazety, czy nie, ale jedno jest pewne: nic wam do tego. Tylko ja i rada nadzorcza zajmujemy się tą sprawą. Dopóki mnie nie wyleją, odpowiadam wyłącznie przed nimi. Jakie jest trzecie wyjście, panie Galvin?

Galvin przysłuchiwał się dotąd w milczeniu, jak członkowie rodzin obrzucają się jadowitymi uwagami. Dał sobie jeszcze chwilę do namysłu: podszedł do okna, zerknął na spacerowiczów w Parku Lafayette'a i na snajperów na dachu Białego Domu. Tak się wahał i tak niepewnie wyglądał, że zaczynałem już wątpić, czy w ogóle się odezwie. Wyśmienity z niego aktor, pomyślałem. Nie wiedziałem, do czego zmierza, ale dałem mu się oczarować bez reszty.

- Nie planowałem osobistego udziału w tej potyczce - rzekł wreszcie. - Macie jednak państwo kłopoty, które doprowadzą do upadku wspaniałej gazety, jeśli szybko ich nie rozwiążecie.

- Proszę nam oszczędzić tych przemówień - wtrącił pan Hazen. - Jakie jest trzecie wyjście?

- Pozostaje wam znaleźć rycerza na białym koniu, kogoś, kto dokona przejęcia pisma i oprze się wysiłkom PalmTrust. Słuchając toczącej się tu dyskusji dochodzę do wniosku, że to jedyne wyjście. W przeciwnym razie ta historia nie zakończy się happy endem.

- Kto miałby być tym rycerzem? - spytał Hazen, chociaż po wyrazie jego oczu poznałem, że zna odpowiedź. Nagle, w jednej chwili, wszyscy zdali sobie sprawę, że też ją znają. Założyłbym się, że do tego momentu nikt nie przypuszczał, że Galvin systematycznie zagania nas w pułapkę. Ja z pewnością nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Proszę mnie uważnie wysłuchać - powiedział teraz, patrząc każdemu po kolei w oczy. - Jestem gotów zaoferować po pięćdziesiąt dolarów za akcję „Suna”; właścicielom akcji serii „A”, siedzącym przy tym stole, proponuję pięćdziesiąt pięć dolarów za każdą z nich. To mniej więcej siedemnaście procent więcej niż daje PalmTrust. Zdecydowałem się na ten krok, bo uważam, że potrafię uratować gazetę i przywrócić jej dawną świetność. Chciałbym działać ręką w rękę z Hazenami i Crosby-mi. Obawiam się, że alternatywnym rozwiązaniem byłaby kosztowna i wyczerpująca wojna z panem Wolfem. Jeżeli nie jesteście państwo zainteresowani moją ofertą, proszę o szybką odpowiedź. Szkoda i waszego czasu, i mojego.

Galvin usiadł. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, ale ponad ogólną wrzawę wzniosł się głos Harolda Hazena:

- Co to ma znaczyć, do diabła? - zagrzemiał senior rodu. - Co to za sztuczki?

- Uważam, że to znakomity pomysł. - Głos Ariane zabrzmiał niemal równie głośno. - Powinniśmy go przedyskutować, a następnie poddać pod głosowanie.

Jej słowa zaogniły jeszcze debatę. Dopiero teraz Galvin posłał mi dyskretne, znaczące spojrzenie. Twarz miał nieruchomą jak lodowa maska, ale oczy płonęły mu żywym ogniem.

Prawnik Hazenów zasugerował, że nadszedł moment, byśmy zostawili patriarchów sam na sam z młodzieżą, mieli bowiem sporo do omówienia. Galvin przyznał, że i on nie ma czasu siedzieć bezczynnie, powinien bowiem przygotować dokument dla rady nadzorczej, w którym szczegółowo przedstawi swoją ofertę i uwzględni wszystkie aspekty finansowe transakcji. Przed wyjściem pożegnał się z każdym z uczestników zebrania z osobna, dziękując za grzeczność, jaką mu wyświadczyli, dopuszczając go do spotkania. Przyglądali mu się zdumieni - oto ten śniady, wszechmocny człowiek w nieskazitelnym garniturze spadł im jak z nieba. Jego wystąpienie poruszyło nawet Harolda Hazena.

Przy drzwiach Galvin jeszcze raz odwrócił się do zebranych.

- Podejmijcie państwo decyzję, która będzie najlepsza dla gazety  
-powiedział. - O nic więcej nie proszę.

W windzie nie odezwał się do mnie ani słowem. Przemówił dopiero wtedy, gdy wyszliśmy z budynku i skręciliśmy za róg. Spodziewałem się zobaczyć na jego twarzy promienny uśmiech, może usłyszeć okrzyk radości, ale ku mojemu zdumieniu Galvin był zupełnie opanowany, trochę nawet chyba posmutniał.

- Wiem, że powinienem się cieszyć - przyznał. - Ale to smutne, że tak łatwo mi poszło. To mili ludzie, tylko że prawdziwe z nich dinozaury. Powinni już zejść ze sceny.

Na Connecticut Avenue co chwila zatrzymywał się, by zamienić dwa słowa ze spieszącymi na lunch ludźmi - asystentami z Białego Domu, dziennikarzami, szefem miejscowego banku, właścicielami dużych kancelarii prawniczych.

Wielu z nich było u niego na przyjęciu i teraz chcieli podziękować mu za gościnę. Zachowywał się jak burmistrz małego miasteczka, zamieszkanego przez najbogatszych obywateli Waszyngtonu, a przecież dopiero co tu się osiedlił! Oto prawdziwy problem Harolda Hazena: wejście Galvina do gazety było nieuniknione, pozostawała tylko kwestia, jaki zrobi użytek z władzy, którą w tak naturalny sposób zdobywał.

Po południu siedzieliśmy z Galvinem w ogrodzie jego domu w Georgetown, czekając na przybycie Ariane, którą zaprosił na basen. To było ładne posunięcie, bo w ten sposób nie sugerował bynajmniej, że Ariane jest jego współpracowniczką. Tego dnia nie popełniał błędów; nie stracił też nic z wypełniającego rankiem ożywczej energii. Ku mojemu zdziwieniu miał przy sobie jo-jo - piękne, ręcznie rzeźbione w kształt kuli ziemskiej; z roztargnieniem bawił się nim podczas rozmowy, a ja nie mogłem wyjść z podziwu, jak świetnie sobie radzi.

- Rzadko zdarzają się w świecie biznesu tacy mistrzowie jo-jo - zauważyłem. - Jak ci się udało osiągnąć taki poziom?

- Nauczył mnie tego Duncan, spec od jo-jo. - Kula ziemską na sznureczku śmignęła łukiem w moją stronę. - Przychodził czasem na boisko szkolne w Mount Lebanon i sprzedawał jo-jo dzieciakom. Taki tajemniczy gość; jeździł wielkim pontakiem kabrioletem i nosił najlepsze ciuchy. Pewnie był pedziem. Uczył nas różnych sztuczek: pętelki, dookoła świata i tak dalej. Największe zmartwienie naszych rodziców polegało wtedy na tym, że tracimy czas na zabawę i nigdy nie wyrosną z nas porządni ludzie.

Parę razy opuścił i poderwał jo-jo, a potem zrobił kociąkołyskę: podniósł palcami sznurek, tworząc niski łuk i puścił kulkę przez jego środek. Byłem pod wrażeniem, chociaż, prawdę mówiąc, zdumiewało mnie wszystko, co wiązało się z GaWinem. Skąd czerpał tę nieskończoną energię? I do czego naprawdę ją

wykorzystywał? Jego zewnętrzny wizerunek nabrał wyrazistości, za to wewnątrz wciąż malowało mi się w zamazanych półtonach.

- Dlaczego chcesz kupić „Suna”? - Pytanie to nie dawało mi spokoju podczas całego spektaklu, jaki odegrał na oczach Hazenów i Crosbych. -Co cię w nim tak pociąga? Pieniądzy przecież nie potrzebujesz; kłopotów też nie chciałbyś sobie przysparzać, a na prowadzeniu gazety nie znasz się za grosz. Nie chwytam tego.

- Spacer z psem! - odparł, ale była to tylko nazwa kolejnej sztuczki: spuścił jo-jo do samej ziemi i leciutko skręcił nadgarstek. Kulka potoczyła się po wyłożonym kamieniami patio. Galvin mrugnął do mnie i odłożył zabawkę. - Masz rację - powiedział. - Nie chodzi mi o pieniądze, lecz o sztukę dziennikarską. Osobiście uważam, że gazeta jest kiepska, a ja jestem w stanie robić ją lepiej. Nie tak, żeby przyniosła większe zyski, ale po prostu lepiej. Co ty na to?

Czekał chyba na potwierdzenie, że taka odpowiedź jest do przyjęcia, ale nadal mnie nie przekonał.

- No dobrze. - Wyciągnął przed siebie ręce. - Przyznam się bez bicia: robię to z miłości.

Przechylił głowę na bok i posłał mi jeden z tych olśniewających uśmiechów.

Uznałem, że żartuje.

- Daj spokój ! „Sun” to poważna gazeta; w każdym razie wszyscy liczący się ludzie tak uważają. Co drugi rok zdobywa Pulitzera. A ty jesteś biznesmenem. Dlaczego sądzisz, że lepiej ją poprowadzisz?

- „Sun” jest beznadziejny i ty dobrze o tym wiesz! Jest nudny i konserwatywny; bez końca wloką się w nim cykle w rodzaju „Dokąd zmierzasz, Rwando?” albo „Przyszłość amerykańskiej dyplomacji”. Redaktorzy tak bardzo

boją się urazić czytelników, że praca przestała ich cieszyć. Tak poważnie: czytujesz „Suna”? Ja tu jestem dopiero parę miesięcy, a już mi się przejadł. Teksty są tak sztywne, jakby wszystkim autorom ktoś wetknął kije w tyłek. Wiesz, co im powiem, kiedy wygramy? Uśmiechnijcie się!

- A co im powiesz później?

- Nie mam pojęcia. Mniej wycieczek zagranicznych; dość marnowania spinaczy... Skąd mam wiedzieć? Pisanie do gazety ma sprawiać frajdę i tyle. Sam się przekonasz. - Pogroził mi palcem.

Rzadko bywał tak ożywiony - jak myśliwy, który lada chwila dopadnie zwierzynę. Ja jednak okazałem się głupcem: nie rozumiałem, jak złożone jest to polowanie, a już z całą pewnością nie dostrzegalem zdobyczy, która go pociągała.

Wciąż bawił się jo-jo, gdy zabrzmiał dzwonek i lokaj wprowadził Ariane Hazen do ogrodu. Miała na sobie tę samą brązową sukienkę, w której wystąpiła rano, ale dla Galvina uzupełniła ją francuską jedwabną chustką.

Wziął ją pod ramię i zaprowadził do stojących nad basenem krzeseł. W niedużej sportowej torbie przyniosła kostium kąpielowy, ale wiedziałem, że żadne z nich nie zamierza pławić się w wodzie. Ariane była zanedo podeksytowana procesem, który uruchomiło pojawienie się Galvi-na. Szykowała się do ojcobójstwa: wspólnie chcieli usunąć jej ojca i to ona osobiście trzymała nóż.

- Rano była pani wspaniała - rzekł Galvin. - Co się działo po naszym wyjściu?

- Zrobił się straszny rejwach, ale w kilku punktach udało się nam dogadać.

Wyjaśniła, że oba rody szybko i zgodnie odrzuciły ofertę PalmTrust. Poszło jak z płatka. Później, po długiej debacie, uzgodniono, że w gazecie niezbędne są



zmiany na stanowiskach kierowniczych; pan Hazen nie ucieszył się z tego powodu, ale nie miał wyjścia. Na koniec postanowili rozpatrzyć propozycję Galvina, która budziła najwięcej kontrowersji. Pan Hazen twierdził uparcie, że padli ofiarą manipulacji Galvina.

- Jak podzieliły się głosy udziałowców? - spytał Galvin. - Kto kontroluje gazetę?

- Chyba my - odparła niepewnie Ariane, jak mała dziewczynka, która nie bardzo wie, na co może sobie pozwolić. - Na zakończenie mój brat powiedział tacie, że głosami z udziałów w funduszu sześćdziesiątego trzeciego roku chciałby poprzeć pańską ofertę. Tato jeszcze się opiera, tak że mamy remis i sprawę musiałby rozstrzygnąć powiernik funduszu. Jest nim pewien nowojorski prawnik, który zrobi, co mu każe rada. Nie sądzę jednak, żeby do tego doszło.

- Dlaczego? - Galvin usadowił się wygodniej w krześle. Jego wielka chwila nadeszła.

- Po zebraniu pan Crosby spotkał się z moim ojcem na osobności. Klan Crosbych pozwalał mu przez dwadzieścia lat rządzić gazetą, ale oni nie są mięczakami, zwłaszcza senior rodu. Powiedział tacie, że to koniec i że nie zamierzają odrzucać oferty pięćdziesięciu pięciu dolarów za akcję. Nie stać ich na to, a to oznacza, że poprą pana i akcje z funduszu nie odegrają żadnej roli. Udało się panu.

- No to do dzieła!

- Co ma pan na myśli?

- Niech pani pociągnie za spust! - krzyknął Galvin. - Od razu! Proszę zwołać kolejne spotkanie właścicieli jeszcze dziś wieczorem; po południu dostarczę radzie nadzorczej wszystkie dokumenty. Już w tej chwili próbujemy nieoficjalnie, przez telefon, wybadać jej członków. Zróbcie to! Nie czekajcie, bo

sprawa wymknie się nam z rąk.

- Tak, tak, oczywiście - przytaknęła roztrzęsiona Ariane. Nagły wybuch Galvina wystraszył ją. Była to jedna z tych rzadkich chwil, gdy spod eleganckiej powierzchowności wyłaniała się siła, która naprawdę tkwiła w tym człowieku. Kiedy zorientował się, że przesadził, położył jej delikatnie dłoń na ramieniu.

- Przepraszam - rzekł, natychmiast przybierając inny ton. - Jestem niezmiernie podniecony tym, czego możemy dokonać w „Sunie” i dałem się ponieść emocjom, ale kiedy wspomniałem o pośpiechu, mówiłem poważnie. Im dłużej będziemy czekać, tym bardziej ułatwimy zadanie Wol-fe'owi. Na kiedy planowane jest kolejne spotkanie?

- Jutro rano. Uważa pan, że to za późno? - Głos kobiety brzmiał niepewnie, jakby bała się, że Galvin znów się zdenerwuje.

- W sam raz. Dziś wieczorem mój prawnik zadzwoni do doradcy pani ojca.  
- Galvin ujął jej dłoń w swoją. - Prawie nam się udało - dodał i pocałował Ariane w policzek. - Mam nadzieję, że nie będzie pani żałować tej decyzji.

Nie dała mu się drugi raz pocałować.

- Dlaczego pan tak mówi? - spytała zaskoczona. - Jak mogłabym żałować?

Pytanie zawisło w powietrzu, jakby koniecznie domagało się odpowiedzi. Ariane zmusiła Galvina, by spojrzał jej w oczy, w których malowały się całe lata żalu i rozczarowań. Spuścił wzrok.

- Mam czterdzieści siedem lat - ciągnęła. - To najważniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam, a zapewne także najważniejsza, jaką kiedykolwiek zrobię. Z pewnością się nie mylę. Proszę mi obiecać, że wszystko się uda.

Galvin nie był głupcem; wiedział, że nie pora prawić jej czułe słówka.

- Nie mogę pani obiecać, że wszystko pójdzie po mojej myśli - powiedział.

- Zrobię jednak co w mojej mocy, by gazeta była lepsza i przynosiła większe zyski. Jestem człowiekiem o złożonej psychice... tak jak i pani zapewne... ale w moim odczuciu akurat ta sprawa jest prosta. Nie narażałbym ani pani, ani siebie na ryzyko, gdybym nie był przekonany, że mi się powiedzie.

Przyjrzała mu się uważnie, osłaniając dłonią oczy od słońca.

- Nie byłam pewna, czy starczy mi sił, żeby doprowadzić sprawę do końca, toteż zapytałam moją przyjaciółkę, Candace Ridgway, co o panu sądzi. Potrzebowałam rzetelnej rady, a ona zna się na ludziach.

Na chwilę w ogrodzie zapanowała całkowita cisza.

- Co powiedziała Candace Ridgway?

- Że to właściwy wybór. Mówiła, że zmiana dobrze zrobi gazecie, a pan wygląda na porządnego człowieka, który sprawdzi się w roli właściciela. Ufam Candace i dlatego wiem, że nie będę żałowała tej decyzji.

Sprawa szybko się zakończyła. W finale Galvin przypominał torreadora, który wbija bykowi szpadę w kark aż po gardę, tak że szarżujące zwierzę pada na kolana nie dopadłszy swego prześladowcy.

Następnego ranka siedział w domu przy telefonie. Wysłał mnie, żebym kupił mu papierosy - nie wypalił ani jednego, ale chyba czuł się pewniej wiedząc, że w każdej chwili może po nie sięgnąć. Od czasu do czasu odrzucał głowę w tył i wybuchał gromkim śmiechem, albo mamrotał zwroty wyrażające zdumienie, modne w czasach jego młodości, takie jak „to nie do wiary” czy „znakomite”. Ten niepohamowany entuzjizm stanowił część jego sekretu: Galvin przez całe życie umiał być zaskoczony własnym szczęściem.

Wysłał prawników, żeby ustalili ostateczne warunki transakcji z Ha-zenami i Crosbymi. Pan Hazen zażyczył sobie - poza pieniędzmi z akcji - wysokiej odprawy. Galvin z góry to przewidział, toteż adwokaci mieli już gotową

propozycję, która po krótkiej dyskusji została przyjęta. Pan Crosby chciał natomiast przedłużyć swój kontrakt konsultanta - tę sprawę również szybko udało się załatwić. Ariane Hazen nie chciała tracić kontaktu z gazetą, Galvin obiecał jej więc, że stanie na czele charytatywnej fundacji „Washington Sun and Tribune”.

Wszystkim zależało na uzyskaniu dowodu, że Galvin naprawdę ma pieniądze na pokrycie przekraczających miliard dolarów zobowiązań i obietnic. Obecny na spotkaniu wysokiej rangi przedstawiciel nowojorskiego banku inwestycyjnego wyjaśnił złożone zasady finansowania inwestycji, w którą zaangażowało się konsorcjum banków, od lat udzielających kredytów Galwinowi. Umowa stanowiła, iż w rękach nowego właściciela znajdzie się tylko pakiet akcji Hazenów i Crosbych, reszta zaś zostanie skierowana na rynek publiczny.

Tuż przed południem zadzwonił jeden z prawników z wiadomością, że moment podpisania umowy jest już bliski. Galwin kazał mu przesłać szampana do sali konferencyjnej, a potem polecił szoferowi zawieźć się do biura „Suna”, by osobiście uczestniczyć w ostatnim akcie. Sprowadził fotografa, żeby uwiecznił historyczny uścisk dłoni, którym zmęczony, zgorzkniały Harold Hazen i rozentuzjasmowany Sandy Galvin przypieczętowali ugodę. Zrobiono też zdjęcie rodzinne, na którym Ariane wznosiła wzrok ku swemu wyśnionemu ryerczowi. Pozostali Hazenowie i Crosby uśmiechali się blado, ale widać było, że myślą tylko o jednym: pięćdziesiąt pięć dolarów za akcję! Gotówką!

Po południu Galvin spotkał się w redakcji „Suna” z radą nadzorczą; tylko połowa jej członków zdołała przybyć do Waszyngtonu, otrzymawszy zawiadomienie z tak niewielkim wyprzedzeniem, ale zorganizowano telekonferencję, żeby wszyscy mogli uczestniczyć w spotkaniu.

Szczegółowa prezentacja oferty zajęła Galwinowi i prawnikom blisko dwie

godziny. Członkowie rady zadali kilka pytań, ale sądząc po tym, co Galvin później mi opowiadał, od początku widać było, że umowa stoi. Miał zresztą w radzie kilku przyjaciół, z którymi nawiązał kontakt zaraz po przybyciu do Waszyngtonu.

Rada wydała krótkie oświadczenie, które opublikowano o czwartej po południu, kiedy pojawiły się już plotki o nowej próbie przejęcia „Suna”. Stwierdzono w nim, że rada nadzorcza zapoznała się z ofertą grupy inwestycyjnej, na czele której stoi Carl S. Galvin i że ze wstępnej analizy wynika, iż zaleci akcjonariuszom przyjęcie oferty. Na parkiecie gwałtownie wzrósł popyt na akcje gazety, liczone bowiem na to, że PalmTrust spróbuje przebić Galvina własną, poprawioną propozycją, ale król rynku nieruchomości milczał. Po zamknięciu giełdy PalmTrust ogłosił, że wycofuje ofertę i zamierza przekazać posiadane akcje Galwinowi.

Wpół do szóstej Galvin wrócił do Georgetown, zmęczony, ale rozluźniony i szczęśliwy.

- Udało się - powiedział. - Dzięki za pomoc.

I tyle. Nie obnosił się ze swoim zwycięstwem; być może uważał sukces za nieunikniony, a co za tym idzie - niezbyt interesujący.

Udał się na piętro, żeby przebrać się przed spodziewaną serią wywiadów dla gazet i telewizji - bo i o to zadbał. Procesja dziennikarzy przemaszerowała przez salon, dzieląc sobie nowego wydawcę na piętnastominutowe kąski. Kazał mi usunąć się i schronić bezpiecznie w spiżarni, ale przez oszklone drzwi podpatrywałem, jak gestykuluje, marszczy brwi, wzrusza ramionami i przemawia. Był człowiekiem dnia i wszyscy chcieli go mieć dla siebie.

Sztukmistrzowi, który właśnie pokazał jakąś niewiarygodną sztuczkę, chciałoby się z miejsca zadać pytanie: „Jak pan to zrobił?”; to naturalny odruch.

Założę się, że nikomu nie spodobałby się wścibski dzieciak, który ciągnie za rękaw dziadka, kiedy ten wykonuje słynną Sztuczkę ze Znikaniem Różowej Piłeczki, i krzyczy:

- Patrzcie! W lewej ręce trzyma drugą piłeczkę!

Los jednak wyznaczył mi rolę takiego właśnie bachora, więc kiedy Galvin przyjmował hołdy jako nowy właściciel „Suna”, ja analizowałem w myślach wydarzenia z ostatnich kilku tygodni. Usiłowałem zrozumieć, jak udało mu się przypuścić tak skuteczny atak, który w dodatku nie wymagał od niego większego wysiłku. Czyżby coś mi umknęło?

Po chwili namysłu oczywiste stało się dla mnie, że całą operację zaplanował w najdrobniejszych szczegółach niczym znakomity wojskowy

strateg. Szczegóły finansowe oferty opracował na długo przed pierwszym spotkaniem z Hazenami i Crosbymi, a oświadczenie, jakoby nie planował zostać rycerzem na białym koniu, było tyle wzruszające, co absurdalne. Od początku wiedział, że do tego dojdzie; wyliczył ofertę z dokładnością do jednego dolara. Tyle że dzielny rycerz potrzebował przeciwnika, który zagrażałby szlachetnie urodzonej księżniczce. Skąd wziął się tajemniczy czarny charakter? I skąd Galvin tyle o nim wiedział? Oczywiście domyślałem się odpowiedzi na te pytania, byłem przecież asystentem sztukmistrza. Nie musiałem mu zaglądać do rękawa, żeby wiedzieć, że coś ukrywa. Nie dręczyły mnie bynajmniej wyrzuty sumienia, nic z tych rzeczy -wszystkich zainteresowanych traktowałem jednakowo, jak szczury - ale chciałem mieć pewność, że się nie mylę.

Spytałem go więc. Popełniłem tym samym błąd, który omal nie okazał się tragiczny w skutkach, ale pasował do mojego charakteru. Zadzwoiłem do Galvina, gdy od opublikowania wiadomości, że jest właścicielem „Suna”,

minęły dwa dni i fala wywiadów powoli opadała. Kiedy oznajmiłem mu, że musimy się spotkać w ważnej sprawie, wybuchnął śmiechem - nie przywykł do takiej powagi w moim głosie - ale powiedział, żebym natychmiast przyjeżdżał do Georgetown.

Późnym rankiem dotarłem na miejsce. Galvin siedział na tarasie w jedwabnym szlafroku. Popijał kawę i przeglądał „Suna”.

- To naprawdę beznadziejna gazeta - stwierdził, gdy podszedłem bliżej. - Przypomina mi te nowe pomidory, których pełno teraz w supermarketach: są ogromne, czerwone i soczyste, ale nie mają za grosz aromatu, jakby ktoś wycisnął z nich wszelkie życie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Bardzo łatwo będzie ją zmienić na lepsze.

- Ukradłeś ją - powiedziałem.

- O czym ty mówisz, chłopcze? Siadaj i napij się kawy. Zwariowałeś?

- Ukradłeś ją - powtórzyłem. - Dogadałeś się z PalmTrust, żeby złożyli ofertę, którą będziesz mógł przebić. To dlatego tyle o nich wiedziałeś: sam wszystko przygotowałeś. Nie było żadnego czarnego charakteru. Tylko ty.

- To ci dopiero niedorzeczne oskarżenie! Gdybym postąpił tak, jak mówisz, byłoby to niezgodne z prawem. - Wydawało mi się, że dostrzegam błąkający mu się na ustach cień uśmiechu. - Poza tym nie masz dowodów.

- Może i nie mam, ale to prawda, nie? - Patrzyłem mu prosto w oczy. Nadwornicy trefnie rzadko się tak zachowują. - Powiedz mi. Nie jestem jakimś tam lokajem; chcę znać prawdę.

- Uważaj, Davidzie - ostrzegł mnie. - Lada chwila wielka szansa zastuka do twoich drzwi; wiele dobrego może się wydarzyć. Nie spieprz wszystkiego.

- Mógłbym zapytać w Komisji Papierów Wartościowych, co o tym

wszystkim myślą. Założę się, że szybko dokopaliby się drugiego dna w tej sprawie.

Denerwowała mnie jego pewność siebie. Nie chciałem, żeby myślał, że może mną manipulować tak samo jak wszystkimi, których w życiu spotykał; zależało mi na tym, żeby być wtajemniczonym w sprawę, żeby być jego współnikiem. Dzięki Bogu zauważył to, zanim zabrnęliśmy dalej.

- Zawrzyjmy umowę, tu i teraz - powiedział. - Nie będziesz wnikał w szczegóły kupna „Suna”, a ja nie będę ci się wtrącał do dziennikarstwa. W porządku? Wielu rzeczy nie wiesz o tej transakcji; to jest tylko jedna z nich. Czy wyrażam się jasno?

Pokiwałem głową; to było całe potwierdzenie, na jakie mogłem liczyć, ale też niczego więcej nie potrzebowałem. Wystarczyło mi po prostu znać prawdę, przynajmniej taką, jaką sobie wyobrażałem.

- Dobrze - rzekł z ulgą Galvin. - Pozwól teraz, że zdradzę ci jeszcze jeden sekret, o którym nie masz pojęcia. Postanowiłem wyznaczyć nowego redaktora działu „Styl życia”. Będzie nim mój zaufany powiernik, pan David Cantor.

Uśmiechnął się i podał mi rękę. Uwielbiał rozdawać prezenty.

- Rety, to świetnie! - stwierdziłem. Zabrzmiało to idiotycznie, ale szczerze mówiąc, byłem oszołomiony. O takiej pracy mógłbym tylko marzyć, zwłaszcza gdyby pozostał we mnie choć cień ambicji.

- Mam nadzieję, że to oznacza zgodę. Przed paroma tygodniami sam zaproponowałeś takie rozwiązanie, a ja uznałem, że to dobry pomysł. Lubisz kłopoty; nie przejmujesz się tym, że obrazisz ludzi, a kogoś takiego właśnie potrzebuję: terrorysty bez powiązań ze starym reżimem. Umowa stoi?

- Stoi - przytaknąłem oniemiały. Byłem tak szczęśliwy, jak to tylko możliwe w wypadku człowieka nieszczęśliwego. Pojawiło się jednak dręczące



pytanie, które i później nie dawało mi spokoju: czy zostałem namaszczony na stanowisko wicekróla, czy może zwyczajnie kupiony? Nie było przyjemnie myśleć, że jestem taki sam jak Hazenowie i Crosby, a Galvin po prostu trafnie określił moją cenę - ale mogłem z tym żyć.

Tego wieczoru zadzwoniłem do właścicielki „Podglądacza”, żeby poinformować ją, że rezygnuję z posady redaktora. Powinienem był spotkać się z nią i powiedzieć jej o tym osobiście, ale bałem się, że zrobi straszną scenę, a tego bym nie zniósł. Można by pomyśleć, że to miła perspektywa: powiedzieć jej prosto z mostu, że rzucam tę robotę, i to po tylu latach upokorzeń - w dalszym ciągu płaciła mi marne czterdzieści osiem tysięcy rocznie, na miłość boską! - ale zrobiło mi się smutno. Byłem wszystkim, co miała. Z trudem złożyliśmy do kupy ostatni numer; zdecydowałem się ostatecznie zrobić materiał o fryzjerach Wielkich Ludzi, którego zapowiedź trafiła na okładkę, ale po zamieszczeniu z nie podpisanym czekiem drukarze grozili już, że podadzą nas do sądu. A po wydaniu gazety okazało się, że nie stać nas na kolportaż. Jedna trzecia stałych czytelników nie dostała swojego „Podglądacza”, a stopy nie sprzedanych „Fryzjerów” piętrzyły się w redakcji pod sufit.

- Mam złe wieści - oznajmiłem właścicielce. - To znaczy: wydaje mi się, że panią zmartwią, bo jeśli nie, to mnie samemu robi się smutno.

- Co masz na myśli? - Jej głos brzmiał głośniejsz niż się spodziewałem. Doszedłem do wniosku, że przyszła już pora na wieczorny koktajl.

Nie potrafiłem jej tego powiedzieć wprost; czułem się tak, jakbym miał zastrzelić starego, wiernego psa.

- Nieźle się nam układa - zacząłem.

- Nieprawda - ucięła krótko. - Gazeta pada. Jesteśmy do niczego. Ludzie nie chcą nas już czytać. Nie obchodzi ich nawet, czy drukujemy ich zdjęcia. Jak

możesz mówić, że nieźle nam idzie?

- Cóż, przynajmniej próbowaliśmy... - Nie chciałem wszczynać kłótni, tym bardziej, że miała rację. Nasz magazyn był marnym piśmidłem. - Chcę pani zakomunikować coś ważnego.

- Chcesz jeszcze raz zmienić tytuł? Świetnie. Możesz wymyślić, co ci się żywnie podoba. Nic mnie to nie obchodzi. „Soczysty magazyn”, „Ciepło i soczyście”, „Puls”, „Zwis”... To nie ma znaczenia. Dla mojej przyjemności może się nawet nazywać „Mineta”.

- Nie o to chodzi, nie chcę zmieniać tytułu. „Podglądacz” mi się podoba; przywykłem do niego. Co innego chciałem powiedzieć.

- Chcesz, żebym ci zapłaciła? Ależ oczywiście, przepraszam. Wybierz sobie może coś z katalogu. Co ty na to? Sharper Images? Mają niezły wybór. Albo coś od Balducciego.

- Odchodzę. - Nie mogłem powiedzieć tego delikatnie. - Zmieniam pracę. Numer o fryzjerach był moim ostatnim.

- Mój Boże! - W słuchawce zrobiło się cicho. Zaczynałem się już bać, że właścicielka dostała zawału, ale po jakichś piętnastu sekundach dobiegł mnie jej szloch. - To koniec - wychlipała. - Moje maleństwo nie żyje.

To było jeszcze gorsze niż się obawiałem.

- Znajdzie się inny redaktor - podsunąłem. - Pomogę go pani szukać.

Moja litość tylko ją rozwścieczyła; zamiast uzalać się nad sobą, uniosła się honorem. Jak śmiem proponować jej pomoc? Nie mogła znieść myśli, że potrzebuje pomocy takiego bęcwała, jak ja. O nie, tak nisko jeszcze nie upadła!

- Nie chcę twojej pomocy, draniu! Myślałam, że zależy ci na dobrym dziennikarstwie!

- Ależ zależy mi. Po prostu dostałem lepszą propozycję.

- Więc to tak! - weszła mi w słowo. Nie chciała słuchać, co mam do powiedzenia. - Nie wiem, co ci się trafiło, ale to i tak za wiele dla ciebie. Powinnam była posłuchać Annabelle Paige, kiedy mnie ostrzegała, że nienawidzisz kobiet.

Rozmowa coraz bardziej się nie kleiła.

- Przykro mi, że tak to się kończy - powiedziałem. - Dziękuję za pomoc, jaką mi pani okazywała. Jutro rano posprzątam po sobie biuro.

- Jesteś gnojkiem! - krzyknęła i rzuciła słuchawkę.

Kiedy rankiem przyszedłem do redakcji, zamki były już wymienione.

Galvin postanowił uczcić swoje wielkie zwycięstwo wystawną kolacją z tańcami w posiadłości w Wirginii. W ten sposób chciał obwieścić całemu Waszyngtonowi, że najlepsza gazeta w mieście - słynna z celnych wstępniaków i doskonałych reportaży lokalnych, ale z pewnością nie z lekkości piór redaktorów - dostała się w godne ręce. W kilka dni po podpisaniu umowy z Haroldem Hazenem zaczął rozsyłać zaproszenia - wydrukowane na grubym kremowym papierze, w ogromnych kopertach ze złotą lamówką, jak zaproszenia na ślub. W jego entuzjazmie było coś cudownie dziecinnego: kupił sobie fantastyczną zabawkę za miliard dolarów i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pokaże ją kolegom.

Ponieważ uznał, że znam się na wydawaniu przyjęć - czy nie byłem redaktorem naczelnym Waszyngtońskiej Biblii Towarzyskiej? - przeznaczył mi rolę głównego organizatora kolacji. Przykazał mi nie żałować forsy na wydatki,

ale dopilnować, żeby była to najlepsza impreza w mieście. Strawiłem cały dzień na pospiesznych, nieskoordynowanych i bezskutecznych działaniach, zanim pokornie zwróciłem się o pomoc do mojego byłego pracodawcy - właścicielki „Podglądacza”. Powiedziałem jej nie owijając w bawełnę, że jestem w dramatycznej sytuacji: mam zorganizować przyjęcie, które przez okrągły rok będzie na ustach wszystkich, a nie mam nawet własnego smokingu. Oczywiście, że znajduje się w czołówce listy gości, wyjaśniłem; przecież to jej magazyn wypromował Galvina w kręgach towarzyskich stolicy. Pod tym względem mogła więc uważać, że jest to kolacja także na jej cześć. Czy w związku z tym mogłaby - i zechciała - służyć radą?

Nikt, kto zna sposób życia i myślenia mieszkańców Waszyngtonu, nie zdziwi się, gdy powiem, że moja była chlebodawczyni, która zaledwie kilka dni wcześniej wyzywała mnie od najgorszych, teraz chętnie zgodziła się mi pomóc. W mieście dworzan panuje wieczna terażniejszość; każde, nawet najdrobniejsze zawirowanie w konstelacjach władzy powoduje natychmiastowe i nieodwracalne wymazanie przeszłości. Ta kobieta zdawała sobie z tego sprawę, tak jak i z wielu innych rzeczy. Z przyjemnością poleciła mi odpowiedniego kucharza, kwiaciarnię, orkiestrę, barmana, parkingowego, dostawcę alkoholi, jedzenia i namiotów. Przedstawiciele tych szacownych firm czym prędzej przybyli się z nami spotkać i przedstawić swoje oferty. Właścicielka „Podglądacza” przeglądała je, domagała się dwudziestu pięciu procent zniżki, po czym godziła się na dziesięć i podsuwała mi kontrakt do podpisania. Kiedy na jednej z takich sesji negocjacyjnych pojawił się Galvin, obrzucił ją spojrzeniem wyrażającym bezgraniczną, nieudawaną aprobatę. Niczego więcej nie potrzebowała do szczęścia.

Wkrótce pod dom zaczęły zajeżdżać ciężarówki, z których wyładowywano porcelanową zastawę, stoły i krzesła. Pojawiły się namioty, jakich nie powstydzilby się cyrk Barnuma, składany parkiet taneczny tej wielkości, co

ograniczone bazami karo na boisku baseballowym, gąszcz świeżych kwiatów i tyle alkoholu, że dałoby się w nim zwodować krążownik. Zadowolony Galvin z łagodnym uśmiechem obserwował całe to zamieszanie. Wracał z kortu, przyjemnie zmęczony po lekcji tenisa z zawodowcem - który chyba bez przerwy był do jego dyspozycji - i patrzył, jak użeram się z którymś z dostawców.

- Ile ma być krewetek? - pytał.
- Dwa tysiące - odpowiadałem. Wypadało po cztery sztuki na osobę.
- Zamówcie jeszcze drugie tyle! - ordynował.

Podobny dialog powtarzał się przy krabach, ostrygach, kawiorze i wędzonym łososiu. Kiedy zaś przypominałem Galwinowi, ile każde podwojenie zamówienia kosztuje, cały promieniał. Jaki szczęśliwy jest człowiek, który urządza taką fetę, zdawały się mówić jego oczy.

Po południu tego dnia, kiedy nieuchronnie zbliżało się przyjęcie, byłem tak spięty, że uznałem, iż dobrze byłoby się czymś naszprycować. Nawyk ten pozostał mi z czasów edukacji sentymentalnej w latach siedemdziesiątych, kiedy to zdobyłem pewne doświadczenie w aplikowaniu sobie rozmaitych leków. Zadzwoiłem do mojej lekarki z nadzieją, że przepisze mi valium, klonopinę, syrop na kaszel - cokolwiek! - ale wyjechała z Waszyngtonu, a dyżurująca pod telefonem okrutna pielęgniarka nie chciała mi pomóc. Postanowiłem więc zadowolić się środkiem otępiającym starszej generacji, lecz równie skutecznym, znanym pod nazwą martini.

Wzmocniwszy się w ten sposób włożyłem pożyczony smoking i zajęchałem moją hondą pod dom Galvina. Przybyłem pierwszy i pierwszy mogłem podziwiać - z niekłamanym zdumieniem - efekty naszych wysiłków.

Udało nam się stworzyć krainę jak z bajki. Drzewa wzdłuż wiodącego do domu podjazdu obwieszono maleńkimi, złocistymi światełkami, które migotały

poruszane wieczorną bryzą, przeobrażając alejkę w drogę do baśniowego pałacu. Na jej końcu stał ogromny ceglany dom, podświetlony kilkunastoma reflektorami; cały zdawał się lśnić własnym blaskiem, jak statek kosmiczny, który właśnie przybył z sąsiedniej galaktyki. Tu wewnątrz nadawały girlandy kwiatów i niezwykle kolory obrazów z kolekcji Galvina, do której ostatnio włączył fantasmagorycznego Diebenkorna i ponurego, czerwono-czarnego Motherwella. Jednak tego wieczoru wewnątrz domu było zaledwie przedsionkiem, z którego przechodziło się do skąpanego w feerii barw i świateł ogrodu.

Najbardziej oszołomił mnie chyba fakt, że nawet pogoda sprzyjała Sandy'emu Galwinowi. Lato kończyło się na dobre, ale późnowrzesniowy wieczór był ciepły i absolutnie bezchmurny, jakby sami bogowie, zaciekawieni przedstawieniem, które lada chwila miało się rozpocząć, chcieli je bez przeszkód obejrzeć. Na wschodzie, za rzeką, na niebo wypłynął księżyc w pełni - idealnie okrągły, widmowo biały i niewiarygodnie wielki. Było za jasno, żebym mógł widzieć gwiazdy, ale z pewnością ich tam nie brakowało: po jednej na każde ziarnko piasku w oceanach, na każdą kropelkę farby drukarskiej w gazecie pana Galvina. Wychodząc przez szklane drzwi do ogrodu słyszałem dźwięk skrzypiec: grały na próbę kilka nut walca Straussa, cichły, przestrayały się i zaczynały wesoło od nowa.

Przystrojony odświętnie ogród przywodził na myśl scenę zabawy, uwiecznioną przez Renoira w słynnym „Moulin de la Galette”. To Galwin wpadł na taki pomysł; ja z początku uznałem, że musiał do reszty zwariować. Teraz jednak, kiedy ujrzałem efekt końcowy, zapało mi dech w piersi. Papierowe lampiony zwieszały się z drzew, zalewając dziedziniec zmienną poświatą i budząc delikatne cienie. Po bokach, wzdłuż pochyłego trawnika, postawiono dwa duże namioty - jeden dla jedzących, drugi dla tancerzy. Rosnące dalej drzewa obwieszono maleńkimi złotymi lampkami, tak jak przy podjeździe;

migotały i skrzyły się niczym sad pełen bożonarodzeniowych choinek. W jednym z namiotów orkiestra prowadziła ostatnie próby, w drugim zaś uwijała się obsługa kuchni, wnosząc przystawki i parujące potrawy na półmiskach.

Dostrzegłem Galvina, jak przez wysokie okno podziwiał swoje dzieło. Wzrok miał czujny i pełen nadziei; czekał na kogoś. Przygotował doskonałą scenę i czekał, aż pojawią się na niej aktorzy, a zwłaszcza jeden z nich, którego on już widział oczami duszy, a który dla mnie wciąż pozostawał niewidoczny.

Dwie godziny później ogród wypełnił się gośćmi. Ja już wiedziałem, że przyjęcie zapowiada się doskonale - ludzie naprawdę tego sobie popijali. Zazwyczaj w Waszyngtonie goście przy każdej okazji podkreślają, że są abstynentami; picie oznacza rozluźnienie i odprężenie, wiąże się z ryzykiem chlapania jakiegoś głupstwa, popełnienia błędu, odsłonięcia się. Pijąc człowiek nie pracuje, a mieszkańcy stolicy pracują na okrągło -zwłaszcza dziennikarze, którzy w abstynencji i unikaniu ryzyka nie mają sobie równych. Ten wieczór wyglądał jednak inaczej, jakby pełne odprężenie było ceną, jaką płaci się za wstęp na bal.

Listę gości Galwin ułożył po mistrzowsku, kierując się godną zwycięzcy wspaniałomyślnością. Zaprosił Hazenów i Crosbych - nie tylko młodych, których głosom zawdzięczał powodzenie, ale także seniorów. Dawni właściciele zajęli kilka stołów w namiocie barowym i przyjmowali uściski dłoni i najlepsze życzenia z manierami godnymi generała Lee pod Appomattox. Wszyscy, poza Ariane, która kręciła się wśród gości i przedstawiała Galvina tym, których powinien poznać: ogłoszeniodawcom, wiceprezesom ważnych firm, lojalnym sługom rodu. Miał szczęście, że ją sobie pozyskał. Jeśli chciał marzyć o sukcesie, musiał zachować łączność z przeszłością.

Przechadzał się wśród tłumu niczym John D. Rockefeller rozdający dziesięciocentówki. Wszyscy chcieli z nim porozmawiać; nie ulegało

wątpliwości, że to jego przyjęcie, ale czuło się też, że tego wieczoru cały Waszyngton należy do niego. W mieście przemijających ludzi i wartości gazeta była jedynym stałym elementem krajobrazu. Dyktowała obraz rynku tych walorów, które liczyły się najbardziej: wpływów, władzy, reputacji. Kiedy przechodziła z rąk do rąk, przypominało to zmianę rządu.

Spacerujący pomiędzy gośćmi w ogrodzie francuskim, skąpany w łagodnym blasku papierowych lampionów, sam Galvin przywodził na myśl twór boski: wysoki, muskularny, elegancki, ubrany jak spod igły, pokazywał światu twarz, na której próżno by szukać śladów nieprzespanej nocy czy pełnego zmartwień dnia. Był człowiekiem roku. Podobno George Washington musiał zostać naszym pierwszym prezydentem, bo nikt równie dobrze nie prezentował się na koniu. W Galwinie dostrzegało się podobną wyjątkowość.

Kręciłem się na obrzeżach tłumu, podglądając wszystkie znane osobistości. Zjawilo się trzech sędziów Sądu Najwyższego - z pewnością dość, by wszcząć poważną dysputę; przybył również marszałek Izby Reprezentantów, który mimo smokingu nieodparcie przypominał mi maskotką z reklamy ciasteczek Pillsbury; sekretarz skarbu przyjechał wcześniej i prędko nas opuścił - był chudy niczym chart wyścigowy i przygarbiony, jakby pieniądze, którymi musiał na co dzień się zajmować, ciążyły mu okrutnie; nadęta sekretarz stanu co chwila znikala wewnątrz domu, by odbywać niecierpiące zwłoki rozmowy telefoniczne. Chodziły słuchy, że jej kariera dobiega końca, ale kto mógł to wiedzieć na pewno? Wiceprezydent bawił w namiocie tanecznym, podrygując z żoną w takt melodii, do której kroki nie zmieniły się pewnie od czasu, kiedy poznali się na popołudniowej potańcówce w szkole średniej. W środowisku waszyngtońskim poczytywano mu za plus, że łatwiej przychodziło wyobrazić sobie jego żonę romansującą z innym mężczyzną, niż jego spotykającego się z kochanką.

Wszędzie roilo się od dziennikarzy, którzy masowo podpierali maszty namiotów, rozmawiając głównie między sobą - bo któż mógłby być bardziej



interesujący? Powtarzała się wśród nich opinia, że prezydent jest skończony; sondaże wykazywały dobitnie, że jego pozycja słabnie z dnia na dzień, przy czym, jak ktoś powiedział, nie chodziło o to, co faktycznie zrobił, tylko co się ludziom wydawało. Nie, to zupełnie nie tak, zaproponował ktoś inny. Najgorsze było to, że prezydent nie przeprosił szczerze za to, co wydawało się, że zrobił. Dziennikarze wiedzieli wszystko, nie wiedząc nic. Nie spotkałoby się już ich w barze sałatkowym, gdzie kiedyś na wyścigi pałaszowali darmowe krewetki. Już nie. Osiągnąwszy mistrzostwo w zawodowej bierności, zarabiali więcej niż wielu biznesmenów i prawników. Ja też byłem jednym z nich. Dlaczego ich tak nie lubiłem?

Obok mnie przepłynęła właścicielka „Podglądacza” w żółtej bufiastej sukience, która pasowałaby jakiejś dawnej gwiazdce telewizyjnej, takiej jak Dinah Shore czy Florence Henderson. Wyglądała w niej wspaniale, w ten absolutnie sztuczny sposób, jaki przeminął wraz z tamtymi czasami. Szła uwieszona u ramienia Samochodowego Sprzedawcy Roku, którego mieliśmy zamiar przedstawić w gazecie kilka numerów wcześniej i którego w ostatniej chwili zastąpiliśmy Galvinem. Wyglądało na to, że Sprzedawca Roku rozstał się właśnie z żoną i zaczynał pojawiać się w towarzystwie. Może jednak zdarzają się szczęśliwe zakończenia...

Przeszedłem do kamiennego murku nad rzeką. Księżyc wzniósł się wyżej, oblewając trupioblady światłem wolno toczącą swe wody rzekę. Chciałem odpocząć; cały ten niezasłużony awans i niechlubna sława strasznie mnie męczyły. Nagle, bez wyraźnej przyczyny, ludzie zrobili się dla mnie mili i uprzejmi, ja zaś miałem ochotę odburknąć każdemu przymila-jącemu się dupkowi: „A gdzie się podziewałeś przedwczoraj, kiedy byłem żalosną marionetką bez pieniędzy i w rozsypującej się hondzie?”

Zamiast tego jednak ścisnąłem im dłonie i odpowiadałem półśmiechem na życzenia wszelkiej pomyślności. To był zły znak.

Niedaleko ode mnie, przy murze zatrzymało się dwóch pogrążonych w rozmowie mężczyzn. Jednym z nich był Galvin. Spoglądał na drugi brzeg rzeki, na odległe światła Waszyngtonu i popijał szampana. Jego towarzysz cały czas mówił; przysiadł na murku poniżej Galvina. Miał pokaźny brzuch, rzędzące blond włosy i zmęczony wyraz twarzy. Był chyba mniej więcej w wieku Galvina - pod pięćdziesiątkę - ale wyglądał znacznie starzej. W ręku trzymał dużą szklankę whisky, a ja nie potrzebowałem wiele czasu, żeby się zorientować, że jest mocno wstawiony. Chwilę trwało, zanim rozpoznałem w nim Howarda Bacona, redaktora naczelnego „Suna”.

- Jestem za stary na uprzejmości - mówił właśnie. - Za dużo strawiłem lat w tej robocie, pod zbyt wieloma właścicielami. Dlatego też pytam wprost: co zamierzasz zrobić z gazetą?

- Ulepszę ją - odrzekł Galvin. - A ty i twoi ludzie mi w tym pomożecie.

- Ładnie powiedziane. Trudno się z tym nie zgodzić. Ale dla kogo będzie lepsza? Dla ogłoszeniodawców, którzy klną nas w żywy kamień? Dla prezydenta, który dzień w dzień skamle, że nie zachowujemy się wobec niego uczciwie? A może dla jego przeciwników w Kongresie? Albo dla Czarnej Kliki, Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego, Stowarzyszenia Emerytów, klubu absolwentów Yale... Kogoś pominąłem?

Nie ulegało wątpliwości, że jest zdrowo napruty.

- Dla czytelników - odparł łagodnie Galvin.

- Ależ oczywiście, oczywiście. Nie zwracaj uwagi na moje gadanie. Za dużo się w życiu najeździłem i zużyte opony czasem piszczą bez powodu. Przyznaję też, że niedobrze mi się robi, kiedy słyszę te wszystkie skargi na gazetę, naprawdę. Jedno przemawia na naszą korzyść: wkurzamy wszystkich, więc chyba odwalamy dobrą robotę, nie?

Galvin zmarszczył brwi.

- Nie do końca rozumiem, dlaczego wkurzanie wszystkich po równo ma być dla nas dobre, Howardzie. Czemu myślisz, że ludzie powinni cię nienawidzić? Może faktycznie mają powody, żeby nie lubić „Suna”; będziemy musieli o tym porozmawiać.

- Absolutnie. Bez wątpienia. O wszystkim porozmawiamy, w końcu to ty jesteś teraz szefem. Robiłem, co mogłem, żeby gazeta była lepsza, ale powiem ci coś szczerze: czasem popadam w rutynę, zapominam, po co wybrałem sobie taką pracę. Pióro stępsiało, obraz świata się rozmazuje... Rozumiesz, o co mi chodzi? - Bacon podniósł wzrok na Galvina. -Nie, nie sędzę. Ale dla nas to wcale nie jest łatwe. Wszystkim przydałby się zastrzyk energii i nowe pomysły. Chciałbym tylko mieć pewność, że będą sensowne.

Bacon przemawiał smętnym, zamyślonym głosem, jakiego mężczyźni uczą się w średnim wieku, kiedy biorą się za rozrachunek z życiem i okazuje się, że nie wszystkie pozycje się zgadzają. Zaczynałem już dostrzegać coś podobnego wśród znajomych po czterdziestce - ten pusty, nieobecny wzrok, to poczucie niespełnienia. Ciekawe jednak, że nigdy nie zauważyłem tego u Galvina; ten człowiek w dalszym ciągu piał się w górę, szukał, miał ambicje. Pytanie: „Czy to wszystko?” nawet przez myśl mu nie przeszło. Gorycz Bacona znudziła go, więc zmienił temat:

- Co mówią ludzie w redakcji? Mam na myśli reporterów i redaktorów: co sobie myślą?

- Prawdę mówiąc, srają w portki ze strachu. Nie wiedzą za wiele o tobie, ale to, co słyszeli, na pewno im się nie podoba. Boją się, że wylejesz masę ludzi, podzielisz ekipę na zespoły, które zajmą się tworzeniem nowych działów... „Dzisiaj w telewizji”, „Ciekawostki z zagranicy” i tak dalej... i gazeta oklapnie. „Sun” podoba im się taki, jaki jest teraz; są z niego dumni. Nie chcą widzieć, jak

się zmienia.

- Każda zmiana jest bolesna. - Galvin położył Baconowi rękę na ramieniu. -  
Ja też będę z tobą szczery, Howardzie. Naprawdę mam nowe pomysły.

Szczegóły zachowam na bardziej sprzyjającą chwilę, ale nie zamierzam bawić się w żadne gierki. Gazetę czeka wstrząs, bo nie ukrywam, że moim zdaniem tego jej właśnie trzeba. Potrzebni mi są redaktorzy, którzy mi w tym pomogą.

- Wysłuchałem cię - przytaknął niezobowiązująco Bacon. - Wiadomość została odebrana.

Zeskoczył z muru. Był kompletnie rozbity; twarz miał zniszczoną latami stresu, litrami alkoholu i setkami napiętych terminów. Zachwiał się i zrobił kilka niepewnych kroków. Zgotował sobie najgorszy los, jaki może czekać dziennikarza.

- Zechce mi pan wybaczyć - powiedział - ale jestem zmuszony odszukać jedną z pańskich toalet.

Galvin odprowadził go wzrokiem i odwracając się w stronę domu dostrzegł mnie, stojącego w cieniu.

- Pewnie wszystko słyszałeś - mruknął.

- Wszystko. To żalosne. Nie nazwałbym pana Bacona tytanem pracy dziennikarskiej. Słyszałem za to, że w „Sunie” mają teraz jakiegoś bystrego nowego szefa „Stylu życia”.

Uśmiechnął się. Tego wieczoru nic nie było w stanie popsuć mu dobrego humoru.

- Nie należy oceniać człowieka, który trzyma w ręku szklankę whisky. Taki osąd zawsze jest błędny.

Przyjęcie ciągnęło się do późna w noc i to nie dlatego, że ludzie przybywali i

odchodzili - nie: goście przyszli i zostali, co stanowiło kolejną ciekawostkę w Waszyngtonie. Na co dzień obowiązywała zasada: „O jedenastej gasimy światło, żeby wszyscy wypoczęci poszli jutro do szkoły”. Może Galwin i tę regułę zamierzał zmienić.

Kręciłem się tu i ówdzie, zdając sobie sprawę, że nie widziałem jeszcze nawet połowy zaproszonych - tak ogromna była to impreza. W namiocie orkiestra ponownie zaczęła przygrywać do tańca; zabrzmiały stare, świetne standardy Glenna Millera, przeboje z Broadwayu, a nawet walc, który parę godzin wcześniej ćwiczył skrzypek. Zwabiony muzyką zajrzałem do namiotu. Ludzie stali w kręgu wokół parkietu, obserwując jedyną tańczącą parę. Nareszcie przejrzałem na oczy - i poczułem się tak, jakbym dostał obuchem w łeb.

Galwin delikatnie trzymał Candace w ramionach, poruszając nią w tańcu to lekkim drgnieniem ramion, to posuwistym ruchem ud. Nie widziałem jej wcześniej, co przy tylu ludziach i mojej skłonności do chowania się po kątach nikogo nie powinno dziwić. Wyglądała cudownie. Szczesane w tył włosy podkreślały uroczą linię kości policzkowych i wdzięczną szyję. Candace miała na sobie przybraną perłami, długą czarną suknię, tak delikatną, jakby w całości wykonano ją z koronki. Od lat skrycie podziwiałem Candace, ale nigdy jeszcze nie widziałem, żeby tak pięknie wyglądała.

Muzyka ucichła, ale oni wciąż stali przytuleni i zatopieni w rozmowie. Galwin szepnął jej coś do ucha z tym swoim delikatnym, chłopięcym, nieodpartym uśmiechem. Roześmiała się. W tym momencie orkiestra znów zagrała i zaczęli tańczyć. Po ich ruchach dało się poznać, że nie pierwszy raz to robią; jej ciało zdawało się w lot pojmować intencje jego ciała, płynęło wraz z nim jak liść niesiony podmuchem wiatru. Poza nimi nikt nie wszedł na parkiet - nikt się nawet nie poruszył. Staliśmy jak wrośnięci w ziemię. Nowy właściciel „Suna” tańczył z naczelną działą zagranicznego, a gdy muzyka ponownie

umilkła, wszyscy biliśmy im brawo.

Byłem takim głupcem... Niczego nie widziałem, nawet wtedy, gdy wszystko powinno być dla mnie oczywiste. Kiedy Galvin wypytywał mnie o lunch z Candace, cieszyłem się, że jestem sprytny, bo udzielał mi cennych informacji. Kiedy wyznał mi, że kupuje gazetę z miłości, uznałem, że kpi ze mnie. Nawet kilka godzin wcześniej, widząc go w oknie sypialni, jak patrzy na rozpościerający się w dole ogród, nie wpadłem na to, że twarz, której tak niecierpliwie wypatruje, należy do niej. Zapewne całe to przyjęcie, do którego organizacji tak się pilnie przykładałem, było częścią spektaklu odgrywanego specjalnie dla Candace.

Przez jakieś pół godziny wałęsałem się otępiały po ogrodach. Nie powinno mnie to tak ruszyć; Bóg jeden wie, że nie miałem prawa zgłaszać żadnych pretensji do Candace, ale była jedynym obiektem moich fantazji. Chociaż nigdy nie byłem z nią sam na sam w intymnej sytuacji, w jakiś tajemniczy sposób rozwinąłem w sobie godną kochanki dumę posiadacza, przekonanie, że tylko ja jeden potrafię docenić niezwykłość Candace. Teraz zaś, ujrzawszy ich razem na parkiecie, zrozumiałem, że wszelkie moje roszczenia były z gruntu niesłuszne i absurdalne. Czułem się zdruzgotany. Nie umiem tego w pełni wyjaśnić.

Dla mnie przyjęcie się skończyło; czas było zbierać się do domu. Idąc przez dom ku drzwiom frontowym minąłem nieduży gabinet, w którym spędziliśmy z Galvinem długie godziny, planując przyjęcie i przyszłość gazety. Drzwi były lekko uchylone, tak że mogłem dyskretnie zerknąć do środka: siedzieli na sofie. Nie całowali się, nie trzymali za ręce - po prostu rozmawiali. Usłyszałem wybuch śmiechu. Galvin wspominał jakieś zabawne wydarzenie z przeszłości, a Candace chichotała perliście. Nigdy nie słyszałem, żeby tak się śmiała. To był dźwięk najczystszej radości.

Nie wiem, przez kogo czułem się bardziej zdradzony - przez nią czy przez

niego, ale wiedziałem, że to idiotyczne. Nie byłem rzeczywistym człowiekiem; istniałem tylko w dwóch wymiarach, a miłość jest dla ludzi, którzy zajmują w świecie trochę więcej miejsca. A jednak nawet taki ktoś rozumie istotę teatru; ba, przewyższa w tej sztuce zwykłych ludzi. Umie kryć się w cieniu, zniknąć w przepastnych szczelinach ludzkiej ambicji i pożądania.

Candace Ridgway mieszkała w Georgetown, przy wąskiej uliczce, zamieszkaney głównie przez emerytowanych szpiegów i dyplomatów. Miała dwupiętrowy, ładny dom z cegły, z kutymi żelaznymi schodkami z przodu i pocztówkowym ogródkiem na tyłach. Wnętrze było jasne i przestronne, proste meble współgrały ze starą drewnianą podłogą i boazerią. Taki dom mógł należeć tylko do osoby samotnej, a nawet więcej - tylko do samotnej kobiety. Próżno by w nim szukać telewizora. Panował w nim idealny, prawdziwie kobiecy porządek: okna lśniły czystością, marszczone zasłony były precyzyjnie upięte, dywany idealnie płaskie, bez fałd. Każdy przedmiot miał swoje miejsce.

Nad kominkiem wisiał dziewiętnastowieczny portret ładnej, jasnowłosej kobiety. Miała bluzkę z wysokim, sztywnym kołnierzykiem i włosy ułożone ściśle według obowiązującej wówczas mody, lecz malarzowi udało się uchwycić namiętny błysk w oku i rumieniec na policzkach. Candace mówiła mi kiedyś, że obraz przedstawia kogoś z jej rodziny, ale nawet bez jej wyjaśnień nie miałbym co do tego cienia wątpliwości. Na sąsiednim stoliku stało pochodzące z lepszych, szczęśliwszych czasów zdjęcie jej rodziców - romantyczny obrazek w prawdziwie nowo-angielskim stylu. Stali na pokładzie dwumasztowego jola „Concordia”, przemierzającego Atlantyk u wybrzeży Maine. Matka wyglądała, jakby na końcu języka miała jakąś ciętą uwagę, a ojciec już zawczasu się uśmiechał.

W kominku płonął nieduży, schludny ogień, przypominając gościom, że pani domu nie potrzebuje mężczyzny, przy którym grzałaby się w zimne noce. Nieopodal kominka stała wygodna kanapa i dwa fotele, a przy schodach

znajdował się suto zaopatrzony barek, który sygnalizował, że pani domu nie potrzebuje mężczyzny także po to, żeby robił jej drinki. Bardzo przyjemnie byłoby się w takim wnętrzu i pogawędzić, ale nie miało się wątpliwości, że jest to pokój kobiety, która za często spędza w nim czas sama, czytając książki.

Zadzwoiłem do Candace następnego ranka po przyjęciu. Do tego czasu moja rozpacz przygasła nieco i zranione serce się podgoiło. Powtarzałem sobie w duchu, że nie czuję bólu i kieruje mną czysta ciekawość; teraz, kiedy coś wiedziałem, chciałem poznać całą prawdę. Postanowiłem, że w taki właśnie sposób się na nich zemścę: dowiem się wszystkiego, co ich dotyczy.

Candace musiała chyba wyczuć napięcie w moim głosie, bo z miejsca zaprosiła mnie na późne niedzielne śniadanie. Nie ukrywam: lepiej się poczułem słysząc, że jest u siebie. Kiedy poprzedniej nocy opuszczałem Galwinową krainę bajek, miałem wątpliwości, czy Candace w ogóle wróci do domu.

Ale wróciła.

Otworzyła mi drzwi ubrana w białe szorty i żółtą koszulkę Lacoste, z takim małym krokodylem na lewej piersi. Na twarzy miała ogniste rumieńce: pracowała właśnie w ogrodzie, sadząc jesienne kwiaty. zaproponowała, żebyśmy wyszli na powietrze i napili się kawy, zanim słońce zacznie mocniej przypiekać. Ogród doskonale świadczył o jej stylu i umiłowaniu precyzji. Świeżo posadzone kwiaty tworzyły olśniewającą konstelację; ich płatki miały jaskrawe barwy tropikalnych ryb.

- Niezłe było to wczorajsze przyjęcie - zagailem. - Nie miałem pojęcia, że znacie się z Galwinem.

- Nikt o tym nie wiedział. Podejrzewam, że daliśmy niezłe widowisko.

Pokiwałem głową. Wrześniowe słońce delikatnie muskało jej twarz. Miała w sobie coś takiego, że przypominała mi którąś z modelek Renoira, taką świeżość,



jakby właśnie wyszła z kąpieli. Może to dlatego Galvin urządził swoją wersję balu w Moulin de la Galette; może też widział w niej jedną z kobiet z obrazu.

- Opowiedz mi o was. O tobie i Galwinie. Zgadzam się, że to nie mój interes, ale co z tego? Przez to jeszcze bardziej mnie interesujecie, bo gdyby to był mój interes, dawno bym wszystko wiedział. Opowiedz.

Spojrzała na mnie przeciągle, zastanawiając się, czy w ogóle mi odpowiedzieć. Widać było, że chce porozmawiać o Galwinie; poprzedniej nocy otworzyła jakąś sekretną kryjówkę, a teraz miała ochotę wypuścić mieszkającą w niej stwory na wolność. Było to jednak niebezpieczne, chociaż wtedy nie mogłem podejrzewać, jak bardzo.

- To już historia starożytna - odparła Candace. - Czy nadal jesteś zainteresowany?

Ależ tak, zapewniłem ją. Byłem. Jeszcze jak.

- Przyjaźniliśmy się w college'u, ale nie ułożyło się między nami najlepiej i na jakiś czas straciliśmy się nawzajem z oczu. Kiedy przed paroma miesiącami zjawił się w Waszyngtonie, chciał się ze mną umówić, ale odmówiłam; zbyt dużo wiąże się z tym emocji, żeby tak łatwo poszło. A potem nagle wszystko się pokomplikowało. Kiedy do ludzi dotarło, że Galwin chce kupić gazetę, postanowiłam zataić fakt, że go znam. Dziwnie bym się z tym czuła. Potem zaprosił mnie na to przyjęcie, poprosił do tańca... I to wszystko. Teraz wszyscy wiedzą albo sobie wyobrażają, że jesteśmy kochankami. A właściwie dlaczego tak cię to interesuje? Czy to zdrowy objaw?

- Wręcz przeciwnie: chory. Ale nie odmawiaj mi, bo już na zawsze pozostaniesz moim fetyszem.

- Jak ci to...

Złożyła dłonie i przytknęła je do warg, z których w końcu popłynęły słowa,

niczym rzeka w dawno wyschniętym korycie.

Jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku Candace przyjechała do Radcliffe. Świat znalazł się na krawędzi katastrofy. Każdy musiał to rozumieć, powiedziała. Było inaczej niż dziś. W tyglu wrzało; działy się niesamowite rzeczy. Dziani chłopcy z prywatnych szkół rozpowiadali o bliskiej rewolucji i nauce strzelania, łykali prochy i układali słowa: „Marzę o białych zamieszkach” do melodii „White Christmas”; na balach pierwszego roku tańczyło się pod portretem surowego A. Lawrence Lowella do piosenki „Street Fighting Man”; nikt nie wiedział, co dzieje się na poważnie, a co jest jedną wielką zgrywą. Powietrze przesycone było wonią seksu - wstydliwą, podniecającą, cudowną.

Poznali się z Galwinem na szkolnym dziedzińcu, po zajęciach. Było piękne jesienne popołudnie. On rzucał z kolegami frisbee, ona siedziała w słońcu na ławeczce, usiłując czytać Maxa Webera. Kiedy mecz frisbee się skończył, Galwin przysiadł się do niej i zagadnął z uśmiechem -spokojna, niewymuszona rozmowa nie sugerowała, żeby próbował poderwać Candace. Był od niej dwa lata starszy, za rok kończył studia. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił i zaproponował jej randkę. Powinna była zachować większą ostrożność: w Radcliffe faceci zawsze podrywali dziewczyny z młodszych lat, wyszukując ich nazwiska w spisie zwanym „świńską księgą”. Ale nie bała się go. Cechował go ujmujący, wesoły sposób bycia i pewność siebie godna raczej dojrzałego mężczyzny niż uczniaka.

Parę dni później poszli razem na wykład Normana Mailera - ot, klasyczna randka na Harvardzie. Niedawno ukazały się *Armie nocy* i Mailer stał się prawdziwym bogiem, na wykład przyszedł jednak pijany jak bela. To było smutne: wrzeszczał i pluł na wszystkich, których zobaczył. Candace chciała zadać mu pytanie o obiektywność reportażu; poważnie traktowała swoją karierę i już wtedy wiedziała, że chce zostać dziennikarką. Mailer obraził się. Zaczął ją wyzywać od kurew i głupich cip, ale zebrała się na odwagę i powiedziała mu, że

jest świnią, a nie prawdziwym dziennikarzem. Ludzie nie dali mu już dojść do słowa. To było coś niesamowitego; Galvin nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, tak mu się spodobało, że smarkata studentka Radcliff utarła nosa Normanowi Mailerowi.

Zabrał ją później do jakiejś irlandzkiej spelunki i długo rozmawiali. Candace ciągle rozpamiętywała wymianę obelg z najślawniejszym pisarzem Ameryki; Galvin śmiał się, przedstawiał ją przyjaciołom i kazał kelnerowi donosić piwa. Był zarazem przystojny i inteligentny - co nikomu nie mieściło się w głowie: rozum i uroda nigdy nie chodzą w parze. Odprowadził ją do Cabot Hall i długo pieścili się na jej łóżku. Nie spieszył się, nie ponaglał jej jak niedojrzały dzieciak; odczekał, aż się przed nim otworzy, aż zacznie się ocierać piersiami o jego tors, a jej ciało samo wygnie się w łuk. Tej pierwszej nocy nie „poszli na całość”; mogła się na to zgodzić, ale i w tym wypadku Galvin nie nalegał.

Pierwszy raz kochali się tydzień później. Prosiła, żeby był delikatny, bo jest prawie dziewicą. Roześmiał się i zapytał, co to może znaczyć, a ona odparła, że robiła to już raz, pod koniec wakacji, z chłopakiem, z którym spotykała się w szkole średniej. Prawie rok męczył ją, żeby mu uległa, aż wreszcie się zgodziła, ale wyszło to beznadziejnie: doszedł w dziesięć sekund, a później tak mu było wstyd, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Uznała więc, że ta jedna próba się nie liczy. Galvin za to znalazł się na rzeczy, toteż zapamiętała każdą chwilę: jak ją dotknął, jak zakręciło się jej w głowie i jak ugięły się pod nią kolana. I jaki czuły był dla niej po wszystkim.

Tak wygląda prawdziwa miłość, powiedziała sobie.

Prosił, żeby mówiła do niego „Sandy” i wyjaśnił, że imię zawdzięcza poecie Carlowi Sandburgowi. O ojcu mówił niewiele - wiedziała tylko, że jest urzędnikiem w związkach zawodowych. Chyba trochę się wstydził, że urodził się w Pittsburgu; z początku powiedział tylko, że pochodzi z „zachodniej

Pensylwanii". Skąd miał wiedzieć, że była w siódmym niebie, mogąc spędzać czas z kimś, kto nie należał do jej świata, świata ludzi uprzywilejowanych?

Chciał za to wiedzieć wszystko o jej ojcu. Dwight Ridgway, były urzędnik Pentagonu, był osobą stosunkowo mało znaną na kampusie. Młodzi lewacy nazywali go zbrodniarzem wojennym, ale Galvin chciał znać prawdę. Może sam już przymierzał się do zrobienia kariery i oceniał konkurencję. Candace starała mu się wyjaśnić, jakim człowiekiem był jej ojciec, zanim wojna odcisnęła na nim swoje piętno. Nie miała łatwego zadania, bo jak można opisać człowieka, na którego barkach - jeśli wierzyć wspomnieniom z dzieciństwa - wspiera się całe sklepienie niebieskie? Candace była jedynaczką, toteż wszystkie ambicje i aspiracje ojca skupiły się na niej. Chciał, żeby była piękna i odważna, uczciwa i przebiegła. Zachęcał ją do podejmowania ryzyka - i zawsze służył wsparciem, jeżeli noga się jej powinęła. Nie przypadkiem, powiedziała, przeciętne dziecko najpierw uczy się mówić „tata”, a dopiero potem „mama” - to ojciec więcej się z nim bawi i zachęca je do robienia coraz to nowych rzeczy. Niestety, to ojciec częściej odchodzi.

Jej ojciec od paru lat niedomagał. Niewiele się o tym w domu mówiło, lecz Candace zdawała sobie sprawę, że coś jest z nim nie w porządku. Był wiecznie zmęczony, za dużo pił - coś, czego nie rozumiała, pozbawiało go energii i siły ducha. Poprzedniej wiosny trafił do szpitala i spędził tam sporo czasu, ale matka ani słowem nie zająknęła się na temat jego choroby. We wrześniu, kiedy odprowadzał Candace do samolotu, miał łzy w oczach. Nigdy przedtem nie widziała go płaczącego.

Jesień tamtego roku na Harvardzie przypominała nie kończącą się prywatkę. Nikt się szczególnie nie przykładał do pracy, na kampusie panowało zbyt wielkie zamieszanie. Candace i jej nowy chłopak dali mu się porwać: całymi dniami i nocami kochali się i brali narkotyki. Dopiero po paru latach ludzie stali się ostrożniejsi i poprzestawali na zwykłych prochach - amfetaminie i kokainie -

ale w siedemdziesiątym roku młodzi mieli do dyspozycji całą gamę ciekawych środków: trawę, kwas, meskalinę, pejotl. Candace z Galvinem próbowali meskaliny. Była jedną z tych osób, które musiały popróbować wszystkiego - i teraz, po latach, nie wstydziła się przede mną przyznać, że strasznie się jej to podobało.

Łykali obrzydliwe tabletki w pokoju Galvina w Adams House. Na samym początku, gdy specyfik działał bardzo intensywnie, leżeli w łóżku, słuchali muzyki i patrzyli, jak tapeta rozpływa im się w oczach. Czasem Sandy kładł jej wilgotny ręcznik na czole albo po prostu dmuchał jej na policzki. Drobne doznania zmieniały się w wielkie, jakby pasmo każdego nerwu ulegało rozszerzeniu, żeby przetransmitować kosmiczne fale informacji. Czasem się kochali. Było to bardzo intensywne i bardzo dziwne uczucie -halucynować mając w sobie mężczyznę. Potem szli na spacer nad rzekę. Oczy wyłaziły im z orbit - wszyscy pewnie widzieli, że są na haju - gdy kładli się na brzegu i patrzyli, jak chmury zmieniają się w dzikie zwierzęta. Tak właśnie doszła do wniosku, że kocha Sandy'ego: leżała na trawie nawalona po dziurki w nosie, a mimo to czuła się zupełnie bezpieczna, tylko dlatego, że leżał obok niej.

To właśnie odróżniało Sandy'ego Galvina od innych ludzi: targany wstrząsami świat rozpadał się, a on trzymał się mocno niczym blok betonu. Nawet włosy obcinał krótko, tak jak w szkole średniej. Tak przyzwoicie wyglądał, że ludzie brali go za studenta prawa. Nie przestał też uprawiać sportu: do drugiego roku studiów, kiedy to złamał sobie kostkę, boksował z kolegami, grywał w pelotę i futbol. Był jedynym znanym Candace przystojnym facetem, który miał głowę na karku. Podejrzewała, że bierze narkotyki głównie dlatego, żeby do reszty nie stracić kontaktu z kumplami w tych obłąkanych czasach: kto choć trochę nie zwariował, nie liczył się.

W któryś weekend, w połowie października - blisko Halloween - wybrali się na wycieczkę w góry. Liście zmieniły już barwy, malując wzgórza w New

Hampshire szkarłatem i szafranem; robiło się zimno. Dwie czy trzy godziny wspinali się stromą ścieżką, by dotrzeć nad górskie jezioro, lodowate, błękitne, otoczone niebosiężnymi świerkami. Sandy rozpałił ognisko, wyciągnęli śpiwory i upiekli ryby, które wcześniej złowił w jeziorze. Byli tak zmęczeni wędrówką, że po kolacji nie mieli siły się kochać i od razu poszli spać, ale obudzili się w środku nocy. W ognisku żarzyło się zwęglone drewno, a gwiazdy wydawały się tak wielkie i bliskie, że wystarczyło sięgnąć ręką, żeby zdjąć je z nieba. Tym razem kochali się.

Nigdy nie czuła się tak cudownie: seks, miłość, bezkresne niebo... Zasnęli przytuleni we wspólnym śpiworze, objęci tak ciasno, że nie mogli się poruszyć.

Rankiem Galvin spytał, czy wyjdzie za niego za mąż. Trzęsa się z zimna przy tych oświadczeniach, bo w nocy temperatura znacznie się obniżyła. Na ziemi pojawił się szron.

Nie rozumiał, dlaczego Candace płacze.

Kiedy opowiadała mi tę część historii, w oczach znów zaszklily się jej łzy. Ten krystalicznie czysty jesienny poranek stał się początkiem złych czasów. Odmówiła. W jej przekonaniu szaleństwem byłoby wychodzić w takim momencie za mąż: dopiero zaczynała studia, jej ojciec z wolna popadał w chorobę psychiczną, miała chłopaka, który świata poza nią nie widział. Tego było dla niej za wiele. Przeciążone obwody odmówiły posłuszeństwa i w odruchu obronnym zaczęły się jeden po drugim wyłączać. Sandy nie nalegał, ale też nigdy do końca nie zrozumiał, co złego stało się tamtego ranka nad jeziorem.

Przez całą zimę Candace słuchała bluesowego utworu Joni Mitchell *Urge for Going*, piosenki o bliskiej, nieuniknionej stracie, o przedwczesnym mrozie, który ścina resztki lata i sprawia, że człowiek jest gotowy odejść, mimo że na razie jakoś się trzyma. Podśpiewywała ją sobie cicho, a Galvin obejmował ją i tulił mocno. Nie rozumiał, a ona nie mogła mu wytłumaczyć.

Rok jeszcze trwało, zanim romans dobiegł końca - przestali się spotykać dopiero po śmierci jej ojca. Zapytałem, co ostatecznie doprowadziło do ich rozstania, ale Candace nie chciała o tym mówić. Miała zaczerwienione od łez oczy i była wyczerpana. Dość wysiłku kosztowało ją wspomnienie pierwszego roku na Harvardzie i powrót w ramiona mężczyzny, którego kochała; nie chciała dodatkowo rozpamiętywać rozstania. Weszła do domu, żeby przez chwilę побыć sama, ja zaś pomyślałem, jak dziwnie wygląda, kiedy płacze: wargi jej drżały, a wszystkie mięśnie twarzy oklapły nagle, jakby na moment straciła nad nimi panowanie.

Wróciła kilka minut później i przeprosiła mnie, że musiałem siedzieć sam. Pozbierała się już - błyskawicznie, muszę przyznać. Zrobiło mi się trochę przykro, bo pięknie wyglądała przed chwilą, zagubiona w czasie, ale rozumiałem ją. Przepraszała, że tak się rozkleiła; przecież nigdy, ale to nigdy się jej to nie zdarza. Nie chciała, żebym wyrobił sobie fałszywą opinię na jej temat. Nadal była Mistrzynią Faktu.

Rozmowa zesłała na kłopoty prezydenta. Candace teoretyzowała, że miał ojca alkoholika i gotów jest robić najdziwniejsze rzeczy, żeby ludzie go kochali, ale w tym tygodniu wszyscy bawili się w prezydenckich psychoanalityków. Stało się to niemal narodową rozrywką ciekawszą nawet od baseballu.

Zjedliśmy parę bułeczek, popiliśmy kawą. Powiedziałem Candace, że będę pracował w „Sunie”, bo Galvin postanowił zwolnić dotychczasowego redaktora „Stylu życia” i mnie oddać tę rubrykę. Wyglądała na szczerze ucieszoną tym faktem.

- Będziemy razem! - wykrzyknęła.

Poczułem się prawie szczęśliwy na myśl o tym, że mając wyjątkowo paskudny nastrój będę mógł zakraść się do jej biura, pogapić na to nieosiągalne piękne ciało i usłyszeć jakąś niewinną obelgę.

Chciała, żebym już sobie poszedł, ale musiałem zadać jej jeszcze jedno pytanie. Na dobrą sprawą po to właśnie przyszedłem i nie byłbym sobą, gdybym wyszedł nie próbując uzyskać odpowiedzi. Zdążyłem dojść do drzwi, zanim moje usta uformowały wreszcie pożądane słowa:

- Czy ty dalej go kochasz?

Stała jak wryta i odwróciła niechętnie głowę. Z wyrazu jej twarzy poznałem, że wołałaby nawet sama sobie nie zadawać tego pytania, nie wspominając już o odpowiadaniu na nie.

- Nie wiem - odparła.

W dniu, w którym ostatecznie podpisano umowę, Galvin wprowadził się do dawnego biura pana Hazena na ostatnim piętrze budynku. Z okna rozciągał się widok na Foggy Bottom i płynący w oddali Potomac. Wezwał mnie do siebie, a kiedy przyszedłem, stał przy oknie i podziwiał dachy domów pod niebieskoszarym niebem.

- Czemu to miasto jest takie płaskie? - zapytał. - Jakby ktoś wziął nóż i równo ciachnął od góry cały Waszyngton. Abstrakcyjny widok.

Wyjaśniłem mu, że w mieście obowiązuje ograniczenie wysokości zabudowy i żaden gmach nie może przewyższać Kapitolu, ale miał rację: sceneria była cokolwiek nierzeczywista.

Na tabliczce na drzwiach widniał napis SANDY GALVIN i Galvin poprosił mnie, żebym od tej pory tylko tak się do niego zwracał. „Sandy” brzmiało dość miękko, jak na tak silnego mężczyznę, ale twierdził, że chce, by wszyscy tak do niego mówili. Został wydawcą gazety - nareszcie czuł, że staje się godzien swojego wielkiego imiennika, Sandburga. Podejrzewałem, że to pomysł Candace, która uznała, że jako Sandy będzie się mniej groźnie prezentował.

Nowy wydawca nie tracił czasu. Od razu pierwszego ranka zwołał zebranie



personelu kierowniczego, chcąc ustalić w zarysie strategię działania. Howard Bacon reprezentował sekcję wiadomości bieżących. Wyglądał lepiej niż na przyjęciu, ale tylko trochę lepiej. Powłócząc nogami wszedł do gabinetu postawny mężczyzna, który jak z rękawa sypał dowcipami. Okazało się, że nazywa się Frank Moran i jest szefem działu ogłoszeń. Równie niechętnie przybyli szefowie marketingu, księgowości, kolportażu i public relations. Traktowali mnie z szacunkiem, biorąc za zaufanego najemnika szefa. Przypuszczam, iż wszyscy bali się, że Galvin ich wyleje.

On tymczasem porozsadzał ich na sofach i kanapach i poprosił o przedstawienie pięciominutowych raportów z działalności podległych im działów. Ostatnie kilka dni poświęcił na przestudiowanie wszelkich dostępnych danych statystycznych: nakładu, cen druku, kosztów pracy i prognozowanych na resztę roku zysków. Sądząc po pytaniach, jakie zadawał, w sytuacji finansowej gazety orientował się niewiele gorzej niż jego nowi podwładni. Kiedy wszyscy się wypowiedzieli, pokręcił głową.

- To wszystko za mało - stwierdził.

Poprosił każdego z uczestników, by przed poniedziałkiem dostarczył mu pięć pomysłów, których realizacja pomogłaby zwiększyć zyski; jeżeli kogoś nie stać na pięć dobrych pomysłów, powiedział, niech lepiej zrezygnuje.

Oczekiwałem, że Galvin w roli wydawcy gazety będzie się rozkręcał powoli. Tak nakazywałby rozsądek, zwłaszcza w wypadku nowicjusza, który nie poznał jeszcze wszystkich meandrow i raf tej profesji. Tymczasem kolejny raz się pomyliłem. Galvin przypominał przełącznik elektryczny, który ustawia się tylko w dwóch pozycjach: włączony - wyłączony, i nie ma żadnych położeń pośrednich. Gazeta z miejsca stała się całym jego życiem, jakby nigdy nie miał rodziny, nigdy nic innego nie robił i nigdy nie doświadczył smutków i radości związanych z prowadzeniem tak wielkiej firmy. Nie ustawał w podsuwaniu

swoim pracownikom nowych pomysłów, strategii i planów. Przejął potężną instytucję i zgodnie z obietnicą wprawił jej fundamenty w drżenie. Wydawało się, że jest przekonany, iż bez terapii wstrząsowej nie dojdzie do żadnych zmian.

Co rano przyjeżdżał do pracy pierwszy, o wpół do ósmej - tylko dozorczy i ochroniarze byli na miejscu wcześniej - i przez godzinę czytał w skupieniu gazetę. Zakreślał żółtym mazakiem artykuły, które zwróciły jego uwagę, i wysyłał ich autorom krótkie notki: „Świetny reportaż o glinach!”, „Tę opowiadkę z Bośni już gdzieś czytałem...”, „A może napisać coś o rajdach samochodowych?” Wpół do dziesiątej zwoływał zebranie kierownictwa i robił burzę mózgów; okazało się, że ludzie mają trochę niezłych pomysłów - wszyscy poza Moranem od ogłoszeń, który wykazał się odrobiną rozsądku i zrozumiał, że czas się pożegnać. Galvin wzywał też na spotkania konsultantów, prosząc o niezależne recenzje „Suna”. Zaczął też przechadzać się po gmachu redakcyjnym, zaglądać do reporterów, pracowników składu i miłych pań w średnim wieku, które telefonicznie przyjmowały drobne ogłoszenia. Wszystkim zadawał to samo pytanie:

- Co zrobić, żeby sprzedawać więcej egzemplarzy gazety?

Przesiadywał w redakcji do późna w noc, rozmawiając z korektorami, ludźmi z nocnego serwisu informacyjnego i drukarzami; zazwyczaj trwał na posterunku aż do uruchomienia pras. Łatwo jest pokochać gazetę - u Galvina była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Zaczął też wprowadzać zmiany, i to takie, które ludzie musieli zauważyć. Zaczęło się od wizyty w rodzinnym sanktuarium w holu. W dzień po tym, jak Galvin zainstalował się w biurze, robotnicy zaczęli wynosić posągi i portrety rozmaitych Hazenów i Crosbych, którzy przez dziewięćdziesiąt lat kierowali „Sunem”. Osobiście nadzorował przebieg prac: zdjął krawat i podwinąwszy rękawy białej koszuli za łokcie, obserwował, jak robotnicy ładują na ciężarówkę

tony zabytkowego śmiecia. Rodziny właścicieli burczały wprawdzie z niezadowoleniem, ale im też pamiątki nie były do niczego potrzebne, więc graty trafiły do magazynu w Waldorf w stanie Maryland, gdzie miały czekać na dalsze decyzje.

Następnie Galvin zaczął dosłownie wyburzać ściany. Zamierzał otworzyć główny hol gmachu i urządzić w nim kawiarenkę, do której wchodziłoby się z ulicy. Z początku uznałem ten pomysł za jedną wielką bzdurę, ale postawił na swoim.

- Trzeba zaprosić do nas cały świat! - zbeształ mnie. - Najwyższy czas, żeby nasi ludzie przestali chować się za biurkami i zaczęli naprawdę żyć.

Wynajęta ekipa wyrznęła zatem wielką dziurę w fasadzie ze szkła i stali, tworząc otwarte, wysokie na dwa piętra patio. Od frontu Galvin kazał powiesić olbrzymią markizę, kolorową jak cyrkowy namiot i zachęcającą ludzi do wstąpienia do kafejki. Robotnicy uwijali się dzień i noc, on zaś spędzał większość czasu wśród nich, ponaglając i udzielając niechcianych rad.

Kiedy budowa dobiegła końca, Galvin wręczył robotnikom ogromny transparent i polecił rozwiesić go w poprzek nowego atrium. Transparent powstawał w' najgłębszym sekrecie, tak że nawet ja nic o nim nie wiedziałem, a wypisano na nim wielkimi literami nowy slogan reklamowy „Suna”: **BLIŻEJ ŻYCIA!**

O to właśnie chodziło. Tymi słowami Galvin odsyłał redaktorów, których teksty były zbyt długie lub zwyczajnie nudne; w ten sam sposób przyciskał dział produkcji, wymuszając dodruki egzemplarzy z najświeższymi wynikami ligi baseballowej. Uwielbiał to hasło i bez przerwy je powtarzał. Kazał je wypisać na pięćdziesięciu tysiącach specjalnie zamówionych znaczków, wpinanych w klapę marynarki. Sam pierwszy przypiął sobie taki znaczek, nie rozstawał się z nim i był niepokieszony, gdy okazało się, że personel redakcji nie poszedł w

jego ślady.

Zwróciłem na nich uwagę, gdy siedzieli zagadani w kafejce, przy oknie, w rogu; może myśleli, że nikt ich tam nie zauważy. Jedli podane na plastikowych tackach sałatki. Galvin był bez marynarki. Miał potężny tors; pomyślałem, że chyba szyje sobie koszule na zamówienie, żeby nie piły go pod pachami. Candace dostrzegła moje spojrzenie i pomachała mi, żebym podszedł bliżej. Zdawała sobie chyba sprawę, że stanowią obiekt powszechnego zainteresowania. Miała zakłopotany wyraz twarzy, jakby przyłapano ją na kradzieży w sklepie.

- O co chodzi? - spytałem.

- Candace chce więcej pieniędzy dla działu zagranicznego - poskarżył się Galvin. - Straszna z niej piła. Tłumaczę jej, że materiał o kryzysie finansowym w Indonezji nie przysporzy nam nowych czytelników w Falls Church, ale jest okropnie uparta.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - zapytałem.

Siedząca obok mnie nieugięta Candace zmeła w zębach jedno słowo: „pieniądze”.

- Dam jej to, czego chce - odparł szczerze zrezygnowany Galvin. Lubił, kiedy ktoś wybierał mu pieniądze z kieszeni. Zwłaszcza, gdy robiła to Candace.

- Rozumiesz go? - zagadnąłem, gdy Galvin wstał i odszedł od stolika.

- Chyba tak. Nie umie się na niczym dłużej skoncentrować. Łatwo ulega wpływom ostatniego rozmówcy, więc staram się zawsze być tym ostatnim.

- Jest w tobie zakochany.

- Nie jest. Dlaczego tak sądzisz?

Uderzyło mnie nagle, że oto odkryłem ślepą plamkę w duszy Candace: nie zdawała sobie sprawy z wpływu, jaki wywiera na mężczyzn. Wiele pięknych kobiet zachowuje się podobnie: są tak bardzo świadome własnej doskonałości, że nie potrafią przyjąć cudzego punktu widzenia.

- Widzę, jak ci się przygląda. Jesteś jego nagrodą. Czasem mam wrażenie, że to ze względu na ciebie kupił tę gazetę.

Candace spojrzała na mnie tak, jakbym był największym durniem w okolicy.

- Do reszty zwariowałeś - stwierdziła. - Sandy'ego nie można do niczego zmusić.

Do pierwszego spotkania Sandy'ego Galvina z szeregowymi dziennikarzami doszło kilka tygodni po tym, jak wykupił gazetę. Bardzo się przedtem denerwował, co trochę mnie zdziwiło - pytał, jak ma się ubrać i czy powinien na wejście opowiedzieć jakiś dowcip. Poradziłem mu, żeby wyglądał i zachowywał się poważnie; ludzie mieli pierwszy raz na własne oczy zobaczyć swojego nowego pracodawcę i usłyszeć, co ma im do powiedzenia. Bali się go. Dziennikarze lubią udawać, że mają otwarte, chłonne umysły, ale w sprawach zawodowych zachowują niebywały konserwatyzm i nienawidzą zmian. Dlatego uznałem, że im mniej będzie sztuczek, tym lepiej.

Dziennikarze zgromadzili się w nowym atrium. Był chłodny, październikowy poranek; porywisty wiatr porywał od czasu do czasu liście ze zgarniętych do krawężnika stert i wdmuchiwał je do środka. Galvin zarządził, że z okazji spotkania wyjątkowo zamknie kafejkę dla osób z zewnątrz, żeby nic nie zakłócało rodzinnej atmosfery. Składane krzesła ustawiono w półkole przed mównicą, ale jak to zwykle bywa przy takich okazjach, ludzie gnietli się z tyłu, podczas gdy przednie rzędy świeciły pustkami. Galwin wziął do ręki mikrofon i zapowiedział, że osobiście wypłaci pięćdziesiąt dolarów temu, kto pierwszy usiądzie z przodu. Natychmiast ruszyła fala chętnych i Galwin wręczył

najszybszemu z nich nowiotki, szeleszczący banknot. W ten sposób problem miejsc do siedzenia został rozwiązany.

Tuż po wpół do dziesiątej Galvin rozpoczął swoją przemowę. Miał na sobie zwyczajny niebieski garnitur, jak zwykle idealnie skrojony, ale nie nadmiernie elegancki. Wydawał mi się podenerwowany, ale chyba wyszło mu to na dobre, bo wyglądał bardziej „prawdziwie”. Wraz z innymi redaktorami działów - moimi nowymi kolegami z pracy! - trzymałem się z tyłu, za mównicą. Obok mnie stała Candace Ridgway.

- Wygląda, jakby uczestniczył w przesłuchaniu, które zadecyduje o przyznaniu mu tej roli - wyszeptałem.

Pokiwała głową i wtedy dotarło do mnie, że i ona się martwi. Galvin nigdy nie kierował gazetą, a ona dobrze знаła tych wszystkich ludzi. Chciała ochronić go przed bezmiarem ich złej woli, ale była bezradna.

- Dzień dobry! - zaczął Galvin. Kilkadziesiąt osób odruchowo odpowiedziało mu „dzień dobry!”, jakby znajdowali się w obozie reedukacyjnym. Popatrzył na ich niewzruszone, kamienne twarze. - Czy już się dobrze bawimy? - spytał zaczepnie. Przez długą chwilę panowała cisza, aż wreszcie ktoś z tyłu odpowiedział gromkim: „Nie!”

- Rozchmurzcie się, na miłość boską! - Galvin odwrócił się i mrugnął do mnie porozumiewawczo. Parę tygodni wcześniej obiecywał, że od tej odzywki zacznie pierwsze spotkanie z pracownikami, ale nie potraktowałem go poważnie. Znów powiódł wzrokiem po niepewnych swego losu dziennikarzach. - Praca powinna sprawiać człowiekowi przyjemność, bo po co w przeciwnym razie tracić na nią czas? Większość z was nie zarabia tyle, żeby spokojnie znosić nudy w biurze.

Spojrzałem na publikę: niewielu zareagowało w widoczny sposób na jego

słowa, ci zaś, którzy dali coś po sobie poznać, wznosili oczy ku niebu. Instykt podpowiadał im, żeby nie ufać Galwinowi, ale on się tym nie przejmował. I tak zakładał, że większość dziennikarzy to idioci.

- Nie znacie mnie - ciągnął. - Boicie się pewnie, że za bardzo rozkołyszę łódkę, na której od lat spokojnie pływacie. Dlatego też na początku naszej wspólnej drogi chcę was zapewnić, że macie całkowitą rację. Rzeczywiście zamierzam nieźle rozhuścić tę łajbę! Bo jestem pewien, że jeśli tego nie zrobię, łajba pójdzie na dno.

- Witamy na „Titaniku”! - krzyknął jakiś cwaniak z tylnych rzędów.

- Nie wiem, kto to powiedział, ale ma zaklepaną podwyżkę - odparł Galwin.  
- Naprawdę znaleźliśmy się na pokładzie „Titanika”! To właśnie chciałem wam powiedzieć: mamy kłopoty. Możecie zapomnieć o spokojnej robótce; gazeta, którą kochacie z całego serca, która wam płaci i zapewnia ubezpieczenie medyczne waszym dzieciom, jest śmiertelnie ranna i bez naszej pomocy niebawem umrze. Skąd o tym wiem? Przecież tak właśnie myślicie: skąd on o tym wie? Nie jest przecież dziennikarzem. Co on w ogóle wie? Nie mylicie się: jestem biznesmenem. Szacowna przeszłość gazety nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko przyszłość.

- Jak mu idzie? - spytałam Candace, która umiała czytać reakcje tłumu.

- Jeżeli chce ich wystraszyć, to odwała kawał dobrej roboty - odparła szeptem. - Są przerażeni.

- Znam się tylko na liczbach - mówił dalej Galwin. - Oto, co z nich wynika: nakład „Suna” spada systematycznie od ośmiu lat. Spadek jest niewielki, przyznaję, co roku przestaje nas czytać kilka tysięcy ludzi, ale w sumie znaczący. Najbardziej przerażająco wypada jednak porównanie tych strat z tempem rozwoju Waszyngtonu. Przez ostatnie dziesięć lat miastu przybyło

pięćdziesiąt osiem procent mieszkańców; w tym samym okresie nakład „Suna” obniżył się o jakieś dwanaście procent. Czy wszyscy to zrozumieli? Wzrost liczby ludności: pięćdziesiąt osiem procent, spadek nakładu: dwanaście procent. Co powiedzielibyście o firmie, która z roku na rok sprzedaje coraz mniej swoich wyrobów, mimo że rynek błyskawicznie się rozwija? - W atrium panowała cisza; najgłośniejszym rozbrzmiewała trzepot transparentu BLIŻEJ ŻYCIA! - No dalej, mistrzowie dziennikarstwa, chcę usłyszeć waszą odpowiedź: co powiecie o takiej firmie?

- Że cienko przedzie - odparł mężczyzna z pierwszego rzędu, szczęśliwy zdobywca pięćdziesięciodolarowej premii.

- Że jest umierająca! - wykrzyknął Galvin. - Nie zginie gwałtowną śmiercią, ale powoli wykrwawi się na śmierć, co jest najgorszym sposobem na odejście z tego świata. Zapewniam was, że jeśli „Sun” będzie dalej podążał drogą, na którą wkroczył, za dziesięć lat będzie martwy. Ludzie nauczą się zdobywać wiadomości w inny sposób: z telewizji, z Internetu, z radia... Mają duży wybór. Nie spodoba im się gazeta, która umiera, nie wiedząc o tym, bo tak skostniała. Co to, to nie. Nikt nie kupi nudnej gazety tylko dlatego, że jest to zarazem gazeta z tradycjami. Przykro mi, ale życie jest na to zbyt krótkie.

- Chryste Panie! - wyszeptała Candace. - Do czego on zmierza? Chce doprowadzić do masowego samobójstwa?

Ja jednak wiedziałem, że Galvin bawi się ze słuchaczami.

- A jak wam się wydaje: jak długo ogłoszeniodawcy zechcą znosić taką sytuację? W ostatnich tygodniach rozmawiałem z wieloma z nich, więc znam odpowiedź na to pytanie: niezbyt długo, do ciężkiej cholery! Będą się u nas ogłaszać, dopóki „Sun” będzie dla nich najlepszym sposobem dotarcia do ludzi, którzy kupują jedzenie, samochody i meble. Magiczna liczba wynosi w tym wypadku pięćdziesiąt procent: zrezygnują z nas, gdy przestaniemy docierać do



połowy gospodarstw domowych w tym regionie. A wiecie, jaki „Sun” miał faktyczny nakład w ostatnim kwartale? Po uwzględnieniu zwrotów? Czy ktoś z was, drodzy kustosze muzealni, spróbuje zgadnąć? Czterdzieści siedem procent, i to z tendencją zniżkową. Powtarzam: ta gazeta umiera. Ogłoszeniodawcy lubili Hazenów i Crosbych; mnie również polubią. Uważają, że gazeta jest znakomita. Sęk w tym, że w kategorii narzędzi napędzających sprzedaż, „Sun” jest prawdziwym dinozaurem. Skazanym na wymarcie.

Galvin przerwał i powiódł wzrokiem po swoim oszołomionym audytorium. Harold Hazen przez całe życie nie wygłosił ani jednego podobnego przemówienia. Nie wierzył w skuteczność rozważań natury biznesowej, prowadzonych w obecności personelu redakcyjnego, a poza tym nigdy by się do tego nie zniżył. A Galvin był w swoim żywiole; biznes był jego życiem, wyzwalał czystą ludzką energię, dzięki której dawało się znieść abstrakcyjny żywot. Teraz dostrzegł jednak, że ludzie siedzą otępiali i lada chwila przestaną go słuchać.

- Wystarczy wam tego krakania? - zapytał, i tym razem odpowiedziały mu krzyki:

- Dość! Wystarczy!

Nawet Candace i inni szefowie działów zawtórowali swoim podwładnym.

Galvin cofnął się o krok, nie schodząc z mównicy. Pierwszy raz tego ranka na jego twarzy zagościł znany mi, przebiegły półuśmieszek.

„Zostańmy współnikami”, sugerował. Większość nowych współpracowników nie wiedziała, co ich czeka, ale ja zdawałem sobie sprawę, co za chwilę nastąpi: Galvin uruchomił cały swój urok osobisty i zamierzał roztoczyć jego magiczny wpływ na wszystkich obecnych.

- A co dobrego można o gazecie powiedzieć? - spytał i zawiesił głos, jakby

czekał, aż ktoś zaproponuje alternatywną wizję przyszłości gazety.

Odpowiedziała mu tylko cisza. - Dobre jest to, że możemy się zmienić. I zmienimy się! Z pokonanych przeobrazimy się w zwycięzców, i to w bardzo wymierny sposób: odzyskamy czytelników, których przez te dziesięć lat utraciliśmy. Staniemy się żywym zaprzeczeniem tradycyjnych praw rynku prasowego i zaczniemy się rozwijać. Jestem tego pewien tak bardzo, że mogę założyć się o spore pieniądze. Właśnie zainwestowałem w „Suna” miliard dolarów. Założę się, że w dwa lata zwiększymy nakład o dwieście tysięcy. W ten sposób przekroczymy milion egzemplarzy dziennie i przeskoczymy pięćdziesięcioprocentowy próg skutecznego nakładu. Nie słyszy się dzisiaj o takich postępach na naszym rynku. Gdybyśmy tego dokonali, stalibyśmy się najlepszą gazetą Ameryki. Wierzę, że z „Sunem” ta sztuka się uda. Czy ktoś z was się do mnie przyłączy?

Nadal nikt się nie odzywał. Przypuszczam, że oszołomił ich rozmach propozycji. Porażki we wspaniałym stylu na trwałe wrosły w kulturę rynku prasowego, natomiast idea spektakularnego sukcesu była większości tych ludzi zupełnie obca. Galvin popatrzył po ich twarzach i pokręcił głową. Jak można wspiąć się na szczyt, jeśli się nie zamierza kiwnąć palcem?

- No dobrze - powiedział. - Aby ułatwić wam decyzję, mam coś na osłodę. Jestem gotów rozstać się z częścią moich akcji „Suna” i podzielić je między was, pracowników gazety. W tej chwili każda z nich jest warta pięćdziesiąt dwa dolary. Jeżeli zdołamy osiągnąć cel, o którym mówiłem, wartość akcji wzrośnie dwu-, może nawet trzykrotnie. Jako współwłaściciele nieźle na tym zarobimy. Jeśli zaś ta sztuka się nam nie uda, wszyscy będziemy stratni. Co wy na to?

Wreszcie doczekał się nieśmiałego aplauzu; perspektywa zarobku potrafi obudzić żywszą reakcję nawet wśród dziennikarzy. Dali się omdać prawdziwemu ekspertowi w tej sztuce. Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

Zapytał, czy ktoś ma jakieś pytania. Starszy facet, który przedstawił się jako rzecznik związku zawodowego dziennikarzy, zerwał się z miejsca, choć nie tyle z pytaniem, co raczej z pretensją. Twierdził, że plan podziału akcji jest tylko przykrywką, która umożliwi Galwinowi dokonanie cięć zarobków załogi, ale związek zamierza chronić pracowników przed zakusami nowego szefa. Szef tymczasem miał przygotowaną rozbijającą odpowiedź. Owszem, z rozkoszą zmniejszyłby koszty firmy, które jego zdaniem są za wysokie, ale absolutnie nie może tego zrobić, bo wynagrodzenie pracowników jest zastrzeżone w długofalowych porozumieniach związanych ze sprzedażą gazety. Jeśli zaś chodzi o akcje, nikogo nie zmusza do ich przyjęcia.

Następne pytanie dotyczyło szczegółów: jak Galwin zamierza zwiększyć nakład o dwieście tysięcy egzemplarzy? Co miałyby przyciągnąć do gazety taką masę nowych czytelników?

- Zabawa! - odrzekł Galwin. - Niespodzianki. Namiętność. I bingo!

Pierwszy raz dał publicznie wyraz swojemu zamiłowaniu do gier i konkursów. Okazało się, że zlecił jednemu z doradców przygotowanie raportu na temat zmian nakładu największych brytyjskich gazet w latach dziewięćdziesiątych. Okazało się, że ważnym czynnikiem są właśnie konkursy dla czytelników: lotto, bingo, poker, totalizator piłkarski i koszykarski, krzyżówki z nagrodami - wszystkie gwarantowały wypłaty gotówkowe dla najlepszych. Ludzie je uwielbiali i „Sun” miał wieść prym w tego rodzaju rozrywce.

Na koniec jeden ze starszych reporterów zadał kluczowe w moim mniemaniu pytanie:

- Wszystko to przedstawia się bardzo interesująco - stwierdził na wstępie. - A co będzie, gdy nie zechcemy posłuchać pańskich rad? Powiedzmy, że nie darzymy pana zaufaniem i obawiamy się, że zniszczy pan gazetę. Co wtedy?

Na to pytanie nie było grzecznej odpowiedzi i Galvin nawet nie próbował jej znaleźć.

- Powinniście poszukać sobie nowej pracy - powiedział.

Później wypytywał mnie, jak mu poszło; cudowny był ten jego nagły wzrost samoświadomości. Powiedziałem mu, że wypadł świetnie, ale wyznaczył sobie nierealny cel. To niemożliwe, żeby udało mu się w dwa lata zdobyć dwieście tysięcy nowych regularnych odbiorców. Może i było w Waszyngtonie dwieście tysięcy domów, do których „Sun” nie docierał, ale ich mieszkańcom w zupełności wystarczała telewizja. Moim zdaniem musiał ponieść klęskę.

Ku mojemu zaskoczeniu przyjął ten komentarz ze spokojem. Dwa lata traktował jak bardzo odległą perspektywę i jeżeli rzeczywiście miały się przeliczyć w swoich rachubach, zdąży coś wymyślić. Na razie liczyła się teraźniejszość.

- A co Candace sądzi o moim przemówieniu?
- Skąd mam wiedzieć? Sam ją zapytaj.

Męczyło mnie już robienie za pośrednika w ich kontaktach - skoro mogli tańczyć, to mogli chyba też rozmawiać.

- Nie odpowie mi. Powtarza, że jestem teraz jej szefem i to nie wypada. Co to za bzdury? Jeżeli właściciel nie może porozmawiać z szefową działu zagranicznego, to po co kupować gazetę?

Powiedziałem, żeby się nie martwił.

- Nikt bardziej od niej nie pragnie twojego sukcesu. To dlatego jest taka ostrożna. Z czasem się rozluźni, tak jak i my wszyscy. Nawet ty.

Siedziałem w moim nowym biurze i obserwowałem przebiegających za drzwiami ludzi. Kogo tam nie było: pracownicy serwisu, asystenci korektorów,

reporterzy, sekretarki, redaktorzy, korektorzy, graficy - i wszyscy pracowali dla mnie! Zakrawało to na kpinę, żeby mieli oficjalnie podlegać znerwicowanemu odludkowi, który nie otwierał złowrogich listów i nie oddzwaniał, kiedy spodziewał się trudnej rozmowy. Wlepiłem wzrok w połyskujący brązowo blat biurka i miałem wrażenie, że patrzę w nurt mętnej rzeki. Tekowe drewno noc w noc polerowali niewidzialni pracownicy, którzy także opróżniali mój kosz na śmieci i układali papiery na blacie w równe stosy.

Wziąłem do ręki nożyk do listów, który ktoś zapobiegliwy położył mi zawczasu na biurku, i zacząłem rzeźbić w miękkim drewnie swoje inicjały. Warstwa politurki była bardzo gruba, tak że wymagało to ode mnie trochę wysiłku, ale w końcu dopiąłem swego: na blacie pojawiły się literki „DC”. Sekretarka weszła do biura w chwili, gdy właśnie kończyłem wycinać „C”. Była miłą kobietą po trzydziestce, pracującą matką dwojga dzieci.

- Potrzebuje pan czegoś z kafejki? - zapytała, ignorując mój akt wandalizmu. Wyznawała widocznie zasadę, że szef ma zawsze rację, nawet jeśli jest takim dziwakiem jak ja. Mógłbym rozpaść ognisko w koszu na śmieci, a ona słowa by nie powiedziała.

Po kilku dniach doszedłem do wniosku, że muszę udekorować biuro; samo zbezpieczenie go nie wystarczyło. Kupiłem w sklepie z kasetami wideo plakat do Małej syrenki, która moim zdaniem jest jednym z dwóch, może trzech najwspanialszych filmów, jakie kiedykolwiek nakręcono - plasuje się daleko przed Obywatelem Kane, chociaż chyba za Przemiętło z wiatrem. Cieszyłem się, że w każdej chwili będę mógł spojrzeć na słodko uśmiechniętą twarzyczkę Ariel i kaskadę rudych włosów, które nigdy nie wyglądały na zmoczone, chociaż mieszkała pod wodą. Wkrótce ujawnili się inni skryci wielbiciele Małej syrenki - głównie mężczyźni, bo kobiety z redakcji krzywo patrzyły na dobrze uczesane syrenki, które zakochują się w książkach.

Zacząłem też urządzać poranne zebrania personelu. Już po tygodniu zorientowałem się, że bez zebrań się nie obejdzie - są one kluczowym, a kto wie, czy nie jedynym wyróżnikiem dobrego kierownika. Zbierałem więc kilkoro podległych mi redaktorów o jedenastej rano i pytałem, czy mają jakieś pomysły, dzięki którym następny numer gazety byłby wart przeczytania. Z początku odczytywali mi po prostu długie spisy faktów -jakie filmy wchodzą w weekend na ekrany, kim interesują się publicyści, jakie szykują się rozdania nagród, bankiety i inne ciekawostki towarzyskie. Nie dziwota, że „Suna” czytało się drętwo, skoro dziennikarze tak podchodzili do swojej roboty. „Podglądacz” nawet w swoich najgorszych chwilach był bardziej wciągający.

Na początku mówiłem po prostu „nie”. Nie, nie, nie, nie - aż w końcu zaczęli mi dostarczać lepsze pomysły. Zaskoczyłem wszystkich, gdy przyjąłem propozycję materiału o pięciu najlepszych i najgorszych miejscach do zaparkowania samochodu na randce (najlepiej wypadł punkt widokowy nad Potomakiem nieopodal George Washington Parkway w Wirginii, najgorzej - Westmoreland Park w okręgu Montgomery, gdzie gliniarze mają zwyczaj świecić latarkami do samochodu i zawsze każą człowiekowi wyłączyć z wozu, nawet, jeśli jest goły jak święty turecki).

Podobało mi się, że zgrywam cwaniaka, plotę, co mi ślina na język przyniesie, a redaktorzy śmieją się z moich dowcipów, ale po paru tygodniach zacząłem się zastanawiać, czy na pewno znalazłem najlepszą niszę dla osoby o moich zainteresowaniach. Nie miałem nic przeciwko błyskotliwej gadce Sandy'ego na temat miliarda dolarów i wojny o nakład - może nawet zmotywowała ludzi do tego, żeby robić ciekawszą gazetę, ale mnie zwyczajnie nie dotyczyła. Pieniądze nic a nic mnie nie obchodziły, a już na pewno nie zamierzałem zostać na zawsze redakcyjnym biurokratą. Nie po to związałem się z Galvinem.

Nie chcę być źle zrozumiany: cel, jaki sobie stawiałem, był bardziej złożonej

natury, ale chodziło mi przede wszystkim o to, żeby ludzie nie czuli się ze mną za dobrze. W moim wypadku Galvin trafił bez pudła: byłem urodzonym złośliwcem, lecz chęć płatania psikusów nie wyczerpywała głębi moich motywacji. Mogłem sobie udawać, że jest inaczej, ale nie ograniczałem się do pozowania na dworskiego błazna. Czułem gwałtowną potrzebę - tak jak inni muszą malować obrazy, śpiewać albo uwodzić dwudziestotrzyletnie praktykantki - żeby mówić ludziom prawdę w oczy, zwłaszcza bolesną. Tak samo postępowałem wobec ojca, dopóki żył - czepiałem się go na każdym kroku, wytykałem błędy, publikowałem nawet własnym sumptem ulotkę „Plotki o moim tacie”. W college'u napisałem cykl artykułów, w których ostro skrytykowałem dziekana wydziału medycyny za współpracę z jedną z firm farmaceutycznych (odpowiedział, całkiem sensownie zresztą, że po prostu pomaga im robić lepsze lekarstwa, ale nie miało to większego znaczenia). Zanim wylano mnie z pierwszej redakcyjnej posady w Północnej Karolinie, ujawniłem praktyki właściciela miejscowego sklepu meblowego, byłego baptysty-kaznodziei, który naciągał klientów, stosując technikę „pożycz, a potem kup”.

Jest takie stare powiedzenie o dziennikarzach, że powinni być utrapieniem wesołych i radością strapiionych. Przyznam, że nie wiem nic o drugiej części tego przysłowia - strapieni powinni chyba szukać innych pocieszycieli - ale w pełni zgadzam się z jego częścią pierwszą. Nie mogłem nie wykorzystać okazji i nie wetknąć szpili lepszym ode mnie, zwłaszcza w takim obfitującym w potencjalną zwierzynę miejscu jak Waszyngton, gdzie absurdalna dewocja jest niemal obowiązkowa.

Fanatycy religijni powtarzają nam nieustannie, że nie bez powodu znaleźliśmy się na tej planecie. Osobiście mocno w to wątpię - chyba że chodzi o spełnienie funkcji nawozu dla mniej złożonych form życia - ale założmy chwilowo, że mają rację. Ja też wiedziałem, że powinienem zostać kimś więcej

niż totumfackim Sandy'ego Galvina, a tym bardziej redakto-rzyną kierującym „Styłem życia”. Jedno i drugie traktowałem jako środki do osiągnięcia celu, a celem tym było - proszę mi wybaczyć nadmierny sentymentalizm - głoszenie prawdy. Chciałem być wiecznym utrapieniem wesołych; mówić okropne, lecz prawdziwe rzeczy, które przerażają zwykłych ludzi. Tak rozumiałem swoje powołanie, teraz zaś, dzięki mężczyźnie, który był jednocześnie moim mentorem i rywalem, mogłem je realizować.

Napisałem liścik do Galvina. Redakcyjni biurokraci zawsze tak robią - przesyłają sobie wzajemnie listy z opisem swoich planów, żeby potem na zebraniu móc zapytać: „Dostałeś mój list?” i odpowiedzieć: „Tak. Napisałem ci już, co o niej myślę”. Ja napisałem, co następuje:

Drogi panie wydawco!

Chciałbym redagować stałą rubrykę w pańskiej gazecie. Długo nad tym przemyślałem i doszedłem do wniosku, że powinna ukazywać się raz w tygodniu, w dziale „Styl życia”, który nadal będę prowadził, na swój bałaganiarski, lecz twórczy sposób. Wiem też, jak powinna być zatytułowana nowa rubryka: „Erudyta”. Tytuł ten ma w sobie pewną niedbałą nutę, prawda? Poza tym przed kilku laty zastrzegłem sobie do niego prawa autorskie, w przewidywaniu chwili, w której będę go mógł opublikować.

Sam będę decydował o treści „Erudyty”, ale obiecuję, że czytając go, ludzie będą nieswojo wiercić się w fotelach. Ostatnio powiedział pan pracownikom, że „Sun” powinien bawić i zaskakiwać - oto nadarza się pierwsza szansa, by faktycznie tak się stało.

Pański niewolnik David Cantor

Dwa dni później mój liścik dotarł do Galvina za pośrednictwem poczty wewnętrznej, wolniejszej chyba nawet od amerykańskiej poczty federalnej. Od



razu do mnie zadzwonił.

- Co zrobisz, jeśli odmówię? - zapytał.

- Odejdę z redakcji, drogi panie wydawco. Posłucham dobrej rady, jakiej udzielił pan ostatnio swoim podwładnym: ci, którzy nie odnajdują się w świetlanej wizji przyszłości, powinni dać sobie spokój. Tak też uczynię.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział Galvin, ale oczywiście nie miał racji. To właśnie jest zaleta braku prawdziwej ambicji: dzięki temu takie groźby stają się wiarygodne. Miałem go jak na widelcu - i dobrze o tym wiedziałem.

Powiedział mi, że mogę zaczynać, gdy tylko będę gotowy i podniósł mi pensję - z niewiarygodnych stu dwunastu tysięcy dolarów do jeszcze bardziej niewiarygodnych stu trzydziestu pięciu tysięcy rocznie. Odebrałem dobrą lekcję, oczywistą, lecz wartą zapamiętania: kiedy ludzie wiedzą, że nie mogą cię kupić na własność, są gotowi znacznie więcej zapłacić za wypożyczenie. Obiecałem, że pierwszy „Erudyta” pojawi się za kilka tygodni, kiedy znajdę już coś, nad czym warto się poznęcać.

Robotnicy w nowym patio nie mogli narzekać na brak pracy: wieszali coraz to nowe transparenty i proporce, wielkie portrety Marka Traila, Dog-berta i innych postaci z drukowanych w „Sunie” komiksów. Coraz bardziej czułem się tam jak na scenie chińskiej opery, ale dopiero gdy zainstalowano kamery, dowiedzieliśmy się, iż rzeczywiście oglądamy scenografię nowego programu telewizyjnego.

Galvin zawarł umowę z jedną z największych sieci kablowych na emisję codziennego programu informacyjnego, który zatytułował Antywia-domości. Zawsze podobało mu się, w jaki sposób Today przedstawiał materiały z życia Nowego Jorku, jak przesyłał swoje programy energią tego miasta. Waszyngton zaś przypominał wesołe miasteczko - zwłaszcza teraz, kiedy skandal gonił

skandal. Po co więc dalej udawać? Galvin chciał, żeby zonglerzy i wróżbici mogli spotkać się w redakcji z podsekretarzem stanu, szefem Banku Rezerw Federalnych czy każdym innym dostojnikiem, który akurat odwiedził „Suna”. W miejsce wspólnych lunchów w dusznej sali konferencyjnej, które w gazecie cieszyły się wieloletnią tradycją, wprowadził obyczaj swobodnych dyskusji przy stolikach w kafejce na świeżym powietrzu; dziennikarze, redaktorzy i przypadkowe panusie z ulicy mogliby osobiście porozmawiać z ludźmi, którzy trafiają na czołówki gazet. Wszystkie te posunięcia składały się na niezwykłą, lecz przemyślaną strategię działania: Galvin chciał stworzyć instrumenty, które doprowadzą do odejścia starej gazety - i tak skazanej na klęskę - i pozwolą powstać nowej, która mogłaby przetrwać.

Kamery pojawiły się błyskawicznie, a Galvin bezzwłocznie ogłosił, że czas uruchomić Antywiadomości - bez prób, scenariuszy i prawie bez planowania. Zamierzał połączyć w nich ideę dokumentu policyjnego z rzetelnym programem informacyjnym, dlatego też wszystko miało iść na żywca. Ludzie mieli wpadać z rykiem na plan, gdyby trafiła im się jakaś prawdziwa bomba informacyjna - tak samo, jak na co dzień zachowywali się w redakcji; reporterzy mieli występować w prawdziwych, wymiętych spodniach i przepoconych koszulach, my zaś mieliśmy obserwować ich przy pracy, podglądać, jak znajdują informatorów, demaskują złoczyńców i zachwycają się małymi, codziennymi triumfami.

Galvin wyjaśniał, że chce wszystkim pokazać, jak naprawdę funkcjonuje dziennikarska machina. Ludzie nienawidzą prezenterów oglądanych na co dzień w telewizji, zadających nachalne pytania, krzywiących się na konferencjach prasowych, nadymających się przed kamerami, by swoim blaskiem przyćmić gości w studiu. Prawdziwi dziennikarze są jednak całkiem inni - przynajmniej zazwyczaj - i Galvin był przekonany, że kiedy ludzie to zobaczą z miejsca ich polubią.

Na prezenterkę programu wybrał śliczną, dwudziestoparoletnią reporterkę, która zwróciła jego uwagę w kawiarni. Miała na imię Angelica i wszyscy w redakcji automatycznie założyli, że Galvin ją posuwa, ale jemu wcale nie o to chodziło. Dziewczyna miała w sobie to coś, tę iskrę bożą; nie chciała zostać szacowną nudziarą massmediów - chciała zwrócić na siebie uwagę. Jej koledzy - a zwłaszcza koleżanki - po fachu krzywili się na jej krótkie spódniczki, obcisłe bluzki i potargane włosy, które zawsze sprawiały wrażenie, jakby dopiero wstała z łóżka. Uważali, że ubiera i zachowuje się niepoważnie, ale zupełnie jej nie rozumieli: cóż mogło być poważniejszego, niż najczystszy, wręcz buchający z niej erotyzm?

Pierwszego dnia Galvin zasiadł obok niej w łożu kawiarni i pełnił funkcję współgospodarza programu. Wydaje mi się, że chciał osobiście wprowadzić widzów w nastrój Antywiadomości, bo nikomu innemu nie ufał

(poza oczywiście uroczą, wielkooką Angelicą), że zrobi to należycie. Przywdział na tę okazję kaszmirowy blezer i rozpiętą pod szyją koszulę od Armaniego; trzeba przyznać, że prezentował się znakomicie jako wydawca wielkiego dziennika. W pewnym sensie sam stanowił najlepsze widowisko i doszedł do wniosku, że użyczy swojej osobowości programowi, trochę tak jak Frank Perdue - twardziel, który przyrządza mięciutkie kurczaki, czy ten gość, co tak polubił swoją maszynkę do golenia, że wykupił całą produkującą je firmę.

- Proszę państwa, jaka właściwie jest rola gazety? - zapytał na wstępie. - Niedawno stałem się właścicielem „Suna” i myślę, że za kilka tygodni czy miesięcy wszyscy się przekonamy, jak brzmi odpowiedź na to pytanie.

Był rozbijający; oglądając go miało się wrażenie, że zaprasza widzów do udziału w rzeczywistych wydarzeniach, które rozegrają się na ich oczach. Będą mogli śledzić zmagania Galvina z wielką instytucją dzien-nikarską

przerośniętym ego wszystkich gości, którzy trafią w jej progi. Galvin stawał się w ich oczach nie tylko właścicielem gazety, ale zarazem pomywaczem i akwizytorem. Występował nawet osobiście w niektórych reklamach - pokazywał na przykład logo Koons, dealera Forda, twierdząc, że ręczy za jakość dostarczanych przez nich samochodów, bo sam kupił tam własny. Wiedziałem, że łyże jak z nut, bo jeździł wziętym w leasing lexusem, ale w telewizji wypadało to doskonale, zarazem supemo-wocześnie i staromodnie kiczowato.

Brał też czasem udział w wywiadach, wbrew nieuniknionym protestom Howarda Bacona, który uważał, że wydawca nie powinien wtrącać się w pracę dziennikarzy (co tylko dowodziło, jak mało Bacon rozumiał -Galwinowi chodziło przecież przede wszystkim o to wtrącanie się). Pierwszym gościem programu był jeden z prezydenckich prawników, którego Galvin znał na stopie towarzyskiej. Zamiast tradycyjnej zabawy w kotka i myszkę i wypytywania o kłopoty prezydenta, Galvin zaczął od uwagi, że gość wygląda na zmęczonego - co nie ulegało wątpliwości - i pytania, czy ostatnio źle sypia.

- Czego się pan spodziewa od życia? - zapytał później i przez chwilę oglądaliśmy telewizję najwyższych lotów, kiedy prawnik, któremu pewnie od lat nikt nie zadał takiego pytania, starał się udzielić szczerzej odpowiedzi.

Nie miałem zamiaru oglądać programu dłużej niż przez parę minut, ale nie potrafiłem się oderwać od widowiska: Galvin i Angelica jak magnes przykuwali widzów do telewizorów. Jednym z następnych gości była gwiazda rocka, która akurat przyjechała do Waszyngtonu na koncert. Zamiast tradycyjnych, głupawych pytań o tournee i najnowszy album,

Angelica przekonała rockmana, by zaśpiewał swoją ulubioną piosenką -tak jak stał, a capella. Użyła całego swojego uroku osobistego, tak że facet zgodził się, a ona zaczęła tańczyć i szaleć po scenie; przez chwilą podejrzewałem nawet, że w zapale zrzuci z siebie ubranie. Naprawdę - przedstawienie było tak żywe,

autentyczne, niekontrolowane. Kiedy po programie Galvin schodził ze sceny, kręcił z niedowierzaniem głową. Rozpędzał się, a największą przyjemność czerpał chyba z tego, że nie do końca wiedział, dokąd zmierza.

Tamtego roku lato zdawało się nie mieć końca. Dni były długie i suche, a jedynym przykrym skutkiem upałów okazała się inwazja pszczół na miasto, tych małych, zadziornych, z żółtymi prążkami na odwłoku. Były wiecznie wściekłe, pewnie dlatego, że nie bardzo miały co jeść. Któregoś ranka po drodze do pracy na własnej skórze odczułem ich złość. Szedłem sobie jakby nigdy nic ulicą, niosąc w garści śniadanie - puszkę coli - a drugą ręką oganiałem się od pszczół. Przystanąłem, pociągnąłem łyk z puszki i nagle poczułem, jak wraz z cudownym eliksirem wpada mi do ust coś miękkiego i chrzęszczącego zarazem. Pszczoła, oczywiście. Dziabnęła mnie od wewnątrz w dolną wargę. Zanim dotarłem do redakcji, miałem już usta spuchnięte jak balon.

Niedługo potem wpadł do mnie Howard Bacon. Wyszedł właśnie ze zwołanego przez Galvina zebrania wiceprezesów i widać było, że jest zdrowo wnerwiony. Miał jasną karnację, blond włoski jak u bobaska i jasne brwi, ledwie rysujące się nad oczami. Kiedy się złościł, tak jak teraz, na policzki wypływały mu plamiaste, ogniste rumieńce. Miałem własne problemy z twarzą i nie bardzo chciałem w takiej chwili z nim rozmawiać, ale uparł się, żeby mi coś powiedzieć.

- Ten twój przyjaciel, Galvin, doprowadza mnie do szału - oświadczył. - Większości jego pomysłów nie rozumiem, a te, które rozumiem, są zwyczajnie bez sensu. - Przyjrzał mi się ciekawie. - Co ci się stało w usta?

- Szczoła mie ukąszila - odparłem z wysiłkiem, Bacon jednak mówił dalej:

- Wypytywał nas cały ranek, jakie mamy dla niego dobre wieści. I co ja mu mam powiedzieć? Czy to moja wina, że prezydent wdepnął w gówno, giełda leci

na ryj, a w Kanadzie właśnie rozbił się samolot? Czego on od nas chce? Mamy wymyślać dobre wiadomości?

- Wewnie nie. Nie mowna tego wykłuszyć, ale wąfię, żewy chciał fawłykować informasje. Szynajmniej na łazie.

- Ja mówię poważnie, Cantor. Ty go znasz. O co mu chodzi? Mam zrezygnować? W porządku. Wystarczy, że mnie poprosi, a następnego dnia złożę wymówienie. Mam lepsze rzeczy do roboty, niż siedzieć tu i marnować sobie reputację.

Pokręciłem głową.

- On fo fłostu chse, żewy gazeta wyła siekafsza. Uwawa, że tełaz odwuca szytelników. Chse szegoś bliwej wycia.

- Jak opowieści o zwierzętach - mruknął pod nosem Bacon. - W zeszłym tygodniu aż trzy zwierzęce historyjki trafiły na pierwszą stronę: o zebrze, która uciekła z zoo, o koniu z Manassas, który umie liczyć do dziesięciu i o śniętych rybach... Wiem, to nie była zwykła historyjka o zwierzątkach, ale na miłość boską, nie po to przyszedłem do gazety! Czego on ode mnie chce?

Miotał się po moim biurze, gestykulując dziko. Redaktorzy „Stylu życia” zaglądali przez szklane przepierzenie, zaciekawieni, skąd to zamieszanie. Oczami wyobraźni widziałem te listy elektroniczne, które śmigaly z komputera na komputer po całej redakcji: „Bacon pękł! Jest właśnie u Cantora w biurze i wyje wniebogłosy”.

- Weś farę dni urlofu - poradziłem mu. - Wyjedź zieś, zie nie fada i nie ma tyłu szczół.

Mówiłem poważnie: wyglądał, jakby zaraz miał mi paść na zawał.

- A słyszałeś najnowsze wieści? On chce pisać wstępniaki na pierwszą

stronę, żeby czytelnicy się przekonali, że „Sun” to gazeta z duszą. Właśnie tak powiedział na zebraniu: „Gazeta z duszą”. Co to za bzdury! On chce zrobić z „Suna” jakiś cholerny brukowiec!

Opuchlizna powoli schodziła mi z ust. Odzyskałem czucie w dolnej wardze i wreszcie, z trudem bo z trudem, mogłem przestać wysławiać się jak kaczor Donald.

- Brukowcom przybywa czytelników - zauważyłem. - Nam ubywa. Galvin to widzi. Nie traktuje tego osobiście, bo jest biznesmenem. Wystarczą mu liczby.

Ale Bacon mnie nie słuchał.

- Ludzie tego nie zniosą! Już się szykuje bunt. Nikt nie chce pracować w gazecie, która zamieszcza reklamy telewizji, żeby opłacić własną prognozę pogody. Nie po to przyszli do redakcji.

- Pogoda jest bardzo ważna - stwierdziłem. Bacon zaczynał mnie nudzić. Był wprawdzie moim szefem, ale warga wciąż mnie bolała i chciałem się go pozbyć. - Ludzie interesują się prognozami.

- Oczywiście, że się interesują. Wiem o tym. To ja postanowiłem wydać pieniądze na pierwsze solidne prognozy. Ale to, co się teraz dzieje, to przesada. Mamy świetną gazetę z czternastoma biurami redakcyjnymi na całym świecie, pisują dla nas szanowani felietoniści i krytycy... I za to ludzie powinni nas kochać! Nie za ten chłam, który Galvin upycha na łamach. Gazeta z duszą. Niech go szlag!

Pod gabinetem z wolna zbierał się tłumek ciekawskich, poradziłem więc Baconowi, żeby albo mówił ciszej, albo już sobie poszedł. Wstał.

- Czy on w ogóle cię słucha? - zapytał.

- Nieszczęśliwie... Nie w ważnych kwestiach. Wie, czego chce i nie obchodzi go, co na ten temat myślą inni.

- A czy jest ktoś, kogo słucha?

- Wydaje mi się, że tak: mógłby posłuchać Candace Ridgway. Spotykali się w college'u... Zresztą pewnie znasz tę historię. Ale ona nie będzie chciała z nim gadać.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewien... To dziwny związek. On jest tu szefem, co jej trochę przeszkadza, ale to bardziej skomplikowane. Candace chyba boi się za bardzo do niego zbliżyć.

- Może jednak powinna zacząć z nim rozmawiać, i to szybko. Ktoś musi nawiązać z nim kontakt, bo inaczej czeka nas tu prawdziwy wybuch.

Powiedziałem mu jeszcze, że zobaczę, co da się zrobić, ale jeśli naprawdę chce, żeby jego słowa dotarły do Candace, powinien sam jej o tym powiedzieć. Był przecież jej przełożonym, a ja tylko niegodnym zaufania posłańcem.

Candace Ridgway rozmawiała właśnie przez telefon, kiedy zajrzałem do jej biura. Miała bardziej przytulny gabinet od mojego. Zawsze nie wiedzieć skąd pojawiały się na jej biurku świeże kwiaty. Kiedyś myślałem, że przysyła je ten podstarzały goguś, pan asystent sekretarza, ale ostatnio zacząłem dochodzić do innych wniosków. Na kanapie siedział niezgrabny pluszowy miś z jednym uchem obdartym do połowy. Candace od dzieciństwa nie rozstawała się z tym miśkiem. Chwaliła się kiedyś, że razem z nią bywał na wojnach i konferencjach, teraz zaś siedział u niej w biurze, przyglądając się z niesmakiem, jak jego właścicielka robi za nianię redakcji zagranicznej.

Chciałem zaprosić ją na lunch - skoro miałem być chłopcem na posyłki, warto by mieć z tego jakąś korzyść, na przykład niezłą wyżerkę.



Nie mogła przerwać rozmowy; wyklócała się właśnie z sekretarzem prasowym Białego Domu o to, że „Sun” nie powinien dostać rachunku za pokój hotelowy w Paryżu podczas wizyty prezydenta we Francji w ubiegłym tygodniu, skoro nasz korespondent zamieszkał u swoich krewnych. Takimi właśnie sprawami muszą się zajmować szefowie działów. Candace wygłupiała się przy tym niemiłosiernie: a to łapała się palcami za nos, a to wkładała dwa palce w usta...

Przysiadłem na kanapce. W przeciwieństwie do mojego gabinetu, tu od razu widać było, że pokój należy do rasowego dziennikarza. Na jednej ścianie wisiał dyplom Columbia University, dokumentujący przyznanie Candace nagrody Pulitzera w dziedzinie reportażu zagranicznego za wydrukowany przed paru laty cykl materiałów o korupcji. Na wprost drzwi widniała kolekcja przepustek prasowych, jakie zebrała wśród rozmaitych zwariowanych bojówek libańskich, o których pisała na początku lat osiemdziesiątych: każdy skrawek papieru był upstrzony arabskimi znaczkami i przyozdobiony jej zdjęciem. Na tych małych fotografiach wyglądała wyjątkowo pięknie: rozwiane włosy przytrzymywane spinkami, nie znające lęku oczy, wpatrzone wprost w aparat, twarz spokojna i łagodna bez względu na to, jaki bunkier czy schron posłużył za improwizowane studio. Wyglądała na osobę przekonaną o tym, że nic i nikt nie może umniejszyć jej urody. Tym samym pewnym siebie wizerunkiem odstraszała setki niedoszłych zalotników. Libańskie bandziory uchwyciły go idealnie.

Tylko jedna rzecz w pokoju psuła trochę ogólny wizerunek - oprawione w srebrną ramkę zdjęcie na biurku. Przedstawiało jej ojca, Dwigh-ta Ridgwaya, a wykonano je zaledwie kilka tygodni przed tym, jak ostatecznie przestał udawać, że radzi sobie z życiem. Miał spokojną, patry-cjuszowską twarz; przy takim obliczu nawet najmniejsze ślady zaburzeń musiały dawać przerażające efekty. Precyzyjnie zawiązany krawat, biała koszula, stalowoszare włosy - idealnie zaczesane, jak u wszystkich szanujących się białych mężczyzn z wyższych sfer.

Oczy miał jednak dzikie, jak człowiek, który zajrzał w otchłań i dojrzał we własnym wnętrzu wszystko to, co najgorsze - i przeżycie to nieodwracalnie go odmieniło. Na tej twarzy nie brakowało i innych oznak napięcia: głębokie bruzdy po obu stronach ust, wyraźne zmarszczki na czole, sińce pod oczami - wszystko to świadczyło, że żadne medykamenty nie potrafiły wyleczyć go z bezsenności. Na widok tego mężczyzny człowiek zaczynał się zastanawiać, co takiego wydarzyło się w jego życiu, że pozostały mu tylko obłąkane oczy i zmęczona twarz?

Kiedy Candace odłożyła wreszcie słuchawkę, zobaczyła, że przyglądam się zdjęciu. Zdążyłem się już zatracić we własnych wyobrażeniach na temat jej ojca - kim był, jaką drogę przebył... Chyba zrobiło się jej przyjemnie, że tak się interesuję fotografią i automatycznie przypominam sobie zawieruchę, która ukształtowała życie Candace. A teraz oboje trafiliśmy do redakcji gazety i naszym powołaniem stało się głoszenie małych, ograniczonych prawd, a nie odkrywanie tych wielkich.

- Co cię tu sprowadza? - zagadnęła Candace. - Powinieneś siedzieć w „Stylu życia”, z tymi najbardziej twórczymi osobnikami. Znalazłeś się w strefie wolnej od pomysłów.

- Właśnie wpadł do mnie Bacon. Zachowywał się jak wariat. Jego zdaniem Galvin doprowadzi gazetę do ruiny, więc chce, żebyś porozmawiała z Sandym i przekonała go do wycofania się z paru najnowszych pomysłów. Uważa, że tak będzie najlepiej.

- Nienawidzę tego! - odparła. - I co ja mam teraz zrobić?

Nawet jeśli założenie Bacona o jej wpływie na Galvina było słuszne, i tak odbierała je jak obelgę.

- Zjedz ze mną lunch - zaproponowałem. - Reszta jest na razie zbyt

skomplikowana. Pójdziemy do jakiejś fajnej knajpki... Ja stawiam.

- Ojej! Dziś nie mogę. Obiecałam mamie, że do niej wpadnę. Chętnie odchudzę twój portfel przy innej okazji.

- W takim razie pojedę z tobą do mamy - rzuciłem pośpiesznie. -Nigdy u niej nie byłem. Nie znam twojej matki, niech więc to będzie element mojej edukacji. „Erudyta” musi wiedzieć wszystko o Waszyngtonie.

Candace ucieszyła się z mojej propozycji, tak samo jak miło jej się zrobiło, gdy oglądałem zdjęcie jej ojca. Pogroziła mi jednak szelmowsko palcem.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele. Mama ma siedemdziesiąt osiem lat i nie jest zanadto rozmowna. Zwłaszcza wobec ludzi, których nie zna.

Powiedziałem jej, że mi to nie przeszkadza. Wszystko było lepsze niż pogawędka z moimi nowymi kolegami na temat jesiennej ramówki telewizyjnej.

Betty Ridgway mieszkała w starym kamiennym dworcu w Georgetown, na zachód od Wisconsin Avenue, dosłownie o parę przecznic od domu córki. Brukowana ulica wyglądała, jakby przed stu laty czas się na niej zatrzymał: między kamieniami wciąż połyskiwały zabytkowe szyny tramwajowe, co trochę utrudniało prowadzenie samochodu. Sam dom był szary i nieprzyjazny, ale jak to zwykle w Georgetown, skrywał na tyłach rozległy, słoneczny i zadbane ogród. Pani Ridgway przyjęła nas w saloniku, przy kominku, w którym gosposia rozpałała nieduży ogień. Jakimś cudem zachowała we wdowieństwie dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na gosposię, ale przecież na tym właśnie polega sekret elit, prawda? Pieniądze się ich trzymają. Ze wspartymi na podnóżku stopami czytała Agatę Christie - dokładnie taką scenę można by pewnie oglądać w tej okolicy w dowolnym momencie ostatnich pięćdziesięciu lat. Tego też zazdrościłem ludziom z elity: absolutnej niepodatności na czas i modę.

Pani Ridgway powitała mnie z rezerwą. Wyczekiwała okazji do rozmowy z

córką. Przygotowała na lunch trochę zimnych przekąsek - małe listki sałaty i parę kawalczków mięsa. Tyle, co kot napłakał.

- Rety, rety! - powiedziała starsza pani. - Ale pan wysoki.

Skłamałem, że już jadłem, ale nie chciała o tym słyszeć: wysłała gosposię do spiżarni, żeby przyniosła coś konkretnego do jedzenia - czyli zimny, na wpół zjedzony udziec wołowy. Mięso poszarzało już na brzegach; myślę, że miało dobry tydzień, ale gosposia podała je tak, jak znalazła, dodając tylko sztuce i keczup.

Wszyscy troje od niechcienia grzebaliśmy widelcami w talerzach. Candace próbowała ożywić rozmowę, wyjaśniając matce, że przed przejściem do „Suna” byłem naczelnym „Podglądacza” i jednym z arbitrów towarzyskich Waszyngtonu, na co pani Ridgway spojrzała na mnie i z powagą pokiwała głową. Potwierdziły się jej najgorsze lęki: siedzący naprzeciw niej wychudzony młody człowiek miał coś wspólnego z waszyngtońskimi wyższymi sferami.

- Kim są ci wszyscy ludzie, o których czytuję w „Podglądaczu”? -zapytała.  
- Ci Bernsteinowie, Rubinowie, Greenowie? Kim oni są?

- To Żydzi - odparłem.

Na długą - bardzo długą - chwilę zapadła cisza i doszedłem do wniosku, że całkowicie sobie u staruszki przechlapałem. Ujrzałem jednak, że Candace z trudem tłumi chichot. Nie bardzo jej się to udało; wybuchnęła śmiechem, a po chwili pani Ridgway i ja zgodnie jej zawtórowaliśmy. Nie dałoby się powiedzieć, które z nas trojga jest prawdziwym antysemitą, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Lody zostały przełamane.

Rozmowa zesłała na przyjęcia i bale dobroczynne. Candace wspomniała o sondażu, który kiedyś przeprowadziliśmy: nazywał się „Balanga za dolca”, a dotyczył kosztów imprez charytatywnych. Jasno pokazywał, jak niewiele ze

zgromadzonych pieniędzy udawało się faktycznie przekazać na szczytne cele. Pani Ridgway pamiętała te wyniki; ba, podobały jej się, ponieważ potwierdzały przekonanie, iż wszystkie te bale są oszukańczym wybiegiem nuworyszów, którzy w ten sposób mogli trafić na łamy naszego magazynu. Byłem pełen podziwu dla jej szczerości; gdybym dalej pracował w „Podglądaczu”, zastanowiłbym się, czy nie przyjąć jej do działu kontaktów z czytelnikami.

Po dalszych paru minutach i deserze, na który podano cienkie ciasteczka bez smaku, pani Ridgway przeprosiła, że dłużej nie może nam towarzyszyć i udała się na górę, do sypialni. Candace uznała chyba, że musiałem się mamie spodobać; starsze panie lubią, kiedy ktoś się z nimi przekomarza. W ich wieku ma się pewnie dość nabożnego szacunku ze strony wszystkich obecnych; człowiekowi robi się od niego niedobrze. Przecież i tak wiadomo, że się niedługo umrze. Po co przyspieszać tę chwilę?

Poprosiłem Candace, żeby pokazała mi resztę domu. Chciałem zrozumieć, jak to się stało, że wyrosła na taką barwną, pełną życia kobietę, wychowując się w tak jałowym otoczeniu. Zgodziła się i tak oto znalazłem się w murach rodzinnej twierdzy, by poznać sekrety tej wybitnej waszyngtońskiej rodziny, swego czasu pewnie najbardziej szanowanej w całym Georgetown.

Zaprowadziła mnie najpierw do dawnego gabinetu ojca na tyłach domu. Trzy ściany zajmowały ciemne półki z książkami, czwartą zaś - łagodzące ponury nastrój pokoju wielkie okno, wychodzące na ogród. Drobinki kurzu, schwyte w promienie słońca, zdawały się zawisać nieruchomo w powietrzu.

- Książki taty wciąż tu są - powiedziała Candace. - Nikt ich palcem nie tknął. Możesz się rozejrzeć, jeśli chcesz.

Podszedłem do regału. Czuję się jak w królestwie racjonalizmu, gdzie znajduje się atlas całego poznawalnego świata. Wszystko, w co wierzyli ludzie z pokolenia pana Ridgwaya, znajdowało się tutaj, na półkach, w równiutkich

rzędach. Na samej górze stały dzieła filozofów historii - Duran-tów, Toynbee'ego, Gibbona, a nawet Spenglera, którzy dostrzegali w dziejach ludzkości przypowieść na temat współczesności. Dla takiego człowieka jak Ridgway, analogia z funduszem inwestycyjnym dla potomnych nasuwała się sama: niewdzięczni dziedzice mogli rozszarpać na strzępy cały cywilizowany świat. Półkę niżej stały pamiątki dwudziestowiecznych generałów, sekretarzy stanu i prezydentów Stanów Zjednoczonych. Ileż tu było wiedzy, jakże doskonale wzorce, którym należy dorównać... Zbiór kończył się około roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego, kiedy Ridgway przestał zapewne czytać dzieła traktujące o historii, zmęczony osobistym jej tworzeniem.

Nieopodal umieścił bardziej wywrotowe wywody tłumaczące miernotę współczesnego świata - dzieła Zygmunta Freuda. Wziąłem do ręki O interpretacji marzeń sennych, poźółkłą i solidnie szczytaną książkę, z oślimi uszami i mnóstwem dopisków na marginesach. Dalej trafiłem na popularne pozycje socjologiczne, które tylko potwierdzały przekonanie, jakie przeciętny człowiek miał o życiu: Człowiek organizacji, Samotny tłum, Koniec ideologii - migawki z amerykańskiej samoświadomości w połowie dwudziestego stulecia.

Amerykańska rebelia kulturalna - istne trzęsienie ziemi, które stworzyło Candace, mnie i całe pokolenie połykaczy pigułek i wyznawców wolnej miłości - również zapisała się w bibliotece Ridgwaya. Zgromadził dzieła zwiastunów wielkiego rozluźnienia: Kochanka lady Chatterley, Ulissesa, Lolitę, Zwrotnik Raka - wszystko nieocenzurowane, balansujące na granicy dobrego smaku, zakazane w Bostonie pierwsze wydania. W tamtych czasach Norman Mailer nie potrafił jeszcze użyć słowa „kurwa” w powieści o żołnierzach, starał się więc łagodzić dialogi jak mógł. Zaledwie w kilka lat później „kurwy” i im podobne swobodnie latały na stronach jego książek. Co się stało, że tak szybko puściły hamulce? Mailer byłby pewnie wstrząśnięty, gdyby mu to uświadomić, ale prawdziwymi wyzwolicielkami okazały się pisarki, kobiety takie jak Simone de

Beauvoir, Mary McCarthy, Betty Friedan, które przeczuwając nadejście huraganu, otworzyły mu szeroko drzwi. Ich książki znalazłem zresztą tuż obok.

Pan Ridgway zostawił też po sobie stary gramofon i mnóstwo płyt. Sądząc z podniszczonych okładek, szczególnie upodobał sobie komedie muzyczne Rodgersa i Hammersteina *Carousel*, *Oklahoma!*, *South Pacific*. Przy takiej muzyce jego pokolenie uczyło się, jak kochać, żenić się i starzeć. Poza tym był też wielbicielem jazzu - znalazłem stare nagrania Billie Holiday z czasów, kiedy jeszcze nie zaczęła ćpać, wczesne kawałki Milesa Davisa, całą półkę Dave'a Brubecka. Wyjąłem jedną sfatygowaną płytę: zdjęcie na okładce przedstawiało Brubecka z zespołem na trasie koncertowej po zachodnich stanach, w tweedowych marynarkach i workowatych, wełnianych spodniach. Ciekaw byłem, czy panu Ridgwayowi zdarzyło się kiedyś zapalić skręta. Chyba tak; któregoś lata przyniósł go pewnie do domu w Maine, upalił się po uszy do spółki z właścicielką, a potem wyszło im cudowne rżnięcie na plaży.

Zaczynałem go lubić. Otaczał się rzeczami, które miały jakieś znaczenie, przewodnikami i testamentami wielkich dwudziestego wieku. Co sprawiło, że tak się stoczył?

Candace siedziała w fotelu przy oknie i patrzyła, jak podziwiam pamiątki po jej zmarłym ojcu. Ani razu mi nie przerwała - wprost przeciwnie: śledziła uważnie moje posunięcia i wybierane książki. Rozumiała, że staram się rozwikłać tę samą zagadkę, której rozwiązanie zajęło jej większość z ostatnich trzydziestu lat.

- Co się z nim stało? - zapytałem, chcąc zrozumieć to do końca, kiedy już zobaczyłem, jakie zbierał książki.

- Wietnam - odpowiedziała Candace.

To jedno słowo było tylko wstępem do dłuższej opowieści.

Wojna unicestwiła Dwighta Ridgwaya i jego przyjaciół. Wszystko to działo się na oczach Candace, ale zrozumienie tego procesu zajęło jej wiele, wiele lat. Byli jak dzieciaki w modnym kabrioletcie, które pędzą przed siebie na złamanie karku. Gdyby nie zgubna pewność siebie, nie jechaliby tak szybko, ale gnając sto pięćdziesiąt na godzinę wyrznięli w betonowy mur i nic z nich nie zostało. Nawet ci, którym udało się uciec z życiem, a do takich należał pan Ridgway, odnieśli nieuleczalne rany na duszy, rany, które nigdy nie przestały krwawić. Takim właśnie ofiarom Wietnamu najtrudniej było współczuć - ludziom, którzy doprowadzili do tej wojny, chociaż cierpieli równie mocno, jak żołnierze, którzy nie wrócili do domu.

Nie wiedzieli, co to porażka; nie mogli znieść cienia niepewności, wątpliwości ani myśli o własnej słabości. To dlatego ich błędy miały druzgocące konsekwencje - bo sądzili, że nic im się nie może stać. Należeli przecież do pokolenia, które wygrało wielką wojnę; jak mogliby przegrać w takiej niepozornej potyczce?

Ridgway uważał, że uda się doprowadzić ją do szczęśliwego finału. Co wieczór wracał z Pentagonu wyczerpany walką z przeciwnościami losu. Przyjeżdżał czarną limuzyną z małą chorągiewką zastępcy sekretarza obrony. Szofer wnosił mu teczkę po schodach. W drzwiach witały go pani Ridgway i mała Candace. Przytulał córeczkę, ale był tak wykończony, że ledwie miał siłę ją uściskać. Potem szedł prosto do swojego gabinetu, przyrządzał sobie koktajl i pił przez godzinę albo i dłużej, aż zmęczenie trochę ustąpiło.

Matka zakazała Candace wchodzić do jego pokoju, więc dziewczynka stała pod drzwiami i czasem tylko zaglądała do środka, starając się wywołać uśmiech na twarzy ojca. Bywało, że miał nieco lepszy nastrój i zabawiał ją jakąś śmieszną historyjką, ale najczęściej spowijała go nieprzenikniona czerń. Ktoś, kto nie widział tych ludzi w domowym zaciszu, nie miał szans zrozumieć, jak cierpią. Opinia publiczna dostrzegała tylko niewzruszonych biurokratów o



gładko zaczesanych włosach i nienagannych manierach, ale trzeba było ich widzieć w domu, pogrążonych w nasilającej się depresji, żeby zrozumieć, jak desperacko, resztkami sił trzymają fason przed kamerami.

Ridgway co kilka miesięcy leciał do Wietnamu, żeby porozmawiać z generałami i przekonać się na własne oczy, jak przebiega wojna. Zwykle w drodze powrotnej zatrzymywał się na Hawajach, skąd przywoził córeczce kwiatowy naszyjnik albo muumuu, długą, luźną sukienkę hawajską. Po powrocie przez jakiś czas był jak nakręcony, tak niewiarygodnie skuteczna okazywała się propaganda wojskowych: wystarczy im jeszcze kilkaset tysięcy żołnierzy, trochę bomb i nowa ofensywa, a wróg z pewnością się podda. Ridgway bardzo chciał w to wierzyć, jego przyjaciele również; w końcu od tego zależała ich kariera. Wystarczyło jednak, żeby spędził trochę czasu w domu, śledząc rosnącą z dnia na dzień liczbę ofiar, a zaczynał się poważnie zastanawiać. Na wątpliwości nie mógł sobie pozwolić, bo przed innymi musiał zgrywać twardziela, tak jak oni przed nim. Ridgway chodził na pogrzeby ofiar Wietnamu tak często, jak tylko obowiązki mu na to pozwalały, posłuszny obowiązującemu go kodeksowi. I ból tylko się nasilał.

Aż w końcu, jakoś tak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku, zaczął z kolegami dochodzić do wniosku, że popełnili błąd, bo wojna nie chce się skończyć. Całkiem możliwe - ba, nawet prawdopodobne - że wysłani przez nich chłopcy zginęli w Wietnamie na próżno. Ziarno wątpliwości zostało zasiane, i to ono właśnie ostatecznie doprowadziło go do obłądu. Możliwe, że w każdym z nas drzemie jakaś psychiczna przypadłość i czeka na właściwy moment, żeby uwolnić się pod wpływem niezwykłego napięcia. A potem rozrasta się jak rak w naszym umyśle i z wolna go niszczy. To właśnie przydarzyło się panu Ridgwayowi; wietnamska tragedia dosięgła mrocznych, głębokich zakamarków jego mózgu i zaczęła go ogarniać ciemność.

Trzeba było go znać wcześniej, żeby w pełni zrozumieć spustoszenie, jakie

poczyniła choroba. Ridgway należał do tych ludzi, dla których nie ma rzeczy niemożliwych: znakomity sportowiec, który w szkole średniej zdobył dyplomy w trzech dziedzinach; erudyta, który na uroczystości własnej immatrykulacji na Harvardzie wygłosił przemówienie po łacinie; człowiek obdarzony wrodzonym wdziękiem i wyczuciem, dzięki któremu umiał ocenić, dlaczego ten czy inny utwór muzyczny jest piękny i wytłumaczyć to córce. Powiedzieć, że Candace go wielbiła, to z pewnością przesada, bo od dziecka miała silne poczucie niezależności, ale była przekonana, że jej ojciec wszystko potrafi. Do końca nie zrozumiała jego słabości - do chwili, gdy popełnił samobójstwo.

Tymczasem złowrogie sygnały pojawiły się już wcześniej. Najgorsza dla Candace była właśnie świadomość, że gdyby nie zatraciła się tak bez reszty we własnym świecie, mogłaby pomóc ojcu przetrwać. Coraz więcej pił; leżąc już w łóżku słyszała, jak tupie, schodząc po schodach po dolewkę szkockiej. Żle sypiał. Nie wiedziała, jakie dręczą go koszmary, ale czasem słyszała, jak budzi się z krzykiem w środku nocy. Kiedy pani Ridgway nie mogła dłużej tego znieść, zaczęła sypiać w osobnym pokoju. Wstydziała się męża - i to było najgorsze. Straciła wiarę w niego, a on o tym wiedział. Pił, czytał, coraz później kładł się spać, a rano wstawał jakby nigdy nic i szedł do pracy, udając, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku zrezygnował ze stanowiska w rządzie, wszedł do zarządu fundacji i usiłował pisać książkę, ale już był wrakiem. Lekarz wysłał go do szpitala, Candace zaś dopiero w wiele lat później uświadomiła sobie, że zaaplikowano mu tam leczenie elektrowstrząsami. Była to powszechnie wówczas stosowana, prymitywna forma terapii, niewiele lepsza od przystawiania pijawek na zabicie gorączki. Dlatego właśnie wrócił do domu z tak smutnym spojrzeniem i ledwie rozpoznał własną córkę. Potraktowali mu mózg prądem.

Jego upadek postępował powoli. Pan Ridgway wziął sobie kochankę -

rozwódkę, która miała mieszkanie w jednym z tych wielkich budynków przy Connecticut Avenue. Tak jak on w college'u grywała w tenisa; kiedy razem grali w Chevy Chase Club, ludzie zachodzili w głowę, co się właściwie dzieje, za to Candace już jako nastolatka uważała, że wie, o co chodzi: matka była coraz starsza, przeniosła się do własnej sypialni, a ojciec - bądź co bądź, facet w kwiecie wieku - nadal czuł się młodo i był przystojny. Tak brzmiała wersja oficjalna.

Faktycznie jednak pan Ridgway popadał w obłąd.

Candace pokazała mi pokój, w którym zginął. Szerokimi schodami weszliśmy na pierwsze piętro, a później następnymi - węższymi już - na drugie, przestronne i jasne dzięki sączącemu się przez świetlik blaskowi słońca. Od frontu znajdował się pokój dziecinny, w dalszym ciągu pełen plakatów, lalek i szklanych figurek. Kiedyś należał do Candace. Na tyłach zaś mieścił się drugi, mniejszy pokój, pierwotnie przeznaczony chyba na szwalnię. Drzwi były zamknięte na klucz, ale Candace otworzyła je dla mnie. W środku stała kanapa i ogromny fotel, a za oknem widziałem wierzchołki pobliskich drzew. Pan Ridgway lubił tu przychodzić wieczorami, po pracy: siadał w fotelu i czytał. Candace mówiła, że lepiej się przy tym czuł.

Stało się to pewnego jesiennego dnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, kiedy Candace była z dala od domu, w college'u - pan Ridgway wszedł na górę, do tego słonecznego pokoju, i się powiesił. Nie zostawił listu pożegnalnego; tylko na stoliku do czytania leżała Biblia, otwarta na fragmencie „Pieśni Salomona”, w którym napisano, że miłość jest silniejsza od śmierci. Wydrapał te słowa.

Znalazła go żona. Zadzwoiła do Candace, do Radcliffe, z wiadomością, że ojciec nie żyje. Nie powiedziała, że popełnił samobójstwo, bo było jej wstyd. Candace dowiedziała się prawdy nieco później tego samego dnia. Od obcego

człowieka.

Przytuliłem ją. Rozpłakała się. Prawie przez cały czas udawało jej się przechować koszmarnie wspomnienia bezpiecznie zamknięte pod nieprzeniknioną skorupą, ale teraz wszystko pękło. Rzadko czułem się tak bliski komuś, jak tamtego dnia z nią. I mimo wszystkich późniejszych wydarzeń wciąż uważam się za szczęściarza, że poszedłem z nią do tego pokoju i razem cofnęliśmy się w czasie.

Przed wyjściem posiedziała jeszcze chwilę z matką, a potem spędziła trochę czasu sama, żeby się pozbierać. Wróciliśmy do redakcji, prawie się do siebie nie odzywając. Miała lekko zaczerwienioną twarz - jak każdy, kto się solidnie wypłacze - poza tym jednak wyglądała doskonale. Była odporną kobietą, inaczej pewnie nie udałoby jej się tego wszystkiego przeżyć, ale wyczuwałem w niej coś więcej niż zwykle przystosowanie się do okoliczności. Miała elastyczną naturę, niczym drzewo, które pod naporem wichury zegnije się, ale nie złamie. Na tym polegał paradoksalny dar, który zawdzięczała ojcu: wiedziała, co to ból i umiała go przetrzymać. Ja zaś chciałem wierzyć, że nauczyła się także współczuć.

Kiedy dojeżdżaliśmy już na miejsce, zapytałem, czy zdarzyło jej się już rozmawiać w taki sposób o ojcu. Chciałem chociaż pod tym jednym względem być dla niej kimś wyjątkowym.

- Z jedną osobą - odparła i nie musiała dodawać nic więcej.

Powiedziała Galwinowi. Chyba sądziła, że mi pochlebi, zaliczając do tego elitarnego klubu, ale tylko kolejny raz mnie zraniła. Nie mogłem uciec przed Galwinem. Na każdym rogu jego twarz wyskakiwała zza węgła niczym maskotka na strzelnicy.

Na drzwiach redakcji „Erudyty” pojawiła się ogromna wywieszka z

napisem: JEŻELI NIE POTRAFISZ O NIKIM POWIEDZIEĆ MIŁEGO SŁOWA... TO TRAFIŁEŚ POD WŁAŚCIWY ADRES. Chciałem w ten sposób zachęcić do współpracy wszystkich nieproszonych gości -osobników, którzy pod wpływem nagłego impulsu zdradzają największe sekrety, bo w głębi duszy nie cierpią własnych żon, są ogólnie wściekli, nie dostali awansu czy mają ku temu inny, równie mało istotny powód. „Erudyta” najchętniej wyłapywał właśnie te informacje, które na co dzień pozostawały niewidoczne - i nie miał żadnych skrupułów przy dobieraniu ich źródeł.

Przygotowywanie stałego felietonu nie było prostą wprawką z pisania na maszynie, jak sobie to przedtem wyobrażałem. Nie bałem się, że urażę przyjaciół (bo tak naprawdę nie miałem ani jednego), ale musiałem się liczyć z realiami pisywania do Poważnej Gazety. Oczywiście, mogłem napisać, że „Newt Gingrich to dureń, który wszystkim prawi kazania na temat moralności, a sam rozwiódł się z żoną, kiedy trafiła z rakiem do szpitala”. „Sun” zatrudniał jednak prawników specjalizujących się w zawiłych kwestiach oszczerstw i pomówień, którzy z pewnością ostrzegliby mnie, że tego rodzaju sformułowanie może stać się „powodem wszczęcia pewnych działań prawnych”. Zatrudniał też redaktorów, którzy nie omieszkaliby zapytać, czy wzmianka o tym, że Newt rzucił żonę, ma jakieś faktyczne podstawy, a jeśli nie, to pewnie wycięliby ją z tekstu. Mógłbym wtedy wpaść w szal - tak przecież robią prawdziwi pisarze, kiedy redaktorzy za bardzo grzebią im w rękopisie, prawda? Tyle że nie było to żadne wyjście z sytuacji. Chcąc zostać dobrym felietonistą, musiałem się niestety nauczyć starannie dobierać cele ataków.

Słyszałem kiedyś o pewnym angielskim dziennikarzu. Nazywał się Claude Cockburn, był arystokratą, ekskomunistą, ordynarnie traktował kobiety i w ogóle nie cieszył się nadmiernym szacunkiem. Podobno kiedyś, szukając osoby, którą mógłby obsmarować w następnym numerze gazety, spytał przyjaciela:

- Kto jest najbardziej szanowanym człowiekiem na świecie?

Przyjaciel zamyślił się, rozważając kandydatury luminarzy nauki, muzyki i literatury, aż wreszcie oznajmił, że najszacowniejszym człowiekiem jest przemysł alzacki lekarz, który poświęcił życie sprawie pomocy głodującym w Afryce, doktor Albert Schweitzer.

- No dobrze - stwierdził na to Cockburn. - Spróbujemy ze starym Schweitzerem.

Właśnie taki stan ducha „Erudyta” miał odzwierciedlać. Chciałem zatem dowiedzieć się, siedząc za lśniącem tekowym biurkiem, kto też może być najbardziej godnym szacunku człowiekiem w Waszyngtonie. Czy Ralph Nader, wspaniały adwokat konsumentów, który zmusił koncerny samochodowe do produkcji bezpieczniejszych wozów, uratował pewnie więcej istnień ludzkich, niż zginęło w Hiroszynie i Nagasaki razem wziętych? Nader wiódł przykładny, ascetyczny żywot, a zatem... hurra! Spróbujemy ze starym Ralphem! Może na początek zainteresujemy się jego życiem seksualnym: „Miłosne tajemnice boga konsumentów”. Jak się tak człowiek jednak chwilę zastanowił, dochodził do wniosku, że Nader wyszedł już nieco z mody. Zrobił, co do niego należało i teraz nikogo nie obchodziło, czy sypia z własnym psem.

Więc może sędzia Sandra Day O'Connor? Przecież tę kobietę prawie kanonizowano! Symbolizowała umiarkowanie i zasadę złotego środka w Sądzie Najwyższym, wybroniła sprawę Roe kontra Wade, uniemożliwiła prawicowym zapaleńcom przeforsowanie zmian w konstytucji... Było w niej coś, co budziło najgłębszy podziw, ale i doprowadzało człowieka do szału. Bierzymy starą Sandrę na warsztat! Z pewnością zamyka się w garderobie, żeby popalać papierosy, a w dawnych czasach oszukiwała, będąc sędzią liniowym na korcie. Prawnicy „Suna” zaraz zaczęliby się domagać dowodów - na tym właśnie polegał kłopot z dobieraniem się do tyłka urzędującym funkcjonariuszom Sądu Najwyższego. Prawnicy trzymają sztamę; są pod tym względem gorsi niż nowojorskie rodziny mafijne.

Rozmyślałem więc dalej w podobnym stylu: wynajdywałem potencjalne ofiary felietonów, a potem zastanawiałem się, dlaczego się nie nadają, gdy nagle przypomniałem sobie nie grzeszącą dyskrecją specja od dezynsekcji. Pomysł ten podsunął mi nie kto inny, jak Candace. Podczas jednej z moich coraz bardziej desperackich wizyt, jakie składałem jej w poszukiwaniu nowych pomysłów, wspomniała o tym, że jej matka zatrudnia przy tępieniu robactwa faceta, który wiecznie plotkuje o kłopotach de-zynsekcyjnych wśród stołecznych elit. Jego zdaniem był to znak czasów, jakie nadeszły dla Waszyngtonu: niedługo nawet ludzie od dezynsekcji zaczną pisać pamiętniki.

Wziąłem od niej jego numer telefonu i zadzwoniłem. Miał na imię Sanjay, był gadatliwym, dobiegającym czterdziestki Hindusem i, jak twierdził, kojarzył moje nazwisko z „Podglądacza”. Dezynsekcją zajmował się ponoć jedynie tymczasowo; w przyszłości chciał zostać pisarzem.

Wystarczyło, że mu trochę poschlebiałem, a opowieści o robalach posypały się jak z rękawa. Mieszkał w Waszyngtonie pewien znany lobbysta, cieszący się zresztą opinią osobistego przyjaciela prezydenta. Bez wątpienia szacowny obywatel, bez zarzutu, ale robaki lęły się u niego dosłownie wszędzie - i to ogromne. Nie tylko te na „k” (bo Sanjay nie mógł się zmusić do tego, by powiedzieć „karaluchy”), ale nawet myszy! Sanjay z przykrością musiał stwierdzić, że i pani sekretarz transportu ma robactwo w domu. Wspaniała skądinąd kobieta, sól ziemi; z pewnością nie miała nic wspólnego z ostatnimi kłopotami prezydenta, ale... Pewnego wieczoru zaprosiła gości na uroczystą kolację, gdy nagle po stole - niebezpiecznie blisko maselniczki - przebiegł ogromny pajak. Prawdziwa katastrofa! Następnego dnia pani sekretarz wezwała ekipę dezynsekcyjną i nawymyś-lała jej członkom od najgorszych. Zupełnie jakby to była ich wina.

A ci dziennikarze... Niektórzy zostawiali jedzenie na blacie, tak że robaki na dobrą sprawę nie miały wyjścia i musiały je wtrząchnąć. A potem tacy ludzie się

zastanawiają, co w ich domu jest nie w porządku. Sanjay opowiadał na przykład o pewnej doskonale znanej reporterce telewizyjnej, która skarżyła się na plagę moli spożywczych w puszkach z płatkami. Próbował ją przekonać, żeby trzymała puszki zamknięte, ale nie chciała go słuchać. Mole nie chciały się wynieść, a ona nie mogła pojąć, dlaczego.

Zdaniem mojego rozmówcy kłopoty z insektami były tylko metaforą choroby, która toczy nasze społeczeństwo. Robaków nie da się okłamać, jak mówił. Można się od nich wiele nauczyć; wystarczy poświęcić im trochę uwagi. Bo robaki widzą różne rzeczy.

Facet miał obsesję na punkcie insektów, więc pozwoliłem mu się wygadać. Prawnicy i tak nie pozwoliliby mi wykorzystać w gazecie prawdziwych nazwisk ludzi, o których mówił - uważali widać za poniżające stwierdzenie, że w czyimś domu rozpleniły się wielkie, spasiono, ohydne robale - więc je wyciąłem. Ale przynajmniej udało mi się wysmażyć pierwszy felieton.

Galvin był zachwycony niedyskretnym gościem od dezynsekcji i następnego ranka przygotował nam obu występ przed kamerami w Antywia-domościach. Sanjay okazał się urodzonym aktorem; swoim wyglądem przywodził na myśl azjatycką wersję pracownika szacownego serwisu Mayta-ga, co przydawało mu wiarygodności, a poza tym gadał jak najęty. Okazało się, że zna o wiele więcej historyjek o robactwie lęgnącym się w domach sławnych ludzi. Po programie zapytał mnie, czy mógłbym mu pomóc znaleźć agenta literackiego. Wyglądało na to, że wszystko idzie jak po maśle, gdy pani sekretarz transportu przysłała list do jego firmy, protestując przeciw naruszeniu jej prywatności („Czy naprawdę nasz kraj upadł aż tak nisko, żeby wścibscy dziennikarze zaglądali znanym ludziom do szafek kuchennych?"). Właściciele firmy czym prędzej wylali Sanjaya z roboty.

Czułem się trochę winny tej sytuacji, zadzwoniłem więc do Galwina w



nadziei, że pomoże znaleźć biedakowi nowe zajęcie, on jednak był zachwycony. Nasza historia idealnie nadawała się na materiał dla „Suna”: bezduszni biurokraci niszczą życie prostego robotnika. Zaproponował zorganizowanie kampanii medialnej pod hasłem: „Ratujmy Sanjaya!”

- Zażądamy od pani sekretarz transportu przeprosin za zrujnowanie mu życia! - Galvin coraz bardziej zapalał się do swojego pomysłu. - I zmusimy pracodawców, żeby przyjęli go z powrotem! „Sun” stanie w obronie praw zwykłego, szarego człowieka. To gazeta, której nie można zastraszyć! Gazeta z duszą!

Wcale nie żartował. Nie zważając na gorące protesty Howarda Bacona, zamówił materiał na pierwszą stronę, opisujący losy odważnego, prawdomównego mistrza dezynsekcji; kazał tylko pominąć fakt, że Sanjay cały czas szuka wydawcy pamiętników i próbuje sprzedać prawa do nich jakiejś wytwórni filmowej. Daliśmy temu tytuł „Odszczurzenie u przyjaciół prezydenta” i mieliśmy kapitalną lekturę. W ramce obok artykułu wydrukowano numer telefonu i adres poczty elektronicznej pani sekretarz, żeby czytelnicy mogli osobiście powiedzieć jej, co sądzą takim postępowaniu. Nie trzeba chyba dodawać, że w ciągu niespełna doby trafił na moje biurko list z serdecznymi przeprosinami, a Sanjay dostał ofertę powrotu do zawodu. Odrzucił ją jednak, bo zaczął już pracę nad scenariuszem filmowym. „Sun” odniósł wspaniałe zwycięstwo.

Któregoś popołudnia Galvin zajrzał do mojego gabinetu. Bawił się trzymanymi w kieszeni drobniakami i wyglądał na szczęśliwego człowieka.

- Uwielbiam ten film - powiedział, wskazując plakat z Małej syrenki. - Rozczuła mnie do łez.

Sam radosny nastrój nie wystarczyłby, żeby do mnie wpadł; musiał mieć w tym jakiś interes. Ostatnio wtykał swoje trzy grosze w pracę wszystkich

działów, tak że nie tylko Bacona doprowadzał do białej gorączki. Miał w sobie jakąś maniacką potrzebę natychmiastowego zmieniania wszystkiego, co mu wpadło w oko, jakby w tajemnicy przed wszystkimi próbował wygrać dramatyczny wyścig z czasem.

Okazało się jednak, że tym razem nie ma dla mnie żadnych wskazówek i wpadł z czysto towarzyską wizytą. Zaprosił mnie na kolację, którą urządzał dwa dni później - na małą uroczystość, jak powiedział, dla najbliższych przyjaciół.

Przyszedeł czas na pisanie drugiego felietonu. Pogromca insektów okazał się takim przebojem, że znacznie wyśrubował poziom rubryki i potrzebowałem następnego ostrego kawałka. Ktoś kiedyś zauważył, że pisanie felietonów przypomina małżeństwo z nimfomanką - ledwie człowiek skończy, już trzeba od nowa brać się do roboty. Mimo wrodzonego wstrętu do pracy reporterskiej czułem, że trzeba się trochę zakrzętać wokół materiałów.

Moją listę podejrzanych otwierał Hugo Bell, szara eminencja rynku nieruchomości. Miał oszałamiającą - moim zdaniem - zdolność wygrzebywania zapomnianych, niedostępnych dokumentów i wydobywania z nich prawdziwych perełek: kto kupuje dom, bo właśnie podpisał lukratywny kontrakt na książkę? Kto musi sprzedać posiadłość z powodu bliskiego rozwodu? Kogo sąsiad podał do sądu za to, że pozwala psu wolno biegać po ulicy? Bell wiedział wszystko, ja zaś dawno się z nim nie widziałem i chociaż nie miałem pewności, kto komu jest winien przysługę, warto było spróbować.

- Czołem, stary - mruknąłem w słuchawkę. - Tu „Erudyta”. Potrzebuję jakiegoś naprawdę gorącego kawałka.

Oderwałem go od krzyżówki. Nie był zachwycony. Miał trochę takich drobnych zbroczeń: uważał na przykład, że rozwiązywanie krzyżówki z „New York Timesa” jest dla Murzyna aktem rebelii. Podsunął mi jednak kilka ciekawostek. Ted Koppel przymierzał się do sprzedania domu w Maryland nad

oceanem; Larry King postanowił przebudować łazienki w swoim apartamencie; śliczna była pokojówka króla Hasana usiłowała sprzedać swoje pamiątki, zatytułowane niezbyt adekwatnie Król i ja.

Nic z tego nie pasowało mi jakoś do „Erudyty”, spytałem więc Bella, czy nie ma jeszcze czegoś w zanadrzu.

- A co powiesz na bankructwa? Bo sporo się ich szykuje. W nieruchomościach źle się dzieje. Ostatni raz widziałem coś takiego pod koniec lat osiemdziesiątych, tuż przed krachem na rynku.

- Co to znaczy „źle się dzieje”? - zapytałem. Nie wyglądało mi to na materiał do felietonu, ale nigdy nic nie wiadomo.

- No cóż, przez ostatnie dwa tygodnie nie znalazł się ani jeden kupiec na drogie posiadłości; są tylko oferty sprzedaży. To przerażające. W dodatku część umów, które pod koniec tygodnia były o krok od sfinalizowania, również nie wypaliła. Nagle wszystkim brakuje pieniędzy. Kredytodawcy robią się nerwowi.

- Ale dlaczego? O co chodzi?

W sprawach biznesu byłem kompletnym dyletantem; nie dostrzegałem nawet najbardziej oczywistych faktów.

- Gospodarka siada, mój drogi. Bogaci ludzie są jak kanarki w kopalni. Wszystko idzie jak z płatka, a tu nagle bum! I znikąd pieniędzy. Nikt nie chce dać kredytu. Zaczyna się trudny okres; pętla się zaciska na gardle. Czuję to. Wiem, co się święci.

- Na czym gardle? Pomóż mi, muszę napisać felieton.

- No dobrze... - Bell zawsze najlepsze zachowywał na koniec. -Mógłbym mieć dla ciebie ciekawe informacje o pewnym miejscowym rekinie finansjery, właścicielu dwóch wspaniałych posiadłości w naszej okolicy, który zdobył

fortunę z niepewnego źródła. Interesuje cię to?

Zamieniłem się w słuch.

- Przejdź do rzeczy. Masz coś na Galvina?
- Mhmm - wymruczał. - Twój złoty chłopiec ma maleńki problemik z forszą.
- Wątpię. Ten gość jest bogatszy od samego Pana Boga. Jack, ten twój kumpel, szczegółowo mi wszystko wyliczył. Galvin jest miliarderem.
- Może i tak, ale Jack mówił też, że ma masę długów. Mówiłem ci, że przy zakupie domów korzystał z niecodziennego źródła finansowania: gwarancji udzielił mu pewien bank z Antyli Holenderskich, gdzie sympatyczni ludzie nie proszą o pożyczki. Pamiętasz?
- Oczywiście. Ale co z tego? Kredyt to kredyt.
- Słuchaj dalej. Czy wiedziałeś, że pan Galvin wystawił dom w Georgetown na sprzedaż i zażądał za niego dwa miliony sześćset tysięcy dolarów?
- Owszem, wiedziałem, że chce go sprzedać. Sam mi o tym powiedział. Nie znałem tylko ceny.
- Ta cena się nie itrzyma, mój drogi, bo nikt nie chce tego domu kupić. Jak już mówiłem, na rynku panuje lekki zastój. A to wyjątkowo zła wiadomość dla pana Galvina, bo jego kłopoty się na tym nie kończą. Wiem z wiarygodnych źródeł, że hipotekę na dom w Georgetown wykupił ostatnio inny koncern finansowy. Tak się składa, że i jego siedziba mieści się na Karaibach. Nowi właściciele przymierzają się do przejęcia nieruchomości z powodu opóźnień w spłatach odsetek.
- To bzdura. Nikt nie przejmuje domu miliardera. - Usiłowałem przypomnieć sobie, czy Galvin wspominał coś o partnerach w interesach, którzy

mogliby mieć na niego haka. Nie bardzo mogłem sobie to wyobrazić; nie wyglądał na człowieka, który prosi innych o wyświadczenie mu przysługi. - Kto wykupił hipotekę?

- Trudno to powiedzieć; mam tylko numer skrytki pocztowej w Willemstad. To może być każdy, ale z pewnością nie człowiek, którego chciałbyś znać osobiście.

- Jak duży jest dług?

- Suma kredytu to dwa i pół miliona; odsetki przekraczają dwadzieścia tysięcy miesięcznie.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie, Hugonie?

- Nikt. Jestem w okolicy jedynym posiadaczem tego sekretu, a szczerze wątpię, żeby komuś chciało się pójść moim tropem i myszkować w archiwach. Jest cały twój.

Nie jestem z natury skryty, ale tę tajemnicę chciałem schować na dnie starego kufra. Hugo umiał się znaleźć i obiecał, że nikomu słówka nie piśnie, czekając na wieści ode mnie. Nie chodziło mi o to, żeby chronić Galvina czy mu się podlizywać; już prędzej można by powiedzieć, że nie do końca rozumiałem znaczenie tej wiadomości. Nie miałem pojęcia, jakie drzwi mi otworzy ani co za nimi znajdę. Prawdę mówiąc nie byłem nawet pewien, czy jest mi przykro, że mój mistrz ma kłopoty finansowe, czy raczej cieszę się z tego faktu. Na taki luksus było mnie stać: jako dziennikarz mogłem - a nawet powinienem - powstrzymać się od zajmowania stanowiska i po prostu obserwować rozwój wydarzeń.

Ostatecznie znalazłem sobie inny temat do felietonu: przed paru laty poznałem Nigeryjczyka-taksówkarza, który w piwnicy mojego bloku urządził centralę ruchu wyzwolenczego ([www.freenigerianow.com](http://www.freenigerianow.com) - „Zawsze jedna,

zawsze Nigeria!"). Nazywał się Kano i był człowiekiem wykształconym: kiedy nie jeździł taksówką ani nie umieszczał w Internecie kolejnych manifestów politycznych, zajmował się kolekcjonowaniem poezji i spisywaniem legend nigeryjskiego ludu Ibo. Niewiele wiedziałem o Nigerii, ale rozumiałem, że jeżeli Kano nie lubi brygady rządzącej w Lagosie, coś musi być z nią nie w porządku.

Kano stał się tymczasem dyżurnym waszyngtońskim specjalistą do spraw nigeryjskich, chociaż jeśli pamięć mnie nie myliła, jego ugrupowanie polityczne nie miało chyba żadnych faktycznych członków. Regularnie cytowały go gazety, w radiu przeprowadzano z nim wywiady, zapraszano do zeznań przed Kongresem. Moim zdaniem Kano ucieleśniał jedną z najważniejszych prawd, obowiązujących w stolicy: chcąc być wpływowym, wystarczy za takiego uchodzić.

Pewnej październikowej nocy wróciłem z redakcji i zastałem Kano siedzącego na schodach domu, w otoczeniu bagaży i poskładanych mebli. Został eksmitowany - bez powodu, jak uparcie twierdził, choć ja podejrzewałem, że chodzi o zaleganie z czynszem - i już miałem następny materiał do „Erudyty”. Opisałem smutne koleje losu Kano - „Wybitny afrykański dysydent upokorzony przez właściciela domu”. Nasz fotograf zrobił mu wzruszające zdjęcie, jak z nędznym dobytkiem siedzi przed moim blokiem. Później Kano też trafił do Antywiadomości, a po tygodniu mieszkał już w apartamencie kilka pięter nade mną, z widokiem na miasto -i nie musiał za niego płacić. Sam kiedyś marzyłem o tym mieszkaniu, ale teraz zarabiałem już takie pieniądze, że gdybym chciał, mogłem się przeprowadzić choćby i do Watergate. A gazeta z duszą odniosła kolejne zwycięstwo.

Czy to możliwe, żeby ludzie mi zazdrościli, że zostałem stałym felietonistą „Suna”? Byłem cokolwiek dezorientowany, gdy zacząłem dostawać listy w eleganckich kopertach od moich dawnych kolegów ze studiów. Przez lata nie odczuwali potrzeby pisania do mnie, teraz jednak wszyscy naraz po prostu

koniecznie musieli mi powiedzieć, że moja kolumna w „Sunie” jest znakomita. Łapczywie chłonałem ich nieszczerze pochwały, ale zaraz miałem chęć je wyrzygać, żeby powrócić do zwykłego stanu urażonej obojętności. Cierpiałem na „zaburzenie poczucia sukcesu” - w tym właśnie tkwił problem. Właściwie przy odrobinie wysiłku mogłem sobie wyobrazić, jak występuję w roli gwiazdy u Jerry'ego Springera.

Z każdym mijającym rokiem stawało się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że my wszyscy, dziennikarze po Harvardzie, przypominamy cieplarniane rośliny - olbrzymie dynie, wypełnione jadem ambicji. Od dziecka podlewani i nawożeni, bo przeznaczeni do pełnienia szczególnej roli, różniliśmy się znacznie od naszych bardziej zwyczajnych kolegów, którzy po studiach zostawali prawnikami i zarabiali ogromne pieniądze. My woleliśmy oddziaływać na świat naszą osobowością. Byliśmy obłąkani, na tym polegał nasz największy sekret; obłąkani od nadmiaru talentu i na skutek braku poczucia bezpieczeństwa. Jeżeli ktoś nie spełniał choć jednego z tych warunków, wylatywał z gry i padał bez sił na pobocza drogi; za to ci, co przeżyli, rozwijali się bujnie niczym tropikalne pnącza. Jeden z nas, po opublikowaniu w „Crimsonie” pierwszej recenzji z przedstawienia teatru studenckiego, dawał jasno do zrozumienia, że pewnego dnia będzie krytykiem teatralnym „New York Timesa” i po kilku latach rzeczywiście nim został. Nikt nie czuł się zaskoczony; bardziej byśmy się zdziwili, gdyby mu się nie powiodło. Pewien niedoszły krytyk filmowy tak się wściekł na kolegę z roku, któremu nie podobała się jego recenzja z filmu Sama Peckinpaha, że dosłownie dał mu w nos - teraz zaś recenzował filmy dla „New Yorkera” i „Salonu”. Trzeci niezwykle utalentowany młody człowiek zdążył zostać redaktorem naczelnym trzech spośród największych magazynów ilustrowanych, a nie miał jeszcze czterdziestki. W naszych kręgach słynął z aforyzmu „Gdzie byś nie poszedł, tam właśnie zajdziesz”. Inny znów długowłosa radykał, który najchętniej pisywał

eseje o Trockim, stał się jednym z głównych wydawców prasy biznesowej i dworakiem możnych i wpływowych. Cóż za galeria typów!

Ja jednak wolałem pozostać w cieniu, opatulony poczuciem porażki niczym ciasnym, bezsensownym kokonem - i było mi z tym dobrze. Nikt nie pisał do „Podglądacza”, żeby pochwalić nas za artykuł o najciekawszych waszyngtońskich kodach pocztowych (dla tych, którzy przegapili ten numer, podaję je jeszcze raz: 20016, 20007 i 20854). Niepowodzenie służyłoby mi za najlepszą wymówkę, gdybym miał się przed kimś tłumaczyć z małostkowości mojego nędznego życia.

Dręczyło mnie jednak niemiłe przeczucie, że przez te wszystkie lata we mnie też drzemie głęboko ukryty pęd do sukcesu, który niczym wirus mnoży się i rośnie w siłę. Niedługo zacznę się domagać, żebym zawierał jakieś przyjaźnie, trwałe związki, ułożył sobie prawdziwe życie.

Powiedziałem sobie, że jestem od niego silniejszy, że jeszcze przez jakiś czas będę umiał mu się opierać. I żeby trwać w dobrym zdrowiu, postanowiłem więcej nie otwierać pochwalnych listów od kumpli ze studiów.

Długie babie lato dobiegło wreszcie końca w pierwszych dniach listopada. Pszczoły odeszły tam, gdzie zwykle pszczoły odchodzą, a w powietrzu pojawiła się pierwsza zimowa mgiełka. Liście leciały z drzew i tworzyły wilgotne zlepkki. Podjeżdżając pod dom Galvina widziałem płynącą w dole rzekę i rozciągającą się na jej drugim brzegu miasto; nagie gałęzie nie przesłaniały mi tego nieprzyjemnego widoku. Waszyngton wyobraża sobie sam siebie w wiecznej zieleni, jakby bez końca panowało w nim lato. Kiedy w lipcu leci się samolotem nad miastem, dzielnice mieszkalne giną pod zielonym sklepieniem; kiedy jednak nadchodzi zima, kamuflaż znika: pokazują się dziury w jezdniach, obłaząca ze ścian farba i bałagan w miejscach publicznych. Taka właśnie jest istota złudzenia, którym karmi się Waszyngton: zimowa brzydota zawsze jest tu



zaskoczeniem.

Jechałem podjazdem, ogromnie ciekaw nadchodzącej uroczystości. Co też nasz tytan dla nas przygotował? Żył intensywnie i szybko ostatnimi czasy, cały świat natomiast wydawał się zwalniać bieg. Galvin jakby gubił rytm, a ja zastanawiałem się, czy zdaje sobie z tego sprawę.

Na końcu alejki stał dom, a przed nim na równiutkich rabatach kwitły późne bratki. Pomyślałem, że takie motto powinien mieć Galvin: „Zawsze kwitnący”.

Z lewej strony dobiegł mnie stukot odbijanej piłeczki tenisowej. Idąc za tym dźwiękiem trafiłem do zbudowanego z nieociosanych kamieni muru, oplecionego bluszczem i powojnikiem. Kamienny amfiteatr postawiono tu przed kilkoma miesiącami, zastępując dawne ogrodzenie z siatki wokół kortu. Nawierzchnię stanowiła specjalnie wyhodowana darń, dzień w dzień grabiona i walcowana przez jednego z ogrodników. Mocne reflektory pozwalały nie przerywać gry nawet po zapadnięciu zmroku.

Galvin właśnie grał z Candace, która była chyba jedynym „najbliższym przyjacielem”, jakiego oprócz mnie zaprosił na kolację - jeśli bowiem nie liczyć służby, posiadłość świeciła pustkami. Candace miała na sobie luźne bawełniane szorty i powyciąganą bluzę od dresu, tak że podczas gry migały mi tylko jej częściowo odsłonięte ramiona, nogi i jasne włosy. Zdumiałem się widząc, jak dobrze sobie radzi; jej ruchy na korcie zdradzały systematyczne lekcje w klubie tenisowym i niedzielne sparingi z ojcem. Biła bekhend oburącz, mocno, jak drwał ścinający drzewo, a Galvin bezradnie uganiał się po korcie za posyłanymi przez nią bombami. Był w czarnej koszulce i niebieskich spodenkach gimnastycznych; tak samo pewnie się ubierał, kiedy rano przed pracą ćwiczył w siłowni.

Przewaga Candace nie ulegała wątpliwości - grała o wiele lepiej od Galvina, którego siła tylko mu przeszkadzała. Za którymś razem potknął się i przewrócił,

pędząc za krosową piłką z forhendu. Wstał wolno, z wysiłkiem, a na jego twarzy nagle odmalowało się zdumienie i zmęczenie. Jak to było możliwe? Kiedy zaniepokojona Candace podbiegła ku niemu, zbył ją wybuchem śmiechu.

Usiadłem w pawilonie z widokiem na kort. Galvin krzyknął, żebym wziął raketę w garść i go zastąpił, ale się wymigałem. Nigdy nie grałem w tenisa, a nawet gdyby było inaczej, i tak bym mu odmówił. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że obserwuję wyrafinowany akt seksualny. Im częściej Galwin tracił punkty, tym bardziej dawał się ponieść emocjom: pokrzykiwał na Candace, że oszukuje i ma stanowczo za dużo szczęścia. W końcu zeszli z kortu, czerwoni i spoceni, i opadli ciężko na krzesła obok mnie. Candace pociągnęła ze szklanki łyk gatorade, chwilę pożartowała z Galvina, a potem przeprosiła nas i poszła wziąć prysznic.

- Po co mnie zaprosiłeś? - spytałem, gdy zostaliśmy sami w pawilonie. Nie miałem wątpliwości, że nie jestem im do niczego potrzebny.
- Inaczej nie zgodziłaby się przyjść, stary. Jesteś moją wymówką.
- Wracam do domu. Chyba nie potrzebujesz już wymówki. To żenujące.
- Zostań z nami! - poprosił. - Musimy porozmawiać. A poza tym to moja uroczystość.

Galvin również poszedł pod prysznic, a ja jeszcze przez chwilę kręciłem się przy korcie. Ciężkim krokiem podszedł do mnie ogromny labrador i złożył u moich stóp obślinioną piłeczkę tenisową. Cisnąłem ją najdalej jak potrafiłem, a on posłusznie przyniósł ją z powrotem i znów wypuścił z pyska przy moich nogach. Wstałem i zacząłem oddalać się od kortu, pies zaś wziął piłkę w zęby i podążył za mną. Poszliśmy razem w stronę domu i trafiliśmy nad kamienną ścieżkę, prowadzącą do basenu.

Gdy tylko mlecznobiała, rozjaśniona od dołu reflektorami woda zalśniła

przed nami, labrador przyspieszył kroku.

Kiedy znów wypuścił piłkę, rzuciłem mu ją do basenu. Skoczył za nią. Trysnęła wysoka kaskada kropel, gdy złociste psisko wpadło do podświetlonej wody. Labrador zdumiewająco zwinnie podpłynął do żółtej piłeczki, złapał ją w pysk, wrócił do mnie i położył ją na brzegu basenu. Chciał, żebym jeszcze raz kazał mu ją aportować, ale doszedłem do wniosku, że chyba nadeszła moja kolej i że to on powinien mi rzucić piłkę. Oczywiście nic takiego nie nastąpiło: pies wylazł na brzeg, otrząsnął sierść z wody - której kilkanaście litrów poleciało w moim kierunku - i wolno poczłapaliśmy do domu. Nie mogłem narzekać: też miałem towarzystwo.

W gabinecie Galvin napalił w kominku. Miałem wrażenie, że oboje z Candace z ulgą przyjęli nasze - moje i psa - przybycie. Moja osoba działała na Candace uspokajająco, stanowiła gwarancję, że jest to spotkanie czysto towarzyskie. Przebrała się w czarne dżinsy i luźną bluzkę bez rękawów, a na odsłonięte ramiona narzuciła sweter. Włosy zaczesła do góry, ale niesforne kosmyki wymykały się spinkom i opadały swobodnie. Nikt się nie odzywał, ale w pokoju dawało się wyczuć jedwabiste, delikatne napięcie erotyczne, jakby wszystkie obwody w mózgu były połączone za pośrednictwem gruczołów produkujących hormony. Nawet ogień radośnie strzelał w palenisku: maleńkie eksplozje światła i barwy sygnalizowały, że kolejne skrawki kory zaczynają płonąć.

- Czego byśmy się napili? - zagadnął Galvin. Był zdenerwowany; słyszałem to w jego głosie. - Mam otworzyć butelkę wina?

Candace stwierdziła, że z przyjemnością się napije, ja zaś milczałem, bo nie sądziłem, żeby moje zdanie szczególnie się tu liczyło.

- Chodźmy w takim razie do piwnicy. Razem coś wybierzemy.

Galvin w dalszym ciągu potrzebował mnie jako przykrywki, która pozwala zachować iluzję.

Wyszliśmy za nim na korytarz, minęliśmy ogromny stalowy sejf i trafiliśmy do drzwi, za którymi znajdowało się starannie klimatyzowane pomieszczenie. Galvin wyłączył alarm i otworzył drugie, szklane drzwi. W środku było zimno jak w chłodni. Pstryknął włącznikiem światła i naszym oczom ukazały się stojaki z winem, zajmujące od podłogi po sufit trzy z czterech ścian pokoju. Czuję się jak w małej galerii sztuki: każda butelka została opatrzona plastikową przywieszką z nazwą i rocznikiem wina oraz datą, po której zawartość będzie się nadawała do picia. Nie znam się na winach, ale i tak rozpoznałem niektóre sławne marki: Leoville-

Las-Cases, Le Corton, Montrachet, Romanée-Conti... I tak rząd za rządem, rok za rokiem.

- Co za idealne miejsce! - zachwyciła się zdumiona Candace. Miała przed oczami chyba najwyraźniejszy z dotychczasowych dowodów zamożności Galvina, ale najbardziej fascynowała ją chyba nie obfitość trunków, lecz panujący w chłodni porządek, jak w klaserze ze znaczkami albo w gablocie z motylami na szpilkach.

- To jest ciekawe wino - rzekł Galvin, sięgając po jedną ze starszych butelek. Zdmuchnął kurz ze szkła, odsłaniając etykietę: Mouton-Rotschild, rocznik tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty. Pierwsze zbiory po wojnie, oznaczone małą literką V jak „Victory” u góry naklejki. Podał butelkę Candace. Wzięła ją od niego, a potem oglądała następne: Madeirę z tysiąc dziewięćsetnego roku, półtoralitrowego szampana z tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego. Każdą ważyła w ręce i unosiła do światła, podziwiając kolor i czytając informacje z etykiet.

- Skąd ty je wszystkie bierzesz? - zapytała.

- Mam swojego człowieka w Nowym Jorku. Kiedy na rynku pojawia się coś ciekawego, robi dla mnie zakupy. Kupować wino zacząłem jeszcze w Hongkongu. Japończycy uwielbiają zabawne nazwy trunków: czasem wystarczył kieliszek Nuits-St.-Georges, żebym zdobył nowych, wiernych klientów.

- Ile cię to wszystko kosztowało? - zaciekałem się. Tak prostackie pytanie tylko ja jeden mogłem zadać.

- Nie wiem. Kupowałem wina po trochu, latami. Te, które trzymam w tej piwniczce, są pewnie razem warte około miliona dolarów, ale naprawdę trudno powiedzieć. Trzeba by sprzedać je na aukcji, żeby mieć pewność.

- A zamierzasz je sprzedać?

Tym razem było to coś więcej, niż moje kolejne nachalne pytanie: naprawdę chciałem się dowiedzieć, czy Galvin pozbędzie się kolekcji win, czy też woli ją zachować, mimo że grozi mu utrata jednego z domów.

Spojrzał na mnie z rozczarowaniem: jak mogłem go o coś takiego podejrzewać? Przecież to inwestycja w wygodne życie.

- Nie. Zamierzam je wypić, co do jednej, w towarzystwie bliskich przyjaciół.

Galvin uśmiechnął się do nas obojga, ale wzrok skierował ku Candace, która w dalszym ciągu przeglądała butelki na stojakach. Podszedł do niej.

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedział. - Od dawna chciałem ci to pokazać. Byłem ciekaw, co powiesz.

Ścisnęła go lekko za rękę.

- To miłe.

Cmoknęła go w policzek. Widać było, że nie wie, co zrobić. Wydarzenia wieczoru już zaczynały wykraczać poza bezpieczne ramy, jakie zawczasu w myślach sobie wytyczyła.

- No to czego się napijemy?

Galvin powiódł wzrokiem po półkach zawierających najcenniejsze burgundzkie wina i wybrał dwa z nich: Batard-Montrachet z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego i La Tache z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Podniósł je wyżej, żeby Candace mogła zerknąć na etykiety.

- Doskonale - oznajmiła. Jak przystało na dobrego korespondenta zagranicznego, znała się na rzeczy.

Galvin zaprowadził nas do, jak to określił, „małej jadalni”, której jeszcze nie oglądałem na oczy. Pokój był okrągły i miał ciemnoczerwone ściany. Pośrodku stał zgrabny, również okrągły stół. Candace usiadła między mną a gospodarzem. Ściany zdobiły trzy reprodukcje szkiców Matisse'a: naga kobieta na ozdobnym dywanie, ubrana kobieta wpatrzona w kuliste akwarium i trzecia, leżąca na brzuchu i zerkająca prowokacyjnie przez ramię. Rysunki były proste; w kilku zręcznych kreskach udało się artyście zawrzeć całą świeżość i wrażliwość modelek. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że wszystkie trzy kobiety są podobne do Candace.

Galvin kipiał entuzjazmem, ożywiony zarówno winem, jak i wrodzonym zapalem, ja zaś zastanawiałem się, czy stało się coś szczególnego, czy po prostu cieszył się z bliskości Candace. Podano kolację: na przystawkę sałatkę z owoców morza, później zaś żeberka jagnięce. Obsługiwała nas prześliczna Francuzeczka, żona szefa kuchni, jedna z „personelu”, jak mówił Galwin o ludziach, którzy na co dzień pozostawali w cieniu, karmiąc się niewidzialną rzeką pieniędzy. A rzeka bez wątpienia płynęła nieprzerwanym nurtem, nie bacząc na gromadzące się na horyzoncie czarne chmury.

Dopiliśmy białe wino i zaczęliśmy popijać czerwone. Galvin i Candace rozprawiali z ożywieniem, wspominając wspólnie spędzoną złotą młodość - a dokładniej podróż pociągiem przez zachodnie stany USA w lecie siedemdziesiątego pierwszego roku, zaraz po tym, jak się poznali. Pieniądze skończyły im się w Wyoming... Nie, w Salt Lake City. Więc postanowili podjechać kawałek pociągiem towarowym. Galvin czytał kiedyś w jakiejś gazecie, jak to się robi. Pamiętasz? Trafiliśmy na wagon z żarciem w puszkach! Wchodzili sobie w słowo, przeskakując do dalszych części opowieści jak dobre, zgrane małżeństwo.

Candace spojrzała na mnie. Oczy miała rozświetlone, pewnie tak samo jak wówczas, gdy wyjeżdżali z Salt Lake City. Siedzieli na platformie, zwiesiwszy nogi poza krawędź. Słońce zachodziło nad Wielkim Jeziorem Słonym, rozpalona pustynia płonęła złotem, włóczędzy z ich wagonu zaczęli pić i podśpiewywać pociągowe pieśni. Jeden z nich tak się spił, że w Nevadzie spadł z platformy.

Galvin poruszył się niespokojnie na to wspomnienie.

- Mówią na mnie Skoczek - zacytował drżącym, smutnym głosem. - W Winemucca wszyscy mnie znają. Jak tam dojedziecie, powiedzcie, że jesteście od Skoczka.

- A potem przejechaliśmy przez Sierre - ciągnęła Candace. - Powiedz mu, co się stało w górach, kiedy pociąg się zatrzymał.

Galvin szturchnął ją figlarnie w ramię.

- Nie, sama mu powiedz. To twoja historia.

Candace zamknęła oczy, wspominając rozhuśtany, chybotliwy wagon.

- Jechaliśmy bez przerwy całą dobę - zaczęła. - Byłam umęczona i brudna: bez łazienki, bez toalety, bez grama wody, żeby się choć ochlapać. Tory wiły się

przez Sierre. Wyżej w górach leżał śnieg. Kiedy wjechaliśmy na taką jedną wysoką przełęcz, pociąg nie wiedzieć czemu zatrzymał się. Siedzieliśmy tak, czekając, aż ruszy: pięć minut, potem dziesięć. Tuż obok nas, ze dwadzieścia metrów od torów, było małe górskie jezioro obrośnięte dzikimi kwiatami. Woda jak kryształ, lodowata. Najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałam. Siedziałam tak i myślałam o tym, jakby to było miło wskoczyć do tej wody. A Sandy cały czas podpuszczał mnie, żebym skoczyła i popływała. Czułam się taka brudna i kiedy pociąg w dalszym ciągu nie ruszał... wydawało mi się, że upłynęły całe godziny... uznałam, że warto spróbować. Przebiegłam przez łąkę do stawu, rozebrałam się do bielizny i zanurkowałam w wodzie. Boże, jakie to było cudowne uczucie! Pływałam na plecach, gapiąc się w niebo, a tu nagle pociąg zagwizdał i usłyszałam zgrzyt kół. Ale się wystraszyłam! Wdrapałam się na brzeg z ciuchami w garści; już mi się wydawało, że zostanę tam, w górach. Pociąg się rozpędzał. Sandy wyciągnął rękę i krzyknął: „Biegnij! Szybciej!”. Złapałam go za rękę i wciągnął mnie do wagonu. Ociekałam wodą, byłam prawie naga, a on się ze mnie śmiał. Mało brakowało, żebym została sama w tej dziczy, a on się śmiał, jakby w życiu nie widział nic zabawniejszego.

- Ty draniu! - dodała, patrząc czule na Galvina. W jej ustach „drań” brzmiał jak najmiłsze słowo na świecie.

- Co właściwie mamy uczcić? - zapytał. Nie chciałem im przeszkadzać w ożywianiu wspomnień, ale zaczynałem się poważnie zastanawiać, czy Galwin wymyślił w ogóle jakiś oficjalny powód tego spotkania po latach.

- Rzeczywiście! - wykrzyknął. - Byłbym zapomniał! Ale skoro to ma być uroczystość, potrzebujemy jeszcze jednej butelki wina.

Zdążyliśmy już wykończyć La Täche, więc znowu zeszliśmy do piwniczki.

- Do tej pory piliśmy same pyszności - ciągnął Galwin. - Trzeba znaleźć coś jeszcze lepszego, bo po co inaczej sobie głowę zawracać, prawda? Czerwony



burgund będzie najlepszy; nie chciałbym teraz wracać do żadnego Bordeaux. Nie mam ochoty na białe. - Zdjął z półki Romanee--Conti z siedemdziesiątego ósmego roku. - To moje ulubione. Tysiąc dolarów butelka. Chowam je na specjalne okazje, takie jak ta. Bez wątpienia takie jak ta.

Wróciliśmy do jadalni. Galwin nalał wina i uroczystym gestem wznosił kieliszek; nawet lekko wstawiony nie przestawał być dżentelmenem.

- Proszę was oboje, byście wraz ze mną wzniesli toast na cześć nowego „Washington Sun and Tribune"! To właśnie chcę dziś uczcić: działalność naszej gazety, która ma się świetnie mimo krakania Bacona i jego sługusów.

Wspinamy się na tę górę, o której mówiłem.

- Co masz na myśli? - zapytałem. - Co ma się świetnie?

Posłał mi skromny uśmiech, taki jak wtedy, gdy pierwszy raz ujrzałem go na przydomowym trawniku.

- Dostałem właśnie wstępne szacunki druku i nakładu z połowy października - wyjaśnił. - Sprzedaż wzrosła o dziesięć tysięcy egzemplarzy w porównaniu z wrześniem. To z pozoru niewiele, ale „Sun" od ponad trzech lat nie odnotował wzrostu sprzedaży miesięcznej. Zyskaliśmy to pewnie głównie dzięki bingo, ale co z tego? Udało się! I dalej też się uda. Wystarczy trzymać rękę na pulsie i przeć do przodu. Naprzód, naprzód, naprzód! Trzeba zmusić ludzi, żeby przestali się bać i ruszyli głową. Zaczynamy się rozpędzać. Jeżeli teraz nie załapią się na nasz pociąg, później mogą nie wskoczyć w biegu.

- Naprzód, naprzód, naprzód! - powtórzyła Candace, naśladowując pełen zapału głos Galvina. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go 'z rozmachem. Wiem, miała trochę w czubie, ale jednak...

- Moje gratulacje, szefie - powiedziałem.

Trudno się było Galwinowi oprzeć, kiedy wpadał w taki nastrój. Ten sam

sekret posiadli wodzireje, generałowie i prorocy: umieli przekonać słuchaczy do wyzbycia się własnych sądów i przyjęcia w zamian ich własnych opinii. I udawało mu się! Wszystkie jego niedorzeczne pomysły-Antywia-domości, konkursy, wstępniaki na pierwszej stronie - zyskiwały gazecie nowych czytelników. Teraz zaś zanosilo się na to, że chce wypowiedzieć wojnę ekipie „Suna”. Miałem nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę, ale słuchając go nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że może mieć rację.

Postanowił zapalić cygaro, wyszliśmy więc na patio przy basenie. Candace wyciągnęła się obok Galvina na kanapce i oparła mu głowę na kolanach. Po winie i łagodnej podróży w czasie czuła pewnie przyjemny zamęt w głowie. Pomrukiwała cicho melodie z telewizji, od czasu do czasu rzucając jakieś uszczypliwe uwagi pod adresem gospodarza. Pojawił się również mój towarzysz z piłką tenisową w pysku. Zamerdał przyjaźnie ogonem. Wrzuciłem mu piłkę do basenu. Kiedy po nią skoczył, podświetloną wodę wzburzyła złota, jakby fosforyzująca fala.

Candace była prawie nieobecna duchem. Uznałem więc, że to dobry moment na pytanie, które przez cały wieczór nie dawało mi spokoju. Nie bardzo wiedziałem, jak zacząć; przy nieprzeciętnych zdolnościach aktorskich Galvina trudno będzie domyślić się jego prawdziwej reakcji.

- Co słyhać na rynku? - zagadnąłem. - Nie znam się na gospodarce, ale znajomi mówią mi, że cienko przędziemy. Wiesz coś o tym?

- Twoi znajomi się nie mylą - odrzekł Galvin. - Mamy recesję. Ludzi, którzy nie wiedzą co się dzieje, czekają spore przykrości.

- To znaczy? Pamiętaj, że w kwestiach finansowych jestem kompletnym analfabetą.

- Wiesz, na czym polega płynność finansowa? Nie, oczywiście, że nie

wiesz... Z grubsza rzecz biorąc jest to takie wyrafinowane określenie pieniędzy. A ich teraz wszystkim brakuje. Jakiś miesiąc temu zaczęliśmy tracić płynność. Wtórny rynek obligacji właściwie przestał istnieć. W praktyce oznacza to, że nie można emitować żadnych papierów dłużnych ocenianych poniżej „A”; kredytobiorca ściągnie z ciebie więcej w odsetkach, niż ty zarobisz na swoim przedsięwzięciu. Na rynku IPO też nic się nie dzieje. Dwa miesiące temu ludzie inwestowali w każde głupstwo, a teraz boją się najmniejszego ryzyka. Finanse to zabawne zajęcie, nie dla amatorów.

- Ale ty nie masz powodów do zmartwień, prawda? Ty osobiście. Nie brakuje ci pieniędzy?

- Mnie? - Galvin roześmiał się szczerze, instynktownie, z całego serca. - Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

- Różne rzeczy się słyszy. Znasz mnie: uwielbiam plotki, a ludzie chętnie opowiadają.

- Co takiego opowiadają? - Galvin dalej się uśmiechał.

- Że musisz sprzedać dom w Georgetown, bo jakaś firma z Karaibów chce go przejąć z racji niespłaconej hipoteki.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

- Skąd oni biorą takie pomysły? Dawno temu ci mówiłem, że chcę sprzedać posiadłość w Georgetown; chyba przy okazji naszego pierwszego spotkania, nie? Nabywca korzysta z usług banku, który ma siedzibę gdzieś na Karaibach, ale co mnie do tego?

- Nie próbuje jej przejąć?

- Dajże spokój! Czyja wyglądam na człowieka, któremu właśnie chcą zająć dom za długi? Jestem coś winien moim dawnym partnerom w interesach, więc

sprzedają im ten dom w ramach spłaty należności. Łatwiej tak to zrobić, chociażby ze względu na podatki, niż płacić gotówką. To dobry interes. Przecież inaczej bym się w to nie mieszał.

Jego wyjaśnienia brzmiały dla mnie rozsądnie, a z pewnością za mało znałem się na rzeczy, żeby wypytywać go o szczegóły. Poza tym wystarczyło na niego spojrzeć: na ten pałac, na ubrania, na wino. Właśnie przepiliśmy ponad tysiąc dolarów - to się nazywa płynność! Niemożliwe, żeby Gawinowi brakowało pieniędzy, nawet jeśli gospodarka była faktycznie w kiepskim stanie.

Galvin pocałował Candace w czoło.

- Zbudź się, kochanie - szepnął.

Obudziła się, ale jakby nie do końca, pozostając w tym półsennym stanie, kiedy człowiek myśli i mówi dokładnie to, co czuje.

- Jak się masz, skarbie - odpowiedziała. Złapała go za szyję, przyciągnęła jego twarz ku swojej i pocałowała go w usta. Nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności; w tej chwili istniał dla niej tylko Galvin. -Chodźmy na górę - zaproponowała.

Galvin objął ją czule i oparł czoło o jej głowę.

Wstałem i zacząłem się na paluszkach oddalać. Pewnie nikt nie zwróciłby na mnie uwagi, gdyby pies nagle się nie rozszczękał. Może chciał, żeby i jego ktoś pocałował.

- Dobranoc! - krzyknąłem, ale nikt mi nie odpowiedział. Długo czekali na tę chwilę i nie sądzę, żeby mieli teraz myśleć o kimś trzecim.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy Ted Amara pierwszy raz zjawił się w redakcji „Suna”, ale od cichej „uroczystości” w domu Galvina nie upłynęło jeszcze wiele czasu. Amara miał niezbyt zaszczytny tytuł specjalnego asystenta

wydawcy, był prawnikiem i całkiem niedawno przeprowadził się do nas z Paryża, a więc brakowało mu zasług, które zwróciłyby na niego uwagę w Waszyngtonie. Nie potrzebował jednak dużo czasu, żeby wszystkim udowodnić, iż należy się z nim liczyć.

Galvin upierał się, żeby Ted uczestniczył we wszystkich ważnych spotkaniach. Już to samo świadczyło o jego wpływie, ale trzeba jeszcze było widzieć, jak Amara się zachowuje. Był niski, śniady, miał wyraziste, południowo-europejskie rysy i nosił dwurzędowe garnitury, które wydawały się na nim zarazem przyciasne i zbyt obszerne. Miał zwyczaj nerwowo pogryzać wykałaczki, które w potrzebie wyciągał z kieszeni tych niedopasowanych marynarek. Podejrzewam, że w ten sposób próbował odzwyczaić się od palenia, ale uzyskiwał efekt cokolwiek złowrogi: kiedy widziałem, jak Amara żuje wykałaczkę, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że znacznie chętniej rzuciłby się z zębami na mnie.

Rzadko widywało się w naszej gazecie takich ludzi i pewnie łatwo byłoby go zlekceważyć jako pospolitego bandziora, gdyby niejedna rzecz: był bardzo bystry. Rzadko odzywał się na zebraniach, ale zawsze mówił do rzeczy. Kiedy Galwin dawał mu jakieś zlecenie - na przykład kazał porozmawiać z przedstawicielami związków zawodowych na temat warunków kontraktu - Amara załatwiał sprawę czysto i zręcznie. Otaczała go aura powagi, jakby bez słów sygnalizował innym, że mówi poważnie,

a to bardzo szybko posuwało sprawy do przodu. Wystarczyło zajrzeć w te ciemne, nieustępliwe oczy, żeby wiedzieć, iż Ted Amara nie żartuje.

Zaciekawiał mnie, rzecz jasna, więc kiedy któregoś ranka zauważyłem, że siedzi sam przy stoliku w kafejce i czyta gazetę, przysiadłem się do niego. Chyba się ucieszył z mojego towarzystwa; podejrzewałem, że ludzie unikają go, bo się boją, że ich zastrzeli, jeśli powiedzą coś niestosownego. W rozmowie

okazało się, że jest człowiekiem szczerym i otwartym. Dowiedziałem się, że pod koniec lat sześćdziesiątych poszedł do Columbia Law School, a w wakacje udzielał się w różnych liberalnych przedsięwzięciach - pracował przy kampanii Allarda Lowensteina i kierował letnim programem dla młodzieży w południowym Bronksie. A więc pod tymi dwurzędówkami krył się pełen dobrych intencji idealista! Przynajmniej do czasu, gdy na początku następnej dekady wkroczył w świat wielkiej finansjery i odkrył swoje prawdziwe powołanie, które, na ile mogłem to stwierdzić, sprowadzało się do skutecznego, dyskretnego załatwiania wszelkich spraw - mniejsza o metody.

- Czym zajmuje się Ted Amara? - spytałem kiedyś Galvina. - Sprawia wrażenie bardzo kompetentnego człowieka, ale jakie ma właściwie obowiązki?

- Robi to, co mu każę. Pod tym względem przypomina ciebie, tylko że jest niższy.

- Skąd go wytrzasnąłeś?

- Pracuje dla mnie z przerwami od dwudziestu lat. W handlu dobrami konsumpcyjnymi często się trafia na ludzi, na których nie można polegać, dlatego potrzebny mi był ktoś, kto od razu pozna, co jest prawdą, a co fałszem. Ktoś taki jak Ted. Nadal się tym zajmuje. Prowadzenie gazety nie różni się aż tak bardzo od prowadzenia firmy handlowej.

Pierwszą okazję obserwowania Teda Amary w akcji zyskałem w kilka tygodni po jego pojawieniu się w „Sunie”. Galvin przymierzał się właśnie do udzielenia wsparcia finansowego lokalnym władzom. Bóg jeden wie, dlaczego jego filantropijne zapędy popchnęły go właśnie w tym kierunku: dystrykt Columbia mógł się poszczycić najgorszą, najbardziej skorumpowaną bandą polityków, jaką można znaleźć w Stanach na wschód od Chicago. Galwin uznał jednak, że gazeta z duszą ma pewne zobowiązania wobec swojego miasta.

- Zróbmy coś dla tego miasta! - powtarzał wszystkim w redakcji.

Doszedł do przekonania, że prawdziwą przyczyną tarapatów Waszyngtonu jest rasizm, a mieszkańcy nie lubią swoich przedstawicieli, bo przedstawiciele ci są czarni. Postanowił zatem zaprzyjaźnić się z burmistrzem, Alistairem B. Marquandem, Murzynem, który w swojej kadencji wykazał się niezwykłym talentem do denerwowania i zastraszania białych.

Galvin podszedł do sprawy ambicjonalnie. Wysłał Amarę do burmistrza z zaproszeniem na lunch do „Suna”, burmistrz zaś - o dziwo! - przyjął je. Miało to być małe, dyskretne spotkanie, „w celach leczniczych”, jak to ujął Galvin. Nie zaprosił na nie ani Bacona, ani żadnych reporterów, ale z niejasnych dla mnie przyczyn uparł się, żebym był na nim obecny.

- Może znajdziesz jakiś materiał do felietonu - zasugerował. - W każdym razie pomożesz mi przełamywać negatywne stereotypy.

Burmistrz miał czarną skórę i elegancko przystrzyżoną, szpakowatą bródkę; wyglądał na muzyka jazzowego. Pierwszą połowę lunchu zmarnował na przydługą diatrybę o „rasistowskiej gazecie”, o tym, jak to „Sun” próbował dobierać mu się do skóry, naprzykrzał się jego przyjaciołom i blokował jego inicjatywy polityczne. Nawet jego ukochana córka nie mogła zagrać kameralnego recitalu fortepianowego, na który nie wepchnąłby się wścibiński dziennikarz „Suna”, powiedział burmistrz. A ona ma tego dość! Z początku Galvin słuchał go uważnie, kiwał głową - sam też tak przecież uważa, oczywiście - ale gdy potok skarg nie ustawał, zaczął się powoli wyłączać. Ted Amara nie spuszczał oczu z szefa - i w odpowiednim momencie bezceremonialnie wszedł burmistrzowi w słowo.

- Nie po to pana tu zaprosiliśmy, żeby o tym wszystkim rozmawiać - powiedział. - Mamy co innego do omówienia.

Burmistrz Marquand spojrział na niego z ukosa, wymamrotał pod nosem coś na kształt „odpieprz się”, ale ucichł - taki właśnie wpływ na ludzi miał Amara. Z nim nie było żartów i wyczulony na subtelności władzy Marquand zrozumiał to od razu.

- Pan Galvin chciałby pomówić o stypendiach - dodał Amara, po czym umilkł i przekazał pałeczkę szefowi.

- Doskonale - stwierdził burmistrz. - Porozmawiajmy.

Miało się wrażenie, że sporo wysiłku kosztuje go powstrzymanie się od dodawania „ty sukinsynu” na końcu każdego zdania.

Galvin rozłożył błagalnie ręce.

- Panie burmistrzu, chciałbym zrobić dla miasta coś dobrego - rzekł.  
-Dlatego właśnie prosiłem o spotkanie.

Marquand wyszczerzył śnieżnobiałe zęby w uśmiechu, który mówił: „Jasne, białasku”.

- Mam propozycję: jestem gotów ufundować stypendium w wysokości jednego tysiąca dolarów wszystkim uczniom ostatnich klas waszyngtońskich szkół publicznych, którzy wiosną kończą naukę. Mogą wykorzystać je na kontynuację nauki w dowolnej szkole średniej. Każdemu z nich, który potem przez dwa lata utrzyma średnią ocen przynajmniej cztery, ufundują drugie stypendium: pięć tysięcy dolarów.

- No,no... -Głos burmistrza zdradzał bezmiar jego podejrzliwości. -Cóż za hojność z pana strony.

- Owszem - przytaknął Galvin. - Mogą panu dokładnie powiedzieć, ile to będzie kosztowało. Pan Amara przygotował szacunkowe dane. -Wyjął z kieszeni kartkę papieru. - Załóżmy, że całe cztery tysiące uczniów ostatnich klas



ukończy szkołę w terminie. W pierwszym roku wydam na stypendia cztery miliony dolarów i ten koszt utrzyma się na podobnym poziomie także w dalszych latach. Przypuśćmy dalej, że wymaganą średnią uzyska dwadzieścia procent dzieciaków w college'ach. W najbliższych czterech latach wydam zatem z własnej kieszeni blisko dwadzieścia pięć milionów dolarów na stypendia dla uczniów z dystryktu Columbia.

Burmistrz pokręcił głową i zwrócił się do swojego asystenta:

- Ten człowiek zwariował!
- Jeszcze nie skończyłem. Chciałbym również, żeby dopomógł mi pan w dystrybucji tych pieniędzy, panie burmistrzu. Dokonamy tego wspólnymi siłami: „Sun” i pańskie biuro. Chciałbym, żeby stypendium zostało nazwane pańskim nazwiskiem.

Burmistrz był coraz bardziej rozdrażniony; coraz mniej rozumiał, do czego zmierza właściciel dziennika, tym bardziej, że ani on sam, ani z całą pewnością Ted Amara nie wyglądali na złośliwych białasów.

- Co pan z tego będzie miał? - spytał Marquand.
- Pojednanie.
- W porządku. To piękna idea, Bóg mi świadkiem, ale niewarta dwudziestu pięciu milionów dolarów.
- Mam w tym również inny, bardziej egoistyczny interes: chcę zwiększyć nakład „Suna”. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że nie osiągną tego, nie okazując hojności mieszkańcom tego miasta. Zależność jest prosta: nie możemy mieć zdrowej gazety w mieście pełnym nienawiści. To czysty interes: im lepiej będzie się wiodło czarnym mieszkańcom Waszyngtonu, tym więcej gazet zdołam sprzedać.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Nawet nasz skwaszony, wredny burmistrz musiał przyznać Galwinowi rację. Podał mu ręką, chociaż w jego oczach wciąż czaiło się pytanie: „Nadal cię nie rozumiem: na czym polega przekręt?” Kiedy w towarzystwie asystentów udał się do windy, Ted Amara odciągnął go jeszcze na bok i zamienił z nim dwa słowa. Pożegnali się lekkim skinieniem głowy.

Howard Bacon dowiedział się o wizycie Marquanda z chwilą, gdy ten pojawił się w budynku - w gazecie nie da się niczego długo zachować w tajemnicy. Jeżeli cała wielka organizacja zajmuje się wygrzebywaniem wszelkiego śmiecia i rozdrapywaniem ran, część tej energii twórczej w sposób nieunikniony zostaje skierowana do wewnątrz. Bacon wiedział również o tym, że byłem na lunchu z burmistrzem i wściekł się, uznając, że zdradziłem ekipę dziennikarską. Zażyczył sobie zatem, żebym w ramach pokuty o wszystkim mu opowiedział.

- Co knują Galwin z Marquandem?

Wezwał mnie do siebie raptem kwadrans po zakończeniu wizyty. Wcześniej już zauważyłem, że ostatnio wciąż chodzi jak naładowany, jak w gorączce; plamiaste rumieńce złości na stałe zagościły na jego bladej twarzy.

Opowiedziałem mu o spotkaniu, wraz ze szczegółami wartej dwadzieścia pięć milionów propozycji Galvina. Streściłem tyradę Marquanda i apel Galvina o nawiązanie bliższej współpracy „Washington Sun and Tribune” z miastem.

- Nie wolno mu tego robić - zaperzył się Bacon. - To nieetyczne. Burmistrz to ćpun i kryminalista, ale nawet gdyby był świętym, nie można by tak postępować. Gazety nie chodzą spać z radami miejskimi. Czy on niczego nie

rozumie?

- Rozumie zasady - odparłem. - Tyle że uważa je za błędne.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Bacon. Po głosie poznałem, że traci nad sobą panowanie. - Co ja mam teraz zrobić? Ten facet to wariat! Zawsze pcha się pod prąd, na czerwonym świetle. Dzwonił do mnie w tym tygodniu jeden gość z „New York Timesa”, żeby zapytać o subsydia na kampanię. Wiedziałeś, że Galvin przekazuje tysiące dolarów ludziom, którzy wystartują w listopadowych wyborach? Kandydatom do Izby Reprezentantów i do Senatu, miejscowym kandydatom, na miłość boską! Nie wolno mu tego robić! To absolutnie sprzeczne z etyką! Zniszczy gazetę!

- Tego nie wiem, Howardzie. Możesz się mylić. No wiesz, nakład się zwiększył; podobno w zeszłym tygodniu sprzedaż wzrosła o kolejne pięć tysięcy egzemplarzy, a cena akcji jest już o dwadzieścia dolarów wyższa niż kiedy kupował gazetę. Ludzie ją lubią. Przykro mi to mówić, ale „Sun” ma teraz więcej energii. Może Galvin jednak wie, co robi.

- Gówno prawda! Stanowi dla nas zagrożenie! Zabraniam ci umieszczać w „Stylu życia” jakiegokolwiek wzmianki o tych bezsensownych stypendiach, jakieś „mamy dobre wieści” i tak dalej. Nie dopuścimy do tego, żeby gazeta stała się tubą propagandową właściciela, który chce z jej pomocą załatwiać swoje ciemne sprawy! Jeżeli chce, żeby ludzie o nich wiedzieli, niech zamieści ogłoszenie. Zrozumiano? To rozkaz!

Nie wspomniałem Galwinowi o wybuchu Bacona, bo tylko przyspieszyłbym w ten sposób i tak nieuniknioną konfrontację. Bacon zaszył się potem w biurze na kilka dni, czytając tylko recenzje książek w „New York Review of Books” i rozmawiając przez telefon z kolegami po fachu w Nowym Jorku. „Komu potrzebna jest moja praca?” - zdawał się ogłaszać wszem i wobec, ale w rzeczywistości nie należał do facetów, którym na niczym nie zależy. Najlepszą

oznaka napięcia, w jakim żył, było to, że chudł w oczach - spodnie wisały na nim luźno - i przestał czyścić buty, co zawsze jest złym znakiem. Zdawał sobie sprawę, że przegrywa tę walkę, ale nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Robak wieku średniego toczył jego duszę.

Candace zasiedziała się w pracy do późna. Chciała skończyć duży artykuł o upadających japońskich bankach. To był typowy dla niej projekt. Wpadła na ten pomysł kilka miesięcy wcześniej, uznając, że jedynym sposobem na to, by czytelnicy docenili powagę kryzysu finansowego w Japonii, jest skoncentrować się na jednym z bankrutów i przekopać się przez jego księgi rachunkowe. Korzystając z pomocy naszego tokijskiego reportera wybrała odpowiednią instytucję finansową - taką, której archiwa stały się publicznie dostępne w wyniku procesu sądowego. W tym jednym tylko banku odkryła nieściągalne kredyty na łączną sumę ponad pięciu miliardów dolarów. Dzięki takiemu materiałowi człowiek lepiej rozumiał, na jakich złudnych podstawach opiera się cała Wielka Japonia, spółka z o. o. Artykuł miał poważne szanse na jedną z dziennikarskich nagród, toteż Candace chciała doszlifować go do perfekcji.

Ja też zostałem tego wieczoru w redakcji, usiłując skończyć następny felieton „Erudyty”, tym razem poświęcony młodemu imigrantowi z Salwadoru, z miłej, ciężko pracującej rodziny. Kiedy poszedł do szpitala, skarżąc się na bóle brzucha, lekarz odesłał go do domu, kładąc wszystko na karb nadmiernego obżarstwa ostrymi potrawami. Co się okazało? Chłopakowi pękł wyrostek robaczkowy, tak że o mało nie rozstał się z życiem. Przeżył jednak, wynajął dobrego prawnika i wytoczył szpitalowi proces, żądając dziesięciu milionów odszkodowania. Amerykański sen, wersja współczesna.

Miałem nadzieję wyprosić u Candace podwózkę do domu. Szedłem właśnie do jej biura, gdy zobaczyłem, że wsiada do windy. Nie tracąc ducha zbiegłem za nią po schodach i już miałem krzyknąć, żeby zaczekała, gdy zobaczyłem jak przebiega przez ulicę i rzuca się na szyję Galwinowi, który czekał na nią za

załomem muru. Wyglądało na to, że razem wra-cajādo domu. Objāł jā, ona złożyła mu głowę na piersi... Pewnie sādżili, że nikt ich nie widzi.

Odprowadziłem tę parę wzrokiem, słuchajāc, jak ich glosy ginā w ulicznym gwarze.

Parę dni pōźniej zadzwonił do mnie Galvin.

- Chcę ci coś pokazać! - zawołał entuzjastycznie. - Spotkajmy się na dole za pięć minut.

Był pōźny poranek, pora, w ktōrej zazwyczaj spotykałem się z moimi asystentami, by rozplanować przewidziane na ten dzień napaści na znane osoby. Doszedłem jednak do wniosku, że świetnie poradzą sobie beze mnie.

Galvin czekał na mnie w atrium, otoczony przez grupkę dzieciaków, ktōre przybyły z Gaithersburga obejrzeć Antywiadomości na żywo. Tłoczyły się wokół mego, proszāc o autografy - dzięki swojemu programowi stał się przecieź gwiazdā - a on najszybciej jak potrafił kreślił swoje nazwisko na kartkach notesów, koszulkach i czapeczkach baseballowych. Gdy go zobaczyłem, od razu poznałem, że jest w doskonałym nastroju.

- Przejdźmy się trochę! - zaproponował i złapał mnie za łokieć.

Ruszyliśmy zwawym krokiem w kierunku Dupont Circle. Gadał jak

nakręcony o nowych interesach, ktōre się szykujā; przemawiał natarczywie optymistycznym tonem, jaki kojarzył mi się głōwnie z reklamami telewizyjnymi. Negocjował wlaśnie umowę o współpracy z jednym z gigantów telekomunikacyjnych. Planował uruchomić ogólnokrajowā loterię internetowā, bazujāc na sukcesie bingo na łamach „Suna”. Rozmawiał z Paramountem o produkcji emitowanego co wieczōr programu Bliżej życia, ktōry miałby poruszać takie problemy, jakimi ludzie naprawdę się przejmują, a nie takie, jakimi przejmować się powinni. Porozumiał się rōwnieź z inwestorami,

gotowymi wyłożyć fundusze na ogólnokrajowe wydanie „Suna”, uzupełniające Antywiadomości. Tyle się działo... Galvin terkotał jak nakręcony, a w oczach miał błysk, którego spodziewałbym się u nastolatka, co właśnie spędził za dużo czasu przed komputerem i teraz strzela z joysticka do wszystkiego, co się rusza.

Minęliśmy już Dupont Circle i zbliżaliśmy się do Florida Avenue. Karnacja miasta zaczynała się zmieniać, z białej stawała się kakaowa - znaleźliśmy się w dzielnicach przylegających od północy do centrum, zamieszkałych przez Latynosów i Murzynów. Galvin niezmordowanie wprowadzał mnie w swoje plany.

- Nic ci nie jest? - spytałem, wykorzystując jeden z rzadkich i krótkich momentów ciszy.

- Nic. Dlaczego pytasz? Co miałyby mi być?

- Strasznie jesteś dziś ożywiony. To wszystko. Zacząłem się zastanawiać, czy coś ci leży na wątrobie.

- Nic a nic. Mój jedyny kłopot to nadmiar dobrych pomysłów. Kiedy ktoś zapytał Churchilla, czy zamierza wypić całą piwniczkę whisky, on odpowiedział: „Tyle roboty i tak mało czasu”.

Przeszliśmy właśnie Czternastą ulicę i znaleźliśmy się w liczącym sobie dziesiątki lat tradycyjnym centrum czarnego Waszyngtonu. Do „Lincoln Theatre”, w którym występowali wielcy murzyńscy artyści lat czterdziestych i pięćdziesiątych, mieliśmy parę kroków, trochę dalej było do klubu „Bohemian Caverns”, wciąż wibrującego muzyką nieżyjących Johna Coltrane'a i Milesa Davisa. Na najbliższym rogu znajdowała jedna z głównych atrakcji miasta, otwarta na okrągło mała spelunka „Ben's Chili Bowl”.

- Dokąd idziemy? - zdziwiłem się. Szczerze mówiąc wątpilem, żeby Galvin wiedział, gdzie jesteśmy. Biali rzadko zapuszczali się na wschód od Czternastej;

byłoby to wysoce nierozsądne. Tutaj biały musiał być albo durniem, albo gliną.

- Nic się nie bój - odparł. - Tatuś wszystkim się zajmie.

I rzeczywiście. Galvin wcale nie wyglądał na wystraszonego, a kiedy doszliśmy do Siódmej i wszyscy gapili się na nas jak na idiotów, ujął mnie pod ramię i poszliśmy jeszcze kawałek na południe. Zatrzymaliśmy się dopiero na rogu Siódmej i ulicy T, przed pożółkłym, rozsypującym się gmachem.

- To tu! - oznajmił. - Tu rodził się najwspanialszy amerykański rhytm and blues. W dawnych czasach to było epicentrum tej muzyki, nie „Apollo” w Harlemie, ale właśnie tutaj: „Howard Theatre”.

Spojrzałem na ruderę, jakoś nie mogąc sobie wyobrazić, że mogłaby być pomnikiem czegokolwiek innego niż uprzedzenia rasowe. Spłonęła podczas zamieszek w sześćdziesiątym ósmym roku, do których doszło po śmierci Martina Luthera Kinga, a potem zostawiono ją na pastwę losu. Z lat dawnej chwały pozostał tylko pionowy neon z nazwą lokalu.

- Gówniany ma wygląd - stwierdziłem.

- Teraz tak, ale dzięki „Sunowi” wrócą dla niego piękne dni. Odbudujemy go.

Niedawno minęło południe. Przy krawężniku zatrzymała się wielka, czarna limuzyna władz miejskich w asyście policji. Drzwi auta otworzyły się i ujrzeliśmy charakterystyczną sylwetkę naszego burmistrza, któremu towarzyszył Ted Amara. Zwróciłem uwagę, że burmistrz właśnie chowa kopertę do kieszeni.

- No, no, no... - mruknął Marquand. - Jak się miewa mój ulubiony wydawca?

Galvin wyciągnął rękę na powitanie, ale burmistrz rozłożył szeroko ramiona

i strzelili sobie klasycznego „niedźwiedzia”; Marquand lubił iść na całość. Galvin nadal był podekscytowany, kołysał się niespokojnie na palcach, jakby szykował się do tańca. Szerokim gestem wskazał ruiny „Howard Theatre”.

- Może nie zdaje pan sobie z tego sprawy, panie burmistrzu, ale dla mnie to święte miejsce. Jako nastolatek potrafiłem przyjechać tu z Pitts-burga, żeby zobaczyć Jamesa Lasta, The Temptations i im podobnych.

Burmistrz zmrużył oczy, starając się wyobrazić sobie tę scenę. Nawet po braterskim uścisku nie bardzo widział Galvina w roli miłośnika czarnej muzyki.

- Po co? Przecież to cztery godziny jazdy.

- To magia tego miejsca. „Howard” jest nieduży, ale miał wspaniałą akustykę i kiedy zaczynali grać, cały trząśł się od zawartej w muzyce energii. W środku nie było czarnych i białych, tylko same swobodne elektrony, które dowolnie się mieszały.

Galvin wziął burmistrza pod ramię i pociągnął bliżej osmalonych ścian.

- Proszę posłuchać, panie burmistrzu. Wie pan, jakiego miałem świra na punkcie „Howarda”? Prawie w każdą sobotę błagałem szefa, żeby wpuścił mnie za kulisy i pozwolił zrobić wywiad z artystami do gazetki szkolnej. Kiedy zaczął mnie rozpoznawać, pozwalał mi oglądać koncerty zza kurtyny, a potem puszczał na dół, do szatni. Rozmawiałem z The Man-hattans, The Contours, z Juniorem Walkerem.

- „Shotguuun!” - zaintonował posłusznie burmistrz. Nie miałem wątpliwości, że jest wielbicielem Juniora Walkera. Był mniej więcej w wieku Galvina i wychował się na tej samej muzyce, w życiu za to wykazał się większym zmysłem praktycznym: nie tylko skończył college, ale też dalej kształcił się na prawnika.

- Proszę posłuchać - powtórzył Galvin konspiracyjnym tonem. - Któregoś



wieczoru miałem przeprowadzić wywiad z basistą The Temptations. Miał chyba na imię Melvin... - Burmistrz skinął głową; basista The Temptations rzeczywiście miał na imię Melvin. - zaproponował, żebyśmy porozmawiali po drodze do hotelu, ponieważ ma tam umówione spotkanie. Jedziemy razem jego limuzyną aż do Czternastej ulicy, ja zadaję mu bezsensowne pytania o to, czy jego muzyka wywodzi się z tradycji gospel, on kiwa głową, pomrukuje potakująco, mówi „właśnie”, „zgadza się” tym swoim głębokim głosem, aż zajeżdżamy pod hotel. Idziemy do jego pokoju, a tu mnóstwo naprawdę kapitalnych panienek, w kącie jacyś goście palą trawkę. .. Błagałem Melvina, żeby pozwolił mi zostać, ale kazał mi się wynosić.

- Naprawdę tak było? - spytał burmistrz. Zaczynał już podejrzewać, że Sandy Galvin naprawdę jest niezwykłym człowiekiem.

- O tak, panie burmistrzu. Byłem na samym szczycie góry, gdzie czarni i biali podawali sobie ręce i razem śpiewali. I wie pan co, panie burmistrzu? Chcą tam wrócić! Nic mnie obchodzi jakiś O. J. Simpson czy Far-rakhan. Mam dość życia w mieście pełnym nienawiści. Robi mi się niedobrze, jak o tym pomyślą. I dlatego mam jeszcze jedną propozycję. Dokonamy tu razem wspaniałej rzeczy, pan i ja, czarny i biały: odbudujemy tę świątynię, żeby nasze dzieci mogły się w niej spotykać i słuchać muzyki, którą ukochaliśmy. Co pan na to, panie burmistrzu? Uda nam się to zrobić?

- No cóż... - Burmistrz patrzył chwilą na Galvina, potem przeniósł wzrok na Teda Amarą. - Ja też byłem na tej górze i wiem, że czeka nas kawał drogi z powrotem... Ale nic złego się nie stanie, jeżeli spróbujemy.

Tydzień później na rogu Siódmej i T odbyło się uroczyste rozpoczęcie odbudowy „Howard Theatre”. Galvin przeznaczył na ten cel piętnaście milionów dolarów. Aretha Franklin przecięła wstęgę i odśpiewała Respect, a dziesiątki tysięcy ludzi śpiewały razem z nią. Okazało się, że w Waszyngtonie

wciąż mieszka masa fanów rhythm and bluesa - policja stwierdziła, że od lat nie odbyło się w mieście takie zgromadzenie przedstawicieli różnych ras. „Sun” trąbił o tym na pierwszej stronie, a Galvin zrobił z tego niemal powtórne przyjście Chrystusa na Ziemię: czarni i biali razem! Żadna siła nas nie rozdzieli! Bacon nie starał się już nawet narzucać nikomu swoich wysokich standardów. Sytuacja wymykała mu się spod kontroli. Zanosilo się na to, że wszyscy pójdziemy za Melvinem basistą do Ziemi Obiecanej.

Tydzień po tej uroczystości Galvin ogłosił Dzień Pojednania Rasowego. Poświęcił mu wstępniak na pierwszej stronie i zwołał wiec przed gmachem redakcji. Burmistrz dołożył wszelkich starań, żeby impreza wypadła bez zarzutu: czarni przybyli z całego miasta, nawet z takich dzielnic, jak Anacostia i Shaw, i stanęli grzecznie w równych szeregach. Mogłem się tylko domyślać, ile pieniędzy wydał na to Ted Amara, ale tak czy inaczej udało mu się. Białych również zjawilo się mnóstwoM przynajmniej tej jeden raz nikt się nie bał.

Galvin wygłosił mowę na temat tolerancji rasowej i miłości. Prawie przez cały czas wpatrywał się w Candace, która rozpromieniona stała w pierwszym rzędzie. Po przemówieniu objął serdecznie Marquanda, a potem kolejno członków rady miejskiej - wszystkich, którzy mu się nawinęli pod rękę. Burmistrz wziął od niego mikrofon.

- Niech teraz każdy przytuli swojego sąsiada! - krzyknął i ludzie zaczęli obejmować się nawzajem, nie patrząc na kolor skóry. Kamery Anty-wiadomości transmitowały tę cudowną, łzawą scenę na cały kraj.

Po tym wiecu sprawa się rozniosła i nie było na to rady: jeden z największych dzienników Stanów Zjednoczonych promował ideę pojednania, biali i czarni obejmowali się na ulicach miasta, które słyneło z wrogości rasowej. Niemożliwe, żeby to się stało w Waszyngtonie, mówili ludzie. Przede wszystkim jednak rozpowiadali na prawo i lewo o charyzmatycznym wydawcy i

jego gazecie z duszą, wydawcy, który widocznie posiadał niezwykłą i nad wyraz pożądaną umiejętność: dzięki niemu ludzie zapominali o swoich problemach. W mieście, które cierpiało na chroniczny brak zasad moralnych, jego osoba była jak słońce przeświecające przez chmury.

Jesienią Galvin zaczął się regularnie spotykać z prezydentem. Po części zbliżyła ich prowadzona przez „Suna” kampania na rzecz pojednania rasowego, która zaintrygowała prezydenta, ale tak czy inaczej musieli się spotkać - obu zrodziło to samo majestatyczne bagno ambicji i aspiracji. Byli w zbliżonym wieku i osiągnęli sukces dzięki podobnej mieszance intelektu i uroku osobistego, przede wszystkim zaś łączyła ich tajemnicza siła życiowa, objawiająca się w błysku oka, w uścisku dłoni, w niezwykłej prezencji. Dawała im władzę nad innymi ludźmi, choć nie zawsze wystarczała, by zapanowali sami nad sobą.

W Waszyngtonie wszystkie związki międzyludzkie rodzą się w oparciu o wzajemny oportunizm - i w tym wypadku było podobnie, chociaż Galvin z prezydentem chyba też zwyczajnie się polubili. Poznali się w Białym Domu, ale już wkrótce Galvin zaczął zapraszać prezydenta do domu w Wirginii, gdzie przy doskonałych winach i cygarach gwarzyli o swoich kłopotach (a w każdym razie o kłopotach prezydenta, bo Galvin nie powinien przecież mieć żadnych kłopotów). Przypuszczam, że obaj chcieli zachować te spotkania w tajemnicy, toteż prezydent przybywał na nie bez swojej zwykłej asysty prasowej, ale dyskrecja nie jest mocną stroną waszyngtońskiej elity.

Sam dowiedziałem się o tych spotkaniach przez czysty przypadek. Któregoś dnia wpadłem do Galvina, żeby odebrać bilety na wieczorny spektakl w Kennedy Center, które mi zaproponował. Na podjeździe zastałem dwa masywne fordys, model Crown Victoria, ukochany przez nasze służby specjalne. Spytałem więc gospozię, kto przyjechał z wizytą. Bez słowa wskazała mi salon, po którym kręciło się już paru agentów Secret Service, przeprowadzając inspekcję przed

przybyciem głowy państwa. Zapytali, kim jestem - prosto z mostu, rozkazująco, jak to Secret Service ma w zwyczaju - i dopiero telefon do Galvina wyjaśnił sprawę.

Obiecałem nikomu nie mówić o tym, co widziałem i w istocie wygadałem się tylko jednej osobie - Candace. Chociaż ona oczywiście o wszystkim dawno już wiedziała od samego Galvina.

Żałuję, że nie byłem przy pierwszym z tych spotkań, kiedy dwaj starzejący się dżentelmeni, owoce powojennego wyżu demograficznego, mierzyli się takim samym czujnym, taksującym spojrzeniem i uśmiechali takim samym urokliwym uśmiechem, a potem, patrząc sobie szczerze, z zaciekawieniem w oczy, podali pierwszy raz ręce. Kto zdobyłby Puchar Charyzmatycznego Zwycięzcy? Ja stawiałem na Galvina.

Są ludzie, którzy bez trudu przełamują lody i stają się bliscy rozmówcy, opowiadając o sobie i swoich marzeniach i zachęcając do podobnej szczerości. I Galwin, i prezydent mieli w sobie coś takiego. Z tego, czego udało mi się później dowiedzieć, ich spotkania od początku tak właśnie wyglądały - jakby rozmawiali dwaj bliscy przyjaciele. Dzielili się poglądami na życie, planami na przyszłość (bo zawsze jest jakaś przyszłość), pomysłami, o których słuszności nie byli do końca przekonani. Byli dla siebie wiarygodnymi partnerami - Galwin dzięki majątkowi, prezydent dzięki sukcesom w polityce - jako członkowie merytokratycznej elity tego świata. Należeli do tej samej grupy ludzi, którzy mogą się pochwalić nadmiarem osiągnięć, a przy tym wciąż są rozdierani przez wewnętrzne konflikty; znali z własnego doświadczenia paradoksalne połączenie pewności siebie i braku poczucia bezpieczeństwa, dzięki któremu pierwsi kapitaliści położyli podwaliny pod protestancką etykę pracy. Ta potrzeba potwierdzenia własnej wartości - czy, skromniej mówiąc, niepewność pozycji społecznej - była siłą napędową naszych dziejów, bez względu na to, co twierdzą historycy.

Według Candace w ich rozmowach dominowały dwa wątki: problemy prawne prezydenta (co oczywiste) i zagrożenia dla gospodarki światowej. Galvin uważał, że kłopoty głowy państwa są objawem choroby, która trapi cały Waszyngton i radził mu, by nie usuwał się w cień i nie schodził ze sceny. Opinia publiczna miała podobno dość tych napaści i postrzegała krytyków jako małych i podłych - czyli takich, jakimi w istocie byli. Ponieważ to właśnie chciał słyszeć prezydent, dobrze się z Galvinem rozumieli.

Nieco mniej dowiedziałem się o kwestiach gospodarczych, które zaprzętały ich uwagę, ale wyglądało na to, że Galvin obszernie wykladał zasady funkcjonowania rynków światowych i wyjaśniał, skąd bierze się ich niestabilność. Na mój gust przypominało to seminarium naukowe; jeżeli nawet udzielał prezydentowi konkretnych rad czy wskazówek, nie wspomniał o tym ani Candace, ani mnie.

Prezydenta ciekawiły również poglądy Galvina na palące kwestie polityki zagranicznej: czy należy bombardować Serbię? Jak pozbyć się dyktatora Iraku? Jak wspierać rozwój kubańskiej demokracji? Wspólnie planowali sekretne posunięcia. Od czasów Lyndona Johnsona i Phila Grahama nie zdarzyło się, by politycy rozmawiali na takie tematy z wydawcami gazet, ale ci dwaj nie mieli przed sobą tajemnic. Lubiłem sobie wyobrażać, jak siedzą na klimatyzowanej werandzie u Galvina, popijają starą brandy, palą cygara i wpatrując się w przeciwległy brzeg Potomacu wybierają cel dla swoich rakiet.

Rozmowy te miałyby pewnie znaczenie tylko dla historyków oraz dla pamiętnikarzy, gdyby nie fakt, że Galvin po raz kolejny zignorował obowiązujące reguły. Po pierwszym spotkaniu doszedł do wniosku, że prezydent da się lubić, a jeśli już kogoś polubił, dokładał wszelkich starań, żeby mu pomóc. Nie trafiały wtedy do niego argumenty zalecające rozwagę; rozwaga załatwiała tchórzostwem i kompromisem, a tych Galvin znieść nie mógł.

Przygotował więc wstępniak - nie jakąś tam entuzjastyczną, bezpieczną gadkę o potrzebie tolerancji rasowej, tylko napastliwe trzy kolumny w lewym górnym rogu pierwszej strony, zatytułowane „Odczepcie się od niego!” Artykuł ten, osobiście przez Galvina napisany i opatrzony jego nazwiskiem, nakazywał zostawić prezydenta w spokoju i wziąć się do roboty. Wyrażał uczucia, które - jeśli wierzyć sondażom - podzielało wtedy wielu ludzi, a z całą pewnością wielu przyjaciół prezydenta, ale i tak w ciasnych ramach specyficznej waszyngtońskiej kultury jego publikacja przypominała wybuch bomby.

Galvin zaczął robić sobie prawdziwych wrogów. Przewodniczący Izby Reprezentantów zwołał konferencję prasową, aby potępić „bezprecedensowe mieszanie się” właściciela gazety w sprawy rządu. „New York Times” ujawnił, że Galvin potajemnie spotyka się z prezydentem. Opisał te narady ze wszystkimi szczegółami - Bóg jeden wie, z jakiego źródła zdobył takie informacje - i cała sprawa zaczęła nagle pachnieć spiskiem.

Galvin był zachwycony zainteresowaniem mediów. Co rano występował w Antywiadomościach, głośno protestując przeciwko, jak to nazywał, „stołecznej kulturze nędzy”. Przeprowadził nawet na żywo wywiad z prezydentem, wyemitowany w czasie najwyższej oglądalności przez jedną z ogólnokrajowych sieci telewizyjnych. Moim zdaniem przedstawienie

wypadło wspaniale, nie gorzej od show samego Jerry'ego Springera - jak coś w rodzaju „Super-Zacka: niemowlęcia, które waży sto kilogramów”. Galvin zapytał prezydenta, czy czuje się szczęśliwy i zamiast zwykłego w takich sytuacjach bełkotu, udało mu się uzyskać prawdziwą odpowiedź -nie, prezydent nie uważał się za szczęśliwego człowieka. Nie bardzo nawet już wiedział, co naprawdę znaczy „szczęście”. Brzmiało to jak typowy lament gościa dobiegającego pięćdziesiątki, który zaprzepścił swoją wielką szansę.

Najwięcej kłopotów sprawiali Galwinowi pracownicy redakcji. Nie chodziło już o samego tylko niezadowolonego Howarda Bacona i jego niewydarzonych koleśków - wszyscy w redakcji uważali, że szef przesadził, stając tak zdecydowanie w obronie głowy państwa. Reporterzy i dziennikarze odwiedzali mnie w biurze, wierząc widocznie, że wciąż mam jakiś wpływ na Galvina. Było im wstyd; koledzy po fachu z innych gazet pogardzali nimi, że wciąż pracują dla takiej gazety. Część doświadczonych reporterów naprawdę zastanawiała się, czy nie odejść z „Suna”.

Galwin miał jedno na swoją obronę: opinia publiczna stała po jego stronie. Nakład systematycznie rósł - od chwili, gdy gazeta zmieniła właściciela, przybywało osiemdziesiąt tysięcy egzemplarzy dziennie; cena akcji na giełdzie niemal się podwoiła, osiągając dziewięćdziesiąt dolarów, co znacząco zwiększyło wartość udziałów znajdujących się w rękach pracowników. Może i było w tym coś z hipokryzji: ci sami ludzie, którzy krytykowali Galvina za jego działalność, odnosili dzięki niej konkretne korzyści, ale hipokryzja nie jest złem absolutnym. Świat z pewnością byłby gorszym miejscem, gdyby wszyscy, zawsze i wszędzie, zachowywali się zgodnie ze swoimi przekonaniem. Zdolność przyswajania sobie sprzecznych idei świadczy o dojrzałości i zdrowiu psychicznym.

Candace robiła co mogła, by ukryć przed kolegami z redakcji romans łączący ją z Galwinem. Ja o nim wiedziałem, więc automatycznie zakładałem, że jest tajemnicą poliszynela, ale większość pracowników „Suna” chyba nie zdawała sobie z niego sprawy - wiedzieli, że szefową działu zagranicznego i właścicielką gazety łączyła kiedyś namiętna znajomość, a odkąd wygasła, byli dobrymi przyjaciółmi. Candace pokazywała się systematycznie z Markiem Pavelem, a spotkania z Galwinem miały zawsze oficjalną podkładkę. Postronni obserwatorzy nic nie wiedzieli o tym, żeby choć raz została u niego na noc. Dzwoniono do niej z biura w środku nocy, gdy we Francji rozbił się samolot

albo Serbowie znów ostrzelali Kosowo, a ona zawsze odbierała telefon osobiście; nie wiem, może po prostu kazała przekazywać połączenia do domu Galvina. Nikt nie mógł wiedzieć nic pewnego na temat ich związku.

- Bądź ostrożna, Candace - ostrzegłem ją pewnego ranka, po tym, jak wieczorem znów wyszli razem z redakcji.

- Zawsze jestem ostrożna - odparła. - Zapamiętaj to sobie, Davidzie: nigdy nie daję się przyłapać.

Nadeszła zima i Galvin jakby leciutko się postarzał. Większość ludzi pewnie nie zwróciła na to uwagi, ale ja widziałem, że schudł, włosy mu trochę posiwiały, a na twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki, przeczące pozornie wiecznej młodości. Przyznam, że byłem tym zaskoczony -dotychczas zaliczałem Galvina do tych ludzi, których czas się nie ima. Pod koniec listopada pierwszy raz zachorował: miał czerwony nos, potworny katar, worki pod oczami i kręcił się po redakcji jak w zwolnionym tempie. I wściekał się bez powodu. Niektórzy ludzie znoszą chorobę z wdziękiem i uśmiechem na ustach albo przynajmniej mają na tyle oleju w głowie, żeby przeleżeć ją w domu - ale nie on. Poradziłem mu, żeby wziął urlop, ale za bardzo zaangażował się w swoje rozliczne projekty, żeby poważnie o tym myśleć. Miał swoje pięć minut i nie chciał tracić ani sekundy, leżąc na plaży gdzieś w tropikach.

Nasz ekscentryczny wydawca budził powszechną ciekawość, do tego stopnia, że zaczęli dzwonić do mnie dziennikarze zamierzający coś o nim napisać dla swoich gazet. Zapewne redakcyjni plotkarze kierowali ich do mnie jako do zaufanego przyjaciela Galvina, który mógłby dodać artykułom owego idiotycznego „kolorytu”, jaki swego czasu i ja starałem się wycisnąć z rozmówców na potrzeby „Podglądacza”. Ten nagły awans nie uczynił mnie jakoś specjalnie hojnym i życzliwym dla ludzi, toteż większość telefonów pozostawiałem bez odpowiedzi. Pewnego razu zadzwoniła jednak kobieta, którą



szczerze podziwiałem: Michelle Hagel, która zyskała sobie sławę i pozycję pisząc bez ogródek to, co myśli - a im więcej ludzi zdołała po drodze obrazić, tym lepiej. Odniosła sukces i została stałym współpracownikiem „New Yorkera” - prawdziwy talent zawsze da się poznać.

Zgodziłem się więc na spotkanie przy drinku, ostrzegłszy uprzednio, iż nie sądzę, bym mógł być szczególnie pomocny (często słyszałem takie teksty od obiecujących informatorów „Podglądacza”, co nie zmieniało faktu, że potem informacje płynęły wartkim strumieniem, jak krew z rozciętej tętnicy). Michelle Hagel okazała się atrakcyjną kobietą, nie tak może oszałamiającą jak Candace - była brzydsza i bardziej przy kości - ale i tak niczego sobie. Poza tym była Żydówką, z czego się ucieszyłem. Mogłaby być moją siostrą.

- Jaki naprawdę jest Galvin, kiedy zrzuci tę czarującą maskę? - zapytała.

Kiedy chodzi o kogoś naprawdę interesującego, takie pytanie pada chyba najczęściej, jakby ludzie nie wierzyli, że to, co widzą na własne oczy, jest prawdziwym obrazem tej osoby. Powiedziałem więc, że pytanie jest głupie i dorzuciłem złotą myśl Oscara Wilde'a:

- Tylko ludzie pozbawieni głębi nie dają się zwieść pozorom. Tajemnicą świata jest to, co widzialne, a nie to, co ukryte.

Dobrze się bawiłem, popisując się przed tak bystrą kobietą, ale z miejsca mnie obcięła, twierdząc, że jej nie rozumiem.

W przypadku Galvina chodziło o to, że znane fakty kompletnie nie usprawiedliwiały jego zachowania. W jego działaniach trudno było doszukać się głębszego sensu: oficjalnie handlował towarami konsumpcyjnymi, ale wszystkie jego inwestycje nagle jakby rozmyły się w powietrzu; przyjaźnił się z prezydentem, ale nie miał w tym żadnego oczywistego interesu; kupił sobie gazetę, ale po Nowym Jorku już krążyły plotki, że przymierza się do jej

sprzedania. Był jedną wielką zagadką i Hagel poprosiła mnie o pomoc w jej rozwikłaniu.

- Na czymś mu zależy - stwierdziłem - ale nie wie, jak to zdobyć. I to go drażni.

Nachyliła się ku mnie, jedną ręką podtrzymując czarne loki. W przyćmionym świetle baru jej rysy złagodniały; teraz mniej przypominała moją siostrę. Spytała, czego chce Galvin; widziałem, że próbuje mnie podejść, ale podobało mi się to.

- Miłości - odparłem.

Pokiwała ze zrozumieniem głową. Dodałem, że jest pewna kobieta, której nazwiska nie mogę wymienić, a którą Galvin wielbi bezgranicznie. Na tym jednak nie koniec: on chce, żeby wszyscy go kochali. Mówiłem szczerą prawdę. Łatwiej byłoby coś zmyślić, ale chciałem być uczciwy.

- Dlaczego tak go lubisz? - pytała dalej. Postrzegła Galvina jako manipulanta, który przez całe życie tylko oszukuje i nabiera ludzi. Niczym nie różnił się od innych gigantów; był zarazem nietuzinkowy i przeciętny aż do bólu. Michelle nie rozumiała, dlaczego ktoś taki jak ja miałby brać go na poważnie. Pochlebiała mi, rzecz jasna, ale sam zacząłem się nad tym zastanawiać: co mnie w nim tak pociągało? Jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mi do głowy, brzmiała nedorzecznie:

- Dobrze się przy nim czuję. On właśnie tak działa na ludzi. Jest jak dobry oficer w wojsku: człowiek po prostu chce ruszać za nim do ataku. - Czy to wszystko? Czy naprawdę wyglądało to tak prosto? Nie byłem pewien, a Michelle czekała, co jeszcze jej powiem. - Cały czas mnie intryguje. Nigdy nie wiem, czego się po nim spodziewać i wątpię, żeby on sam wiedział. Tworzy sam siebie na bieżąco i to też przyciąga ludzi: każdy chce wiedzieć, jak skończą

się dzieje Galvina.

- Mówisz o nim jak o Gatsby. - Michelle mrugnęła porozumiewawczo.

Daj spokój, odpowiedziałem jej w duchu. Dlaczego każdy współczesny magnat musi od razu kojarzyć się z Gatsby? To tak jakby każda blondynka była od razu Marilyn Monroe. Michelle nie ustępowała jednak i domagała się odpowiedzi. Wieki upłynęły od czasu, gdy czytałem powieść Fitzgeralda i z trudem przypominałem sobie jej bohatera.

- Chyba nie - odparłem w końcu. - Gatsby'emu bardziej zależało na powszechnym szacunku niż na miłości. Pożądał Daisy tak samo, jak chciał mieć dom nad zatoką w East Egg. Galwin ma to w nosie. Jest inny. Pragnie być kochany.

Hagel zapytała, czy moglibyśmy się jeszcze kiedyś spotkać, gdyby odkryła coś groźnego. Według niej Waszyngton i Nowy Jork aż huczały od plotek. Czy wobec tego pomogę jej zdobyć dalsze informacje? Jej słowa dały mi do myślenia: co będzie, jeśli odkryje jakieś niebezpieczne fakty? Galwin nie przywykł do porażek; nie wiedziałby, jak sobie z czymś takim radzić.

Zgodziłem się, mówiąc, że chętnie z nią porozmawiam. Chciałem wiedzieć, co w trawie piszczy. Zainwestowałem w Galvina wszystko, co miałem, nie gorzej od niejednego bankiera.

Hagel nie odezwała się więcej. Albo „New Yorker” zrezygnował z jej artykułu, albo Ted Amara złożył odpowiednim ludziom wizytę - tego nigdy się nie dowiem. Pamiętam jednak niezwykle uczucie, jakie ogarnęło mnie tego wieczoru, gdy Michelle Hagel wyszła z baru. Żałowałem, że nie ma jej przy mnie; prawie za nią tęskniłem.

Hugo Bell poprosił o spotkanie przy kawie, twierdząc, że ma bombowe informacje. Zmartwiłem się. Hugo był dla mnie ludzkim odpowiednikiem listu,

który najchętniej zostawiłbym na jakiś czas na biurku, żeby wystygł i przykurzył się, zanim go otworzę. Nie mogłem jednak odmówić mu przydatności: po otwarciu koperty zawsze znajdowałem w niej coś ciekawego. Spotkaliśmy się w Georgetown, w kafejce przy ulicy M, jednym z nielicznych tanich lokali, jakie ostały się w okolicy. Siedliśmy na plastikowych krzeselkach przy wystawionym na chodnik stoliku. Ulica przypominała dekorację do filmu: fasady starych domów z cegły, które

dziesięć lat temu przeżyły okres rozkładu, a teraz mieściły ogromne sklepy, gdzie sprzedawano książki, buty do koszykówki i ciuchy znanych projektantów. Ulica M zmieniła się ze zwykłej ulicy w miejsce pielgrzymek.

Hugo prezentował się lepiej niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem: ubrany we włoski garnitur, w ręku trzymał błyszczącą srebrzyście aktówkę. Zaczął właśnie udzielać się w nowym biznesie: na zlecenie wybranych polityków prowadził badania opozycji. Twierdził, że w publicznie dostępnych archiwach znajdują się zdumiewające ilości brudu i haków na każdego, kto coś znaczył na politycznej scenie. Informacja nie rozróżniała koloru skóry: zawsze był to ten sam gnój, czy dotyczył białego człowieka, czy Murzyna.

Zapytałem, jakie to rewelacje dla mnie przygotował.

- Tym razem mówię oficjalnie - rzekł z zadowoleniem. - Twój szef ma kłopoty finansowe.
- Też mi nowina. W dodatku nie wiem nawet, czy się nie mylisz.
- Nie, nie mylę się. Twój przyjaciel, pan Galvin, upłynnia właśnie aktywa, i to nie tylko swoje, ale także należące do „Suna”. Wyprzedaje je jako dobra zniszczone rzekomo w pożarze i będzie musiał wykazać je w następnym raporcie kwartalnym dla Komisji Papierów Wartościowych, chyba że jest

lepszym kanciarzem niż mi się wydaje.

- Co sprzedaje? - Wciąż wątpię w prawdziwość jego słów.
- Na początek dom w Georgetown, ale to nic nowego. Ciężarówka firmy przeprowadzkowej kursowała tam regularnie i teraz dom świeci pustkami.
- Wiem o tym. Co jeszcze?
- Sprzedaje należącą do „Suna” ziemię w okręgu Montgomery. To spory kawał gruntu na północ od Rockville, który Hazenowie i Crosby kupili w latach pięćdziesiątych jako zwykłą ziemię uprawną. Dziś wart jest ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. Poza tym wyprzedaje lasy w Kanadzie razem z papiernią; zgarnie za nie ze sto milionów, może trochę więcej. Doszły mnie też słuchy, że najchętniej sprzedałby starą drukarnię „Suna” w dzielnicy Northeast, jeśli tylko znalazłby się kupiec. Mówię ci: ma poważne kłopoty.
- Nic a nic o tym nie słyszałem w redakcji. Kto się tym zajmuje?
- Nikt z ludzi „Suna”. Ktoś nowy. Ludzie z rynku nieruchomości są zaniepokojeni. Facet nazywa się Amara.

Wtedy zrozumiałem, że Hugo się nie myli.

- Ted Amara - powiedziałem. - Osobisty doradca prawny Galvina.
- Ludzie mówią, że twardy z niego sukinsyn. Przyjmuje tylko zapieczętowane oferty, a w rozliczeniu wyłącznie gotówkę. Wszyscy są ciekawi, co się kroi.

Ja też byłem ciekawy, więc postanowiłem zwrócić się z tym pytaniem wprost do naszego wielkiego człowieka. Udałem się do jego biura, przesłałem sekretarce całusa i wszedłem do gabinetu Galvina. Siedział przy biurku,

studiując informacje na terminalu giełdowym, który kazał sobie zainstalować kilka tygodni wcześniej. Na azjatyckich rynkach trwała bessza i Galvin obserwował jej wskaźniki z zaszępioną twarzą.

- Jak to możliwe, żeby sprytni skądinąd ludzie byli takimi idiotami?  
-wymruczał pod adresem terminala. - Rynek zachowuje się absurdalnie, jakby miał nagłe załamanie nerwowe. Jeżeli dwa miesiące wcześniej człowiek kupił tani towar, stracił na nim więcej, niż gdyby kupił inny, dużo droższy. Przecież to bez sensu, nie?

Raczej nie oczekiwał odpowiedzi. Martwił się. Widziałem to w jego oczach i w tym, jak bawił się rolką przylepca: odrywał kawałki taśmy, a potem kciukiem i palcem wskazującym zwijał je w cieniutkie rurki.

Nagle coś na ekranie przyciągnęło jego uwagę - wyświetliły się właśnie zbiorcze dane z rynku walutowego.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedział do mnie, jakby zawstydzony, że prowadzi interesy, kiedy kumpel z gazety wpadł z wizytą. Podniósł słuchawkę i gdzieś zadzwonił - pewnie do swojego brokera, ale równie dobrze mógł rozmawiać z Tedem Amarą. - W Hongkongu dostajemy w tyłek - rzekł do słuchawki. Nastąpiła krótka dyskusja, czy powinien odwołać złożone zlecenia, potem zapadła długa cisza, w końcu Galvin zdecydował, że będzie obstawał przy swoim.

- Co takiego zrobiłeś? - spytałem.

- Parę tygodni temu przyjąłem założenie, że kurs dolara w Hongkongu spadnie, tak jak wszystkie azjatyckie waluty. Do tej pory się myliłem, a dziś dowiedziałem się, że na tamtejszej giełdzie znów coś się ruszyło w górę. Ale ten trend się zmienia.

Miał dziwnie ściągniętą twarz; skóra opinała mu się ciasno na zuchwie.

- A jeżeli się nie zmieni?

- To na tej transakcji stracę. Ale prowadzę równoległe mnóstwo innych: mam włoskie obligacje, brazylijską kawę, ropę z Nigerii i tutejsze akcje. Część z nich zwyżkuje, część spada... Wszystko się wyrówna.

Powiedział to z taką pewnością, jakby w grze na giełdach nie istniał żaden element ryzyka. Jego napięta twarz i ostrożny głos mówiły jednak co innego.

- Masz kłopoty z pieniędzmi? - zapytałem.

- Właściwie nie - odparł po chwili namysłu, nie odruchowo, jak parę tygodni wcześniej, kiedy spytałem go o to samo. - Technicznie nazywa się to „przejściową utratą płynności finansowej”. Wszystkim na rynku się to zdarza. Co z tego? Radzę sobie, opracowuję wyjście z sytuacji. Czemu pytasz? Ludzie znów zaczynają o mnie mówić?

Skinąłem głową.

- Podobno wysłałeś Teda Amare, żeby spieniężył majątek „Suna”.

Uśmiechnął się pokornie, jak dzieciak przyłapany na niewinnym psikusie.

- To prawda. Staram się wprowadzić w księgach trochę porządku.

Hazenowie i Crosby kupowali mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Nagromadzili ich tyle, że zapomnieli, co mają. To idiotyczne. Po co „Sunowi” własny las i papiernia? Niech kto inny zajmie się produkcją papieru, a my go sobie kupimy. Dlaczego mamy działać na rynku nieruchomości? Niech ktoś, kto się na tym zna, buduje na naszych terenach. Nie mam racji?

Mówił tak rozsądnie, że trudno było mi się z nim nie zgodzić. Poza tym nigdy nie zachowywał się jak człowiek, który ma coś do ukrycia. Kiedy zadawało mu się pytania, zawsze odpowiadał szczerze. Czułem jednak, że coś tu nie gra.

- Nie mam powodu dawać ci dobrych rad - powiedziałem - alei tak to zrobię. Powinieneś uważać. Narobiłeś więcej zamieszania niż ci się wydaje. Rozzłościłeś ludzi, którzy teraz wykorzystają wszystkie twoje słabości. Jeśli jakieś masz.

- Oczywiście, że mam słabe punkty. Jestem tylko człowiekiem.

- Waszyngton to nieludzkie miejsce. To miasto nie przebacza. Masz tu tylko jedną szansę; jeśli jej nie wykorzystasz, już po tobie. Dlatego uważaj na to, co robisz.

- Wiem o tym, wiem. Ale podoba mi się tutaj. - Uśmiechnął się promiennie, prawie jak Franklin Delano Roosevelt w ponurym tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku. - Robię to, co zawsze chciałem robić. Wszystko będzie dobrze, a ty, Davidzie, nie przesadzaj z tym zamartwianiem się. Nie pasuje do ciebie.

Wyjrzałem przez ogromne okno. Zimowe słońce wisiało nisko nad horyzontem; budynki rzucały długie cienie, które ciągnęły się na pół miasta. Traciłem przez to orientację. Wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do górnego oświetlenia i trudniej nam rozeznąć się w świecie, gdy słońce zakreśla na niebie inną trajektorię, gdy w południe nie wznosi się wysoko do zenitu.

Candace zapadła w swoisty sen zimowy. Przestała wpadać do mojego biura na ploteczki po drodze do kafejki; w ogóle zrobiła się mniej wesoła i mniej odporna na moje uszczypliwości. Może była tak wyczulona na punkcie związku z Galvinem, że inne części jej osobowości też na tym ucierpiały. Nie wiem. Faktem jest jednak, że jej milkliwość tylko wzmogła moją ciekawość. Chciałem zrozumieć istotą więzi, która łączyła Candace z Galvinem; wciąż stanowiła dla mnie nieprzeniknioną tajemnicą. Znałem ich oboje, każde z osobna, ale i tak nie potrafiłem pojąć, co połączyło ich przed laty, rozdzieliło, a potem pozwoliło ponownie się zejść.



Całkiem nieoczekiwanie moją ciekawość podsycała stara znajoma Candace, Ariane Hazen. Bywała czasem w redakcji jako przewodnicząca fundacji dobroczynnej „Suna”. Galvin dotrzymał słowa - dał jej zajęcie, a ona nieraz mu się odwdzięczyła, przekazując informacje o niepokojach wśród mieszkańców miasta i ogłoszeniodawców. Niektóre wprowadzone przez niego zmiany podobały się jej - zwłaszcza deszcz pieniędzy, jaki spłynął na Waszyngton przy okazji kampanii pojednania rasowego.

Któregoś popołudnia spotkałem Ariane w kolejce do bankomatu po drugiej stronie ulicy. Musiała chyba zapomnieć o mojej pierwszej, absurdalnej wizycie w jej domu w Cleveland Park poprzedniego lata, kiedy Galvin rozpoczynał podchody do „Suna”. Teraz rozmawialiśmy jak zwyczajni koledzy z pracy. Zapytałem ją, czy często widuje naszego wspólnego przyjaciela, na co odparła, że niestety rzadko, tym bardziej, że Candace zabiera mu mnóstwo czasu. Mrugnąłem do niej porozumiewawczo - oboje należeliśmy do nielicznej grupy ludzi, którzy wiedzieli, jak naprawdę sprawy się mają.

- Nie rozumiem tego związku - rzuciłem nieco ryzykownie. - Tak samo nie pojmuję, co ich ku sobie teraz przywiodło, jak nie wiem, co sprawiło, że na studiach się rozstali.

Ariane oświadczyła, że jeśli chcę poznać odpowiedź na to pytanie, muszę zaprosić ją na kawę, bo nie powie mi nic na stojąco, w kolejce. Zabrałem ją do pobliskiego brazylijskiego baru, w którym zawsze roiło się od fantastycznie wyglądających, rozflirtowanych mężczyzn i kobiet. Dali nam na szczęście stolik w głębi lokalu, gdzie żaden Brazylijczyk nie musiał nas oglądać. Ariane zamówiła piña colada, za co z miejsca ją polubiłem.

- Candace złamała mu serce - oznajmiła, pociągnąwszy kilka łyków. -Chciał się z nią ożenić po śmierci jej ojca, ale mu odmówiła. Tak to się skończyło.

- Skąd wiesz? - zapytałem. ,

Okazało się, że nie wie, ale domyśla się, że tak właśnie się to odbyło.

Znała jednak Candace doskonale, zanim wszystko się posypało, bo mieszkały wtedy razem tutaj, w Waszyngtonie.

Okazało się, że spotkały się na jakiejś imprezie latem siedemdziesiątego pierwszego roku, tuż przed końcem wakacji i początkiem drugiego roku studiów Candace. Zdaniem Ariane Candace wyglądała fatalnie: chuda, wylękniona, o oczach pełnych smutku, którego przedtem z pewnością w nich nie było. Zdradziła jej, że spotyka się z chłopakiem z Harvardu, że ten chłopak za nią szaleje - ale nigdy nie mówiła, jak się nazywa. Dopiero całkiem niedawno Ariane uświadomiła sobie, że musiała mieć na myśli Galvina.

Emocjonalne rozchwianie przyjaciółki kompletnie zaskoczyło Ariane. W szkole Candace zawsze była najlepsza: pozornie bez wysiłku zdobywała wszystkie możliwe nagrody i strzelała karne w drużynie hokejowej, bo miała stalowe nerwy. Ariane nie widziała jej od czasów, gdy Candace poszła na studia, ale nie miała wątpliwości, że pierwszy rok okazał się dla niej zabójczy: wyglądała jak najstarsza dziewiętnastolatka świata. Z pewnością nieznaną z nazwiska chłopak miał w tym swój udział, ale nie tylko on.

Tamtego lata ojciec Candace znów trafił do szpitala. Wszystko to przedstawiało się dość tajemniczo, ale Ariane zdawała sobie sprawę, że nie chodzi tu o zwyczajny szpital, gdzie wycinają człowiekowi wyrostek i zszywają go do kupy, lecz o placówkę dla nerwowo chorych. O panu Ridgwayu słyszało się zresztą i inne rzeczy: że ma romans z pewną rozwódką, że pije ponad miarę. Jego żona znalazła się w kłopotliwej sytuacji: musiała udawać, że nic takiego się nie dzieje i okłamywać znajomych. Candace -natomiast rozumiała chyba, że ojciec cierpi, ale natury tego cierpienia nie potrafił wyrazić nawet w rozmowie z ukochaną córką.

Ariane wyczuwała, że jej przyjaciółka radzi sobie z tą sytuacją dzieląc życie na przegródki. Kiedy któraś z szufladek się przepelniała i nie dało się już dłużej nad nią panować, zamykała ją i odstawiała na bok. Potrafiła udawać, że wszystko jest w porządku nawet wtedy, gdy było wprost przeciwnie. Chłopak Candace - kimkolwiek był - nie ułatwiał jej życia. Jego miłość była jak kataklizm; jakby wytwarzał wokół siebie próżnię, która wsysa ofiarę i uniemożliwia jej oddychanie, chyba że ukochana osoba sama dostarczy jej tlenu.

Candace zaczęła się tego bać - tak właśnie postrzegała to Ariane. Upodabniała się do kwiatu włożonego między zamknięte strony książki: piękna, perfekcyjna, ale płaska i pozbawiona życia. Zamiast jednak poddać się temu idealnemu nieistnieniu, we wrześniu siedemdziesiątego pierwszego roku znalazła się o krok od buntu. Doszło do niego kilka tygodni później, gdy użyła jedynej broni, jaka jeszcze jej została: powiedziała „nie”. Kiedy oznajmiła, że nie wyjdzie za swojego chłopca, złamała mu serce. Tak przynajmniej sądziła Ariane.

Wieczorem tego dnia, po rozmowie z Ariane, zadzwoniłem do Candace; chyba się o nią bałem. Galvin wciąż był wielki i nadal potrafił wyssać człowiekowi powietrze z płuc; z wiekiem stał się jeszcze bardziej niebezpieczny. Zamiast charyzmatycznego studenta ostatnich lat mieliśmy przed sobą człowieka, który zbudował sobie piramidę; jej zwieńczenie stanowiła gazeta, prezydent i całe miasto. Budowla jednak chwiała się w posadach i wiedziałem, że jeśli Candace będzie przy nim, gdy piramida runie, jej też stanie krzywdą. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Podniosła słuchawkę; nie wiem, czy telefon dzwonił u niej, czy u Galvina, ale nie miało to znaczenia.

- Martwiłem się o ciebie - powiedziałem.
- To miłe z twojej strony. Dlaczego się martwiłeś?

Wyjaśniłem, że jestem po rozmowie z jej przyjaciółką Ariane i wydaje mi się, że wiem, jak boleśnie odczuła rozstanie z Galvinem.

- Jestem twoim przyjacielem - dodałem. - Nie chcę, żeby znów do tego doszło. Galvin pędzi przed siebie na złamanie karku, aja obawiam się, że się rozbije. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

Kiedy nie odpowiedziała od razu, pomyślałem, że może leży właśnie w łóżku obok Galvina, który przysłuchuje się jej słowom. Chociaż pewnie nie o to chodziło: po prostu zastanawiała się, co powiedzieć.

- Nic mi nie będzie - oznajmiła spokojnie. - Pewne sprawy są po prostu skomplikowane.

- Czy Galvin ma kłopoty? Źle wygląda i żyje w ogromnym stresie.

- Nie wiem. O wielu rzeczach mi nie mówi. Może martwi się o pieniądze, pewności nie mam. Sandy jest bardzo skryty.

- Uważaj na siebie. Gazeta mogłaby ponieść niepowetowaną stratę.

Zdziwiłem się, że mówię coś takiego, bo zwykle „Sun” nic a nic mnie nie obchodził. Ale tak właśnie gazety działają na człowieka; są jak domowe zwierzaki. Kocha się je, chociaż szczekają, ślinią się i naprzykrzają przy każdej okazji.

- Nigdy nie skrzywdziłabym gazety. - W głosie Candace pobrzmiwała głównie rezygnacja i poczucie obowiązku, bez szczególnych emocji. - Nie jestem wyłącznie dziewczyną właściciela. Wiem, gdzie leży granica.

Zrobiło się późno - dochodziła jedenasta, godzina serwisów informacyjnych. Dawno temu lokalny program z powtórkami litował się nad mającymi przesyt wiadomości widzami i puszczał stare odcinki Słonecznego patrolu, tak że zamiast prezenterów człowiek mógł sobie pooglądać Davi-da Hasselhoffa i

Pamelę Anderson w kostiumach kąpielowych. Teraz jednak czasy się zmieniły i nie chcąc oglądać wiadomości, należało wyłączyć telewizor. Ale nawet wtedy wzrok mój padał na poranną gazetę, leżącą oskarżycielsko przy łóżku. Nie chciało mi się jeszcze spać; rozmowa z Candace mnie przygnębiła.

Sięgnąłem po „Suna” i zacząłem przeglądać wiadomości lokalne. Odkąd pracowałem w redakcji, nie zdarzało mi się już czytać gazety w całości. To właśnie jest najgorsze w zawodzie dziennikarza: życie staje się mniej interesujące od pracy. Wszystko da się pociąć na artykuły, za którymi znikają prawdziwi ludzie.

Przerzuciłem stronę na nekrologi, choć rzadko tam zaglądam i zerknąłem na rubrykę „In Memoriam”. Zamieszczano w niej zdjęcia ludzi, którzy odeszli z tego świata - czasem dawno, dawno temu - razem z krótkimi, tęsknymi notkami. Żona i cztery córki wspominały męża i ojca, który zmarł przed trzydziestu czterema laty: „Pamięć o Tobie trwa w naszych sercach. Pustki po Tobie nic nie zapełni”. Tu znów ze zdjęcia patrzył na mnie młody chłopak w eleganckiej todze i birecie - zmarł osiem lat temu, w wieku trzydziestu jeden lat. Rodzina zamieściła krótką modlitwę: „Listu nie możemy Mu przesłać, ciała Jego dotknąć niepodobna. Prosimy Cię, Boże, przekaż te słowa temu, którego tak bardzo kochamy”.

Jacy dziwni są ci ludzie - myślą, że Bóg czyta gazety.

Przerzuciłem jeszcze parę stron i zatrzymałem się przy ogłoszeniach towarzyskich. Zdarzało mi się czasem podziwiać, w jak barwny sposób ludzie potrafią o sobie pisać: „Czuły, zmysłowy, wysportowany, uwielbia podróże”. Nikt nie pisał „samotny”.

Mój wzrok zabłądził jeszcze do rubryki „Widziałem cię”, gdzie zamieszczano króciutkie notki ludzi, którym przypadkiem ktoś wpadł w oko i którzy poniewczasie zdali sobie sprawę, że może był to właśnie ten jedyny ktoś.

„»Starbucks«, Dupont Circle, 28 października. Ty: brunetka, czerwony płaszcz. Ja: jasny blondyn, skórzana kurtka. Uśmiechnęłaś się". „National Gallery, 30 października, 13.00 przy obrazie Rembrandta. Powiedziałaś »Cześć«. Ja byłam za bardzo nieśmiała". „Kościół świętego Marka, 25 października, siedziałeś obok mnie. Jesteś wolny?"

Tu trafiały najsmutniejsze ogłoszenia, jakie w życiu widziałem. Każde z nich w paru liniijkach wyrażało ból uświadomienia sobie - zbyt późno - że o krok rozminęłaś się z miłością swojego życia, że pozwoliłeś jej przemknąć niezauważonej. Próbowałem wyobrazić sobie te chwile niepewności, które kryły się za każdą z tych melancholijnych notek: wstyd malujący się na twarzy, niedokończone zdanie, bijące serce. Ludzie bali się mówić. „Weźmie mnie za idiotkę... Pomyśli, że jestem nachalny". Potem chwila mija, ta druga osoba znika w tłumie - a my żałujemy i chcemy, żeby wróciła. Płacimy zatem za takie ogłoszenia w nadziei, że uda nam się cofnąć taśmę i odtworzyć ją jeszcze raz.

Gdybym był prawdziwym, normalnym człowiekiem, postanowiłbym zapewne tej nocy, że zrobię coś z moim własnym odosobnieniem i samotnością, ale będąc dziennikarzem uznałem, że zamówię artykuł.

Na porannym spotkaniu w redakcji oznajmiłem kolegom ze „Stylu życia", że w następnym numerze napiszemy o ludziach, którzy szukają miłości. Zamierzałem pójść tropem ogłoszeń z „Widziałem cię", poszukać tych tajemniczych nieznanomych - uśmiechającej się brunetki ze „Star-bucks", mężczyzny z kościelnej ławki - i poznać ich z tymi, którzy zamieścili ogłoszenia. Miłość jest ostatnim bastionem w naszym podzielonym, niezwykle światcie - tak właśnie powiedziałem moim współpracownikom. Gdzie jej szukamy? Jak niektórym z nas udaje się ujść z sideł nieuniknionej, zdawałoby się, samotności? Czy decyduje o tym szczęśliwy traf, czy nasza wola i świadomość?

Wszyscy uznali, że to świetny pomysł, ale widziałem, że ludzie zastanawiają się, czy wszystko ze mną w porządku.

Ostateczne starcie Bacona z Galvinem zostało sprowokowane przez tak niepozorne wydarzenie, że nikt nie zauważył jego nadejścia - a już najmniej sam Bacon. Dzień wcześniej, kiedy widziałem go na kolegium redakcyjnym, zachowywał się normalnie: najpierw długo milczał, a potem drobniawo wypytywał o zupełnie nieistotne szczegóły artykułów. Nie jestem nawet pewien, czy jakoś szczególnie skoncentrował się na tym reportażu, przez który ostatecznie znalazł się w tarapatkach. Gdy na spotkaniu o trzeciej po południu zainteresował się nim szef działu wiadomości lokalnych, pytał tylko o to, czy nasi prawnicy go przeglądali.

Rzecz dotyczyła pastora parafii New Calvary Full-Gospel w Northeast, gdzie burmistrz czasem bywał na mszy. Pastor nazywał się Elwood R. Carnes, a autor artykułu insynuował, że Marquand podsuwa mu co bardziej lukratywne kontrakty zawierane przez miasto, związane z programem antynarkotykowym i budową osiedli dla emerytów. W zamian za to pastor miał ponoć być lojalnym kółkiem w maszynie politycznej burmistrza - dostarczać mu wyborców tysiącami i udzielać się w jego kampaniach. Był to jeden z naszych tuzinkowych, całkiem zwyczajnych raportów o korupcji, które co kilka miesięcy ukazywały się w „Sunie”. Nie miały żadnych skutków, jeśli nie liczyć wściekłości czarnych czytelników i złości Marquanda, który zyskiwał przekonanie, że gazeta usiłuje mu się dobrać do tyłka. Artykuł nie zawierał nawet jednego oszczerstwa - ba, jeden z prawników naprawdę sprawdził go pod tym kątem i dopuścił do publikacji. Nie mógł jednak zmienić wymowy tekstu, jego specyficznego tonu, zawołowanej pogardy dla czarnego Waszyngtonu, jego instytucji politycznych i religijnych, które od lat były ze sobą powiązane i „Sun” nie miał tu nic do gadania.

Następnego ranka Galvin jak zwykle zjawił się w pracy o wpół do ósmej,

żeby przejrzeć gazetę i odpowiedzieć na telefony. Kazał drukować w stopce redakcyjnej specjalny numer telefoniczny, pod którym między ósmą a dziewiątą słuchał opinii czytelników na temat gazety z duszą. Tego dnia telefony urywały się od bladego świtu. Najpierw odezwał się pastor Carnes we własnej osobie; Galvin mówił mi później, że pastor szlochał mu w słuchawkę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego spośród dziesiątków miejscowych duchownych, którzy wysługiwali się burmistrzowi, „Sun” wziął się akurat na niego.

Niedługo potem zadzwonił sam burmistrz.

- Widzę, że wracacie do rasistowskich bredni - powiedział. - Tylko że zamiast wysyłać swoje psy w pogoń za mną, czepiacie się mojego pastora. Pojednanie rasowe, też coś! Jedno wielkie gówno!

Był wściekły. Dla Galvina wychylił się ponad przeciętnych czarnych mieszkańców Waszyngtonu, a teraz czuł się tak, jakby ktoś mu obciął głowę.

- Nie miałem pojęcia, że przygotowujący jest artykuł o Carnesie -zarzekał się Galvin. - Naprawdę. I jest mi z jego powodu równie przykro, jak panu, burmistrz.

- Akurat! - mruknął cierpko Marquand. - Wie pan, skąd się o tym dowiedziałem? Edna, moja żona, zadzwoniła do mnie o wpół do siódmej z gabinetu odnowy biologicznej. Jezu Chryste!

- Gdy tylko dowiem się, jak do tego doszło, polecą głowy. Obiecuję to panu.

- Akurat! - powtórzył burmistrz. - Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo. Jest pan tam szefem; nic nie ukazuje się w gazecie bez pańskiej aprobaty. Proszę mi tu nie łąć! Przynajmniej wiem teraz, na czym stoję! I wiem, jak radzić sobie z pańską rasistowską szmatą; wszyscy czarni to wiedzą. Od lat z nią walczymy.

- Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro - powiedział Galvin.



Słuchając go nie miałem wątpliwości, że mówił prawdę. Całe brzemie oskarżeń o rasizm, z którym tak usilnie walczył, zrzucano mu z powrotem do atrium, żeby wszyscy się o to potykali.

Bacon przyszedł do pracy dopiero za piętnaście dziesiąta, co znacznie pogorszyło sprawę, bo Galvin miał więcej czasu na odbieranie wrednych telefonów i gniew w nim narastał. Znalazł też chwilę dla mnie. Wezwał mnie do gabinetu, żeby mieć świadka - jak przy egzekucji. Kiedy Bacon wszedł do budynku, strażnik polecił mu natychmiast udać się do biura właściciela.

- Jak mogło do tego dojść? - ryknął Galvin, pokazując Baconowi artykuł szkalujący Caraesa. Bacon nie posiadał się ze zdumienia; nie zdawał sobie sprawy, że przekraczając próg gabinetu znajdzie się pod ostrzałem. - Przecież to jedno wielkie gówno! - miotał się Galvin. - Ucieleśnienie wszystkiego, czego w dziennikarstwie najbardziej nienawidzę. Tania zagrywka. Bez sensu podburza przeciw nam wszystkich czarnych i jest rasistowska do szpiku kości! W artykule nie ma słowa o zasługach pastora, który zrobił dla ludzi dużo dobrego. Jak coś takiego znalazło się w gazecie? Jak, do jasnej cholery?!

- Prawnicy to zatwierdzili - odparł Bacon. - Nie mieli żadnych uwag. Ja zresztą też nie.

- W takim razie nędzniejszy z ciebie redaktor niż sądziłem. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że szykuje się taki materiał? To ja jestem wydawcą, ja współpracuję z burmistrzem i staram się pomóc naszemu miastu. Dlatego ten artykuł dotyczy mnie. Nie wpadłeś na to, że należy mi się ostrzeżenie?

- Pan Hazen nigdy nie czytał materiałów przed drukiem. Uważał to za niewłaściwe.

Odwołanie się do poprzedniego właściciela tylko rozwścieczyło Galvina. Zwykle starał się nie okazywać złości przy ludziach i nie przeklinać, ale tym

razem stracił panowanie nad sobą.

- Ty gnoju! - warknął, porwał z biurka pleksiglasowy przycisk do papieru i cisnął nim o ścianę, niby dobre półtora metra od głowy Bacona, ale wystarczająco blisko, żeby ten odruchowo się uchylił. - Jesteś beznadziejny - dodał. - Żądam, żebyś jutro zamieścił sprostowanie. To i tak tylko minimalne zadośćuczynienie za szkodę, jaka została wyrządzona. Sprostowanie ma się znaleźć na pierwszej stronie, w tym samym miejscu, w którym poszedł reportaż.

Galvin z natury był postawnym mężczyzną, a gniew jakby przydał mu wzrostu. Bacon jednak nie uląkł się go.

- Nie mamy czego prostować - odrzekł. - Nie popełniliśmy żadnego błędu.

- Cały ten artykuł to jeden wielki błąd! Atakujecie w nim burmistrza miasta i większość jego mieszkańców, grzebiecie w ich życiu religijnym! Rany boskie! Nie dociera to do ciebie, co? To dlatego Ameryka tak nie cierpi dziennikarzy. Uważacie, że możecie nasrać komuś na głowę, a kiedy się rozzłości, powiedzieć mu, że to nieetyczne! Co się z tobą dzieje?! Lubisz wkurzać ludzi bez powodu? Tak? Lubisz to?

- Będę bronił tego artykułu. - Urażony Bacon też trząsł się z gniewu. - A to, że wskutek błędnej decyzji wydawcy gazeta spotkała się z burmistrzem, nie oznacza jeszcze, że mamy zaprzestać tropienia afer korupcyjnych i kajać się, kiedy dogrzebiemy się czegoś niewłaściwego. Pański przyjaciel burmistrz marnuje pieniądze podatników na pomoc dla swoich • kolesiów. Podatnicy też czytają gazety. A może nie? Może dla pana oni się nie liczą?

- Proszę zamieścić sprostowanie - zażądał Galvin.

- Odmawiam. Sprostowanie do artykułu, który nie zawiera żadnych błędów, a tylko wprawia wydawcę w zakłopotanie, byłoby naruszeniem etyki dziennikarskiej.

- Ty palancie! Nie mów do mnie takim tonem! Oto kolejny powód, dla którego Ameryka was nienawidzi: jesteście aroganccy. Nie umiecie przeproszać za błędy. Powtarzam po raz ostatni: masz zamieścić sprostowanie. W jutrzejszym numerze.

- Odmawiam. - Głos Bacona brzmiał cicho, ale nieustępliwie.

- W takim razie zwalniam cię. - Galvin wstał i podszedł do niego; przy drobnym, różowiułtkim na twarzy redaktorze wyglądał jak olbrzym. Wziął go za rękę i szarpnięciem poderwał z krzesła. - Przed dwunastą masz się wynieść z redakcji.

I wypchnął go za drzwi.

O jedenastej Bacon zwołał zebranie redakcyjne. Wlaził na biurko, żeby wszyscy go widzieli, i poinformował ludzi, że właśnie został zwolniony. Opowiedział o tym, jak Galvin zażądał sprostowania do artykułu o Car-nesie i wyłuszczył powody swojej odmowy, po czym wygłosił kwiecistą mowę na temat etyki dziennikarskiej. Wielu kolegów się popłakało. Bacon dobrze znał swoją widownię: dziennikarze są z natury sentymentalni i w każdej chwili gotowi odśpiewać „Marsylianę”.

Kiedy w południe opuścił siedzibę redakcji, ludzie żegnali go owacją na stojąco. Znów popłynęły łzy; wszyscy wychwalali redaktora i klęli w żywy kamień wydawcę. Paru reporterów, od lat współpracujących z Baconem, na znak protestu wyszło wraz z nim, za nimi poszli następni, aż wreszcie cały personel, porwany prawami psychologii tłumu, wymaszerował z redakcji na ulicę. Zebrało się chyba z pięćset osób, które wzniosły do góry pięści i pokrzykiwały bojowo pod oknami gabinetu Galvina. Przyłączyłem się do nich, po części dlatego, by nie brano mnie za lizusa. Patrząc na rozeźloną tłuszcę myślałem o tym, że tak właśnie zaczynają się wszystkie rewolucje. Ludzie wykrzykiwali jakieś hasła i slogany, wzywając do strajku, który zmusiłby

właściciela do rezygnacji.

Bez wątpienia skończyłoby się to widowisko paskudnie, gdyby Bacon nie wziął sprawy w swoje ręce. Chwycił megafon i przemówił do tłumu. Powiedział, że docenia wsparcie, jakiego mu udzielono, ale najlepszym sposobem uhonorowania jego pamięci byłoby wrócić do redakcji i następnego dnia wydać wspaniały nowy numer gazety. Wyjaśnił, że takich spraw nie załatwia się strajkami; czytelnicy mogliby źle zrozumieć ich zamiary, co skończyłoby się klęską „Suna”.

- Proszę, wracajcie do pracy - nalegał. - Wojnę o wolność sztuki dziennikarskiej będziecie z tym wydawcą toczyć codziennie.

Trzeba powiedzieć, że zachował się z klasą. Nie polubiłem go przez to, ale przyznaję, że ostatnią kartę rozegrał znakomicie. Dostał dzięki temu niezłe płatną posadkę nauczyciela w Berkeley, co stanowi ilustrację następnej waszyngtońskiej prawdy: jeżeli odejdziesz w odpowiednim stylu, na zawsze zostaniesz wśród bogatych.

Galvin uczynił wtedy krok, który wielu uznało wówczas za akt desperacji i skrajnej głupoty. O pierwszej wywiesił na tablicy ogłoszeń na parterze kartkę z informacją, że przyjął rezygnację Bacona. Na jego następcę wyznaczył zdobywczyńię Pulitzera w barwach „Suna”, szefową działu zagranicznego, Candace Ridgway.

Na wieść o tym Candace natychmiast pobiegła do jego gabinetu. Ja zrobiłem to samo, bo ogłoszenie mnie przeraziło: zbyt szybko nastąpiła ta nominacja, zbyt łatwo przyjdzie ją ludziom niewłaściwie interpretować. W redakcji zapanowało już istne szaleństwo; koledzy pokrzykiwali po drodze do Candace, że powinna odmówić Galwinowi. Spotkaliśmy się w korytarzu pod drzwiami jego gabinetu. Miała na sobie elegancki błękitny kostium - krótką spódnicę i żakiet, zbyt moim zdaniem modne, jak na dziennikarkę.

- On już do reszty zwariował! - wykrzyknęła. - Co ja mam teraz zrobić?

Drzwi się otworzyły i Sandy Galvin wyszedł nam na spotkanie, cały rozpromieniony: z jego punktu widzenia nastąpiła właśnie cudowna zmiana. Znalazł pretekst, żeby pozbyć się niekompetentnego, niegodnego zaufania redaktora i postawić na jego miejscu osobę utalentowaną i elastyczną.

- To ci nie ujdzie na sucho! - ostrzegła go Candace, gdy tylko drzwi biura zamknęły się za nami. - Popelniasz błąd.

Galvin pokręcił z niedowierzaniem głową: ci dziennikarze to wariaci, którzy nie rozumieją decyzji szefów. Nie umiał znaleźć innego wytłumaczenia oporów Candace.

- To nie błąd. Jesteś najlepszym redaktorem w gazecie; istnieją niezbite dowody na poparcie tej tezy. To, że się przyjaźnimy, nie ma tu nic do rzeczy. Jesteś najlepsza i wybrałbym cię nawet gdybym cię nie lubił. Mam rację, Davidzie?

Nic nie powiedziałem. W ten spór nie chciałem się mieszać.

- Powinieneś był mnie przynajmniej uprzedzić - zauważyła Candace z wyrzutem.

- Wtedy miałabyś szansę odmówić, a tak nie możesz się już wycofać.

- Wręcz przeciwnie: mogę. Mogę wydać własne oświadczenie i odrzucić twoją ofertę. Sprawy w redakcji tak się pokręciły, że nikogo by to nie zdziwiło.

- Nie rób tego, skarbie - poprosił czule. - Przyjmij ten awans. Zasłużyłaś na niego. Daję ci szansę poprowadzenia jednej z najlepszych gazet na świecie. To mój prezent dla ciebie. Nic w życiu nie sprawiło mi tyle radości, co ten dar. Przyjmij go i dokonaj cudownych rzeczy. O nic więcej nie proszę.

Candace skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała mu prosto w oczy.

- Możesz tego później żałować.
- To wykluczone. Jak mógłbym żałować?
- Jeżeli przyjmę tę posadę, zamierzam solidnie wykonywać swoją pracę.

Jestem dziennikarką i wierzę w nasz kodeks etyczny, nawet jeśli ty uważasz, że jest bzdurny. W tej chwili waży się wiarygodność gazety: jeżeli ludzie wezmą mnie za twojego lokaja, „Sun” może się już nie podnieść.

Galwin uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałaś. Dlatego właśnie mianuję cię redaktorem naczelnym: ponieważ ufam ci, że zrobisz to, co dla gazety będzie najlepsze.

Wyciągnął do niej rękę, ale Candace jeszcze nie skończyła.

- Nie zamieszczę sprostowania - uprzedziła. - Bacon miał rację. Artykuł o Carnesie to tania zagrywka, ale nie ma w nim żadnych przekłamań.

Galwin zeszywniał, uśmiech znikł mu z twarzy.

- Pójdź mi tym razem na rękę, Candace. Burmistrz oczekuje sprostowania i na nie zasługuje. Ciężko pracowałem na to, żeby znaleźć temu miastu nowy, solidny punkt oparcia i nie chcę, żeby znów ześliznęło się w dół. W ten sposób czytelnicy dowiedzą się, że jest nam przykro, iż poczuli się urażeni. Co w tym złego?

- Wszystko. Chodzi o zasadę. Wielkie gazety czasem urażają ludzi, tego nie da się uniknąć. Nikt za to nie przeprosza, bo na tym polega nasza praca. Z czasem czytelnicy nam wybaczą, jeśli tylko pokażemy, że nam na nich zależy.

- Chcę, żeby sprostowanie znalazło się jutro na pierwszej stronie, Candace. To dla mnie bardzo ważne i nie zamierzam ustępować. Wysłałbym w ten sposób niewłaściwy sygnał.

Stali w odległości półtora metra od siebie: szlachetnie urodzona dziennikarka i wywodzący się z plebsu magnat, któremu zachciało się zostać właścicielem gazety. Ich chwila nadeszła; wiele przeszli, żeby się tu znaleźć. Nie widziałem szansy, żeby któreś z nich mogło teraz ustąpić, bo oznaczałoby to zaprzeczenie całemu uprzedniemu życiu. Nie rozumiałem jednak jeszcze, co naprawdę jest podstawą, na której opiera się ich związek.

- Chcielibyśmy zostać na chwilę sami, Davidzie - rzuciła Candace pod moim adresem. - Żeby dojść do porozumienia. Możemy cię przeprosić?

Wyszedłem i usiadłem w końcu korytarza, na jednym z obitych skórą foteli dla gości. Po pięciu minutach Candace również opuściła gabinet Galvina: podała mu rękę, on pocałował ją w policzek. Podeszła do mnie z błyskiem w oku, gotowa wyskoczyć z ograniczających ją ram i znaleźć się w nowych.

- I co się stało? - spytałem.

- Poszliśmy na kompromis. Ja zgodziłam się zostać naczelną, a on przestał się upierać przy publikacji sprostowania w sprawie Carnesa.

- Wygrałeś - stwierdziłem, szczerze zaskoczony, ale ona poszła już do windy, żeby zjechać na dół i przywitać się z nowymi podwładnymi.

O czwartej po południu Candace zwołała zebranie personelu. Nie stanęła na blacie biurka jak Bacon, ale donośnym głosem wyliczyła główne punkty swojego programu. Tłum zebrał się jeszcze większy niż przy łzawym pożegnaniu poprzedniego naczelnego. Wielu pracowników redakcji w ogóle nie znało Candace, bo dużo czasu spędziła za granicą. Budziła dodatkową ciekawość jako pierwsza kobieta na tak eksponowanym stanowisku w „Sunie”. Ludzie chcieli wierzyć, że będzie dobrą szefową, ale kumple Bacona już rozsiewali plotki, że Galvin z nią sypia.

Ktoś mnie spytał, czy to prawda, że łączy ich romans. Zastanowiłem się nad

odpowiedzią.

- To możliwe - przyznałem.

Nie zamierzałem kłamać, żeby ich chronić. Prędzej czy później Candace i tak musiała stawić czoło temu problemowi.

Ledwie wyszła z biura w dziale zagranicznym, otoczył ją tłum. Po spotkaniu z Galwinem zdążyła odwiedzić salon piękności. Zwiewny wizerunek, który uwielbiałem - z rozrzuconymi przez wiatr włosami, opadającymi na czoło - zniknął bez śladu. Fryzurę miała idealną, świeżo przyciętą, ułożoną i utrwaloną lakierem. Prezentowała się tak majestatycznie, że ludzie cisnęli się do niej, chcąc znaleźć się jak najbliżej - jakby musieli jej dotknąć, by uwierzyć, że istnieje naprawdę i nie uleci z wiatrem. Potrzebowali jej. Prowadzenie poważnej gazety wymaga sporego wysiłku woli. Znacznie łatwiej jest kłamać, ulegać naciskom, mówić ludziom to, co chcą słyszeć. Tego właśnie Galwin nie rozumiał w swoim słusznym gniewie: istnieje zasadnicza różnica między tymi gazetami, które piszą prawdę i tymi, które tego nie robią.

- Mieliśmy zwariowany dzień - zaczęła Candace. - Ale mam nadzieję, że doczekamy jego szczęśliwego zakończenia. - Ludzie zaczęli klaskać. Niewiele im było trzeba do szczęścia, tak bardzo chcieli mieć jakiś punkt zaczepienia. - Jak wszyscy wiecie, pan Galwin poprosił mnie dzisiaj, żeby przejęła obowiązki redaktora naczelnego. Nie wiecie natomiast, że z początku odrzuciłam jego ofertę, a do jej przyjęcia skłoniło mnie dopiero zapewnienie, że gwarantuje mi pełną niezależność od kapitału gazety, w tym także od jego własnych decyzji.

W tym momencie wybuchła burza oklasków i spontanicznych okrzyków. Candace musiała prosić o ciszę. Widziałem w jej twarzy determinację: zamierzała rzetelnie poprowadzić tę gazetę. Takie było jej przeznaczenie.

- Pan Galwin poprosił mnie również o zamieszczenie na pierwszej stronie



sprostowania do artykułu o pastorze Carnesie. Prosił o to dziś rano Howarda Bacona. Podobnie jak on, odmówiłam, grożąc nieprzyjęciem awansu. Po krótkiej dyskusji zgodził się z moim stanowiskiem: sprostowania nie będzie.

Przerwały jej kolejne oklaski i krzyki; ludzie naprawdę się ucieszyli, że naczelna zmusiła właściciela do wycofania żądań. Oparła mu się i wygrała.

- zaproponowałam natomiast, że spotkam się jutro z pastorem Carnesem i wysłucham jego skarg na temat artykułu. Dobra gazeta zawsze jest gotowa pójść na takie ustępstwo.

Zapadła cisza. Wszyscy się zastanawiali, czy ze strony Candace oznaczało to kapitulację, ale aplauz, jaki potem nastąpił, świadczył o tym, że doszli do innych wniosków.

- Zgodziłam się z właścicielem jeszcze w jednej kwestii: powinniśmy przemyśleć nasze pojmowanie dziennikarstwa. „Sun” może stać się ciekawszy i zyskać nowych czytelników; wiele wprowadzonych przez pana Galvina zmian wyszło nam na dobre. Zaznaczyłam jednak, że chcę, aby „Sun” pozostał gazetą wielką, nie tylko lekką, łatwą i przyjemną, ale naprawdę wielką. Tej sztuki zaś mogą dokonać tylko profesjonaliści, którzy pracują w redakcji.

Kiedy skończyła, rozległ się głośny szmer - oznaka zadowolenia z jej słów, ale i ulgi. Ludzie klaskali i klaskali w nieskończoność. Candace ocaliła gazetę, uratowała też ich stołki, bo niektórzy poważnie rozważali możliwość odejścia z gazety. Umiała czynić cuda. Mimo patrycjuszowskiego wychowania była jedną z nich, prawdziwą dziennikarką, która zdobyła nagrodę Pulitzera. Kochali ją.

Wpadłem później do niej, żeby jej pogratulować. Musiałem odstać chwilę w kolejce, bo spory tłumek podążał z życzeniami wszelkiej pomyślności - ludzie nie mogli się doczekać, kiedy zaczną się podlizywać nowej szefowej. Zamknąłem drzwi, by tłum wielbicieli nie mógł nas podsłuchać.

- Czy to wszystko prawda? - zapytałem. - Wygłosiłaś fantastyczną mowę, ludzie łyknęli ją bez oporów, ale czy Galvin naprawdę się na to wszystko zgodził?

- Oczywiście. Nie okłamałabym ich przecież. Chciał, żebym została redaktorem naczelną i był gotów na pewne ustępstwa, by uzyskać moją zgodę.

- Ale ty jesteś jego dziewczyną. Nie będzie z tym kłopotów?

- Jakich kłopotów? Ludzie są wyrozumiali. Ja mam swoje obowiązki, on swoje. To, co dzieje się poza redakcją, to nasza prywatna sprawa.

Była twarda i poukładana aż do przesady. Moja wizja Candace dopełniła się, ale nie tak, jak sobie wyobrażałem. Cała łagodność zniknęła bez śladu.

- Jak dziennikarz może kochać kłamcę? - zapytałem.

Candace nie odezwała się ani słowem, ale i tak znałem odpowiedź: wszyscy kochają kłamców.

Z dnia na dzień Candace stała się znaną osobą. Następnego ranka wszystkie gazety rozpisywały się o tym, jak to postawiła się właścicielowi w kwestii zasad pracy dziennikarskiej - i wygrała. Szczegóły w tych relacjach mogły pochodzić tylko od niej samej. „Times” wspominał coś o tym, że w college’u łączył ją z Galwinem romans, ale zachowywał dziwne milczenie w kwestii obecnego stanu rzeczy. Candace wystąpiła też w dwóch rannych talk show - i żaden z prowadzących nie zapytał o jej życie prywatne. Środki masowego przekazu udawały, że nie ma o czym mówić. Candace zyskała wstęp do elitarnego klubu wielkich ludzi massmediów i ludzie ci mieli zamiar chronić ją, jak długo się da.

Sukcesy Candace nigdy przedtem mnie nie drażniły. Zawsze znajdowała się poza zasięgiem klątw, jakie rzucałem na wszystkich, którym powiodło się w medialnym lunaparku. Przyznam jednak, że tym razem byłem na nią wściekły i gdzieś w głębi ducha życzyłem jej jak najgorzej.

W grudniu nagonka na Galvina rozpełtała się na dobre. Właściwie nigdy nie wątpiłem, że do niej dojdzie. Każda akcja powoduje reakcję, a w miejscu pozbawionym grawitacji, jakim jest Waszyngton, zasada ta nabiera szczególnej wagi. Galvin naruszył zbyt wiele tutejszych praw, a tego rodzaju obrazoburstwo uchodzi człowiekowi na sucho, dopóki wszyscy myślą, że jest wpływowy i nietykalny. Kiedy jednak okaże się, że ma jakieś słabe punkty, nieprzyjaciele natychmiast zlatują się jak sępy na ucztę. Pod tym względem nasza stolica przypomina Lagos czy Bejrut: w gruncie rzeczy, po odjęciu całej otoczki prawnej, w polityce liczy się zdolność zadawania bólu.

Pierwszą salwę odpalił „Wall Street Journal”, zamieszczając na pierwszej stronie szczegółową relację z tego, jak to Komisja Handlu oraz Departament Skarbu cichaczem wsparły Galvina miesiąc wcześniej, namawiając kilka dużych banków, by udzieliły ośmiuset milionów dolarów pożyczki jego firmie inwestycyjnej. Galvin miał ponoć stracić setki milionów na nieprzemyślanych lokatach i wierzyciele zaczęli go przyciskać. Doszedłem do wniosku, że to właśnie miał na myśli, niedbale napomykając o „kłopotach z zachowaniem płynności”.

Najciekawszy w rewelacjach „Journala” był zarzut, że podczas jednego ze spotkań przy winie i cygarach Galvin rozmawiał o swoich tarapatach z prezydentem, ten zaś osobiście interweniował w Komisji i w Departamencie Skarbu, by jakoś pomóc przyjacielowi. Ten przeciek okazał się dla Galvina zabójczy, tym bardziej, że przysporzył mu śmiertelnych wrogów.

Kiedy jechaliśmy razem windą do pracy, Candace wyglądała na strasznie nieszczęśliwą. Pod pachą trzymała „Wall Street Journal” z zaznaczonymi żółtym markerem co ciekawszymi fragmentami. Nieraz udawało jej się wyjść cało z opresji - wygłosiła przecież wspaniałe przemówienie, ratując redakcję przed rozsypką - ale teraz miała naprawdę twarde orzechy do zgryzienia.

- Co zrobimy z tym maleństwem? - zapytałem, wskazując „Journal”.
- Zajmiemy się tą sprawą szczegółowo - odparła Candace. - Nie mamy wyboru.

Zdażyła już złapać w domu naszego specjalistę od spraw gospodarczych i kazała mu przyjść, by przeprowadzić wywiad z Galvinem. W tej chwili dziennikarz był już u szefa w gabinecie.

Galvin początkowo tak się wściekł, że w pierwszym odruchu chciał złapać samolot i czmychnąć do Europy, Candace jednak kazała mu zostać i wypić piwo, którego nawarzył.

Następnego dnia wydrukowaliśmy wywiad. Udzielając wyważonych odpowiedzi na zadawane mu pytania, Galvin potwierdził większość zarzutów „Journala” - nie miał wyjścia, skoro przedstawiono je podając konkretne daty, nazwiska i cytaty. Niewiele jednak dodał od siebie. Materiał poszedł na pierwszą stronę, co pewnie rozzłościło Galvina, ale było najlepszym możliwym rozwiązaniem. Chciał sam napisać wstępniak, w którym wszystko by wyjaśnił i opisał zdradzieckie rafy rynków finansowych, ale Candace powiedziała mu, żeby wybił to sobie z głowy: to nie był czas na wygłaszanie kazań.

„Wall Street Journal” odsłonił lukę, ku której natychmiast rzucili się nieprzyjaciele Galvina. Szczególnie zasiadający w Kongresie republikanie, szczerze nienawidzący i jego samego, i prezydenta, byli zachwyceni, mogąc zaatakować ich obu jednocześnie. Przewodniczący Komisji Handlu ogłosił, że w styczniu, gdy tylko Kongres zbierze się w nowym składzie, odbędą się przesłuchania w związku z prowadzonymi przez Galvina interesami, członkowie Komisji zaś niezwłocznie rozpoczną gromadzenie materiałów informacyjnych. Mogłem sobie tylko wyobrażać, jak na takie wieści zareagują wspólnicy Galvina: zwałą pewnie wszystko na niego, wytykając mu największy błąd, czyli przeniesienie się do przytułku dla obłąkanych, jakim jest Waszyngton. Nie

udziela mu już tanich kredytów, przez co trudniej będzie mu oddać pożyczone pieniądze. Tak już jest, kiedy świat wali się człowiekowi na głowę.

W odpowiedzi na artykuł „Journala” Biały Dom opublikował ostrożne oświadczenie, w którym zaprzeczał, jakoby kontakty prezydenta z Galwinem miały w sobie coś niewłaściwego, a zarazem obiecywał pełną współpracę w dochodzeniu. Administracja zamierzała się przejechać po Galwinie - jakżeby inaczej, skoro prezydent i bez tego tkwił po uszy w kłopotach. Ilość wspólnie wypitego dobrego wina nie miała tu nic do rzeczy. Dziwne czasy nadeszły. W większości języków jest powiedzenie, które dobrze do nich pasuje: *sauve qui peut; sal si puedes*. Aktualny przekład brzmiałby chyba mniej więcej tak: „Oslaniaj własny tyłek”.

Dostałem list z Komisji Izby Reprezentantów, w którym proszono mnie o dobrowolną pomoc w śledztwie i zapraszano na niezobowiązującą pogawędkę w grudniu. Miałem dylemat - nie tyle nawet moralnej, co czysto praktycznej natury.

Zadzwońłem do starego kumpla ze szkoły, który został za dobrze opłacanym prawnikiem w Waszyngtonie. Zazwyczaj traktowałem go z serdeczną pogardą, ale teraz opowiedziałem mu o liście i zapytałem, kiedy mogę mieć większe problemy osobiste: decydując się na zeznania czy ich odmawiając. Powiedział mi, że to trudno ocenić. Gdybym odmówił zeznań mówiąc, że jestem dziennikarzem, mógłbym wywołać spore zamieszanie. Mogłem też zgodzić się na nieoficjalny wywiad i nalegać, by nie został wpisany do protokołu. W takiej sytuacji - radził mi - lepiej mówić prawdę i twierdzić, że nic nie wiem o machlojkach Galvina. To mi się podobało; takie rozwiązanie miało w sobie coś z pięknej symetrii. Przede wszystkim jednak mój przyjaciel zakazał mi wspominać komukolwiek o tym, że zostałem wezwany na przesłuchanie.

Zaklepałem sobie spotkanie z Candace - była teraz tak zajęta, że musiałem

umówić się z nią przez sekretarkę. Wprowadziła się do biura Bacona i w roli sekretarki obsadziła zadziorną dziewczynę imieniem Eileen, której główne zadanie polegało na odpędzaniu lizusów i natrętnie życzliwych gości. Po drodze do łazienki Candace nie zaglądała już do pokoi redakcyjnych; miała własną toaletę.

Zdążyła już przemeblować gabinet. Znamienite dzieła polityczne zniknęły, półki zappełniły się natomiast powieściami. Jane Austen zamiast Zbigniewa Brzezińskiego - kto by się nie zamienił? Inne przeróbki sprawiły, że biuro zrobiło się przytulniejsze: w miejsce skórzanej sofy pojawiły się wygodne fotele, a zamiast jarzeniówek gościom przyświecały sielskie lampki stołowe. Znalazło się też miejsce dla oprawionego w nowe ramki zdjęcia ojca. Na niskim stoliku do kawy leżał rozrzucony wachlarz świeżo ściętych kwiatów, przysłanych przez właściciela gazety. Pluszowy miś zniknął, chociaż teraz Candace chyba najbardziej go potrzebowała.

- Lepiej zrób coś z Galvinem - zacząłem. - Sępy już krążą.

- Wiem. Dostałam wczoraj wezwanie z Komisji Kongresu, ale oznajmiłam naszemu prawnikowi, że nigdzie się nie wybieram. Nie mają po co mnie wypytywać: jestem redaktorem naczelnym „Suna”, a poza tym bliską przyjaciółką Galvina. Prawnicy są zdania, że Komisja sobie mnie odpuści. Na razie szukają na ślepo.

- To świetnie.

Ani słowem nie wspomniałem o moim wezwaniu - nie podjąłem jeszcze decyzji, co z nim zrobić.

- Poza tym nie mam pojęcia o finansach Sandy'ego - ciągnęła Candace. - Nigdy nie rozmawiamy o pieniądzach. Chociaż muszę przyznać, że zaczyna mnie to niepokoić. Martwię się, że jest wplątany w różne interesy, o których nikt

w gazecie nie ma zielonego pojęcia, poza może tym oślizłym Amarą. Wcale mi się nie podoba, że musimy odpierać ataki na właściciela. Jest mi wstyd.

- Co zamierzasz? Masz mało czasu. Dochodzenie już się zaczęło.

Poruszyła się niespokojnie na krześle, jakby ciążyło jej jakieś niewidzialne brzemie. Przeniosła wzrok na leżące obok kwiaty - irysy, róże i orchidee, warte razem ze sto dolarów, posłane jej niczym ekstrawagancki pocałunek. Nie chciała patrzeć na mnie; starała się być redaktorem i czuła się w tym samotna.

- Myślałam o tym, żeby wszcząć nasze własne małe śledztwo.

Oszczędzilibyśmy w ten sposób Sandy'emu i samej gazecie podejrzeń, że staramy się tuszować sprawę. Rozejrzelibyśmy się w sytuacji na własną rękę, po cichutku i nikt nie zaszedłby nas od tyłu. Jestem pewna, że nie odkryjemy nic straszego. Sandy jest uczciwym człowiekiem. Stworzymy mały zespół, zrobimy, co trzeba, a potem opublikujemy wyniki. Tak chyba powinna zachować się poważna gazeta. Co powiesz? Brzmi to sensownie?

- Dla mnie tak. Trzeba coś zrobić, bo tym razem sprawa nie rozejdzie się po kościach. Powiesz Galwinowi, że go obserwujemy?

- Raczej nie... A na pewno nie od razu. Kiedy będzie po wszystkim, muszę poprosić go o komentarz; robimy tak przy każdym artykule. Musimy zachować niezależność. Sandy też by tego chciał. Nie wiem, co myślą o nim ludzie, ale nie po to kupił „Suna”, żeby zrobić z niego propagandową szmatę. Chce wydawać świetną gazetę.

Zaproponowałam, że jej pomogę, chwając się znajomością z kimś, kto mógłby wiedzieć co nieco o interesach Galvina. Myślę, że się ucieszyła, mogąc z kimś podzielić ten przykry ciężar. Uznała, że powinienem spotkać się z resztą ekipy dochodzeniowej, do której wybrała dwóch zaufanych dziennikarzy: naszego redakcyjnego „detektywa” i reportera z Wall Street. W sprawę

wtajemniczone zostały więc łącznie cztery osoby. Candace j jeszcze raz podkreśliła, j jaką wagę ma zachowanie taj emnicy i że „Eru-dyta” musi zrezygnować ze zwykłych źródeł informacji. Z przyjemnością się z nią zgodziłem. Wiedziałem, że robi dobrze - przynajmniej w sensie dziennikarskim.

Jak łatwo się domyślić, Galvin nie wyglądał na człowieka, który zdaje sobie sprawę z gromadzących się nad jego głową czarnych chmur. Nakład rósł; czytelnicy nie przejęli się widać kłopotami finansowymi właściciela. Codziennie sprzedawało się ponad sto tysięcy egzemplarzy więcej, niż na początku. Magazyny branżowe pisały o „cudownej przemianie” w naszej gazecie i Galvin rozmyślał nad tym, jak utrzymać tę dynamikę. Tak właśnie wyglądały wszystkie prowadzone przez niego interesy - były tak niestabilne, że gdy przestawały się rozwijać, groziła im implozja.

W tym okresie głównym problemem zaprzatającym jego myśli był zakup miejscowej męskiej drużyny piłkarskiej. Uznał bowiem, że piłka nożna będzie w Stanach następnym przebojem i chciał, by „Sun” na tym skorzystać. Wpadł kiedyś do mojego biura z pytaniem, dlaczego tak mało piszemy o tej drużynie w „Stylu życia”: chłopcy dostali się do pucharowej fazy rozgrywek, a gazeta ignorowała ich sukcesy. „Nie lubimy Latynosów, tak? O to chodziło?” - zastanawiał się na głos. Po co właściwie ma kupować drużynę, jeśli „Sun” milczy na jej temat?

- Ci piłkarze mają fantastyczne historie do opowiedzenia - powiedział. - Barwne postaci, daleko od domu...

- Trochę zbyt barwne. Zdaje się, że paru z nich oskarżono rok temu o molestowanie seksualne jakiejś dziewczyny...

- O nie, nie, tym dwóm niczego nie udowodniono. Kazałem Tedowi to sprawdzić. Zresztą kibiców to nie obchodzi. Piłkarze są nowymi gwiazdami młodych pokoleń: Bebeto, Zidane, Baggio to bogowie. W Brazylii ludzie nadają



dzieciom imiona wielkich piłkarzy, w Stanach niedługo zacznie się to samo. A my będziemy na to przygotowani.

Chciał zmienić nazwę drużyny na The Suns.

- Zespół z duszą o którym pisze gazeta z duszą.

Rozmawiał już z ludźmi z kablówki, którzy wyrazili gotowość transmitowania wszystkich meczów wyjazdowych, pod warunkiem, że „Sun” będzie przy okazji promował ich stację. Galvin rozważał nawet możliwość sponsorowania ligi młodzieżowej, w której znani gracze dawaliby darmowe lekcje, a „Sun” zamieszczałyby porady trenerów.

Znów znajdował się na etapie zmieniania świata, tak jak w okresie pojednania rasowego. Jak zwykle kipiał energią, lecz tym razem miało się wrażenie, że jest to żywioł zamknięty w zużyтым opakowaniu. Głos też go zawodził, jakby coś utknęło mu w gardle i nie pozwalało w pełni zaczerpnąć tchu. To była jedyna słabość Amerykańskiego Króla, jaką dostrzegłem: umiał zmagać się z rynkiem finansowym i Komisją Izby Reprezentantów, ale nie mógł bez końca opierać się wpływowi czasu. Jego wszechświat zaczynał się kurczyć.

Wysłał Teda Amare, żeby porozmawiał z szefostwem klubu piłkarskiego - grupą miejscowych przedsiębiorców budowlanych, którzy dorobili się w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, finansując centra handlowe i biurowce, okalające wianuszkami miasto. Amara spotkał się z nimi w Tower Club w dzielnicy Tysons Corner, olbrzymim kwartale biurowym, który wyrósł przy obwodnicy. Zbierali się tam wszyscy wirgińscy nuworysze, podmiejscy przedsiębiorcy, którzy zbili fortunę w takich bezkrwawych dziedzinach, jak telekomunikacja i usługi komputerowe. Kiedy wyglądało się przez okno widokowe klubu, Waszyngton wydawał się maleńki i odległy, a jego problemy nieistotne.

Amara zjawił się na spotkaniu z aktówką w ręku, ubrany w jeden z fatalnie leżących na nim garniturów. Nie przystawał do tego bastionu czystego sukcesu, ale nawet w takim miejscu umiał nawiązać kontakt z ludźmi. Galvin nie był do końca pewien, co Amara zaproponował właścicielom klubu. W każdym razie „Sun” zgodził się zapłacić ciut więcej niż klub pierwotnie kosztował i dorzucić procent od przyszłych zysków. Galvin twierdził, że do czasu odwiedzin Amary nikt nie myślał poważnie o sprzedaniu drużyny, ale wychodząc Ted miał już wstępną umowę w garści.

- Jak Amara to robi? - spytałem. Ten człowiek miał niecodzienny talent nakłaniania ludzi do swojej woli. - Jest gangsterem?

- Wprost przeciwnie - odpowiedział mi Galvin. - Nie znam drugiego równie uczciwego człowieka. Ted po prostu pomaga ludziom zrozumieć, co jest dla nich najlepsze. W tym wypadku - mówił dalej - Amara zdawał sobie sprawę, że rozmawia ze specami od nieruchomości, czyli ludźmi, którzy ulokowali spore pieniądze w sektorze rynku, który zaczyna się chwiać. Tak się złożyło, że wiedział o kilku ich planowanych transakcjach, które wskutek niepewnej sytuacji były poważnie zagrożone: na przykład duże centrum handlowe w Leesburgu nie zostało wykończony, bo ktoś nagle zakręcił kurek z forszą. Ted pomógł im znaleźć pieniądze na dokończenie tej inwestycji, a przy okazji poinformował o nadciągających zagrożeniach, o których mogli nie wiedzieć. Byli mu za to wdzięczni. Biznesmeni nie są głupi, nawet jeśli dziennikarze mają odmienną opinię na ich temat: znają się na interesach.

Pokręciłem głową, nic nie rozumiejąc. Skąd Galvin brał pieniądze na to, żeby wspierać innych inwestorów?

- Czy ty przypadkiem nie powinieneś bardziej uważać? - zapytałem.  
- Siedzisz z nimi na jednej gałęzi. Masz kłopoty i to, że akcje „Suna” idą w górę, nie ma tu żadnego znaczenia. Niektóre transakcje nie układają się po twojej

myśli. Naprawdę nie czas szastać pieniędzmi.

Galvin wybuchnął śmiechem. Twierdził, że to zabawne, iż właśnie ja usiłuję udzielać mu porad finansowych.

- Nic się nie martw. Wszystko się ułoży. - Pokazał plakat do Małej syrenki.  
- Nie zapominaj, jak ta bajka się kończy: księżę żeni się z syrenką i żyją długo i szczęśliwie.

Kiedy szef działu sportowego dowiedział się, że Galvin kupuje lokalny klub piłkarski i zamierza przemianować go na „The Suns - drużyna z duszą”, popędził na złamanie karku prosto do biura Candace.

- On mnie zabije! - ryknął od progu. - Musisz go powstrzymać!

Podobnie jak większość dziennikarzy „Suna”, on też uważał się za profesjonalistę. Od ponad dziesięciu lat kierował redakcją sportową, bohatercko znosząc nieustanne naciski ze strony właścicieli i trenerów, którzy chcieli zapewnić swoim drużynom przychylną gazetę. Wszyscy grali na tę samą nutę: jesteśmy stąd! Jesteśmy pozytywnymi bohaterami! Lokalna gazeta powinna dobrze o nas pisać!

Szef działu sportowego odpowiadał wtedy:

- Idźcie do diabła! „Sun” nikomu kibicował nie będzie!

Nowy pomysł Galvina groził mu utratą ciężko zapracowanej wiarygodności.

- Spróbuję z nim porozmawiać - obiecała Candace. - Ale co będzie, jeśli nie zmieni zdania?

Na to pytanie nie było łatwej odpowiedzi. Redaktor sportowy miał pięćdziesiąt dwa lata, troje dzieci - jedno na studiach, dwoje jeszcze w szkole średniej - i małe szanse na podobne zarobki, gdyby teraz zmienił pracę.

- Będę musiał się zwolnić - odparł. - Nie ma sensu pracować dla kogoś, kto nie zna zasad.

Dyskrecja nie była jego najmocniejszą stroną, toteż cała redakcja szybko dowiedziała się o ultimatum, jakie postawił wydawcy. Zrobiło mi się żal Candace, której przybył kolejny zbędny kłopot. Piłka nożna nic a nic jej nie obchodziła - podobnie zresztą, jak cały sport w gazecie - a i bez niej miała dość problemów. Ludzie lubili jednak szefa redakcji sportowej, Candace zaś wiedziała, że w gruncie rzeczy to on ma rację: „Sunowi” drużyna piłkarska była potrzebna jak umarłemu kadzidło.

Zaproponowała Galwinowi wspólny spacer brzegiem rzeki. Opowiedziała mi o nim po powrocie - i chyba była zaskoczona jego przebiegiem. Mieliśmy słoneczny grudniowy dzień, chłodny, czysty, z niebem jak niebieski kryształ, jakby błękit zakrzepł zmrożony w górnych warstwach atmosfery. Wyszli z redakcji i poszli Virginia Avenue do nabrzeża. Po Poto-macu pływali wioślarze i walcząc z nurtem i wiatrem pchali łodzie w górę rzeki.

- Nie możesz kupić tej drużyny - zaczęła Candace. - Szef działu sportowego zagroził, że odejdzie, jeśli to zrobisz.

- Niech sobie idzie. Może i dobry z niego redaktor, ale upierdliwy.

- Twierdzi, że to nieetyczne, żeby gazeta miała własną drużynę. Będzie nas kusilo, żeby pisać o niej jak najlepiej, a wtedy właściciele innych klubów upomną się o swoje prawa. Jest przekonany, że tak to się skończy.

- Mam gdzieś etykę! Rzygać mi się nią chce! Jeśli ci ludzie naprawdę tak się przejmują zasadami etycznymi, powinni zostać księżmi. Ja wiem tylko tyle, że kupno klubu piłkarskiego to dobry interes. Dla firmy telekomunikacyjnej drużyna by się nadawała; to po to Ted Turner kupił Atlanta Braves. Chciał mieć produkt, który będzie sprzedawał w swoich sieciach telewizyjnych. Dlatego

Murdoch kupił Dodgersów, a Disney Angelsów... bo to świetny interes! Zresztą w tym mieście przydałby się ktoś z duszą zwycięzcy. Nie wiem, czy też to zauważyłaś, ale w innych dziedzinach sportu zespoły z Waszyngtonu prezentują się beznadziejnie. A to źle wpływa na nasz nakład.

Candace wzięła go pod ramię i jakiś czas szli w milczeniu trawiastą ścieżką wzdłuż rzeki. Porywisty wiatr tworzył małe, spienione grzywacze na ciemnej wodzie, niczym wicherki lukru na czekoladowym cieście. Na drugim brzegu majaczył nieruchomy, gęsty las Wyspy Roosevelta, odrobina dzikiej przyrody, która przetrwała w królestwie budowniczych i burzycieli. Candace się nie spieszyła; chciała, żeby Galvin poczuł na twarzy ciepło grudniowego słońca.

- Sam musisz podjąć decyzję, jakim chcesz być wydawcą - oznajmiła po chwili. - Nie może być tak, że co tydzień dochodzi do spięć. Nie ma w nich nic zabawnego. A redaktor sportowy ma rację: nie powinniśmy kupować klubu. Może to i dobry interes, ale kiepskie dziennikarstwo. Kiedy zaś dochodzi do takiego konfliktu, dziennikarstwo powinno zwyciężyć.

Nie zagroziła, że sama złoży wypowiedzenie, chociaż, jak mi później powiedziała, nie zawahałaby się tego zrobić. Tyle że nie było takiej potrzeby. Problem nagle przestał istnieć, chociaż Galvin nawet nie odpowiedział jej wprost. Pocałował ją tylko w policzek i przytulił mocno.

- Kocham cię - powiedział.

Ławka, na której przysiedli nad rzeką, była połamana i brakowało jej połowy belek w siedzeniu, tak że musieli usiąść blisko siebie. Galvin trzymał Candace w ramionach, a ona przycisnęła się do niego z całej siły, wtulając się w jego ciepłe, masywne ciało. Siedzieli tak długą chwilę; właściwie stracili poczucie czasu. Galvin dowcipkował szeptem i przywoływał odległe wspomnienia; Candace śpiewała mu słodkim, wysokim sopranikiem - zwykle za bardzo się kontrolowała, żeby sobie na coś takiego pozwolić. Nuciała ludowe

przyśpiewki, kawałki z filmów i musicali, te same, które śpiewała, gdy zaczynali się spotykać. Trzymała usta tuż przy jego uchu, tak że nikt poza nim jej nie słyszał.

Nad głowami z rykiem przelatywały im samoloty, ścieżką truchtały biegacze, nad rzeką kołowały gołębie - ale oni dwoje byli sami. Siedząc na rozklekotanej ławeczce Galwin wyglądał jak najszcześniejszy człowiek na świecie - niby wśród hałasu i między ludźmi, ale bez reszty oddany siedzącej obok niego cudownej kobiecie. Ona też czuła tego dnia niezwykłą radość i spokój, a był to jeden z ostatnich dni, który mieli tylko dla siebie. Bezpiecznik został zwolniony i rozluźniona Candace pozwoliła sobie po prostu być przy Galwinie. I tylko od czasu do czasu, gdy między jakimiś dwoma neuronami przebiegał zagubiony impuls, zerkała nerwowo przez ramię, czy nikt im się nie przygląda.

Szedłem przed siebie długim korytarzem budynku Rayburna. Marmurową posadzkę wyfroterowano nadając jej taki blask, że budziła we mnie automatyczne skojarzenie z dekoracją filmową. Na tym zresztą polegał cały kłopot z Kongresem: z czasem stał się kinową parodią samego siebie. Każdy szczegół był na swoim miejscu: ozdobny gmach błyszczał w słońcu, jakby należąca do studia filmowego polewaczka spryskała go właśnie wodą, by uzyskać właściwy połysk; bezmyślni asystenci kongresmanów kręcili się po korytarzach niczym rzesze statystów (niektórzy wygłaszali nawet krótkie kwestie w stylu: „Kongresmanie Jones! Jest pan proszony do sali obrad!"); drugoligowi aktorzy grali członków Kongresu w oparciu o scenariusze mało wybitnych pisarzy. Nic dziwnego, że ludzie nie szli do wyborów - czekali, aż ktoś wyda Kongres na kasetach wideo.

Moje obcasy stuknęły na marmurze jak buty, w których John Travolta tańczy w swoich filmach, kiedy szedłem na spotkanie z zastępcą przewodniczącego Komisji Handlu. W rozmowie telefonicznej podkreślał, że jest to tylko „nieoficjalna” wizyta przed styczniowymi przesłuchaniami pod przysięgą, czyli

na razie mogłem nie odpowiadać na zadawane mi pytania. Stojąc pod drzwiami jego gabinetu jeszcze się zastanawiałem, co właściwie skłoniło mnie do przyjscia na to spotkanie. Wiedziałem z całą pewnością, że zachowuję się paskudnie wobec gazety. Nie żebym chciał skrzywdzić Galvina - przeciwnie, wyobrażałem sobie, że go chronię, starając się lepiej poznać jego dręczycieli. Najsilniej popychała mnie zapewne zwykła ciekawość. Nigdy nie byłem w gmachu Rayburna z oficjalną sprawą, nie przesłuchiwał mnie nikt ze środowiska kongresowego, nie zagrałem nawet epizodu w tym filmie. Erudyta chciał wiedzieć, jak to jest.

Zastępca przewodniczącego Komisji nazywał się Ewan Buzby i był młodym półinteligentem: za mądry, żeby samemu startować do Kongresu, ale za głupi, żeby zaczepić się w porządnej kancelarii prawniczej. W Kongresie pracowały setki takich ludzi, pełnych oglady i bezpiecznych w swojej głupocie. Waszyngton przyciągał ich równie nieodparcie, jak Nowy Jork młodych aktorów teatralnych. Sami się zastanówcie: jaki człowiek chciałby dziś z własnej woli robić karierę w rządzie?

Ewan Buzby uparł się, żebyśmy udali się do jego prywatnego gabinetu, gdzie będziemy mogli porozmawiać bez świadków. Trochę niepewnie się czułem, kiedy traktował mnie jak świadka koronnego. W żółtym notesie przygotował długą listę pytań.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że nagram naszą rozmowę? - zapytał, gdy mieliśmy już zaczynać, na co powiedziałem, że nie życzę sobie nagrywania, skoro rozmawiamy nieoficjalnie. Wyłączył demonstracyjnie magnetofon, ale i tak się zastanawiałem, czy nie ma gdzieś drugiego, ukrytego przed wzrokiem gości.

- Chcę zadać panu kilka pytań w związku z osobą Carla Galvina. Nie zeznaje pan wprawdzie pod przysięgą, ale oczekuję, że odpowie pan na nie

zgodnie z prawdą.

- Nie ma sprawy. Dam panu znać, gdybym postanowił skłamać.

Nie uśmiechnął się. Brak poczucia humoru był kolejną cechą charakterystyczną kultury Kapitolu.

- Jak długo pan zna pana Galvina?
- Niezbyt długo. Około dziewięciu miesięcy.
- Kto panów sobie przedstawił?

Facet miał błyszczącą, ściągniętą twarz, jakby za dużo czasu spędzał na siłowni, i emanował doskonałą kondycją.

- Nikt. Zadzwoiłem do Galvina z pytaniem, czy nie chciałby trafić na łamy „Podglądacza”, mojego magazynu. Swego czasu był powszechnie znany, ale już upadł.

- Czy pan Galwin zapłacił panu za ten materiał?

- Ależ skąd! Oczywiście, że nie. - Roześmiałem się, ale zaraz zacząłem się zastanawiać, czy nie tak właśnie było. - Przynajmniej nie wprost. Później dał mi pracę.

- Czy przy tym pierwszym spotkaniu był pan świadomy tego, że pan Galwin ma kłopoty natury finansowej?

- Nie. Właściwie do tej pory nie jestem o tym przekonany. Wiem tylko tyle, co przeczytałem w „Wall Street Journal” i z plotek. Czy to wszystko prawda?

Pan Ewan Buzby nie odpowiedział; najwidoczniej nie powinienem był zadawać pytań. Poprawił krawat, ozdobiony wzorkiem z małych słoników. Cóż



za lojalność, pomyślałem; na bokserkach też miał pewnie słoniki\*.

- Czy podczas tego wywiadu rozmawialiście panowie także o przeszłości pana Galvina?

- Próbowałem go o nią wypytać, ale niewiele mi powiedział. - Pomyślałem, że taka odpowiedź może zaszkodzić Galwinowi. - Dopiero później, kiedy lepiej się poznaliśmy, dowiedziałem się więcej.

- Czy mówił panu, że pracował w Azji na zlecenie CIA?

- Nie, ale zawsze mnie intrygowała taka możliwość. Galvin naprawdę był szpiegiem?

- Przykro mi, ale nie mogę udzielić panu odpowiedzi na to pytanie.

Doszedłem do wniosku, że oznacza to, iż Galvin faktycznie pracował dla Agencji. Niezły drań! I godny swoistego podziwu: niedoszły absolwent Harvardu, który w latach siedemdziesiątych postanawia grać dla CIA. Wyjaśniało to, dlaczego tak szybko rozkręcił interes.

- Czy pan Galvin opowiadał panu o swoich interesach w handlu ropą?

- Trochę. Wyszło z tego, że łatwo nawiązuje kontakty. Ktoś powiedział, że pan Galvin działa na marginesie, że nie boi się pchać w ryzykowne dziury i do końca walczyć o transakcję. Mówił mi kiedyś, że handel jest ryzykowną grą, bo ma się do czynienia z samymi niegodnymi zaufania szujami.

Młody Buzby utkwiał we mnie wzrok półinteligenta; chyba nie załapał końcówki zdania.

- Czy słyszał pan o tym, żeby pan Galvin wręczał komuś łapówki, by przyspieszyć załatwienie ważnych spraw?

Rozmowa robiła się coraz bardziej interesująca; nigdy nie słyszałem o

łapówkach Galvina.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Jest zbyt ogólne. Jakie kraje ma pan na myśli?

- Weźmy na początek Angolę. Czy słyszał pan, żeby pan Galvin współpracował z tamtejszymi partyzantami w zamian za kontrakty na zakup ropy naftowej?

- Nie. Wiem tylko, że działał w Angoli po tym, jak Portugalczycy się wynieśli, ale to wszystko.

- A w Nigerii?

- Nie, nic nie słyszałem o Nigerii. A co? Tam też dał komuś w łapę?

- Czy wspominał o sprzedaży ropy do RPA?

*\*Słoń jest symbolem amerykańskiej partii republikańskiej (przyp. tłum.)*

- Niech no pomyślę... - Podrapałem się po głowie. Coraz lepiej się bawiłem. - Gdzieś już o tym słyszałem, ale nie pamiętam, czy od Galvina, czy od kogoś innego. Proszę mi pomóc odświeżyć pamięć.

- Chodzi nam o to, czy w latach osiemdziesiątych pan Galvin sprzedawał rosyjską ropę do RPA, mimo nałożonych na ten kraj sankcji? Podobno zarabiał po dziesięć dolarów na baryłce. Coś pan kojarzy?

- Słabo. Przykro mi, ale pamięć mam nie najlepszą.

- A Iran? Czy wiadomo panu coś o kupowaniu ropy w Bandar Ab-bas? Również obowiązywały wtedy sankcje.

- A, tak, o tym słyszałem. Z całą pewnością. Sęk w tym, że nic więcej nie wiem.

- Galvin panu o tym mówił?

- Nie, ale człowiek, z którym rozmawiałem, wyglądał na takiego, który wie, co mówi.

Ewan Buzby zmarszczył brwi. Zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie nabijam się z niego, ale będąc osobą z natury poważną i ufną uznał, że nikt nie potraktowałby rozmowy z przedstawicielem Kongresu tak niepoważnie. Naciskał więc dalej.

- Teraz Irak: czy Galvin mówił kiedyś o kupowaniu ropy w Iraku, co równałoby się naruszeniu sankcji?

- Niewiele o tym wiem, a poza tym słyszałem to tylko od innych osób. Galvin pojechał do Iraku i robił tam jakieś interesy w okresie, kiedy nikt nie chciał się ich podjąć. Sporo na tym zarobił.

- Co dokładnie powiedziały panu te inne osoby?

- Tylko tyle: że był tam i handlował. One również niewiele wiedziały, bo wygląda na to, że dla pana to żadna nowina.

- Kim są te osoby, o których cały czas pan wspomina?

- To właściwie jeden człowiek, tutejszy broker. Dał mi swoją wizytówkę, ale ją zgubiłem.

- Nie jest pan zbyt skłonny do pomocy. Zdaje pan sobie sprawę, że możemy wezwać pana na świadka przed sądem.

- Znakomicie. Proszę to zrobić, a wtedy nic wam nie powiem.

Ogłupiały opadł na oparcie fotela. Wyglądał jak rozeźlony dzieciak,

któremu kolega nie chce pożyczyć ulubionych zabawek. Postanowił jednak wrócić do listy pytań z notesu.

- Rosja: czy wiadomo panu coś na temat działalności pana Galvina w tym kraju?

- A o jaką działalność panu chodzi? Może będę w stanie panu pomóc.

Warto było spróbować, czy kolejnym blefem wycisnę z gościa jeszcze jakąś niespodziankę. Zaczynałem podejrzewać, że pomyliłem się w ocenie pana Buzby'ego - może faktycznie był na tyle głupi, żeby kandydować do Kongresu.

Z wysiłkiem znów skupił na mnie wzrok.

- Czy słyszał pan, żeby Galvin kupował ropę i inne towary od byłych urzędników radzieckich, którzy prywatyzowali zasoby naturalne i wykorzystywali dochody z nich na własne potrzeby? Interesują nas również informacje, czy Galvin mógł pomagać Rosjanom w otwieraniu prywatnych kont bankowych w Szwajcarii.

- Nic o tym nie wiem, przykro mi. Pierwsze słyszę. Chyba w ogóle niewiele wiem o Rosji. Musiałem się pomylić.

Teraz pan Buzby naprawdę się wkurzył; uznał, że robię sobie z niego jaja.

- Zna pan człowieka o nazwisku Ted Amara? - spytał poirytowany.

- Owszem, pracuje w „Sunie”. Jest prawnikiem, ale twardy z niego facet. Przypomina mi gangstera. Widywałem go trochę w redakcji.

- Czy wiedział pan o tym, że Amara wypłacał gotówkę burmistrzowi Waszyngtonu?

- Nie. Widziałem ich razem i domyśliłem się, że coś ich łączy. Burmistrz nie zadawałby się przecież z białą gazetą za darmo. Poza tym wszyscy wiedzą,

że Galvin pompuje duże pieniądze w system stypendiów władz miasta i w odbudowę „Howard Theatre”. Nie wiem nic konkretnego na ten temat.

- Czy zna pan inne miejsca i okoliczności, w których pan Amara występował jako przedstawiciel pana Galvina?

- Wiem, że kiedyś mieszkał we Francji. Czy mógłby pan sprecyzować pytanie?

- Ciekawią nas działania pana Amary w Rosji, Szwajcarii i Iraku. Ma pan tu coś do dodania?

- Niestety nie. Wiem, że Amara był w Tysons Corner i prowadził rozmowy w sprawie zakupu drużyny piłkarskiej. Sporo też podróżuje na zlecenie Galvina. Nie wydaje mi się jednak, żebym miał dla pana coś ciekawego.

Rozczarowany moją osobą Buzby pokręcił głową. Przewrócił stronę w złotym notesie i zaczął czytać chyba z nowej listy.

- Panie Cantor, chciałbym porozmawiać o roli, jaką odegrał pan w zakupie „Washington Sun and Tribune” - rzekł zdecydowanym głosem, używając pełnego tytułu gazety, żeby jego słowa zabrzmiały bardziej złowrogo.

Ton jego głosu sprawił, że ciarki przeszły mi po plecach. Tym razem Buzby nie łowił na ślepo; coś na mnie miał.

- Nie odegrałem w tym żadnej roli - odparłem. - Nosilem tylko aktówkę pana Galvina.

- Wydaje mi się, że było inaczej, panie Cantor. Podobno był pan w tym procesie ważną postacią. Czy prawdą jest na przykład stwierdzenie, że

poinformował pan rodzinę Hazenów, iż holding PalmTrust potajemnie skupuje akcje „Suna”?

Cholera jasna! - zakląłem w duchu.

Buzby uśmiechał się, rozbawiony moim zaniepokojeniem.

- Galvin zabrał mnie na spotkanie z Ariane Hazen. Rozegrał je tak, by przedstawić mnie jako człowieka, który odkrył informacje na temat PalmTrust, co jednak nie było prawdą. Zastosował po prostu taką zagrywkę, to wszystko.

- Wydaje mi się również, że towarzyszył pan panu Galwinowi podczas jego wystąpienia na spotkaniu Hazenów i Crosbych.

- Poszedłem jako jego asystent. Dziwnie to pewnie brzmi, ale załapałem się na darmową przejażdżkę w charakterze obserwatora. To Waszyngton; tutaj wszyscy tak robią. Żyjemy w mieście podglądaczy.

Zignorował moją dygresję kulturalną.

- Czy zdawał pan sobie wówczas sprawę z tego, że pan Galvin prowadzi rozległe interesy z Melvinem Wolfe'em, właścicielem PalmTrust?

- Nie, nie wiedziałem.

- Czy miał pan świadomość, że pan Wolfe udzielił panu Galwinowi kredytu w wysokości dwustu milionów dolarów? I że w tajemnicy współpracowali, by przedstawić rzekomo konkurencyjne oferty zakupu „Suna”?

- Nie, nic o tym nie wiedziałem. Coś tam może podejrzewałem, ale nie miałem pewności. - Czułem, że krew odpływa mi z twarzy, a na czole zaczyna się perlić pot. Nadszedł chyba moment, żeby zadzwonić po adwokata, połknąć notes z telefonami albo zrobić to, co robią winni podejrzani. - Czy mógłbym skorzystać z łazienki, panie Buzby?

Uśmiechnął się.

- Zaraz skończymy, więc może pan wstrzyma się jeszcze minutkę, dobrze?

Mam jeszcze tylko jedno pytanie, dosłownie jedno: czy w ostatnich paru miesiącach wypytywał pan pana Galvina, czy znalazł się w kłopotach finansowych?

Czyżby kolejne podchwytliwe pytanie? Nie miałem pojęcia.

- Tak, kilkakrotnie zadawałem mu takie pytanie. Martwiłem się o niego. Nie wiem, jaką ma pan opinię na mój temat, ale nie wiedziałem nic o jego zapleczu finansowym. I nadal nie wiem, prawdę mówiąc. Po prostu byłem zaniepokojony.

- Co odpowiadał na takie pytania?

- Mówił, że wszystko jest w najlepszym porządku i kazał mi się przestać martwić. Kłopoty miały wkrótce przeminąć i wszystko dobrze się skończyć.

- Wierzył mu pan?

Spytał o to w taki sposób, że nie mogłem odpowiedzieć wprost: „Oczywiście, wierzyłem mu bez zastrzeżeń”. Nie mogłem dodać, że wciąż z trudem podają w wątpliwość słowa i czyny Galvina, mimo tego, co właśnie usłyszałem. Takie kłopoty pojawiają się zawsze, gdy w naszym szarym życiu pojawia się pierwiastek ulotny, efemeryczny, niezwykły. Jakże trudno byłoby wyjaśnić stróżowi prawa, dlaczego przy Galwinie pewne reguły ulegały czasowemu zawieszeniu; to tak, jakby chcieć wytłumaczyć istotę słowa „niezwykły” komuś całkowicie zwyczajnemu.

Kiedy opuszczałem gabinet pana Buzby'ego, nie miałem wątpliwości, że znajduję się w dość niezręcznej pozycji. Mój pogląd zyskał dodatkowe potwierdzenie, gdy streściłem rozmowę zaprzyjaźnionemu prawnikowi, który zaraz zaczął wypytywać mnie o szczegóły - zwłaszcza o spiszek, jaki zawiązali

Galvin z Wolfe'em. Spławiłem go, uznając, że będzie jeszcze dość czasu na takie drobiazgi, jak ryzyko prawne mojej sytuacji. Na razie głowę miałem zaprzątniętą ryzykiem emocjonalnym.

Wróciłem do redakcji, żeby napisać felieton, z którym i tak już byłem o dzień spóźniony. Erudyta nigdy się nie spóźniał, ale tym razem cierpiał na wyjątkowy brak kapitału intelektualnego. Przetrzęsnałem w myślach zbiór pomysłów, które zachowałem na przysłowiową czarną godzinę, ale wszystkie wydawały mi się albo zbyt błahe, albo zanadto poważne. Zacząłem się zastanawiać, czy uszłoby mi to na sucho, gdybym postawił tezę, że największy wkład powojennego wyżu demograficznego w życie Stanów Zjednoczonych polegał na popularyzacji seksu oralnego? Przed połową lat sześćdziesiątych żadna grzeczna dziewczynka by się na to nie zgodziła, a później ... Sami wiecie. Doszedłem jednak do wniosku, że to chyba nie najlepszy pomysł.

Wreszcie zdesperowany postanowiłem zaktualizować („podkraść" byłoby chyba lepszym określeniem) stary felieton Russella Bakera o prezydentach, zwierzakach domowych i dzieciach. Zauważyłem, że prezydenci, którzy mają psy i córki, często popełniają poważne błędy w ocenie swojej sytuacji - Baker dawał za przykład Nixona, ale to samo dałoby się powiedzieć o aktualnym szefie państwa - ponieważ zawsze jest przy nich ktoś, kto bezkrytycznie ich wielbi. Erudyta cierpiał natomiast na chroniczny brak uwielbienia, przez co potrafił być cięty i nieomylny.

Wieczorem miałem się spotkać ze zmontowaną przez Candace ekipą dochodzeniową w knajpie nieopodal mojego domu. Mróz panował siarczysty, a na następny dzień zapowiadano śnieg z deszczem i gołoledź. W taką noc należałoby raczej owinąć się kocem, postawić na nocnym stoliku kieliszek czegoś mocniejszego i przytulić jakiegoś czułego, bezkrytycznego psa, gdyby nawinął się pod rękę. Zastanawiałem się, czy nie odwołać spotkania, ale uznałem, że dziwnie by to wyglądało - zaczynałem przejmować się pozorami,



co stanowiło niepokojący objaw - więc postanowiłem z niego nie rezygnować.

Spotkaliśmy się w zadymionym barze w suterenie. Sami go wybrali, jakby chcieli znaleźć się w tym samym starym filmie o prawdziwych dziennikarzach. Obaj byli po trzydziestce, spragnieni łowów na grubego zwierza. Nazywali się Taub i Loden, a więc jak na przyszłych autorów książki - nieszczególnie. Wzięli sobie po piwie i prawie go nie tknęli; ja przez ten czas wypłem dwa martini. Rozejrzałem się po knajpie. Dziwne miejsce, uznałem: nikt nikogo nie podrywa. Musieliśmy trafić tu w jakąś niewesołą godzinę. Z początku nie wiedziałem, czy powinienem dzielić się z kumplami z „Suna” informacjami, które rano posiadałem dzięki panu Buzby'emu. Jednak doszedłem do wniosku, że właśnie w ten sposób mogę sobie zapewnić alibi: jeżeli będę członkiem zespołu tropiącego na zlecenie „Suna” knowania właściciela, trudniej będzie mnie oskarżyć o współudział w nich. Zamiast więc wspominać, że rozmawiałem z kimś z Kongresu, przeszedłem od razu do rzeczy, wymieniając te same zagadnienia i kraje, które interesowały Buzby'ego: Angolę, Nigerię, RPA, Iran, Irak i Rosję. Wspomniałem również, że podejrzewam Galvina o konszachty z PalmTrust przy okazji kupowania gazety. Ani słowem nie skłamałem -i to właśnie było najsprytniejsze.

Słuchali mnie uważnie, robiąc masę notatek; kiwali głowami, kiedy poruszałem nowy temat i kończyli za mnie zdania, gdy zrozumieli, do czego zmierzam. Po jakiejś półgodzinie byłem prawie pewien, że większość z tego, co mówię, nie stanowi dla nich zaskoczenia.

- Co z tym zrobimy? - zapytałem, kiedy skończyliśmy, na co jeden z nich odparł ze śmiertelną powagą, że decyzję podejmie Candace Ridgway.

Następnego dnia była sobota. Zostałbym pewnie w domu, czytając Trollope'a i wyszukując jakieś świństwa w Internecie, gdyby Galvin nie zadzwonił z

samego rana z prośbą, żebym go odwiedził. Fatalnie się czuł; Candace jakoś się wyłgała, kiedy ją zaprosił, i siedział teraz sam w wielkim domu, tęskniąc za towarzystwem żywego człowieka. Zdziwiło mnie, jak słaby i delikatny wydał mi się przez telefon. W jego głosie pobrzmiewał smutny ton, który u każdego innego człowieka wziąłbym za oznakę melancholii.

Miasto wyglądało jak śmiertelnie niebezpieczna baśniowa kraina. Mróz systematycznie się nasilał, najpierw skuwając cały Waszyngton błękitnym lodem, później odpuszczając mu na kilka godzin, by znów ściąć okrutnie. W okresie tego względnego ocieplenia przyszły opady - nie sypkiego, delikatnego śniegu, lecz marznącej mżawki, od której jezdnie zrobiły się śliskie jak lodowisko. Drzewa lśniły w lodowych pancerzach, oblewających każdą, nawet najmniejszą gałązkę twardą, przezroczystą skorupą. Linie wysokiego napięcia obwisły pod ciężarem lodu. Przy Connecticut Avenue jedna się nawet zerwała - słyszałem, jak przy zetknięciu z wilgot-najeźdźnią trzeszcza iskry. Przeszedłem dwie przecznice do parkingu, gdzie trzymałem samochód; z najwyższym trudem udało mi się zachować przez ten czas równowagę na oblodzionym chodniku. Pakistańczyk pilnujący parkingu zasugerował, że chyba pan zwariował, proszę pana, żeby w taką pogodę wypuszczać się gdzieś autem.

Wskazałem mu moją poobijaną szarą hondę.

- Idealny samochód na taki dzień - powiedziałem. - Poza tym to przeznaczenie każe mi ruszać w drogę. Albo się rozbiję, albo nie.

Moje słowa chyba jeszcze bardziej go zaniepokoiły - przestraszył się, że wszechobecny fatalizm Dalekiego Wschodu, przed którym uciekł w poszukiwaniu lepszego, bardziej racjonalnego życia, swoimi mackami sięga już Waszyngtonu.

Kiedy człowiek wyjechał już na ulicę, wszystko szło jak po maśle -przynajmniej dopóki nie zachciało mu się zwolnić. Hamowanie stało się

praktycznie niemożliwe, zwłaszcza na bardziej stromych odcinkach. Wciśnięcie pedału hamulca nie powodowało oczekiwanego efektu, czyli powstrzymania ruchu samochodu. Zamiast tego auto ślizgało się po lodzie tak długo, aż całkowicie wytraciło rozpęd albo w coś wyrznęło. Wytoczyłem sobie w myślach możliwie płaską trasę dojazdu do Galvina, ale nie wziąłem pod uwagę stromo nachylonego podjazdu. Starąłem się zjechać nim pod dom po kawałku, dosłownie po metr, półtora na raz, kiedy jednak stromizna nieco się zwiększyła, moja strategia zaczęła zawodzić i dwukrotnie zsunąłem się z alejki - z czego raz stuknąłem w drzewo i moja honda dorobiła się następnego zgrabnego wgniecenia na karoserii. Kiedy wreszcie znalazłem się pod domem, wysiadłem i zadzwoniłem do drzwi, czułem, że coś osiągnąłem - choćby tylko tyle, że dotarłem na miejsce.

Galvin osobiście otworzył mi drzwi, ubrany w luźną, czarną satynową marynarkę i czerwone pantofle z aksamitu z jego monogramem. Na pierwszy rzut oka wciąż przypominał dawnego gwiazdora filmowego - miał w sobie coś z Errola Flynna, może z Clarka Gable'a. Pod oczami jednak rysowały mu się ciemne worki, a skóra straciła tę ciepłą, letnią poświatę - jakby wyschła nagle i zrobiła się przezroczysta i blada, ujawniając wyraźne oznaki starości. Galvin był zmęczony.

- Dziękuję, że przyjechałeś - powiedział na wstępie. - Bardzo się cieszę.

Biedny człowiek; chyba naprawdę był wzruszony, że odbyłem dla niego tę podróż wśród lodów.

- Gdzie służba? - spytałem.

Nie przypominałem sobie, żeby kiedyś sam otworzył mi drzwi. Nie widziałem nawet cudnego złocistego labradora.

- Zwolniłem ich, zatrzymałem sobie tylko gosposię. Sprawy mogą się

jeszcze paskudnie ułożyć i nie chciałem ich w to mieszać. Wyplaciłem im roczne premie i pożegnaliśmy się.

Zaprowadził mnie do gabineciku, w którym siedzieli z Candace tamtego magicznego wieczoru - przynajmniej dla nich dwojga był magiczny. Ogień szalał w kominku, na stoliku stał duży kubek z herbatą. Pozbawione opieki służby wewnątrz nie prezentowało się tak schludnie, jak zazwyczaj, ale stało się dzięki temu bardziej przytulne; wyglądało wreszcie jak dom żywego człowieka. Na kanapce leżał zrobiony na szydełku pled; Galvin złożył go i odsunął na bok. Zapytał, czy napiję się kawy lub herbaty, ale zamiast tego nalałem sobie szklankę whisky.

- Kiepsko wyglądasz-zauważyłem.

- To przez ten cholerny mróz. Nie daje mi spokoju. Nie mogę spać, nie tylko kaszlę i wycieram nos. Ale nic mi nie jest; lada dzień poczuję się lepiej.

Pokiwałem głową. Byłem gotów zgodzić się z każdym jego słowem.

- Ciężki okres nastał, co? - mruknąłem. - Tym bardziej mi przykro, że nawet pogoda nie daje ci spokoju.

Nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. Galvin ochoczo obdzielał innych swoim ciepłem i współczuciem, ale nie umiał przyjąć tego samego w zamian.

- Daj spokój! Pod wieloma względami nastał właśnie najszcześniejszy czas w moim życiu. Osiągnąłem to, co chciałem.

Uśmiechał się łagodnym, szczerym uśmiechem, który sprawiał, że mimo zmęczenia jego twarz promieniała wewnętrznym spokojem. Mówił poważnie, ja jednak czułem, że powinienem go ostrzec, nawet jeśli nie mogę go ochronić przed nieuniknioną przyszłością.

- Węszą za tobą - powiedziałem. - Komisja Kongresu zebrała masę

materiału. Biorą pod lupę każdą twoją transakcję, każdą prowizję, jaką wypłaciłeś. Jeżeli ty albo Ted Amara daliście komuś łapówkę, dowiedzą się o tym.

- Wiem, wiem... - uciszył mnie Galvin głosem bardziej chyba znudzonym niż zbolałym. - Mogą sobie zbierać wszystkie śmieci, jakie im się podoba. Nic na to nie poradzę. Nie zrobiłem nic nielegalnego, a w każdym razie nic istotnego, co byłoby sprzeczne z prawem. Mam czyste sumienie, więc niech sobie próbują. Grunt, że mamy gazetę; reszta mnie nie obchodzi.

Przebiegł go dreszcz. Opatulił się ciasniej marynarką i okrył kolana pledem. Wyglądał tak subtelnie i niewinnie, że zaczęły mnie dręczyć złe przeczucia - nie na jego temat, lecz na mój własny. Nie lubiłem spowiedzi. Ale coś mu chyba byłem winien.

- Muszę ci coś powiedzieć - zacząłem. - Parę dni temu rozmawiałem z facetem z Komisji. Zaprosił mnie na nieoficjalne spotkanie, a ja się zgodziłem. Zadawał mi mnóstwo pytań, ale tak naprawdę nic mu nie powiedziałem. Martwię się jednak i wydawało mi się, że powinienem ci o tym powiedzieć - wykrztusiłem i wlepiłem wzrok w podłogę, rumieniąc się ze wstydu.

- Wiem, że widziałeś się z kimś z Komisji - rzekł Galvin.

- Wiesz? - Nie posiadałem się ze zdumienia. Dlaczego zachowywał się tak układnie wobec mnie, skoro wiedział, że spotykam się z jego wrogami?

- Dzwonił do mnie potem ktoś od nich, twierdząc, że poszedłeś na współpracę. Nie uwierzyłem mu; po prostu chcą mnie przycisnąć. Tak właśnie robią, kiedy wezmą człowieka na cel. Ale mniejsza z tym. Nie zrobiłem nic złego.

- Chcieli wiedzieć, jak to się stało, że kupiłeś „Suna”. Uważają, że dogadałeś się z Wolfe'em, że razem zrobiliście przekręt, a ja jestem w to

zamieszany.

- Nic się nie martw. - Galvin poklepał mnie po ręce. - Nic na ciebie nie mają. Gdyby zaczęli się czepiać, zeznam pod przysięgą, że nic ci nie powiedziałem. Ale nie zaczną.

Takiego człowieka nie można było nawet zdradzić: jego obezwładniający spokój rozbierał mnie w jednej chwili. Ale nawet całe morze spokoju nie wystarczy, żeby spłacić długi.

- Jak sobie dasz radę z finansami? Zdaniem ludzi z Komisji masz poważny kłopot z forszą. Jak możesz utrzymywać gazetę, jeśli zewsząd cisną cię wierzyciele?

- Faktycznie, mam kłopot z pieniędzmi. Przyznaję się do tego bez bicia, przynajmniej przed tobą. Moja firma ma ponad miliard dolarów długu, a nikt nie chce mi już pożyczyć złamanego centa. Firma padnie lada dzień; zależy to tylko od tego, kiedy ludzie postanowią jęrozszarpać. Ale co z tego? Imperium padło, a ja wcale nie zamierzam z tego powodu płakać. Ludzie, którym jestem winien pieniądze, i tak mają ich aż za dużo, w dodatku większość z nich to idioci. Nie będę za nimi tęsknił. Chodzi mi tylko o to, żeby nikt nie zrobił krzywdy gazecie.

- Jak chcesz uratować „Suna”, skoro wszystkie pieniądze poszły w diabły?

- Zająłem się tym już wcześniej, załatwiłem pewne sprawy. Jak myślisz, czym zajmuje się Ted Amara? Nie pytaj o szczegóły, bo to i tak zbyt skomplikowane.

Krzyknął na gosposię, żeby zrobiła mu jeszcze herbaty, a potem powłócząc nogami podreptał do łazienki. Chodził małymi kroczkami, jak starzec, a nie rzeński facet w średnim wieku, który ma siedmiomilowe buty na nogach - a tak zapamiętałem go z pierwszego naszego spotkania. Za to pod wieloma względami wcale się nie zmienił. Przypominałem sobie ludzi, którzy kręcili się

po jego ogrodzie na dawnych przyjęciach, popijali jego trunki i pławili się w jego blasku. Byłem przekonany, że nikt z nich nie przyszedłby mu z pomocą teraz, gdy z panteonu chwały ściągnięto go na ziemię.

Galvin chciał trochę posiedzieć w salonie słonecznym, czyli na oszklonej werandzie, wychodzącej na ogród i skaliste zbocze nad rzeką. Podkreślił ogrzewanie i w domu panowało przytulne ciepło, mimo srożącej się na zewnątrz zimy. Okryte lodową skorupą drzewa błyszcząły w promieniach nisko zawieszono słońca. Nagie konary i wiotkie gałązki, oblane migotliwą warstewką, upodabniały je do pierwotnego lasu, który zastygł w czasie na skutek jakiejś potężnej katastrofy - wybuchu wulkanu czy upadku meteorytu. Widziałem miejsce, w którym podczas przyjęcia stał namiot, a moja wyobraźnia uzupełniła ten widok obrazem Candace tańczącej z Gal-vinem.

W sposób nieunikniony nasza rozmowa zesłała na Candace. Była dla nas niczym totem, wokół którego tańczyliśmy przez wszystkie te miesiące, choć wątpię, by Galvin zdawał sobie sprawę, jak głębokim i złożonym uczuciem ją darzę. Ja ze swojej strony wciąż nie mogłem się nadziwić temu, co ich łączy; widziałem skutki, ale nie dostrzegałem przyczyny, a im bardziej starałem się przeniknąć ich sekret, tym bardziej mnie zdumiewał.

Co najdziwniejsze, to Galvin poruszył ten temat. Myślałem, że już nigdy nie przekonam go, żeby powiedział mi o niej coś bliższego; potrafił być ogromnie skryty, gdy szło o rzeczy, które miały dla niego największe znaczenie. Teraz jednak chciał porozmawiać, a kto wie, czy nie byłem jedyną osobą, która znała ich oboje na tyle dobrze, żeby nadawać się na słuchacza.

- Musisz przede wszystkim zrozumieć, że Candace się boi - powiedział po dłuższej chwili milczenia. Wcześniej rozmawialiśmy o gazecie i o tym, jak radzi sobie nowa redaktor naczelna w pierwszych tygodniach panowania.

- Czego? - spytałem, bowiem słowo „przestraszona” nie kojarzyło mi się z

osobą Candace.

- Zaangażowania, niepowodzenia... Wszystkich tych rzeczy, których normalni ludzie też się boją, plus tych paru, które zawdzięcza śmierci ojca. Zmieniła się po tym, jak go zabrakło.

Aż się prosiło, żeby zapytać, co ma na myśli, więc go nie zawiodłem: co się działo z Candace krótko przed śmiercią i po śmierci ojca? Dlaczego odeszła od Galvina, jeśli naprawdę tak go kochała? Gdybym to jedno zrozumiał, reszta może stałaby się nagle prostsza.

- Chcesz usłyszeć tę historię? - Zadumał się. - Chcesz się dowiedzieć, jak się skończyła?

Chciałem, a jakże, i chyba było to po mnie widać, a Galvin lubił przecież dawać ludziom to, czego chcieli.

Byli pijani swoją miłością, ale wiedzieli oboje, że czas już wytrzeźwieć i się ustatkować. On miał dwadzieścia jeden lat, ona dziewiętnaście. Wrócili z beztroskiej podróży po kraju - jeździli pociągami towarowymi, sypiali na plażach, ale dni w stylu Kerouaca dobiegły końca. Nadeszła jesień siedemdziesiątego pierwszego roku; cyrk wyjeżdżał z miasta, a ludzie zbierali po nim śmieci.

Przed powrotem na uczelnię Candace odwiedziła rodziców w Waszyngtonie i zjawiała się w Harvardzie strapiona: stan jej ojca pogarszał się systematycznie. Nie skarżyła się, ale każdy widział, że się czymś zamartwia. Udręczona własnym i męża cierpieniem matka nie dawała Candace spokoju. Nie pochwałała jej znajomości z Galwinem i chciała powstrzymać ją przed podróżą przez całe Stany. Pogodziła się z tym pomysłem dopiero gdy pan Ridgway powiedział jej, żeby nie przesadzała, bo odrobina buntowniczej natury nikomu jeszcze nie zaszkodziła. W głębi serca do końca winiła ją za nasilenie się



choroby męża. Przed odjazdem córki na uczelnię zrobiła jej paskudną scenę - nawrzeszczała na nią, a Candace spłakała się strasznie.

Kiedy wróciła na Harvard, wciąż nie mogła się otrząsnąć. Galvin chciał jej ulżyć w dźwiganiu tego brzemienia, ale nie wiedział jak. Więcej czasu spędzała w akademiku, twierdząc, że musi się dużo uczyć na drugim roku, ale on wiedział, że nie o to chodzi. Odsuwała się od niego, wracała w objęcia rodziny i własnej, małomównej samotności. Pewnej pięknej październikowej niedzieli Galvin zabrał ją na piknik nad Walden Pond. Zanocowali u niego w pokoju, kochali się, ale bladym świtem Candace zniknęła, a on był tak zaspany, że nawet nie zdążył się z nią pożegnać.

Okazało się, że tego właśnie dnia jej ojciec popełnił samobójstwo. Galvin dowiedział się o tym wychodząc z seminarium w sali Williama Jamesa, od przyjaciela, który słuchał wiadomości radiowych. Zanim zadzwonił do Candace, zdążyła już wsiąść w samolot do Waszyngtonu.

Galvin podążył za nią. Był na pogrzebie, ale czuł się tam jak obcy - ci ludzie nie należeli do jego plemienia. Wszystkie drzemiące w nim wątpliwości, związane z elitarnym pochodzeniem Candace, odżyły ze zdwojoną siłą. Candace maskowała smutek angażując się w przygotowania do pogrzebu, który stał się wielkim, publicznym wydarzeniem i ściągnął nie tylko krewnych, ale także tłumy bliższych i dalszych znajomych. Matka nie dawała sobie z tym wszystkim rady i planowanie uroczystości spadło na barki Candace. Galvin rozumiał, że wyświadczy jej największą przysługę nie wchodząc w drogę.

Nabożeństwo żałobne odprawiono w katedrze waszyngtońskiej. Przybyły na nie setki ludzi. Stołeczny establishment zdawał sobie sprawę, że Dwight Ridgway padł ofiarą wojny. Widzieli, jak się po trochu rozsypuje, aż stał się dla nich symbolem rozpadu świata. Candace nie zapłakała ani razu, starając się być nieodrodną córką ojca; dzięki niej inni też łatwiej znieśli myśl o jego odejściu.

Odczytała cytat z Pieśni Salomona, na której otwarta była Biblia ojca w dniu jego śmierci. Kiedy się jej słuchało, człowiek zaczynał wierzyć, że miłość jest silniejsza od śmierci, wielkie wody nie zdołają jej ugasić i nie zatopiają rzeki.

Tak właśnie myślała. Ojciec nie pozostawił nic, co byłoby bliższe listowi pożegnalnemu. Na koniec mszy organy zagrzmiały potężnie, aż ogromne kolumny zadrżały. Później odbyła się stypa, na której ludzie ustawiali się w długą kolejkę, by wycałować Candace i powiedzieć jej, że ojciec byłby z niej dumny.

Kiedy oficjalna część pogrzebu dobiegła końca, Candace dała się ponieść fali żalu: nie spała, nic nie jadła, prawie się nie odzywała. Marniała Galwinowi w oczach, a on zupełnie nie wiedział, co robić. W życiu nie widział, żeby ktoś się tak smucił. Wrócił do Cambridge, a po kilku dniach i ona zjawiała się w nauczalni. Czekał, aż wydobrzeje; dzwonił po kilka razy dziennie, przynosił jej jedzenie i kwiaty. Czasem zabierał ją na długi spacer, ale potrafiła przez dwadzieścia minut czy pół godziny nie powiedzieć ani słowa. Dwukrotnie wracała w tym miesiącu do domu, żeby zająć się matką, która jeszcze bardziej odchorowała pogrzeb. W listopadzie Galwin zaczął się poważnie martwić o zdrowie Candace. Rodzina upominała się o nią, jakby chciała ją żywcem pochłonąć.

A Galwin czuł, że ją kocha i wierzył, że z czasem uleczy jej ból. Czuł się za nią odpowiedzialny. Była taka samotna; musiał zastąpić jej rodzinę. W pewien pogodny, mroźny sobotni wieczór, w połowie listopada, zaprosił ją na kolację. Jego przyjaciel z ostatniego roku wyjechał właśnie na weekend i Galwin pożyczył od niego klucze do mieszkania nad rzeką Charles, w wieżowcu. Przez duże okno widokowe widział się ciemną wstęgę wody, wijącą się jak wąż aż do jeziora Fresh Pond. Przyjechali na miejsce późnym popołudniem. Słońce chyliło się ku zachodowi, rozświetlając nisko zawieszony chmury różem, a bliżej horyzontu intensywną czerwień. Gdy zaszło, mrok zapadł nagle, jakby

bez ostrzeżenia.

Galwin zapalił świecę i otworzył szampana. Łóżko było na razie złożone. Posadził Candace na kanapie, przy oknie z widokiem na miasto i ujął jej dłoń w swoją. Chciał, żeby wszystko wyglądało idealnie, żeby na zawsze zapamiętali tę chwilę.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał.

Już raz wypowiedział te słowa, traktując je jak wyznanie miłości, teraz jednak mówił poważnie: miał na myśli ślub. Nadeszła właściwa chwila. Candace robiła się coraz słabsza, a on był gotów dać jej szczęście, jeśli tylko mu pozwoli. Wyjął z puzderka pierścionek zaręczynowy.

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem, jakby nie słyszała, co powiedział, i nagle się rozplakała. Przez chwilę miał nadzieję, że to łzy szczęścia, lecz kiedy powtórzył pytanie, uzyskał głośną, wyraźną odpowiedź:

- Nie.

Nie chciała wyjść za niego za mąż.

Kiedy zaczął dopytywać o powody tej decyzji, rozzłościła się. Mówiła, że brak jej tchu, że ją przytłacza, że ona sama ma zbyt wiele obowiązków i niecierpiących zwłoki planów. Kocha go, ale musi zadbać przede wszystkim o siebie i swoją rodzinę. Galwin odparł ostro, że to jest cały problem - że to właśnie zabiło jej ojca. Błagał, żeby porzuciła przeszłość, uratowała się i rozpoczęła nowe życie, ale nie chciała o tym słyszeć.

- Przestań mnie dręczyć! - krzyknęła, porwała płaszcz i pobiegła do windy. Galwin został sam ze świecą, butelką szampana i pierścionkiem. Jej słowa długo dźwięczały mu w uszach.

To był najgorszy moment w jego życiu. Nawet teraz, trzydzieści lat później,

czuł równie silny ból, jak wtedy, gdy go odepchnęła. Powiedziała mu to wprost: dręczył ją. Po prostu nie nadawał się na jej męża - przystojny i uroczy, owszem, ale nie dość dobry, żeby za niego wyjść.

Postanowił więc odejść. Czuł się odrzucony, nie tylko przez samą Candace, ale przez cały świat, który reprezentowała. W Harvardzie Ridgway-owie byli bogami. Jej ojciec tam studiował, jej kuzyni... Jak w rodzinnym biznesie. Coraz trudniej przychodziło mu usiedzieć na miejscu, w Cambridge. Próbował więcej się uczyć, dużo ćwiczył na siłowni, spotykał się z innymi dziewczynami - ale wciąż czuł się tak, jakby miał usta pełne piachu. Gra się skończyła; był tylko młodym chłopakiem z Pittsburga, z ojcem nawiedzonym socjalistą, i bez grosza przy duszy. Ale instynkt samozachowawczy pozostał nienaruszony. Czuł wszechogarniające pragnienie opuszczenia starych kątów i rozpoczęcia nowego życia.

Wyjechał więc w początkach grudnia, na ostatnim roku studiów. Dziekanowi zapowiedział, że za rok, na jesieni wróci i zapracuje na dyplom, ale na razie musi trochę odpocząć. Jego prośba została przyjęta ze zrozumieniem; dziekani w Harvardzie chętnie się zgadzali ze studentami.

Galvin chciał wyjechać do Azji i po paru telefonach znalazł pracę w Bangkoku. Ani razu nie obejrzał się za siebie, nie żałował tego, co zostawił. Przez kilka lat docierały do niego listy z uczelni z pytaniem, kiedy zamierza wrócić, ale w końcu dziekan też zrezygnował. Aż któregoś dnia Galvin zaczął wysyłać na uniwersytet własne listy, a wraz z nimi pokaźne sumy pieniędzy. Tak wyglądała jego odpowiedź - przynajmniej częściowo.

- Naprawdę pracowałeś w Bangkoku dla CIA? - spytałem, gdy skończył swoją opowieść. Ten szczegół nie dawał mi spokoju. Czułem się tak, jakbym próbował owocu zakazanego: był to dla mnie symbol całkowitego zerwania więzi z Harvardem.

- Tak, trochę. A czemu nie? Nie nudziłem się i dużo się dzięki temu nauczyłem, a było lepiej, niż na przykład w Legii Cudzoziemskiej. Później, już w Hongkongu, też czasem oddawałem im jakieś przysługi. Lata całe to trwało i szczerze mówiąc, gdyby jeden z ich ludzi wszedł w tej chwili tu, do tego pokoju, najpierw zgodziłbym się mu pomóc, a dopiero potem pytał, o co chodzi.

- I po tym, jak poleciałeś do Azji, nie spotkałeś już Candace, tak? Aż do przybycia do Waszyngtonu?

Galvin posłał mi zaciekawione spojrzenie.

- Nie, dlaczego? Często się widywaliśmy. Kto ci to powiedział?

- Ona.

Pokręcił głową i się roześmiał.

- Cała moja mała dziewczynka! Byliśmy w kontakcie. Kiedy siedziała za granicą, stanowiłem dla niej stałe źródło informacji. Jeśli chcesz wiedzieć, pomogłem jej nawet zdobyć tego Pulitzera. Dostała go za cykl artykułów o korupcji za granicą, prawda? A jak ci się wydaje, skąd brała do nich informacje? Z dobrze poinformowanego źródła. O tak, byliśmy cały czas w kontakcie. I właśnie dlatego przeprowadziłem się do Waszyngtonu; dała mi do zrozumienia, że być może nadszedł właściwy czas, żeby po tylu latach jeszcze raz spróbować.

Galvin umilkł. Wiatr gwizdał wśród widmowych drzew, wydobywając z nich melodyjny brzęk, jakby podzwaniały dzwoneczki, kiedy oblodzone gałęzie ocierały się o siebie. Byłem zły na Candace: okłamała mnie! Wiedziałem, że lubi panować nad sytuacją, a urodę i inteligencję wykorzystuje do układania świata na swoją modłę, ale dotychczas nie podejrzewałem jej o kłamstwo. Ta świadomość podziałała jak trucizna - pociekła prosto do serca.

- Candace prowadzi śledztwo w twojej sprawie - wypaliłem.

Zaskoczony Galvin podniósł na mnie wzrok. Nie rozumiał, co mówię.

- Przepraszam, ale chyba cię nie zrozumiałem...

- Prowadzi śledztwo w twojej sprawie - powtórzyłem. - Zebrała ekipę reporterską z „Suna”, która ma pogrzebać w twoich księgach rachunkowych, poszukać łapówek i przekrętów. Candace chce opublikować wyniki w gazecie.

- To niemożliwe! - Galvin machnął lekceważąco ręką. - Musiałeś ją źle zrozumieć, w życiu by się tak nie zachowała. Nie w mojej gazecie.

Powiedziałaby mi o tym.

- Mówię prawdę - mruknąłem.

- Nie zmusisz mnie, żebym w to uwierzył. Candace może borykać się z własnymi problemami, ale nie zaatakowałaby mnie na łamach mojej gazety. Wyzłóśliwiasz się na niej, bo nie chce z tobą iść do łóżka.

Mrugnął porozumiewawczo, dał mi kuksańca w ramię i na tym skończyła się poważna rozmowa. Gawędziliśmy jeszcze chwilę, ale obaj byliśmy już zmęczeni.

Później nie zdarzyło nam się już rozmawiać tak szczerze, w cztery oczy, ale nie zapomnę jego widoku: siedział okutany kocem na oszklonej werandzie i z uśmiechem na ustach patrzył na drzewa i brzeg rzeki - ruiny imperium, które zbudował. I był szczęśliwy. Nie wiem, co takiego dawał z siebie innym, ale znalazł w końcu sposób, żeby i sobie udzielić tego daru.

Candace zwołała spotkanie ekipy śledczej u siebie w domu, w Georgetown, chcąc poznać ostateczny raport z jej prac; doszła do wniosku, że tak delikatnej sprawy lepiej nie omawiać w redakcji. Na razie udawało jej się zachować całą rzecz w tajemnicy, ale gdyby ludzie zobaczyli naszą czwórkę - dość niezwykle dobraną - razem, ktoś mógłby się domyślić i chlapanąć, gdzie nie trzeba, że „Sun” szpieguje własnego wydawcę. Zaczęłyby się zabiegi i naciski, mające

powstrzymać Candace przed publikacją raportu, tymczasem ona chciała mieć wolną rękę. Twierdziła, że nie podjęła jeszcze decyzji, co z tym fantem zrobić. Do końca też miała nadzieję, że ostatecznie wysuwane wobec Galvina zarzuty okażą się bezpodstawne i wszystko rozejdzie się po kościach. Chyba sama w to nie wierzyła, ale przekonanie o niewinności Galvina wchodziło w skład jej podstawowego wyposażenia na życie: musiała umieć udawać, że wciąż ma jakiś wybór, gdy w rzeczywistości lada chwila należało podjąć prostą, krótką decyzję: tak czy nie. W ten sposób zachowywała pozory.

Do świąt został zaledwie tydzień i jadąc do Candace, mijałem tłumy ludzi spieszących na zakupy i wracających z zakupami do domu. Boże Narodzenie zawsze sprawiało mi szczególną frajdę. To cudowne, że mili chrześcijanie odgrywają w tym okresie taką uroczą szopkę - bez powodu uśmiechają się do mnie na ulicy, ściskają serdecznie rękę na powitanie, życzą mi „Wesołych Świąt” i okazują dość dobrych manier, by nie dodać „ty Żydku”. Te święta nie mają sobie równych, jeśli chodzi o ogólną radość i pogodę ducha. W dodatku sprytnie zaplanowano je w chwili, gdy dni są najkrótsze, najciemniejsze, a na świecie powinna dominować ponura beznadzieja. Jerry Springer zrobił kiedyś program pod tytułem Piekło Świąt Bożego Narodzenia. Przy rzekomym stole wigilijnym zasiedli goście, którzy niebawem zaczęli na siebie wrzeszczeć i obrzucać się sztuczkami i talerzami. Mieliśmy wreszcie na ekranie coś autentycznego, objawił się nam prawdziwy amerykański duch, na co dzień ukryty pod przyjaznym uśmiechem.

Candace postawiła choinkę w salonie. Obwiesiła ją prześlicznymi ozdóbkami ręcznej roboty, które kolekcjonowała w dzieciństwie - były tam szklane bombki, drewniane skrzaty i renifery, cherubinki z gazy i folii aluminiowej, na wierzchołku zaś zatknęła odzianego w purpurę anioła ze złotymi skrzydłami. Z delikatną twarzą z wosku i jasnymi włosami stanowił niemal lustrzane odbicie Candace.

My trzej, niezbyt bystrzy faceci, niezgrabnie wyminęliśmy choinkę, drepcząc do jadalni, w której Candace przygotowała kawę, soki i stertę notesów, zupełnie jakbyśmy spotkali się w interesach w pokoju hotelowym. Posadziła nas przy stole i podziękowała za przybycie. Dziwnie się czułem, widząc, jak sztywno i sztucznie zachowuje się we własnym domu. Miała na sobie prążkowany kostium - niejeden z tych kolorowych, wesołych, z krótką spódniczką, do jakich przywykłem, lecz prosty i oficjalny.

Chciała usłyszeć, czego dowiedzieli się nasi reporterzy, a potem zdecydować, co robimy z zebrany materiał. W każdym razie wszystko miało pozostać w absolutnej tajemnicy, dopóki ona nie porozmawia z Galvinem; jeżeli ktoś się wygada, powiedziała, może go okrutnie skrzywdzić. Mówiła z przekonaniem i szczerze, bez cienia ironii w głosie.

Marka Tauba i Henry'ego Lodena poznałem już w zadymionym barze. Taub pisywał dla nas z Wall Street. Wcześniej pracował dla „Bond Buyera” i znał się na funkcjonowaniu rynków finansowych. Loden był naszym dyżurnym oficerem śledczym - małomówny, z twarzą poznaczoną dziobami po trądziku i pustymi, okrutnymi oczami. Miał przeprowadzić dochodzenie w sprawie zakupu „Suna” przez Galvina.

Candace zwróciła się do naszego specja gieldowego z prośbą o podsumowanie wyników śledztwa. Taub chciał zrobić na niej wrażenie, przyniósł więc masę wykresów i spisów, mających ułatwić wyjaśnienie zawilej struktury imperium handlowego Galvina. Mówiąc, kreślił obraz, który w zarysach już znałem.

Carl Galvin Corporation, w świecie szerzej znana jako CGC, wywalczyła sobie pozycję jednego z głównych kupców na rynku towarów konsumpcyjnych. Pierwsze większe pieniądze przyniósł jej korzystny zakup ropy naftowej, a od tego czasu Galvin wielokrotnie wykazał się niezwykłą intuicją, wyczuwając



nadchodzące zmiany koniunktury: kupował i sprzedawał cynę, miedź, mangan, nikiel, boksyty. W latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych światowa gospodarka rozwijała się pomyślnie i każdy z tych surowców zwykłował nagle na giełdzie, gdy popyt znacznie przewyższył ograniczoną przecież podaż. Zdaniem Tauba w kilku przypadkach Galvin sam współtworzył te zawirowania rynku - wykupował na przykład lokalne zapasy niklu, wywoływał miejscowy brak tego metalu na rynku i ceny rosły błyskawicznie. Ale w tym biznesie tak samo postępują wszyscy, którzy mają dość oleju w głowie i pieniędzy na podobne operacje.

Candace kiwała głową, słuchając jego relacji; wyglądało na to, że większość faktów już zna lub przynajmniej się ich domyśla. Taub powtórzył opowieści o wyczynach Galvina w Afryce i na Bliskim Wschodzie; twierdził, że Galvin chyba naruszył embargo nałożone na RPA, Iran i Irak, prawdopodobnie zrobił to jednak za namową kumpli z CIA i nic mu z tego powodu nie grozi.

- Jego biznes polega na zarządzaniu ryzykiem - zauważył Taub.

Przez lata Galvin nauczył się równoważyć ryzyko podejmowane na różnych rynkach i w różnych częściach świata. Jeżeli grając na zwykłą cenę ropy nagromadził dużo dolarowych kontraktów na dostawy do Japonii, obniżał cenę dolara w stosunku do jena na rynku walutowym, żeby w razie nagłego zachwiania na rynku mieć zabezpieczenie. Poza tym podejmował też ryzyko długofalowe. Szybko dostrzegł na przykład, że światłowody niebawem wyprą kable miedziane i zarobił grube miliony, spekulując na zniżkę cen miedzi. W miarę rozwoju firmy w nieunikniony sposób stawał się współtwórcą rynku, co oznaczało, że czasem musiał znaleźć się po obu stronach kontraktu. I wszystko było w porządku, dopóki gospodarka kwitła.

Jedyne, co mogłoby mu naprawdę zaszkodzić, to nagły i jednoczesny spadek cen wszystkich głównych towarów, jakimi handluje się na świecie: ropy, metali,

chemikaliów, papieru, co w epoce gwałtownego rozwoju techniki wydawało się niemożliwe. A jednak w latach dziewięćdziesiątych doszło do nieprawdopodobnego załamania rynku i przez całą dekadę ceny leciały na łeb, na szyję. Pod jej koniec, gdy w dodatku nastąpił kryzys na rynkach azjatyckich, te same podstawowe surowce osiągnęły katastrofalnie niską wartość; uwzględniając inflację, niektóre z nich kosztowały tyle samo, co przed półwieczem. Tego Galvin nie mógł przewidzieć i poniósł klęskę.

- Ale wciąż jest człowiekiem niezmiernie bogatym, prawda? - spytała Candace. W głowie jej się nie mieściło, że Galvin popełnił kardynalne błędy w ocenie sytuacji na rynku. Spodziewała się oskarżenia o łapówki i defraudacje, a nie o błąd w sztuce.

- Jest bankrutem - rzekł krótko Taub tym swoim bezbarwnym, wypranym z emocji głosem mieszkańca południowego zachodu Stanów. -

Z tego, co wiem, od połowy lat dziewięćdziesiątych nie ma grosza przy duszy. Kiedy ropa i inne surowce straciły drastycznie na wartości, poszedł na dno wraz z nimi i już się nie pozbierał.

- Daliście się nabrać! - wykrzyknęła Candace. - Musi gdzieś trzymać pieniądze, tylko ukrywa je przed wierzycielami. Pewnie w dalszym ciągu jest miliarderem. Bawi się z nami w kotka i myszkę.

Taub pokręcił głową.

- Możliwe, że jego długi sięgają łącznie miliarda dolarów, ale on sam nie ma ani centa. - Taub i Loden dotarli do dziesiątków ludzi, którzy wcześniej szukali ukrytych skarbów Galvina i nic nie znaleźli. - Zachowuje pozory i wyskrobuje resztki z kasy, ale znalazł się w tarapatkach na długo przed przyjazdem do Waszyngtonu.

Candace uniosła w zdumieniu brwi; wciąż mu nie dowierzała.

- To niemożliwe. Ma dwa domy, urządzał wystawne przyjęcia, fundował stypendia, udziela się dobroczynnie... Miał na to pieniądze, prawda?

- Pożyczone - wyjaśnił Taub. - Cały jego pobyt w Waszyngtonie to właściwie popis aktorski, występ na deskach teatru. Łatwo jest udawać bogacza, jeśli ludzie wierzą, że jesteś bogaty, bo dopóki wierzą, dopóty będą ci pożyczać pieniądze. Khashoggiemu udawało się tak żyć przez lata, zanim ktoś się zorientował, że jest bez grosza. Kiedy wierzyciele Galvina zwęszyli kłopoty, przykręcili śrubę, ale nic już nie dało się z niego wycisnąć.

Dla Candace nadeszła niezwykła chwila prawdy: oto wybrała się na przeszpiegi wśród biznesowych dokonań Galvina, spodziewając się ujawnienia niezwykłych machinacji finansowych, a tu czekała ją znacznie większa niespodzianka - cały majątek Galvina okazał się złudzeniem.

- Jak udało mu się kupić „Suna”? - zapytała. Śledziła przecież proces przechodzenia gazety z rąk do rąk uważnie i wydawało jej się, że go rozumie. - Skąd wziął pieniądze?

- Miał współnika - odezwał się lakoniczny jak zwykle Loden. - Mel-vina Wolfe'a. Ustawili transakcję w taki sposób, że bez względu na jej wynik akcje Wolfe'a musiały pójść w górę.

- To już wiem - ucięła krótko Candace. Kant Galvina był oczywisty, ale jego ubóstwo już mniej. - Czyje pieniądze wydali?

- Wolfe podżyrował kredyt. Galvin nie miał ani centa własnych oszczędności, żeby wyłożyć na gazetę.

- Kto w takim razie ma pakiet kontrolny udziałów w „Sunie”? - Galvin czyjego wierzyciele?

- Trudno powiedzieć - odparł Loden.

Okazało się, że Galvin od kilku tygodni prowadził intensywne konsultacje z udziałem Teda Amary i innych swoich prawników. Robili to dyskretnie, korzystając z prywatnych kont i pod osłoną adwokackiej tajemnicy zawodowej. Po waszyngtońskich kancelariach krążyły jednak pogłoski, że Galvin usiłuje zmienić strukturę własności w gazecie - miał utworzyć nowe fundusze powiernicze i za ich pośrednictwem kontrolować głosy na zebraniach udziałowców.

Candace pokiwała głową. Najwidoczniej wiadomość, że Amara z Galvinem zabezpieczają się na przyszłość, specjalnie jej nie zaskoczyła. Poza tym nie wiązała się z jej śledztwem.

Nasi redakcyjni twardziele jeszcze przez jakąś godzinę składali szczegółowy raport. Na ile zdążyłem się zorientować, żaden z nich nie miał okazji poznać Galvina osobiście, toteż nie dziwił mnie beznamiętny ton ich opowieści - zachowywali się jak biografowie, którzy relacjonują wszystkie fakty z życia wybranego człowieka, ale jakoś w tym wszystkim gubią istotę jego osoby. Ale przynajmniej dzięki nim poznaliśmy te fakty, nawet jeśli brzmiały sucho i bezosobowo. Nasz wspomniały wydawca był kompletnym bankrutem, gazetę kupił w sposób nieuczciwy, a my wszyscy żyliśmy w dziennikarskim domku z kart, który właśnie się rozsypywał.

Candace wyglądała na wykończoną. Kiedy ogłosiła zakończenie spotkania, reporterzy właśnie łapali drugi oddech i wydawało się, że będą tak mówić i mówić do wieczora. Uznała jednak, że wystarczy jej faktów i że czas podjąć decyzję, co z nimi zrobić. Podziękowała Taubowi i Lodeno-wi, mówiąc, że wykonali najtrudniejszą dziennikarską robotę - przeprowadzili śledztwo we własnej gazecie. Zasłużyli na pochwałę. Poprosiła tylko, żeby wychodząc zostawili na stoliku swoje notatki, żeby mogła jeszcze się nad nimi zastanowić.

Zacząłem zbierać się do wyjścia razem z nimi, ale Candace poprosiła,

żebym został. Chciała z kimś porozmawiać, a tak naprawdę potrzebowała się napić. Nalałem jej kieliszek wina i przyrządziłem parę tostów z tuńczykiem zamiast lunchu, ona zaś siedziała przy oknie, spoglądając na smętny, zimowo pusty ogród. Na chwilę mnie przeprosiła i poszła na górę się przebrać, kiedy przypiekałem tosty. Zdjęła okropny prążkowany kostium i wróciła w spodniach od dresu i starym kaszmirowym swetrze.

- Co o tym wszystkim sądzisz? - zapytała.

Sam się zastanawiałem, jak poskładać znane mi fakty w całość. Umiałem dopasować drobniejsze elementy układanki - kłopoty finansowe, przekręt z gazetą, upadek imperium handlowego. Cały czas jednak starałem się dojrzeć obraz większy, bardziej kompletny, który wreszcie z wolna mi się objawiał. Układanka wcale nie była aż tak skomplikowana.

- Galvin zrobił to dla ciebie - odparłem. - Wszystko. Całą tę zwariowaną sztukę zainscenizował specjalnie dla ciebie, bo cię kocha.

Candace posłała mi lodowate spojrzenie; chyba nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Może i masz rację - przyznała - ale w tej chwili to nie ma znaczenia.

- Owszem, ma - zaproponowałem. - Od początku chodziło o ciebie, więc nie możesz udawać, że ta sprawa cię nie dotyczy. Galvin cię potrzebuje. Ma kłopoty, powinnaś go odwiedzić. Źle mu z tym, że go unikasz.

- Nie teraz. - Ten sam chłód, który wyczytałem w spojrzeniu, zabrzmiał teraz w jej głosie. - Jestem jego redaktor naczelną i nie mogę mu być przyjaciółką, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Muszę chronić gazetę. Po wszystkim znów będziemy mogli być razem.

- To typowo waszyngtońska odpowiedź. Nieludzka.

Candace pokręciła głową i przygryzła wargę, a potem znów skierowała nieobecny wzrok na ogród.

- Przez ciebie jest mi jeszcze trudniej.

Patrzyłem na nią, jak opiera się o szybę, spowita w miękki sweter, ale twarda jak skała. Zaczynałem rozumieć, jak przed laty musiał czuć się Galvin, wyciągając do niej rękę i nie mogąc się przebić przez mur.

- Taka już jesteś, prawda? - rozmyślałem na głos. - Taka piękna, że ludzie zapominają, jaka potrafisz być twarda. Kiedy naprawdę cię potrzebują, napotyka ją zimną ścianę. Tak samo zachowałeś się wobec Sandy'ego.

- To okrutne, co mówisz, Davidzie. Zwłaszcza teraz. - Wstała i podeszła do mnie. Rozzłościłem ją; to dobrze. - Jeżeli nie chcesz mi pomóc, lepiej odejść. To, co robisz, jest zbyt bolesne.

Nie słuchałem jej. Nie interesowało mnie, czego chce.

- Czemu nie wyszłaś za niego na studiach? Cały czas usiłuję to pojąć. Pytałem Galvina, ale on chyba też tego nie wie. I po to właśnie wrócił: żeby zrozumieć.

- Wyjdz, proszę. Natychmiast. Złóścisz mnie.

Stałem nieporuszony i beużyteczny jak stara laska, ale zdecydowany powstrzymać ją przed ucieczką. Chciałem usłyszeć, jak przyznaje się do własnego uporu i niewierności, jak choć raz mówi o tym głośno.

- Odpowiedz na moje pytanie - powiedziałem. - Wtedy pójdę, a ty zrobisz z Galvinem, co zechcesz.

Uderzyła mnie w twarz; nic innego jej nie pozostało. Na policzku odbił mi się czerwony ślad jej palców. Skóra zaszczypała.

- Odpieprz się ode mnie!
- Odpowiedz - powtórzyłem.

Była już bezbronna i wiedziałem, że teraz wszystko mi powie. Musiała się przed kimś wytłumaczyć.

Noc oświadczyń Galvina przetrwała w jej pamięci jak negatyw fotograficzny. Najjaśniejszym kolorem odznaczała się noc, w której skryła się po ucieczce z mieszkania. Candace była porażoną smutkiem dziewiętnastolatką, która wciąż usiłowała pożegnać się z ojcem, a na razie łykała bez przerwy środki uspokajające, żeby nie płakać całymi dniami. Jej chłopak zabrał ją do kawalerskiego apartamentu w stylu Hugh Hefnera, z wielkim oknem i z lustrem na suficie, otworzył szampana i próbował wręczyć jej pierścionek z brylantem. Co on sobie wyobrażał? To właśnie najlepiej świadczyło o jego próżności - w takiej chwili uznać, że nadszedł właściwy moment na oświadczyń.

Nic w życiu nie kosztowało ją tyle wysiłku, co odrzucenie jego oświadczyń. Kiedy wybiegła z budynku i stanęła na chodniku Memorial Drive, zwymiotowała. W przychodni studenckiej dostała proszki nasenne, które pozwoliły jej się zupełnie wyłączyć - a o niczym innym nie marzyła. Ale w ten sposób tylko maskowała swoje cierpienie; nie mogła tak po prostu przed nim uciec, musiała się z nim pogodzić. Udała się do miejsca, które nazywała białym pokojem. Nie istniało w świecie fizycznym, ale wyłącznie w jakimś zakątku jej umysłu; było tam cicho, ciepło, ściany oddychały w tym samym rytmie co ona. Raz już tam trafiła - po śmierci ojca. Wiedziała, że w białym pokoju nic jej nie grozi.

Cierpienie uczyniło Candace silniejszą - przynajmniej tak widział to Galvin. Wydawało mu się, że jest słaba i potrzebuje pomocy, ale zmieniła się. Tego ranka, kiedy jej ojciec się powiesił, wywołano ją z zajęć i wezwano do biura

prodziekana do spraw studenckich. Nikt jej nie powiedział, o co chodzi, ale wiedziała, że ktoś musiał umrzeć; miała tylko nadzieję, że to matka. Kiedy prodziekan wręczył jej telefon, ze słuchawki dobiegł głos pani Ridgway. Szlochała cicho, ale Candace usłyszała wypowiedane przez łyzy słowa:

- Ojciec nie żyje.

Matka nie powiedziała, jak zmarł i Candace z początku miała jej to za złe, ale musiała przyznać, że ją rozumie: od znalezienia zwłok ojca minęła zaledwie godzina, po domu wciąż kręcili się policjanci i zadawali jej pytania. Oczywiście, że wołała nie mówić prawdy. Candace dowiedziała się o samobójstwie z radia, w taksówce, którą jechała na lotnisko. Kierowca zatrzymał wóz i ją przytulił; powiedział, że też ma córkę.

W samolocie zajęła miejsce w tyle kabiny i owinęła się kocem, a po jakimś czasie znalazła drogę do białego pokoju. Wchodząc do niego nie wiedziała, czy zdoła przeżyć w lodowatej pustce, jaka pojawiła się po tej stracie. Naciągnęła koc na głowę, żeby nikt nie widział jej twarzy, i wróciła myślami do ojca. Ojca, który miał już nigdy nie wrócić. Została sama na świecie. Gdzieś jednak w głębi duszy, w białej komnacie jej serca przetrwało życie. Zamknąwszy oczy, ujrzała promienie światła.

Postarzała się podczas tego lotu o dziesięć lat. Zupełnie inna dziewczyna weszła na pokład, niż wysiadła z samolotu w Waszyngtonie.

Sandy chciał zrozumieć, co przeżywa Candace, tak jak chciał zrozumieć i osiąść wszystko, co go otaczało. Nie rozumiał, że chwilowo znalazła się poza jego zasięgiem, ona zaś zawsze uwielbiała tę jego próżność i egocentryzm - to między innymi dzięki nim wyrastał ponad przeciętność. Kłopot w tym, że chwilowo chciała być sama. W ten sposób najszybciej mogła odzyskać równowagę - tylko że on tego nie widział. I kiedy usiłował wsunąć jej pierścionek na palec, poczuła fizyczną niechęć i niesmak. Jakie to było z jego



strony chybione, jakie natrętne. Zupełnie niewłaściwie odczytał sygnał, który wysłała, tak że zastanawiała się, czy naprawdę ją kocha, skoro postępuje tak samolubnie. Musiała przed nim uciec, schronić się w zaciszu białego pokoju.

A potem Sandy Galvin zniknął. Był tak wściekły, że nawet jej nie uprzedził, że opuszcza Harvard. Dowiedziała się o tym dopiero pewnego styczniowego dnia, gdy zadzwoniła do niego, żeby zapytać, czy wszystko w porządku. Nie bardzo wiedziała, co chce mu powiedzieć - miała nadzieję, że może po prostu pójść na spacer.

Nikt nie podniósł słuchawki. Candace była wstrząśnięta, że odszedł bez pożegnania, bez słowa. Najpierw czuła się obojętna i odrętwiała - tak jak w noc oświadczyń Galvina - a później wrócił ból. Wydawało jej się z początku, że minie, ale trwał i nie dawał jej spokoju przez całą zimę, a potem i wiosnę. Czekwała, aż Galwin wróci, albo przynajmniej zadzwoni, da jakiś znak życia, choćby z nie wiedzieć jak daleka. Na próżno.

Spotykała się z innym facetami i na studiach, i po ich ukończeniu, ale tęsknota nie dawała jej spokoju. Galvin był jak tatuaż, nie do usunięcia. Pierwsza miłość czasem bywa właśnie taka - czysta i potężna. Tworzy w sercu człowieka miejsce, które przedtem nie istniało, a potem zostawia po sobie wieczną pustkę. W tych ciężkich tygodniach, miesiącach i - jak się potem okazało - latach, zrozumiała prostą, smutną prawdę: nie wszystko w życiu układa się tak, jakbyśmy tego chcieli. Niektórym ludziom nie jest dane zaznać szczęścia w miłości; z jakiegoś powodu tracą swoją szansę, a drugiej nikt im nie chce dać. Nie mogą mieć tego, czego pragną najbardziej. Tej idei Galvin chyba nie mógł zrozumieć, dla Candace natomiast stała się ona częścią jej istoty.

. Ujęła głowę w dłonie. Wyjąłem z lodówki butelkę i nalałem wina nam obojgu. Na dworze robiło się ciemno. Niskie zimowe chmury do reszty przesłoniły słabiutkie, zachodzące słońce. Położyłem rękę na ramieniu Candace,

chcąc jej ulżyć. Nie straciła jej, ale i nie zareagowała. Dopiero po chwili podniosła wzrok: tak daleko już zaszedłem, więc czego jeszcze chcę?

- Widywaliście się z Galvinem później - powiedziałem. - Tak mi mówił. Podobno pomógł ci zdobyć nagrodę Pulitzera.

- To prawda. Nikt o tym nie wiedział, ale Galvin bardzo mi pomagał. Kiedy się wzbogacił, przysyłał mi prezenty i podsuwał informacje. Nadal o mnie myślał, a ja nie potrafiłam tak po prostu odmówić. Kiedy postanowił sprowadzić się do Waszyngtonu, zgodziłam się. Nie, nie tylko się zgodziłam: chciałam, żeby przyjechał. Myślałam, że może tym razem będzie inaczej. Przepraszam, że cię okłamałam, ale tyle miałam do ukrycia... Sam widzisz, jakie to skomplikowane.

Wiele lat przeżyli w zawieszeniu. Przypomniałem sobie cytaty z Grahama Greene'a, który na studiach czytała mi Candace, o zimnym sercu, co to cenniejsze jest od diamentu. Czy jej serce nareszcie się rozgrzało? Czy zdoła stopić okowy obowiązku i odpowiedzialności, które ją skuwały? Naprawdę nie wiedziałem.

- Kochasz go?

Raz już zadałem jej to pytanie, u niej w domu, po przyjęciu u Galvina. Wtedy wymigała się od odpowiedzi, ale teraz stało się inaczej:

- Oczywiście, że tak. Zawsze kochałam. Jeśli w ogóle mogę kogoś kochać, kocham Galvina.

To, co powiem, zabrzmie okropnie, ale nawet po tak osobistej rozmowie nie byłem wcale pewien, czy Candace mnie nie okłamuje.

Przed domem Galvina stała ciężarówka firmy przeprowadzkowej, olbrzymia, z długą przyczepą - zastanawiałem się wręcz, jak zdołała przejechać wąskim podjazdem. Opony przyczepy wyrwały kawał darni z trawnika, a

na grządce z kwiatami po lewej stronie od wejścia zaparkowała taksówka z wieńcem bożonarodzeniowym na atrapie chłodnicy. Ogromni faceci z rękami jak dorodne szynki wchodzili do środka i wychodzili, wynosząc wszystko, co Galvin przez lata zgromadził, i ładując zbiory do przepastnej ciężarówki. Firmę od przeprowadzek wynajęli wierzyciele Galvina, którzy teraz decydowali faktycznie o jego losach. Po tym, jak poprzedniego dnia negocjacje w sprawie zwrotu długu zakończyły się fiaskiem, czym prędzej pospieszyli zająć jego nieruchomości. Jeszcze nikt o tym oficjalnie nie mówił - Galwinowi wciąż przysługiwało parę dni łaski, zanim sąd wypełni wszelkie niezbędne formularze i wyda oficjalną decyzję - ale już teraz odbierano mu jego skarby, by sprzedać je na licytacji.

Przyjechaliśmy zobaczyć się z Galvinem. Candace postanowiła wydrukować artykuł z wynikami prywatnego śledztwa i chciała, żebym był przy ich rozmowie. Wydawało mi się to zupełnie niewłaściwe, bo z pewnością była mu winna jeszcze chwilę prywatności, ale uparła się i postawiła na swoim - powiedziała, że ważą się losy gazety i należało przeprowadzić całą sprawę jak należy, przy świadkach. Zgodziłem się, stawiając warunek, że pozostanę tylko biernym obserwatorem wydarzeń. Był to z mojej strony czysty egoizm, ponieważ prawdę mówiąc, chciałem to zobaczyć. Moja rola w dramacie od początku sprowadzała się do obecności w kluczowych scenach i do odnotowania ich przebiegu w kronice. Na tym polegała moja władza - czy też, jak można by powiedzieć, moja zemsta. Czytelnikowi pozostawiam pytanie w stylu Heisenberga: czy przez sam akt obserwacji miałem wpływ na zjawiska, które teraz opisują?

Dom był prawie zupełnie pusty; faceci od przeprowadzek zrobili swoje z bezlitosną skutecznością. Z pokoiów zniknęły meble, dywany pozwijano i wyniesiono do ciężarówki, obrazy ściągnięto ze ścian i popakowano w drewniane skrzynie. Galvin zaprosił nas do słonecznego salonu, jedyne chyba,

w którym zostały jeszcze jakieś sprzęty. Jak powiedział, sępy dosłownie w parę godzin ogołociły dom ze wszystkiego, co wartościowe. Siedział na wiklinowej kanapie z jaskrawożółtymi poduszkami. Candace siadła na krześle obok niego, a ja zająłem miejsce nieco dalej, ze wszystkich sił starając się zniknąć im z oczu.

Stan zdrowia Galvina jeszcze się pogorszył. Był blady jak ściana i miał podpuchnięte oczy, jakby brał narkotyki. Podczas rozmowy położył sobie pled na podołku. Twarz miał chyba ściągniętą bólem, choć nie mogłem tego stwierdzić z całą pewnością, bo świetnie umiał się maskować. Na stoliku przy kanapie leżały reprodukcje Matisse'a, zdjęte ze ścian małej jadalni, przedstawiające niepokojąco piękną modelkę o twarzy i sylwetce Candace. Trzymał je blisko siebie, pod ręką, niczym worek złotych monet. Były wszystkim, co mu zostało.

- Niezła sytuacja, nie ma co! - stwierdził najsilniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć. Zerwał się z kanapy. - Żeby wynieść człowiekowi meble z domu w środku nocy! Mówię wam, pożałują tego. Jak tylko stanę z powrotem na nogi, każę im zeżreć każdy kawałek drewna, który mi stąd zabrali.

Ostrożnie usiadł z powrotem.

Candace wymamrotała pod nosem przeprosiny, że nachodzimy go w tak niestosownym momencie. Nie mogła na niego patrzeć; czuła się zażenowana, jak to zwykle bywa, kiedy zdrowy człowiek odwiedza chorego i nie znajduje właściwych słów, tylko same niestosowne. Widziałem, że jest zaszokowana. Nie widziała go tylko parę tygodni i nic nie przygotowało jej na tak drastyczną zmianę w jego wyglądzie.

Wziął ją za rękę. Jego dłoń, blada i wychudła, wciąż była ze dwa razy większa od jej drobnej dłoni.

- Hej, kotku, rozchmurz się - powiedział. - Wszystko gra. Kupię sobie nowe

meble.

Candace zaśmiała się nerwowo. Nie powiedziała mu jeszcze, po co przyjechaliśmy, więc Galvin sądził na razie, że wpadliśmy z towarzyską wizytą.

- Czemu zawdzięczam tę przyjemność? - spytał. - Nie mogłem się doczekać, kiedy znów cię zobaczę, Candace, chociaż przyznaję, że mogłaś lepiej wybrać dzień odwiedzin.

- Trudno mi to powiedzieć - bąknęła Candace. - Nie spodoba ci się to.

- Nie podoba mi się nic z tego, co się ze mną ostatnio dzieje, poza tym, że jesteś tu ze mną.

Znów ujął jej rękę i posłał jej swój olśniewający uśmiech w wersji dla ciężko chorych.

- Chodzi o gazetę. - Candace spuściła wzrok: - Masz kłopoty finansowe i prawne, co stawia „Suna” w niezręcznej sytuacji. Musimy opublikować coś na twój temat, zanim zrobią to inni. W przeciwnym razie będzie to wyglądało, jakbyśmy coś ukrywali tylko dlatego, że jesteś właścicielem gazety. Dlatego właśnie przed paroma tygodniami poprosiłam dwóch naszych dziennikarzy, żeby zrobili dyskretne rozeznanie w twoich finansach. Uznałam, że w ten sposób będę chronić i ciebie, i „Suna”.

- Jasne - przyznał Galvin. - Oczywiście. - Spojrzał na nią badawczo. Kim naprawdę była? Z jakiej ulepiono ją gliny? Wreszcie się tego dowie. - Co odkryli?

- Przykre fakty. Dowiedzieli się, że masz około miliarda dolarów długów; że jesteś w tarapatkach od ponad dwóch lat; że od przybycia do Waszyngtonu żyjesz z pożyczonych pieniędzy; że Komisja Papierów Wartościowych i Departament Sprawiedliwości prowadzą śledztwo w twojej sprawie i prawdopodobnie niedługo przedstawią zarzuty. Znaleźli też dowody na to, że

„Suna" kupiłeś nieuczciwie.

Galvina zatkało - siedział tylko i wpatrywał się w Candace bez słowa. Wyglądało to tak, jakby kopnęła go w splot słoneczny i na długą chwilę zabrakło mu tchu w piersi. Oto miał odpowiedź na swoje pytanie: Candace sprzymierzyła się z ludźmi odpowiedzialnymi za miernotę tego świata.

- Czego ode mnie chcesz? - wyszeptał wreszcie tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

- Potrzebny nam twój komentarz do materiału, który zamieścimy. Przykro mi.

- Chyba żartujesz. - Galvin kręcił z niedowierzaniem głową. Na jego białych policzkach wzbierały rumieńce. Nie chciał mi wierzyć, kiedy pierwszy raz mu o wszystkim opowiedziałem. Za bardzo kochał Candace, żeby dopuścić do siebie myśl, iż mogłaby go rozmyślnie skrzywdzić. -Chcesz wydrukować ten chłam w mojej gazecie? I spodziewasz się mojego komentarza?

- Właśnie. Przepraszam, ale to standardowa procedura. Nie możemy drukować artykułów, nie dając ich bohaterom szansy zabrania głosu. Takie są zasady.

- Dobrze, oto mój komentarz: wszystko, co powiedziałaś, to jedna wielka bzdura i pozwę do sądu każdego, kto to wydrukuje. Jak ci się podoba? Pozwę sam siebie i wygram!

- Nie utrudniaj sprawy, Sandy. Proszę cię. Dla mojego dobra.

- Dla twojego dobra? -Złapał ją za ramię i przyciągnął bliżej. Krzyknęła z bólu. - Nie rób tego, Candace. Nie graj według tych zasad. Nie musisz tego robić.

- Muszę.

Wciąż mocno ścisnął ją za rękę, a nie stracił jeszcze resztek sił dawnego boksera. Patrzyli sobie w oczy z odległości kilkunastu centymetrów. Candace drżała na całym ciele; była przerażona. Kiedy tylko Galvin to zrozumiał, zwolnił uścisk.

- Zwariowałeś - oznajmił. - Do reszty zwariowałeś.

- Wcale nie. Zrobiłeś ze mnie redaktora naczelnego swojej gazety. Zapowiedziałam ci wtedy, że będę wypełniać swoje obowiązki najlepiej, jak to możliwe. Nie wyobrażałam sobie nawet, że mogę napotkać takie problemy, ale teraz muszę chronić gazetę. To ona jest w tej chwili najważniejsza.

- To nieprawda, Candace. Obowiązek wobec innych nie jest najważniejszą rzeczą na świecie, podobnie jak zasady czy pozory. Nie możesz tego zrobić, jeśli mnie kochasz. Tak nie można. Będziesz tego żałować do końca życia.

- Jestem dziennikarką i odpowiadam przed moimi kolegami. Ufają mi, że zrobię to, co należy.

- Co za wymówka! Powinienem chyba paść na kolana, powiedzieć „oczywiście, kochanie”, a potem zrobić „to, co należy”. Ale ze mną jest inaczej. Już kiedyś o tym rozmawialiśmy, tym razem jednak najpierw wbiłaś mi sztylet w plecy, a dopiero potem poprosiłaś o komentarz.

Candace opadła ciężko na krzesło. Słowa Galvina zraniły ją tak mocno, jakby to on jej wbił sztylet w plecy. Jej twarz wyrażała cierpienie i rezygnację. Wiedziała, że jej nie zrozumie i że nie ma sensu się kłócić.

- Powinam już iść - powiedziała. - Muszę wracać do biura. Przyślę ci wydrukowany artykuł do przeczytania. Jeśli będziesz chciał dodać coś od siebie, zadzwoń.

Wstała i stanęła dwa metry od Galvina, założywszy ramiona na piersi. Podniósł na nią wzrok, załkał cicho i nagle jego oczy wezbrały łzami. Jak to się

mogło stać? Jak to możliwe, żeby miłość była tak bezradna? Candace stała przed nim, niewzruszona jak góra lodowa, która na zawsze odpływa w dal, a on nie mógł temu zapobiec.

- Usiądź - poprosił słabym głosem.

Zrobiła to przez szacunek dla jego łez. Był wielkim człowiekiem i nie mogła oglądać go tak upokorzonego. Wydmuchał nos w chustkę i rękawem otarł łzy. Ostatni raz wziął ją za rękę.

- Wyjedź ze mną - zaproponował. - Zapomnij o zasadach i obowiązkach, i tak nigdy nie dały ci szczęścia. Wyjedź ze mną, teraz, zaraz; jeszcze dziś polecimy do Szwajcarii. Mam tam jeszcze dom. Moglibyśmy siedzieć nad jeziorem i przynajmniej przez krótki czas pobyć razem.

- Nie mogę. Muszę pokierować gazetą.

- Wyjedźmy - powtórzył Galvin. - Pozwól sobie na chwilę szczęścia.

- To niemożliwe. Musiałabym zrezygnować z pracy, gazeta by padła i byłby skandal.

- Wyjedź ze mną - poprosił Galvin po raz ostatni. - Jestem ciężko chory, zresztą to chyba widać. Potrzebuję odpoczynku. Nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało, ale chciałbym spędzić go z tobą. Kocham cię, Candace. Popełniłem w życiu tylko jeden błąd, którego żałuję: nie pomogłem ci zaakceptować mojej miłości. Ale jest jeszcze czas; wciąż możesz złamać zasady.

- Nie - odparła Candace cicho, lecz zdecydowanie. - Nie mogę.

Wstała z krzesła i wyszła z pokoju. Poszedłem za nią. Zostawiliśmy

Galvina samego w wielkim, pustym domu, owiniętego kocem i tulącego do piersi obrazy kobiety, którą tak idealnie kochał w głębi ducha, a której w żaden sposób nie mógł pochwycić w życiu. Kiedy odjeżdżaliśmy, stał w oknie salonu i



patrzył na płynący w dole Potomac. Przy brzegach wodę ściał mróz, ale środkiem rzeka rwała wartko - do miasta i dalej, do oceanu.

W pewnym sensie dostał od Waszyngtonu to, na czym mu zależało. Jego świat legł w gruzach, ale Galwin dokonał tego, po co tu przybył: przeżył swoje ostatnie dni dla miłości. Zrobił, co w jego mocy, by przyciągnąć do siebie swoją ukochaną. Odmówiła, ale nie mógł mieć do siebie o to pretensji. Jej odmowa nie umniejszała siły jego miłości.

Tej samej nocy Galwin odleciał z Tedem Amarą do Genewy. Nie przeczytał już artykułu, który rano pojawił się na łamach jego gazety - mistrzowski kawałek sztuki dziennikarskiej, dorównujący najwyższym standardom tej profesji. Jasnym i prostym językiem opisano w nim niezwykle dzieje kariery Galvina i jego spektakularny upadek. Motywem przewodnim opowieści było oczywiście śledztwo prowadzone przez Departament Sprawiedliwości w sprawie właściciela „Washington Sun and Tri-bune”, koncentrujące się na nieuczciwych praktykach, jakich dopuścił się kupując gazetę. Reporterzy zrećnie zebrali fakty; dysponowali cytatami z wypowiedzi Harolda Hazena, jego córki Ariane, a nawet domniemanego współnika Galvina - Melvina Wolfe'a. Odmowa komentarza ze strony głównego bohatera skandalu została wyraźnie podkreślona, a moja skromna rola - całkowicie pominięta.

Candace Ridgway napisała od siebie komentarz na pierwszą stronę, w którym wyjaśniła, dlaczego gazeta zdecydowała się na ten niezwykle krok - dochodzenie w sprawie własnego wydawcy. Był to zgrabnie napisany manifest o wartościach, które decydują o dobrym dziennikarstwie - na swój sposób całkiem przekonujący. Candace przyznała również, że od lat łączyła ją z Galwinem bardzo bliska znajomość. Uczyniła mądrze, ponieważ w ten sposób informacja o ich związku stawała się bezużyteczna dla konkurencji, a sama Candace ustawiała się poza wszelkim podejrzeniem i krytyką.

Środki masowego przekazu zrobiły z niej bohaterkę. „New York Times” na pierwszej stronie zamieścił jej sylwetkę, a we wstępniaku pochlebnie skomentował jej odwagę. Fakt, że postanowiła zainteresować się bliżej poczynaniami własnego wydawcy, z którym w dodatku była osobiście związana, postrzegano jako kolejny dowód jej prawości i nieprzekupności. Wychwalano ją jako wzór wszystkich cnót dziennikarskich, co zresztą nie odbiegało od prawdy. Komentatorzy przewidywali już, że odważne śledztwo wewnątrz gazety zapewni jej w przyszłym roku nagrodę Pulitzera w kategorii służby publicznej, a więc najwyższe wyróżnienie w tym zawodzie.

Przy okazji zrobiło się straszne zamieszanie wokół gazety i jej dalszych losów. Wierzycciele Galvina chcieli bez chwili zwłoki przejąć ją i odebrać należności, nie przewidzieli jednak kruczków prawnych, do jakich uciekł się Galvin. Okazało się, że on sam nie ma już ani jednej akcji „Suna”. Przed paroma miesiącami z pomocą Teda Amary przekazał swoje udziały do funduszu powierniczego, założonego na rzecz pracowników gazety, przez co wszyscy ludzie z redakcji stali się współwłaścicielami dziennika. Na zarządcę funduszu Galvin wyznaczył redaktor naczelną, Candace Ridgway, która tym samym stała się prezesem firmy.

Nie trzeba chyba dodawać, że wierzycciele byli wściekli; niektórzy próbowali nawet podważyć prawomocność aktu przeniesienia własności udziałów. Dzięki Candace „Sun” stał się jednak tak popularny, że wieść o chciwych rekinach z Wall Street ostrzających sobie na niego zęby wywołała ogromny tumult polityczny. W Kongresie zaczęto nawet przebąkiwać o wprowadzeniu specjalnego aktu prawnego, mającego zapobiec przejęciu aktywów gazety, ale ostatecznie nie było to konieczne, bo wierzycciele się wycofali.

W styczniu, kilka tygodni po odlocie Galvina, Candace wezwała mnie do siebie do biura. Poprosiła, żebym złożył rezygnację ze stanowiska i dała mi do zrozumienia, że jeśli tego nie zrobię, zwolni mnie bez chwili wahania. Jako

powód swojej decyzji podała moją współpracę z Galvinem przy oszukańczym przejęciu gazety. Udało mi się uniknąć wywleczenia mojej sprawy na światło dzienne, a co za tym idzie - także odpowiedzialności, ale moje postępowanie oceniono jako wyrachowane i pozbawione skrupułów. „Sun” nie mógł dłużej tolerować mojej osoby. Nawet nie kłóciłem się z Candace, chociaż nie podejrzewam, by był to faktyczny powód, dla którego zmusiła mnie do odejścia.

Byłem przekonany, że najbardziej zaszkodził mi fakt, iż poznałem częściowo prawdę na temat Candace. Nie chodzi mi bynajmniej o jej związek z Galvinem ani o dręczący ją po dziś dzień koszmar samobójstwa ojca - tych czysto prywatnych faktów z jej życia nikt inny i tak by nie zrozumiał. Nie, moje przekleństwo polegało na tym, że zacząłem rozumieć jej motywacje: musiała czuć, że ma wszystko pod swoją kontrolą - i tak właśnie było. To ona, nie Galvin, wystawiła w Waszyngtonie przedstawienie teatralne: zwabiła go do miasta, a potem wykorzystała do zaspokojenia własnych ambicji. Galvin podążał za jej wskazówkami - czasem świadomie, czasem nie. Tak sobie przynajmniej wyobrażałem.

- Masz, czego chciałaś - powiedziałem, kiedy mnie wylała. - Gratuluję.

Pobladła, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy, a przyznam, że spodziewałem się zupełnie odmiennej reakcji. Myślałem, że zachowa się jak kapitan okrętu: wyrzuci mnie za burtę, a sama dziarsko popłynie odkrywać nowe porty. Tymczasem zamiast pewnego siebie uśmiechu i bystrego spojrzenia, którymi ostatnio zaczynała mi przypominać Galvina, napotkałem bezbrzeżny smutek.

- Myślisz, że wygrałam? - zapytała. W jej głosie brzmiała żałobna nuta, jakby Candace naprawdę przeżyła zatonięcie statku.

- Oczywiście, że tak. Masz dokładnie to, czego pragnęłaś: zawsze chciałaś kierować dużym dziennikiem, a teraz jeszcze pozbyłaś się Galvina, który

wchodził ci w drogę.

Odebrało jej chyba mowę, bo tylko pokręciła głową. Jak mogłem wysłuchać jej historii i ani trochę jej nie zrozumieć? Zamknęła oczy. Taki już los przypadł jej w udziale: miała być wiecznie niezrozumiana. Ludzie chcą, żeby miłość przemawiała, robiła fikołki i strzelała ogniami sztucznymi pod samo niebo, ale miłość czasem bywa cicha, ukryta, niezdolna łączyć i pocieszać - nadal jednak pozostaje miłością. Naprawdę tego nie pojmowałem?

- Jestem zdruzgotana, Davidzie. Czy sądzisz, że wszystkie zaszczyty tego świata mogą mi wynagrodzić to, co straciłam?

Nagle dotarło do mnie, że cynizm jako narzędzie rozumienia świata ma swoje granice. Od jakiegoś już czasu narastała we mnie świadomość, że kpiarski uśmiech nie zawsze jest najlepszą reakcją na otaczającą mnie rzeczywistość. Kiedy jednak tego dnia ujrzałem Candace - wypaloną do cna, w otoczeniu nic nie znaczących dowodów pozycji i władzy - zapragnąłem nagle pomajstrować co nieco przy swoim światopoglądzie. Nie chciałem wejść w wiek średni z takim wyrazem twarzy, jaki widziałem u niej; nie chciałem tak jak ona przebrnąć przez życie, a potem ocknąć się w pustce pozbawionej uczuć, tylko po to, by zadać sobie pytanie: czy to już wszystko? Nie chciałem na koniec swoich dni wysyłać notki do ludzi, których mogłem pokochać, gdybym tylko w porę znalazł odpowiednie słowa.

Na koniec każdego programu Jerry Springer wyskakuje z czymś, co nazywa „Mottem na do widzenia”. Jest to jedyny fragment Jerry Springer Show, którego szczerze nie znoszę. Oto przez ostatnią godzinę oglądaliśmy dwie lesbijki biorące się za łby ze swoimi ekschłopakami, albo świeżo upieczoną mężatkę, błagającą o rozwód po obejrzeniu kasety wideo z bezecnego wieczoru kawalerskiego męża - a tu Jerry podsumowuje imprezę jakąś pobożną maksymą: „Przyjaźń i miłość bywa różna, ale zawsze jest bezcenna” albo „Jeśli chcesz

mieć porządną kobietę, musisz być porządnym mężczyzną". Jasne, Jerry. Skończ pieprzyć i dawaj z powrotem te lesbijki.

Ale tym razem powinienem chyba sam dodać coś na zakończenie. Coś o mnie i o Candace.

Śledząc przebieg tej historii zacząłem uwalniać się od złudzeń, które miałem. Może zawsze się tak dzieje, kiedy uważnie się komuś przyglądamy - uczymy się z jego błędów i sukcesów. Ja na przykład żyłem sobie we własnej żrącej kąpieli tak długo, że zacząłem się z tym czuć normalnie, ale teraz kwas zaczynał dawać mi się we znaki i chciałem żyć jak inni ludzie. Prawda, takie wyznanie u absolwenta Harvardu może nieco dziwić, ale ja wcale nie konfabuluje (zawsze krzywiłem się na dźwięk tego słowa, jednak usilnie staram się zmieniać stare nawyki).

Z całą pewnością przekonałem się, kim nie chcę być - dziennikarzem. Nawet gdyby Candace nie wyrzuciła mnie z roboty, i tak rozstałbym się z „Sunem”. Gazeta stanowiła dla mnie symbol samotności i odosobnienia. W dzieciństwie zaczytywałem się informacjami sportowymi, zamiast samemu wziąć się za uprawianie jakiejś dyscypliny; kiedy trochę się zestarzałem, wystarczało mi czytanie o polityce i wydarzeniach na świecie -nie musiałem w nich uczestniczyć; zamiast znaleźć sobie żonę, co niedziela nałogowo czytałem informacje o ślubach i nowożeńcach w rubryce towarzyskiej „New York Timesa” - studiowałem je jak wykłady z archeologii społecznej. Z biegiem lat zauważyłem, że bogaci mężczyźni żenią się zwykle z pięknymi kobietami. A najpiękniejsze kobiety przy odrobinie szczęścia wychodziły za takich facetów, jak Galvin, którzy - skądkolwiek by nie pochodzili - pałali nieposkromioną żądzą życia. Byłem też głęboko przekonany, że na starość zagłębię się w lekturze nekrologów, żeby wiedzieć, jak umrzeć. Zastanawiałbym się tylko, jak napiszą o mnie w gazecie. Od lat tkwiłem w dwuwymiarowej pułapce zadrukowanych stronic.

Ale dość tego! Samotność - tak jak i czytanie gazet - była nałogiem, a ja zamierzałem się tego nałogu pozbyć. Chciałem się odważyć, zrobić ten krok naprzód, wejść na krę i przejść po niej na - jak mi się wydawało - drugą stronę. Najbardziej ukochałem w Candace jej chłód, czysty i doskonały jak w płatku śniegu, ale to z jego powodu uczucie, którym ją darzyłem, było tak nierzeczywiste. Zastanawiałem się teraz, jak wygląda kobieta prawdziwa i niedoskonała. Czy tak jak podziwiana przeze mnie skrycie Michelle Hagel, o bujnym ciele i kręconych włosach? Jak by to było nie zgrywać wtedy w barze cwaniaka, tylko po prostu wyciągnąć rękę i dotknąć jej dłoni? Odsunęłaby się? Czy raczej uśmiechnęła i przysunęła bliżej? Tego właśnie chciałem się dowiedzieć.

Muszę jeszcze dodać, że moim zdaniem Candace była kobietą na miarę swoich czasów, jednym z tych oszałamiających stworzeń, zamieszkujących Stany Zjednoczone końca dwudziestego wieku, którym wydaje się niczego nie brakować - mają urodę, intelekt, osiągnęły sukces zawodowy, ale zarazem przegapiły prawdziwy skarb. Wiedziały, że ten skarb na nie czeka, ale nie umiały do niego trafić; nie potrafiły pójść na skróty i dostać go w swoje ręce. Tego właśnie mogłyby nauczyć się od takich ludzi, jak Galvin. Miały wszystko, ale znały przy tym absolutną pustkę, jaka wiąże się z brakiem tego, co naprawdę upragnione.

Galvin był znacznie bardziej chory niż ktokolwiek mógł przypuszczać - chyba tylko on zdawał sobie w pełni sprawę z powagi sytuacji. Miał raka wątroby i mimo ostrej kuracji, jaką zaaplikowano mu w Szwajcarii, zmarł przed końcem stycznia. Chyba od dobrych paru miesięcy przeczuwał, że śmierć się zbliża. Może właśnie dlatego zjawił się w Waszyngtonie - chciał dopisać ostatni rozdział tej historii. Sęk w tym, że nikomu z nas nie jest dana taka szansa. Wierzyście z początku chcieli wystąpić o jego ekstradycję, żeby stanął przed sądem w Stanach. Przewodniczący Komisji Handlu nie krył rozczarowania, że

koronny świadek nie stawia się na rytualne biczowanie, ale kiedy stało się powszechnie wiadome, jak źle jest z Galvinem, psy gończe przestały się nim interesować. Cóż to za przyjemność ścigać zdobycz, która lada chwila sama padnie z wyczerpania?

Candace postanowiła zobaczyć go przed śmiercią, poleciała więc do Szwajcarii i poszła do szpitala. Rak przez ten czas zaatakował mózg. Galwin co chwila tracił przytomność, a kiedy ją odzyskiwał, głównie majaczył. Lekarz twierdził nawet, że najlepiej będzie dać mu spokój i zapamiętać go takim, jakim był dawniej. Candace jednak uparła się, że wejdzie do sali, gdzie leżał Galwin.

Usiadła przy jego łóżku i siedziała tak dniem i nocą. Trzymała go za rękę, nie wiedząc nawet, czy ją rozpoznał. Nie musiała mu nic wyjaśniać; problemy tego świata nic już dla niego nie znaczyły. Była przy nim, gdy zmarł; cały czas ścisnęła jego wychudłą dłoń. Kiedy lekarz powiedział jej, że powinna już wyjść, pocałowała Galvina w usta i pożegnała się z nim na zawsze.

W Genewie odbył się szybki pogrzeb. Zgodnie z życzeniem Galvina jego ciało zostało spalone. Niewiele brakowało, by dożył pięćdziesiątki. Spotkała go wyjątkowo okrutna śmierć, jak na człowieka, który tyle ofiarował ludziom, ale ja i tak nie mogłem sobie wyobrazić, żeby smucił się z tego powodu. Nie miał czego żałować w życiu, a niewielu mężczyzn z jego pokolenia może coś takiego o sobie powiedzieć. Wszyscy walczyli ze starością i nieuchronnym upadkiem - przede wszystkim dlatego, że nie mieli czasu dorosnąć. Wchodzili w wiek średni z narastającą tęsknotą za tym, czego nie osiągnęli - a nawet gorzej: za tym, czego nie próbowali osiągnąć. Szczęście Galvina polegało na tym, że uniknął wieku średniego i jego rozterek. Światelko jego życia zostało zdmuchnięte w jednej chwili, pozostawiając po sobie widok, który długo jeszcze pulsował mi pod powiekami. Wciąż widziałem ten wspaniały uśmiech, którym Galwin zdawał się mówić: „Co za życie! Co za dar! Jakim byłem szczęściarzem!”

## Podziękowania

Szczególne podziękowania należą się Jonowi Karpowi, mojemu wydawcy, który przekonał mnie, żebym tym razem napisał rzecz o ludziach, a nie o szpiegach. Jestem też wdzięczny moim przyjaciołom i bliskim, którzy przeczytali rękopis książki i podzielili się ze mną swoimi uwagami -a byli to: moja żona, doktor Eve Ignatius, mój agent, Raphael Sagalyn, Gar-rett Epps, Lincoln Caplan, Susan Shreve, Graham Wisner i Craig Stolz. Nade wszystko zaś winien jestem podziękowania Donowi Grahamowi i świętej pamięci Meg Greenfield, którzy służyli mi swoim czasem i dodawali zachęty w chwili, gdy najbardziej tego potrzebowałem.

# ***KONIEC***